

Dan Abnett

Rota

Riders of the Dead

Tłumaczył Artur Sęk



To mroczna, krwawa era. Czasy demonów i czarnoksięstwa. To era bitew i śmierci, a także końca świata. Pośród ognia, płomieni i szaleństwa jest to także czas wielkich bohaterów, śmiałych czynów i wielkiej odwagi.

W sercu Starego Świata rozciąga się Imperium, największe i najpotężniejsze z królestw ludzi. Słynie ze swoich inżynierów, czarodziejów, kupców i żołnierzy. To kraina ogromnych gór, szerokich rzek, ciemnych lasów i rozległych miast. Z wyżyn tronu w Altdorfie włada nią Imperator Karl-Franz, wyświęcony potomek założyciela tego państwa - Sigmara i powiernik jego magicznego młota bojowego.

Ale te czasy dalekie są od spokoju. Wszereż i wzdłuż Starego Świata, od rycerskich zamków Bretonii do skutego lodem Kisleva na dalekiej północy, zewsząd słyhać doniesienia o zbliżającej się wojnie. W niebotycznych Górach Krańca Świata plemiona orków szykują się do kolejnej napaści. Zbóje i odstępcy nękają dzikie ziemie Księstw Granicznych na południu. Pojawiają się plotki o podobnych szczirom istotach, skavenach, które wynurzają się z rynsztoków i bagien we wszystkich krainach. Na północnych pustkowiach nie ustępuje wieczna groźba Chaosu, demonów i zwierzoludzi wypaczonych przez nikczemne moce Mrocznych Bogów. Gdy pora rozstrzygającej bitwy zbliża się coraz bardziej, Imperium potrzebuje bohaterów, jak nigdy wcześniej.

Półkopia

I

Z Vatz do Durberg, z Durberg do Harnstadt, z Harnstadt do Brodnego. W przeciągu jednego szaleńczego tygodnia. Wciąż w mozolnym galopie, podwójny szereg pióropuszy, łopoczących na wietrze i targanych powiewami proporców na wzniesionych w górę kopiach.

Postój i odpoczynek w Brodnym, potem znów w drogę, tym razem już do granicy województwa. Po Brodnym wszystkie nazwy miejsc poczęły się zmieniać. Imperium pozostawało za nimi, przeciekało niczym woda przez palce rozwartej dłoni.

Przed nimi leżały rzadko zaludnione, rozległe równiny Kislevu. Na zachodzie poszarpane szczyty Gór Środkowych nikną we mgle. Niebo, jasne i czyste niczym ze szkła. Ciągące się bez końca pola, zieleniące i szumiące na wietrze. Morze traw poznaczone ostami i paprociami. Skowronki śpiewające tak wysoko, że nie sposób ich dostrzec.

Z Brodnego do Emsk, z Emsk do Gorownej, z Gorownej do Choiki, poprzez małe osady, jakich pełno tu na pograniczu. Nikt nie miał czasu i chęci by nadać im nawet jakieś nazwy. Maleńkie wioski gdzie toporne drewniane chatynki tulą się dookoła samotnych kapliczek.

Na trakcie, masywne kolumny piechoty pod sztandarami, każda ciągnąca za sobą długą kawalkadę wozów z zaopatrzeniem, niczym ogon komety. Zaprzęgi wołów, polowe kuchnie, druciarze z taczkami, ludzie odpowiedzialni za wikt, na ciężkich od beczek i baryłek dwukółkach, poganiacze mułów, armijne podwozy wypełnione drzewcami pik, kołkami, drewnem na opał i pękami strzał. Wszyscy wleką się ciężko na północ. Konwoje inżynierów doglądający zaprzęgów wielkich armat, wozy pełne kul i prochu ciągnięte przez woły i konie. Tam gdzie żelazne koła zapadły się w błoto, biedne zwierzęta musiały się trudzić i szarpać w blokach. Halabardziści i pikinierzy w równych szeregach, wyglądający z oddali jak poruszający się zimowy las. Dochodzące zewsząd żołnierskie pieśni marszowe. Tysiące głosów rozbrzmiewających na pograniczu. Sto tysięcy głosów.

Imperium pochylało głowę i gotowało swą potęgę na wojnę. Była to wiosna Roku, Którego Nikt Nie Zapomni. Koszmarny rok wypełniony stratami, znojem i ciężkimi wyborami. Rok, w którym Północ powstała tak jak nigdy dotąd i rzuciła swe hordy niczym kopie dżgające bok znanego Świata. Był to dwa tysiące pięćset dwudziesty pierwszy rok

kalendarza Imperium, odkąd Heldenhammer i Dwanaście Plemion założyli ten potężny kraj siłą rąk i stałą. Był to czas Karla Franza, Konklawe Światła i Archaona.

II

W miejscowości Choika, tam gdzie rzeka była rozlana szeroko i z wolna toczyła swe wody, dali wypocząć koniom cały dzień. Ludzie powitali ich tu niechęcią i milczeniem, widok pięćdziesięciu imperialnych rajtarów wjeżdżających w równym dwuszeregu na główny plac nie zrobił na nich, zbytniego wrażenia. Wszyscy jechali na potężnych wałachach: karych, siwych lub kasztanach. Wszyscy mieli na sobie połyskujące półpancerze i spiczaste helmy ze sterzącymi kitami. Wszyscy trzymali lekkie kopie uniesione pionowo w górę. Przy każdym siodle kołysała się para pistoletów lub petrynał.

Sygnalista zadał dwukrotnie w róg, raz długo, raz krótko i oddział zasalutował kopiami, po czym ludzie z brzękiem i zgrzytaniem metalowych płyt zsiadli z wierzchowców. Poluzowano popręgi, konie wytarto, w ruch poszły zgrzebła.

Dowódcą oddziału był trzydziestodwuletni kapitan kawalerii Meinhart Stouer. Zdjął z głowy hełm i trzymał go za pasek, który zapina się pod brodą, jednocześnie oczyszczając pióropusz, z czepiających się go nasion trawy.

Zajęty tą czynnością rzucił krótko w stronę sygnalisty.

- Karl! Dowiedz się, jak nazywa się ta osada!

- Choika, kapitanie - odparł młody mężczyzna chowając połyskujący srebrem róg do olstra przy siodle.

- Mogłem się domyślić, że będziesz to wiedział. A rzeka?

- Lynsk, kapitanie.

Dowódca rozłożył szeroko ręce jakby zanosił do kogoś prośbę. Kirasjerzy stojący dookoła wybuchnęli śmiechem.

- Sigmarze chroń mnie przed zbyt dobrze wykształconymi ludźmi!

Sygnalista nazywał się Karl Reiner Vollen. Miał dwadzieścia lat i skwitował docinki jedynie wzruszeniem ramion. Stouer nie zapytałby gdyby nie wiedział doskonale, że Vollen zna odpowiedź.

Wozy z zaopatrzeniem oddziału, wraz z eskortą sześciu kopii, wtoczyły się wolno na plac i woźnice ustawili je tuż za końmi. Stouer skinieniem potwierdził ich przybycie i kulejąc

skierował się do studni. Nie czuł nóg od wielogodzinnej jazdy i był cały obolały od ciągłego siedzenia w siodle. Naciągnął mocniej grubą skórzaną rękawicę jeździecką i ochlapał twarz wodą z niskiego, kamiennego zbiornika. Potem przepłukał usta i wypluł brązową ciecz na ziemię. W gęstej, spiczastej brodzie połyskiwały mu drobiny wody.

- Sebold! Odamar! Zorganizujcie jakąś paszę dla koni. I nie pozwólcie się oszukać. Gerlach! Postaraj się o coś do zjedzenia dla nas. To ostatnie dotyczy także ciebie. Weź ze sobą Karla. On pewnie potrafi mówić w tym cholernym języku! Jeśli mam rację to postaw mu piwo. Dmuchanie w ten róg i myślenie niechybnie czynią człowieka spragnionym.

Gerlach Heileman odpowiadał za sztandar oddziału. Cieszył się dzięki temu mianem chorążego i miał o połowę wyższy żołd niż zwykły rajtar. Sztandar składał się z mocarnego jesionowego drzewca, długiego na trzy metry. Rękojeść rzeźbiona była ze złota i owinięta skórzanymi pasami. Na czubku znajdowała się zrobiona z brązu podobizna smoczej, ryczącej głowy z opadającymi z tyłu dwoma ogonami z luźnego materiału. Miało to symbolizować Gwiazdę z Dwoma Ogonami. Pod tym astrologicznym znakiem krzepły ongiś wielkie czyny w dziejach Imperium. Niektórzy powiadają, że znów można zobaczyć Gwiazdę na niebie, a przynajmniej w ostatnich latach pojawiały się gdzieś takie pogłoski.

Tuż pod smoczą głową z brązu, znajdował się poprzeczny drąg, podtrzymujący malowany sztandar oddziału - kwadratowy kawał ciężkiego płótna obrębiony połączonym materiałem, na którego brzegach, przypinane były ozdobnymi rozetami, spłachetki pergaminu z cytatami ewangelii Sigmara. Biel i czerwień to kolory Talabheim i takie właśnie pola widniały na sztandarze. Na nich, zielenią i bielą odznaczały się szczegóły herbu tego potężnego miasta-państwa: siekiera drwała i trójlistna koniczyna, a po obu stronach znajdował się imperialny młot. Dookoła rękojeści oręża, skręcał się wspaniały, skrzydlaty gad.

Gerlach ucałował drzewce sztandaru i przekazał go rajtarowi trzymającemu jego konia. Gdy ściągał rękawice i hełm skinął w stronę sygnalisty.

Razem ruszyli przez plac. Ich półpancerze pobrzękiwały w rytm kroków. Długie buty z najlepszej wołowej skóry, opinały aż do ud, nogi każdego rycerza w oddziale. Od tego miejsca, do samej szyi, chroniły ich wypolerowane i połyskujące płyty pancerza, zachodzące na siebie i przytwierdzone do podbitej pilśniową przeszywanicą kolczugi. Kompania kawalerii to elitarna jednostka, jej członkowie, w przeciwieństwie do zwykłej armii prowincji i pospolitego ruszenia, rekrutowali się ze szlachty. Każdy żołnierz sam musiał zadbać o swój rynsztunek i oręż. Zbroje, jakie nosili potwierdzały ich zamożność i świadczyły o statusie każdego z rajtarów. Gerlach Heileman był drugim synem Sigbrechta Heilemana,

zaprzysiężonego i dumnego rycerza Zakonu Czerwonej Tarczy, jednego ze strażników samego księcia-elektora Talabheim. Gdy już zasłużył się walcząc w szeregach kopijników, może spodziewać się, że dołączy do starszego brata i ojca. I sam również stanie się jednym z rycerzy tego prześwieczonego zakonu. Jego półpancerz potwierdzał w pełni, świetne pochodzenie i wielkie oczekiwania. Poszczególne płyty były rzeźbione i tak ukute, by imitowały bufiasty i powycinany krój najmodniejszych dworskich strojów z aksamitu i adamaszku. Napierśnik przypominał, stylem wykonania, elegancką kamizelę przylegającą dość ciasno z przodu.

W porównaniu z nim półpancerz Karla Reintera Vollena, pomimo oczywistych podobieństw, był znacznie prostszy i bardziej tradycyjny. Karl mógł prześledzić swe pochodzenie aż do szlachty z Solland, ale całe to dziedzictwo zostało starte w proch w czasie wojny w roku 1707. Od tego czasu, jego rodzina, wywłaszczona i pozbawiona bogactw, służyła domowi swych kuzynów - rodu Heileman. Gerlach był dwa lata starszy niż Karl, ale chowali się w tym samym domu, nauczali ci sami nauczyciele i trenowali ci sami zbrojni.

Była jednak między nimi różnica. Przez cały czas ziała między nimi przepaść i zdawało się nieuniknione, że będzie się ona jeszcze powiększać.

III

Chaty wsi Choiki, leżącej nad rzeką Lynsk, zbudowane były głównie z bali sosnowych, krytych szarymi, osikowymi gontami, które zachodziły na siebie na podobieństwo rybich łusek. Osada, istniała tu bez mała, od tysiąca lat, a w tej formie od jakichś dwustu. Poprzednią jego inkarnację, spalono do cna, jeszcze za czasów Magnusa Pobożnego. Sucha, stara i ciemna zabudowa, będzie się zapewne szybko palić, gdy nadejdzie jej godzina.

Vollen i Heileman przeszli pod opadającym nisko spadzistym dachem i wkroczyli do ponurej izby, która spełniała rolę karczmy. Na słupach przy drzwiach wiły się malachitowe ornamenty, a u góry wisiały przeróżne talizmany, wiązki ziół i stare łyżwy z drewnianymi ostrzami.

Sala była bardzo ciemna. Sufit stanowiły poczerniałe od dymu grube bele. Mocno ubite klepisko wysypane było brudnym sianem, a całe wnętrze wypełniała istna galeria przeróżnych stołków, zydlu i podpartych krzyżakami stołów. Dym z palonego drewna wisiał w powietrzu, skręcał się w smugach światła, wpadającego przez niewielkie okienka. Vollen wyczuwał

zapach przypraw, mięsa obracanego na rożnie, octu i chmielu. Heileman zaś nie czuł niczego, za wyjątkiem zapachów, które kalaly jego zmysł powonienia.

Trzech starców z długimi brodami podniosło wzrok znad malowanego stołu, przy którym siedzieli. Z niewielkich kubków, ściskanych i ogrzewanych w ich artretycznych dłoniach, popijali samogon. Podkrążone oczy, osadzone mieli bardzo głęboko, w poźlobionych zmarszczkami twarzach. Nie można było w nich wyczytać żadnego uczucia.

- Witajcie ojczulkowie - rozpoczął Heileman obojętnie i bez zastanowienia. - Gdzie jest karczmarz?

W oczach starców migotał ogień. Wpatrywali się w nich bez mrugnięcia.

- Powiedziałem karczmarz, ojcowie. Gdzie on jest?

Nie było żadnej odpowiedzi, żadnego dowodu chociażby, że w ogóle usłyszeli to, co do nich mówiono.

Heileman na migi pokazał, że chodzi im o coś do picia i zjedzenia. Udawał, że pije i głaskał się po brzuchu.

Karl Reiner Vollen odwrócił się. Nie miał cierpliwości dla arogancji Gerlacha Heilemana ani jego poniżającej pantomimy. Zamiast tego, przyjrzał się wielkiemu szerokiemu mieczowi, który wisiał na jednej ze ścian. Jego ostrze pokryte było rdzą. Była to z pewnością broń charakterystyczna dla Kislevu. Obosieczny długi miecz Gospodarów z głębokim wyżłobieniem. Jeśli dobrze pamiętał nazywano go tu szaszka.

- Kto tam? - zapytał jakiś potężny głos.

Vollen obrócił się, spodziewając ujrzeć mężczyznę, ale zamiast tego, z zaplecza wyłoniła się wielka kobieta, o bardzo bladej karnacji. Wycierała właśnie końcówkę zaokrąglonego, kuchennego noża o swój brudny fartuch. Jej oczy były zaledwie dwiema szparkami, twarz miała niezwykle puciołowatą. Wpatrywała się w Gerlacha.

- Jedzenie? Picie? - zwrócił się do niej.

- Nie ma jedzenia. Nie ma picia. - odparła na to.

- Przecież czuję jego zapach - nalegał dalej Gerlach.

Wzruszyła ramionami. Jej potężne, otyłe ciało zakołysało się pod okrywającą ramiona chustą.

- To drewno się pali.

- Ty nędzna, stara kobyło! - rzucił w jej kierunku Gerlach. Wyrwał zza pasa sakiewkę z kozłej skóry i wysypał jej zawartość na klepisko. Srebrne imperialne monety potoczyły się pośród brudnego siana. - Mam tu na zewnątrz sześćdziesięciu dwóch głodnych i spragnionych ludzi! Sześćdziesięciu dwóch! I nie ma w tej żalosnej mieścinie nikogo, kto byłby godzien,

choćby jednemu z nich wyczyścić buty!

- Gerlach... - zaczął Vollen.

- Odpieprz się Karl! - na szyi Heilemana wykwiłał rumieniec, oznaka szpetnego gniewu. Zbliżył się do tęgiej kobiety, potem błyskawicznie pochylił i podniósł z ziemi monetę. Trzymając ją między kciukiem i palcem wskazującym zbliżył ją do twarzy karczmarki.

- Widzisz to? Jego Przenajświętsza Wysokość Karl Franz! To na jego rozkaz przybyliśmy na to cholerne zadupie! Powinnaś chyba okazać trochę więcej wdzięczności. Powinnaś się cieszyć, że możesz nas nakarmić i dbać tu o nas, byśmy byli gotowi bronić was i wasze dusze! Nie wiem dlaczego, nie zostawimy was po prostu, żebyście szczęśli!

Kobieta zaskoczyła Gerlacha. Nie cofnęła się. Napała na niego, wytrąciła monetę spomiędzy palców z taką siłą, że ta przeleciała w powietrzu przez całą salę. Prosto w twarz bluznęła mu istną litanią przekleństw, potokiem słów w surowym języku Kislevu. Równocześnie wywijiała dziko kuchennym nożem.

Gerlach Heileman cofnął się w tył o krok. Sięgnął po sztylet.

Vollen wkroczył między nich.

- Dosyć! - rzucił w kierunku Gerlacha, odpychając go jedną ręką jeszcze bardziej do tyłu.

- Dosyć, matko! - dodał, gestykulując by ją uspokoić.

Gerlach odszedł klnąc pod nosem. Vollen odwrócił się w stronę kobiety. Trzymał ręce uniesione do góry i otwarte by zapewnić ją, że nie ma żadnych złych intencji.

- Potrzebujemy czegoś do jedzenia i picia. Zapłacimy za wszystko - powiedział bardzo powoli.

- Nie ma jedzenia! Nie ma picia! - powtórzyła.

- Nie?

- Nie ma nic! Wszystko zabrane!

Skinęła na niego szybkim, przypominającym uderzenie gestem. Poprowadziła do małej izdebki gdzie składowano worki z żytem. Na workach spoczywał drewniany kufer. Kobieta podeszła i podniosła pokrywę, a następnie pokazała Wollenowi wnętrze skrzyni. Kufer był po sam kraj wypełniony imperialnymi monetami. Było ich tam tak wiele, że w porównaniu z nim skrzynie płatników niektórych kompanii wyglądały żałośnie.

Wsadziła rękę do środka i rozgarnęła brzęczący pieniądz.

- Zabrane! - powtórzyła z mocą.

- Opowiedz mi jak - odparł Vollen.

IV

W ostatnim tygodniu, przez Choikę przeszło siedem oddziałów Imperium. Pierwszym była kompania kopijników i z jej opisu wynika, że byli to Jagrzy z Altdorfu. Ludność z miasteczka przyjęła ich życzliwie i zadbała by niczego im nie brakło: mięsa, trunków, noclegu i paszy dla koni. Przyjęli wszystkich siedemdziesięciu rycerzy jakby to byli ich własni bracia.

Dwa dni później dotarła tu kolumna dziewięćdziesięciu piechurów z Wissenland, głównie pikinierów, ale było tam też niemało arkebuzerów. Następowala im prawie na pięty dwusetka kolejnych pikinierów z Nordland i kawalkada armat z Nuln. Tej nocy populacja Choiki prawie się podwoiła.

Ledwo tamci zdążyli wyruszyć w dalszą drogę następna masa piechoty wmaszerowała do miasteczka. Łucznicy, arkebuzerzy i halabardnicy, wszyscy w żółto-czarnych szatach, tak mówiła, więc był to pewnie regiment z Averlandu.

Potem pojawiło się sześćdziesięciu potężnych dryblasów z Carroberg niosących swoje ogromne miecze oparte na ramionach, niczym jakąś broń drzewcową. Po nich pojawiło się tu pospolite ruszenie. Półtora tysiąca chłopów. Pili tak dużo, że przed wymarszem, podniósł się prawie bunt.

Dzień po nich zawitało do Choiki trzydziestu Rycerzy Pantery. Ci byli najbardziej okazali, tak mówiła karczmarka, wysocy i odziani jak książęta. Zachowywali się dworsko i wzbudzali wielki respekt, ale kiedy oni wyjechali nic już nie mogło zaskoczyć i zadziwić miejscowych ludzi.

Choika została wyciśnięta do ostatniej kropli.

- Zostało tu tylko tyle żywności by ludzie utrzymali się do kolejnych zbiorów - rzekł Vollen. - Możesz machać im przed nosem dowolną sumą pieniędzy, ale tu po prostu nie ma już czego kupić.

Stali na zewnątrz pod spadzistym dachem budynku. Heileman odwrócił się powoli by stanąć twarzą w twarz z Karlem.

- Przecież czułem jedzenie. Coś się tam gotuje. Może i śmierdziało, ale nadawało się do jedzenia.

Vollen potrząsnął głową.

- Gotują dla siebie. To co im jeszcze pozostało, uskładane do wspólnego kotła. Ci, którzy byli tu przed nami zabrali im nawet większość opału. Smród który czułeś to była kolacja dla

całej prawie Choiki, ugotowana na jednym z nielicznych ognisk, na które mogą sobie teraz pozwolić.

- Więc to my zjemy tę ich kolację - stwierdził po prostu Gerlach.

- Chcesz żeby poumierali z głodu?

- Jeśli to my zdechniemy z głodu jako pierwsi oni i tak zginą. Będą paleni, gwałceni i rozczłonkowywani, gdy przyjdą tu bandy z północy, a nas nie będzie, by ich przed nimi bronić. Albo będziemy wycieńczeni głodem.

Vollen wzdrygnął się.

- Nie zamierzam na razie nic mówić kapitanowi, jeszcze nie tym razem - powiedział Gerlach.

- Co takiego?

- Przez wzgląd na to co nas łączy. Nic na razie nie powiem.

- O czym niby? - zapytał Karl.

Oczy Heilemana zwęziły się w wąskie szparki.

- Do ciężkiej cholery, Vollen! Okazałeś mi przed chwilą nieposłuszeństwo i brak szacunku! Jestem chorążym! Drugim oficerem! Nigdy jeszcze żaden żrebak, nie podskakiwał do mnie tak wysoko, jak ty! Zapominasz się czasami, a ja jestem na tyle człowiekiem, by ocenić czemu tak się dzieje.

Vollen opanował się z trudem. Był zbyt inteligentny by wdawać się w spór.

- Zaszczyt to dla mnie, że okazujesz mi swą łaskę, chorąży. Będę pamiętał o swym miejscu w szeregu.

Heileman zagryzł wargę i pokiwał głową gdy powoli się oddalał.

- Dobrze Karl, bardzo dobrze. Nienawidzę ci przypominać, że jesteś tu wyłącznie dzięki mnie.

Karl Reiner Vollen cały stężał. Całą siłą woli, powstrzymywał się, by nie skoczyć na Gerlacha Heilemana. Parszywy zarozumiały bękart...

Kapitan Stouer zawołał ich przez całą długość brukowanego placu. Ruszyli razem w jego kierunku.

V

Stouer patrzył, przekazując jednocześnie wodze swego wałacha jednemu ze swych

żołnierzy i patrzył, jak Heileman i Vollen zmierzają w jego kierunku od strony karczmy.

Dowódca doskonale zdawał sobie sprawę, że chorąży jego oddziału, jest człowiekiem, pragnącym w przyszłości dokonać wielu rzeczy, mającym wielkie ambicje. Sprzyjało temu jego urodzenie. Miał odpowiednie koneksje. Jeszcze jeden rok, dwa może i zostanie Rycerzem Zakonu Czerwonej Tarczy, albo też w najgorszym razie dołączy do innego rycerskiego zakonu, będącego częścią elektorskiej gwardii. Wyglądał tego z niecierpliwością. Dobrze zbudowany, wysoki, z krótko przystrzyżonymi jasnymi włosami i dokładnie przyciętą jeszcze jaśniejszą brodą. Orzechowe oczy i dostojny sposób bycia, wszystko to, czyniło z niego doskonałą ramę, by wypełnić nią srebrzystą pełnopłytową zbroję. Była to twarz, która doskonale pasowała za zamkniętą przyłbicą rycerskiego hełmu.

No i sygnalista. Ach, Vollen. Tak jak Heileman doskonały i utalentowany jeździec i równie jak on wytrzymały. Jego przyszłość nie rysowała się jednak w równie różowych barwach. Wszystko sprowadzało się tu do krwi i pochodzenia. Vollen nie miał za sobą równie świetnego rodu i nie miał koneksji. Może kiedyś zostanie nawet kapitanem oddziału wojsk prowincji, ale to wszystko, do czego mógł dojść. Bez rekomendacji Herr Sigbrechta Heilemana, Vollen z pewnością nie dostałby się do tej kompanii rajtarów. Karl był o głowę niższy niż Gerlach, włosy miał tak ciemne jak Heileman jasne. Był ogolony na gładko, jak chłopiec, broda sterczała mu wojowniczo w przód. Oczy miał równie niebieskie jak pogodne letnie niebo. No i był najlepiej wykształconym żołnierzem, jakim kiedykolwiek miał przyjemność dowodzić Stouer. Nawet najlepiej urodzeni synowie możnych rodów służący w kawalerii byli zwykle tylko częściowo piśmienni, sam Stouer nie przykładał nigdy do nauki zbyt wielkiej wagi. Vollen natomiast uczył się bardzo pilnie u swych nauczycieli. Była to zapewne, próba zrekompensowania sobie, braku odpowiedniej pozycji i statusu.

- Raportujcie - zarządził, gdy stanęli już przy nim.

- Nie ma tutaj spyży, kapitanie - odpowiedział Heileman. - Miasteczko zostało do cna opróżnione przez oddziały i kompanie, które były przed nami. Gotują co prawda jakieś jadło, ale są to zaledwie resztki wygrzebane z kątów spiżarni. Powinniśmy raczej zajrzeć do własnych zapasów aniżeli pozbawiać tych ludzi resztek jedzenia.

Stouer skinął głową.

- Karl chciał, co prawda brać jadło siłą, ale sędzę, że winni jesteśmy tym prostym i miłym ludziom trochę respektu.

Kapitan zerknął w stronę Vollena.

- Czy to prawda?

Sygnalista stęzał cały i zdawało się, że chce splunąć na klepisko.

- Głód wziął górę nad moim rozsądkiem, kapitanie. Choraży ma rację - odpowiedział po prostu.

Stouer poskrobał się za uchem. Doskonale wiedział, że nie było to wcale takie proste i w budynku coś się wydarzyło, ale nie był aż tak bardzo tego ciekawy. Żołnierzy nie należało rozpuszczać i załatwiać za nich wszystkiego. Jeśli to co mówiono w garnizonie w Vatzl było prawdą czekały ich wszystkich bardzo ciężkie czasy. Stouer wiedział jak wygląda służba w Kislevie, służył tu już pięć lat wcześniej. Kraj był niegościnnie. Rozległy nieskończony step, klimat o wiele ostrzejszy niż gdziekolwiek indziej w całym Imperium. Ludzie byli surowi, ale serdeczni, choć rzadko miewał tyle czasu by się o tym przekonać. Ich wielki i dziki kraj, tylko w części objęty przez cywilizację stanowił naturalny bufor pomiędzy Imperium i Północnymi Pustkowiami. Wielokrotnie słyszał kislevitów, dobitnie wyrażających opinię, że tak naprawdę to oni są prawdziwymi strażnikami północy, broniącymi granic Imperium. Był to rzecz jasna nonsens. Imperium miało najwspanialszą armię na całym świecie i gdy ruszała na północ w czasach zagrożenia inwazją, tak jak teraz właśnie, kończyło się na tym, że to oni bronili skóry kislevitów. Z łaski Sigmara dzierżyli tę ziemię i bez armii Cesarza, z pewnością by ją utracili.

Teraz właśnie plemiona z północy znów ruszały do boju. W takiej ilości, takiej skali, jak nigdy dotąd. Rozlewali się jak ciemna i gęsta fala mrówek pośród tundry, fala dążąca na południe. Głosiły to przeróżne znaki, omeny i przepowiednie. Nawet jeśli zagrożenie było przesadzone to i tak zapowiadał się bardzo ciężki rok. Stouer z pewnością, nigdy jeszcze nie widział, tak wielkiej armii Imperium, podążającej ku północy, z taką ilością przeróżnych sprzymierzeńców. Ciężka kawaleria z Bretonii, najemne bandy z Tilei, a także przedstawiciele tych przeklętych starych ras. Wszyscy z wielką powagą podchodzili do zbliżającej się wojny.

Kapitan podszedł do konia i wyjął z torby przy siodle mapnik.

- Karl! Rzuć na to okiem proszę! - rzucił.

Gerlach i sygnalista wciąż spoglądali na siebie z niechęcią. Stouer wiedział, że potrzeba teraz, odwrócenia ich uwagi. Jakże podobni i inni jednocześnie. Wciąż ze sobą walczący.

Kapitan otworzył mapnik i rozwinął małą mapę.

- To właśnie Choika, mam rację?

Vollen przyjrzał się mapie i skinął głową.

- Tak jest.

- Tutaj jest rzeka. A tutaj bród.

Stouer wodził palcem po liniach starając się pokazywać w miarę dokładnie. Dla niego były to tylko jakieś atramentowe bohomazy, ale nie chciał zdradzać przed podkomendnymi

braków w swym wykształceniu.

- To jest właśnie Lynsk - powiedział Vollen wskazując jednocześnie rzekę na mapie. Zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że kapitan słabo rozróżnia litery i wiedział, że Stouer często wykorzystuje go jako swego doradcę.

- Tutaj właśnie jest bród. Jedną ligę w górę rzeki.

Kapitan studiował uważnie mapę i kiwał głową z powagą jakby doskonale wszystko rozumiał.

- Nasze rozkazy mówią, że mamy dołączyć do Marszałka Neibera i pikinierów z Wissenland na północ od brodu jutro w południe. W miejscu zwanym Zedewka. Właśnie, Zedewka... Zedewka...

- Tutaj kapitanie - wskazał Vollen.

Stouer wyprostował się i zaczerpnął głęboki oddech.

- Wciąż pozostaje jeszcze parę godzin do zmroku. Gerlach, weź trzy konie i sprawdź ten bród. Rozejrzyj się dokładnie. I wracaj jeszcze przed nocą.

- Tak jest - odparł Heileman. Wyciągnął zza pasa powycierane wodzami rękawice.

- Sebold? Joann? I ty Karl.

Stouer zjeżył się lekko. Jego intencją było rozdzielenie Gerlacha i Karla. Chciał by nie włązili sobie w drogę i byli zajęci. Niech to jasna cholera! Gdyby byli zajęci, nie mieliby czasu by ze sobą wciąż walczyć.

VI

Pola niedojrzałego jeszcze jęczmienia i żyta rozciągały się jak okiem sięgnąć na wschód i północ od Choiki. Błoto i kępy sitowia znaczyły podmokłe rozlewisko rzeki. Niebo zaciągnęło się chmurami i przybrało ten osobliwy, przedziwny odcień bieli, choć wciąż pozostało jasne. Tam gdzie droga wiodła równoległe do rzeki w powietrzu latały wielkie końskie gzy: migoczące i eleganckie niczym żywa biżuteria.

Czterech jeźdźców, ze spoczywającymi bezpiecznie w wytokach przy siodłach kopiami, przejechało spokojnie drogą przy rzece. Gdy trakt rozszerzył się, puścili się galopem. Zgodnie z rozkazami wszyscy mieli skrócone strzemiona i gdy w pędzie unosili się w nich, z głowami nisko pochylonymi w galopadzie, od siodła dzieliła ich szerokość dłoni, albo i lepiej. Gerlach prowadził na swym potężnym, wysokim na siedemnaście dłoni trzylatku, którego nazwał

Saksen. Kompanie najczęściej preferowały młode konie, przez wzgląd na ich energię i żywiołowość, choć mogły też przez to być krnąbrne i trudne w wychowaniu. Saksen często miewał momenty, w których ciężko go było okiełznać.

Tuż za Gerlachem jechał Karl, ramię w ramię z Seboldem Truchsem, mężczyzną o końskiej twarzy, który mając dwadzieścia dziewięć lat, był, za wyjątkiem samego kapitana, najstarszym żołnierzem w oddziale. Truchs był kimś w rodzaju weterana. Młodszy rajtarzy patrzyli na niego z podziwem, właśnie przez wzgląd na doświadczenie. Jechał na wielkim wałachu kasztanowej maści ze strzałką na czole. Kary wierzchowiec Vollena, mierzący szesnaście dłoni nazywał się Gan i miał jeszcze ostrzejszy charakter niż Saksen Gerlacha.

Na końcu grupy jechał Joann Friedel. Miał dziewiętnaście lat, był trzecim synem kupca i baroneta zarazem. Był równie popędliwy co jego młody karosz. Dla nich wszystkich, za wyjątkiem Truchsa, było to pierwsze wojenne doświadczenie. Pierwszy raz uczestniczyli w prawdziwej wojnie. Do tej pory trenowali jedynie jazdę i manewry, a także walkę i ceremoniał. Byli niecierpliwi i wystraszeni w równych proporcjach, ale na zewnątrz nie okazywali strachu.

Truchs uczestniczył już w walkach cztery razy. Dwa razy były to utarczki graniczne, a kolejne dwa, to kampanie by wytepić plugastwo bestioludzi, gnieźdzących się w lasach Drakwald. Jego pełne kolorytu opowieści były niezwykle liczne i by być szczerym, dość kontrowersyjne oraz pełne sprzeczności. Pomimo tego, że widział jak wygląda prawdziwa wojna, to jednak tak naprawdę widział jeszcze bardzo niewiele. Ścianę tarcz w oddali przez zasłonę padającego deszczu. Graniczne miasteczko ostrzeliwane przez imperialną armatę ze szczytu targanego wiatrem wzgórza, znajdującego się jakieś trzy ligi od samego miasta. Wstrzymaną szarżę i zbiórkę rozproszonych żołnierzy pośród niewielkiego lasu, który okazał się być zupełnie pusty. No i cztery trupy leżące na wyschniętej na wiór ziemi nieopodal Wurschen, koszmarnie pocięte mieczami, prawie nierozpoznawalne. Był to widok, który nawet teraz budził go czasem ze snu.

Historie opowiadane przez niego były jednak interesujące, a z czasem stawały się jeszcze ciekawsze i nie wadziły tak naprawdę nikomu. I pomimo tego czego już dokonał, czy też nie dokonał, było to na pewno więcej, niż mógł się pochwalić którykolwiek inny żołnierz kompanii - z wyjątkiem samego kapitana rzecz jasna, który widział w swym życiu jedną prawdziwą wojnę. Sebold Truchs byłby całkiem zadowolony, gdyby nie musiał jechać tego lata na północ. Zdecydowanie wolał pozostawać w spartańskich zabudowaniach Szkoły Kawalerii w Talabheim ćwicząc, musztrując i robiąc to do czego był przyzwyczajony.

Jednej bowiem rzeczy był pewien w całym tym zamieszaniu i wyprawie na okrutną

północ. Czekala tam na nich prawdziwa i okrutna wojna, a czasy monotonicznych ćwiczeń przeminęły na zawsze.

Prąd rzeki był szybki, wody wezbrały wysoko od wiosennych roztopów. Gniewny pomruk brzmiał niczym dźwięczenie monet. Droga wiodła wzdłuż koryta rzeki i zawijała się ku północy w długim i lekkim skřęcie. Dotarli wreszcie do przeprawy. Szeroki most z bali unosił się nad wodą. Podtrzymywany był pięcioma kamiennymi podporami. Gerlach nie wstrzymał konia. Skierował go wprost na most. Kopyta załomotały na balach, a on sam splunął w obie strony z wysokości siodła by odegnąć złe fatum żelaznych podków na drewnie. Pozostali jeźdźcy uczynili podobnie, choć Vollen jedynie z przyzwyczajenia. Ślina Gerlacha lecąca w tył rozprysła się na napierśniku Karla. Chorąży mógł pluć bardziej w bok, ale nie dbał o takie szczegóły. Vollen nic nie powiedział i otarł plwocinę.

Po drugiej stronie mostu zjechali na porośnięty trzcinami brzeg. Unieśli się w strzemionach, by przymusić konie, do wjechania na górę stoku. Przed nimi rozciągała się porośnięta trawą równina, ogromna i płaska. Vollen nie widział jeszcze nigdy w swym życiu równie wielkiej przestrzeni. Pod bladym, białym niebem, wyglądała jak szare morze. Trawy kołysały się na wietrze tworząc coś na kształt fal. Na północnym zachodzie, w odległości kilku lig linia horyzontu zakłócona została przez ogromny kopiec, zaokrąglenie dumnie sterczące spośród morza traw, niczym brzuch ciężarnej kobiety.

Gerlach ściągnął wodze i wstrzymał podekscytowanego, parsającego wierzchowca. Inni również się zatrzymali.

- Zedewka? To tam?

- Leży na równinie nieopodal kopca Starego Ludu - odpowiedział Vollen - Więc... myślę, że to tam.

- Stary Lud? - spytał Johann Friedel - masz na myśli... Chudzielców?

Chodziło mu o elfy. Po prostu powiedz to słowo, pomyślał Karl Reiner Vollen, powiedz je. W obecnych czasach niedorzeczną rzeczą było obawiać się wypowiedzenia prostego słowa. Wspominanie ich, co prawda, miało jakoby przynosić nieszczęście. I ludzie rzeczywiście w to wierzyli, przekłęci głupcy.

- Nie, nie elfy - odparł Vollen, a Joann aż uniósł się w siodle, na dźwięk wypowiedzanego słowa. - Scytowie, konni wojownicy sprzed wieków. Gospodarzy, a po nich Kislevici wywodzą się właśnie od nich. Kiedyś rządzili na tych ziemiach, zanim jeszcze nadszedł Przenajświętszy Sigmar. Ich były te ziemie. To oni zbudowali osady, których ruiny nawiedzają teraz stepy. Oni wznieśli kurhany.

- Kurhany? - wtrącił się zaniepokojony Truchs.

- To jest właśnie kurhan - spokojnie oznajmił Vollen wskazując ręką odległy kopiec.

- Gdzie? Gdzie, do cholery? - Truchs zakręcił nerwowo swym koniem.

- Spokój! - warknął Gerlach - Karl drwi sobie z ciebie. Znów wykorzystujemy swoje przeklęte wykształcenie, co?

Sygnalista wzruszył ramionami i opadł z powrotem na siodło.

Nawet zupełnie niewykształcony mieszkaniec Imperium, znał słowo kurhan. Oznaczało ono stracha, przerażającego stwora, którym straszono dzieci, ale także określano nim dzikie plemiona żyjące na północy w zasięgu Cienia. Kurhanami nazywano potwory, z którymi przyjechali tutaj walczyć.

- Kurhan - powiedział Vollen - jest to pagórek usypany przez ludzi, grobowiec sprzed wieków. Okrutne plemiona z północy też się tak właśnie nazywa. Prawdopodobnie - uśmiechnął się - dlatego, że chcą pogrzebać nasze kości pod takim właśnie kopcem.

Truchs dotknął żelaznego okucia na pochwie by odpędzić złe moce i ponownie splunął. Zbyt luźna to była rozmowa i nieszczęście wisiało w powietrzu.

Puścili się galopem na północny zachód. Do przodu wysunął się Friedel. Zimny wiatr chłostał ich twarze w pędzie. Ciężko było złapać oddech. Gdy zbliżyli się już trochę do kurhanu i zdali sobie sprawę jak naprawdę jest wielki, Johann Friedel ostro wstrzymał konia i krzyknął ostrzegawczo.

Przed nimi na drodze byli jacyś jeźdźcy. Tuzin konnych wyłonił się spośród długich traw, cicho i powoli. Koniki mieli niewielkie, długonogie klacze, brązowe i kasztanowe, niewiele większe od kucy, z długimi ogonami i gęstymi zmierzwionymi grzywami. Jeźdźcy owinięci byli płaszczami, skórami i derkami. Była to barbarzyńska kawaleria, nikt nie miał co do tego wątpliwości.

Gerlach zwolnił do kłusa i wysunął się do przodu. Obszarpani konni wstrzymali wierzchowce i patrzyli na nich bez ruchu. Gerlach Heileman poczuł nagle dumę i powagę tego, że posiada na sobie błyszczący półpancerz i dosiada pięknego, wyszczotkowanego wałacha z zaplecioną grzywą i podwiązany do góry ogonem.

Uniósł się ponownie w strzemionach, gdy Saksen szedł wolno i zerknął przez ramiona na swych podkomendnych.

- Co powinniśmy zrobić? Cóż zrobić? - mamrotał prędko Johann.

- Powitaj ich, chorąży - poradził Vollen.

- Witac ich? Tylko spójrz na nich Karl! Są z północy! To najeźdźcy! Czemuż miałbym ich witać? - Gerlach odpiął olstra pistoletów przy siodle i odciągnął prędko kurki by broń była w każdej chwili gotowa do strzału. Potem wyciągnął kawaleryjski miecz. Miał proste

obosieczne ostrze, długie na jakiś metr, a rękojeść chronił ozdobny kosz. Dwa głębokie żłobienia wiodły prawie przez całą długość ostrza, a końcówka była zaostzona niczym czubek włóczni. Miecz ten służył głównie do zadawania pchnięć, tak też stało we wszystkich kawaleryjskich podręcznikach.

- Nie - prędko powiedział Vollen z niedowierzaniem. - Nie, chorąży...

- Unieść się w siodłach, przygotować się! - rzucił Gerlach w tył.

Truchs i Friedel zrównali się z dowódcą i jechali teraz obok siebie. Nagie ostrza ich mieczy sterczały pionowo w górę, trzymane w prawicach. Jeźdźcy przed nimi pozostawali wciąż w bezruchu.

Vollen jechał z tyłu. Jego miecz wciąż spoczywał w pochwie. Gerlach, Truchs i Friedel przyspieszyli do zwawszego kłusa. Ręce dzierżące oręż spoczywały teraz oparte na udach, czubki ostrzy skierowane były lekko do przodu.

- Gerlach! - krzyknął Vollen.

- Sygnalista do szeregu! - huknął w odpowiedzi. - Do diabła! Dołącz do formacji albo dowie się o tym kapitan!

Żwawy kłus zmieniał się w galop. Byli już nie dalej jak osiemdziesiąt długości od stojących jeźdźców.

- Prezentuj broń! Szarża! - zawył Heileman. Trzy ręce dzierżące broń uniosły się, ostrza mieczy skierowały w stronę przeciwników.

Obszarpani jeźdźcy poruszyli się nagle. Konie zatańczyły wkoło. W bladym świetle można było zauważyć błyski dobytých szabel. Wywijali nimi z wielkim animuszem.

Vollen wyszarpnął z olstra róg i mocno weń zadał. Poczwórny rytm. Krótki - długi - długi - krótki. Powtórzył sekwencję raz jeszcze.

Trzech rajtarów zwolniło swój bieg, wywijali mieczami, lecz byli zaskoczeni. Przeciwnicy poszli w rozsypkę i po szerokim łuku zaczęli zajeżdzać ich od boków. Jeden podniósł do ust kościany róg i odpowiedział na zew Vollena. Ten popędził Gana i podjechał by stanąć twarz w twarz z poganinem. Gerlach, Friedel i Truchs zatoczyli szerokie koło i kierowali się również w ich kierunku.

Wojownicy byli cali uwalani brudem i błotem. Można było wyczuć smród potu, końskiego i ludzkiego. Vollen nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Schowali do pochew swe wąskie zakrzywione szable i otoczyli go zaciekawieni. Surowe, brodate twarze spoglądały na niego spomiędzy futer i natłuszczonych solidnie płaszczy.

- Imperialny? - zapytał któryś. Był to wielki mąż, który zdawał się przygniatać swą olbrzymią posturą niewielkiego konika, na którym siedział. Brakowało mu kilku przednich

zębów.

- Tak - przytaknął Vollen - Rajtarzy Drugiej Kompanii Hipparchii z Talabheim. Witajcie kamraci.

- Tyś? Tyś dowódca tych ludzi? - naciskał bezzębny kolos.

- Nie - odparł Vollen - jestem sygnalistą.

- Sygnaa-lisss-ta?

Vollen wskazał na migi swój róg.

Gerlach z resztą zwiadowców przygalopował w tym momencie i ściągnął ostro wodze by się zatrzymać. Okrąg brudnych stepowych jeźdźców rozstał się, by ich przepuścić.

- Co ty do diabła wyprawiasz Vollen? - ryknął Gerlach.

- Chorąży Heileman, pozwól, że ci przedstawię... - Karl wyczekująco spojrzał na wielkoluda z dziurą w uzębieniu siedzącego na kudłatym koniku.

Olbrzymi Kislevita zacisnął usta i powiedział.

- Beledni. Rotmistrz rotty Jeczyczowskiego kruga, Blindtowego wojska, pułku Sanizańskiego Hospodarynyj siczy Kislevskiej.

- Oni są po naszej stronie - zwrócił się do chorążego Vollen, jakby nie było to już w tym momencie oczywiste. To kislevscy husarze, nasi sprzymierzeńcy.

- Sprzymierzeńcy, tak - wykrzyknął dowódca Kislevitów i skłonił się nisko Gerlachowi w swym powycieranym siodle, ściągnając futrzaną czapę. Głowę miał ogoloną na łyso za wyjątkiem ujętej w kucyk kępki włosów na czubku głowy i gęstych wąsisk. Jego ludzie wydali głośny okrzyk i zagrzechotali włóczniami, uderzając jedna o drugą. Każdy miał trzy sztuki zatknięte w specjalnej kieszeni z przodu siodła. Dwa krótkie i cienkie dziiryty z długimi zębatymi grotami i jedną długą włócznię - odpowiednik imperialnej kopii, grubą i zwieńczoną wąskim ostrzem ze stalową poprzeczką.

- Ci poganie? - zapytał Gerlach sceptycznie.

- Poo-ganee? - powtórzył Beledni, spoglądając jednocześnie na Vollena by ten przetłumaczył o co chodzi.

- Jesteśmy dumni z tego spotkania i respektujemy wasze prawa - powiedział powoli i ostrożnie Vollen. Beledni zastanowił się chwilę, a potem energicznie pokiwał głową.

Gerlach splunął wzdłużliwie.

- Oni nawet nie mówią naszym językiem - rzucił.

- Twój jazykk? - pytał Beledni.

- Mówią po naszymu znacznie lepiej niż ty po ichniemu - zauważył Vollen.

Gerlach spojrzał na niego.

- Wytłumacz nas - powiedział.
- Wytłumaczyć? - powtórzył Karl.
- Tak do cholery! Za naszą omyłkową szarżę.

Vollen przez chwilę się nie odzywał. Przez moment bez mrugnięcia odpowiadał na spojrzenie chorążego.

- Czasami prosisz mnie o zbyt wiele.
- Odmawiasz? - zapytał Gerlach. Na twarz wystąpiły mu rumieńce.
- Oczywiście, że nie - odparł sygnalista. Wziął głęboki oddech i popatrzył z powrotem na Beledniego.

Wielkolud wraz ze swymi podkomendnymi starali się nadażyć i zrozumieć sens wymiany, która odbyła się przed momentem między Vollenem i Gerlachem.

- Rotmistrzu, jest nam bardzo przykro z powodu pomyłki jaka zaszła tu przed chwilą i...

Beledni końcówką szpicruty odgonił natarczywego gza latającego mu wokół twarzy, a drugą ręką wykonał jakiś dziwaczny gest. Był to lekki ruch nadgarstka, jakby rozsypywał wokoło garść ziarna.

- Bez znaczenia - dodał beztrzesko marszcząc przesadnie, prawie teatralnie czoło.
- Nie mieliśmy zamiaru okazać braku szacunku, rotmistrzu...

Raz jeszcze ten dziwny gest, kąciki ust opadły mu do dołu.

- Bez znaczenia - raz jeszcze oznajmił Beledni i podjechał swym koniem kilka kroków w przód, tak że zrównał się niemal z Vollenem. Następnie klepnął go lekko w rękę. Był to prawie ojcowski, bardzo nieoficjalny gest.

- My wszyscy żyjemy - zauważył mądrze. Potem pochylił się i zbliżył usta do uszu Vollena, tak blisko, że Karl został zaatakowany odorem spoconego ciała i nieświeżym oddechem.

- Webla? - spytał i wskazał Gerlacha końcem szpicruty.
- Webla, yha?

Niektórzy z Kislewitów usłyszeli to co mówił rotmistrz i parsknęli śmiechem.

- Co on mówi? - ostro zapytał Gerlach.
- Nie mam najmniejszego pojęcia, chorąży. Nie znam tego słowa.

Heileman opadł z powrotem na siodło. Był zaniepokojony i rozdrażniony. Śmiali się z niego, ci prymitywni poganie. Zrobili sobie z niego cel jakichś prześmiewczych, prymitywnych żartów.

Słyszał do tej pory wiele opowieści o husarzach z Kislevu. Opowieści, które opisywały ich jako zwycięskich, okazałych odzianych w pyszne zbroje i niosących na plecach skrzydła,

mistrzów jazdy konnej. Co najmniej tak doskonałych jak rycerze Imperium. Ktoś mu kiedyś powiedział, że husarzy często odstraszały swych wrogów, samym swym wyglądem, jakością przepysznego oręża i zbroi, które świadczyło o ich umiejętnościach w walce. Musieli sobie bowiem wcześniej te wszystkie bogactwa wywalczyć.

Ale nie te oto psy. Wyglądało na to, że wszystkie te historie o Północy były kłamstwem. Nie było nic w tych ludziach ani w tym kraju, z opisanej wspaniałości. A słynni husarze okazali się bandą brudnych, choć poczciwych barbarzyńców.

- Zedewka - odezwał się w kierunku Vollena. - Spytaj ich po prostu gdzie leży Zedewka.

VII

Bez zbędnych komentarzy i ceremonii, mały oddziałek husarzy rotmistrza Beledni poprowadził ich kolejną ligę na północ, tak, że zostawili za sobą wielki kurhan. Zedewka leżała na równinie za olbrzymim kopcem, wśród kołyszącego się morza traw, na tle odległej, ginącej we mgle linii lasu. Dookoła osady porozrzucane były chaotycznie niewielkie kępy drzew. Tak naprawdę, trudno było nazywać to teraz osadą, gdy przybyły tu wojska Imperium. Na wiele akrów rozciągały się namioty i obozowe ogniska, wielkie kozły pik i halabard, końskie zagrody. W usypanych z ziemi, podpartych balami i wzmocnionych wiklinowymi koszami stanowiskach na północ od Zedewki rozstawiły się imperialne armaty. W grunt przed nimi, powbijano niezliczone, ostre paliki, wszystkie skierowane w stronę odległego lasu.

Ze wschodu nadeszła nieprzyjemna mżawka, delikatne krople zabębniły na pancerzach. Kislewici opatulili się szczelnie swymi futrami. Ruszyli w stronę miasteczka.

Gerlach starał się ocenić, ile ma przed sobą wojska. Naliczył piętnaście chorągwi, wszystkie z Imperium, a także wielkie sztandary artylerii i dwa kolorowe proporce tileańskiej piechoty. Znaczyło to, policzywszy pobieżnie i według ostrożnej oceny, że było tu jakieś sześć tysięcy ludzi pod bronią.

Tak właśnie powinna wyglądać armia - pomyślał Gerlach. To jest potęga Imperium. W połączeniu z resztą sił, które zbierały się cały czas wzdłuż rzeki Lynsk, zmiażdżą północnych najeźdźców i zawrócą zbierającą się ciemność.

Gdy jechali zabloconą, poznaczoną śladami kopyt i koleinami, niezwykle ruchliwą drogą, wypełniła go niezwykła duma. Tu przemaszerowywali halabardnicy w czystych, kolorowych tunikach o przeróżnych barwach: błękitnej, żółtej, czerwonej i białej. Tam pikinierzy w

nieskalanych płaszczach i połyskujących stalowych hełmach. Galopujący mimo, inny oddział rajtarów, powiewające na wietrze, łopocące sztandary i pióropusze. Mężczyźni z rozdwojonymi, gęstymi brodami ubrani w połyskujące, wydęte bufiasto aksamitne bryczesy i dobrze utrzymane kolczugi, przejeżdżający wciąż oselkami po ostrzach swych ogromnych mieczy. Kobziarze, ludzie grający na piszczałkach i bębnach, dmący w rogi. Gasnące już światło słoneczne migające w kotłach i długich trąbkach sygnalistów polowych. Łucznicy w skórzanych czapach i długich koszulach ćwiczą strzelanie do celu - wiklinowych kukieł.

Na krzyżowce ściągnęli wodze i przepuścili sześciu Rycerzy Pantery, za którymi podążali ich giermkowie i słudzy niosący kopie. Ogromne bojowe rumaki, z kępami zmierzwionego włosia nad potężnymi kopytami, okryte były zdobionymi na krawędziach czaprakami. Purpura, złoto i fiolet aż kłuły w oczy. Jeźdźcy byli prawdziwymi olbrzymami zakutymi w pełne, płytowe zbroje. Z ramion spływały im na plecy skóry lampartów. To właśnie był splendor i ucieleśniona chwała.

Gerlach był zaskoczony, gdy spostrzegł, że na Belednim i jego husarzach widok ten nie wywiera najmniejszego wrażenia. Niektórzy nawet uśmiechali się szyderczo na widok gigantycznych rycerzy.

Jedyną rzeczą, która zdawała się ich interesować był prymitywny, drewniany sztandar, tarcza przybita do długiej drewnianej tyki, z której zwisały, wijąc się wężowato, dwa pasma płótna. Na tarczy przybito rozpostarte, odcięte orle skrzydło. Sztandar ten znaczył miejsce gdzie obozowało pospolite ruszenie, konfederaci z Kislevu. Pomiedzy namiotami z rozciągniętej skóry, kręciło się tam jeszcze więcej brudnych ludzi w futrach, ich konie przechadzały się luźno dookoła. Żadnej dyscypliny, żadnego porządku, żadnego śladu jakiegokolwiek dumy i chwały.

Beledni skłonił się ponownie, bardziej do Vollena niż innych kopijników i skierował się wraz ze swymi ludźmi, w kierunku obozu Kislevitów.

Gerlach ruszył w stronę ratusza zwanego tu ziała, zadowolony, że wreszcie pozbył się towarzystwa. Ratusz miał kryty gontem dach przypominający kształtem cebulę i był najwyższym budynkiem w osadzie.

Miał tu swoją kwaterę Marszałek Neiber.

Gerlach pozostawił Friedela i Truchsa na zewnątrz z końmi, sam zaś razem z Vollenem, którego zabrał jako eskortę, wszedł do środka. Członkowie świty Neibera, dwóch bębniarzy, dwóch flecistów i sześciu ludzi z mieczami, siedzieli z obojętnymi minami na ganku przed wejściem, podając sobie w koło butelkę. Wszyscy byli suto odziani w ekstrawaganckie, jedwabne pludry, szerokie kapelusze z zatkniętymi piórami czapli. Kaftany mieli wycięte,

wyzierały spod nich wydatne podszewki z adamaszku. Żaden z siedzących nie zwrócił na wchodzących do środka większej uwagi. Niektórzy posłali jedynie w ich stronę niechętnie spojrzenie.

Neiber, Marszałek Polowy dowodzący całą tą zebraną na zewnątrz armią, był masywnym, aczkolwiek dość zmęczonym mężczyzną z szeroką twarzą naznaczoną w przeszłości blizną po jakimś pojedynku. Brodę miał niezwykle dziką, przyciętą w kwadrat. Był dobrze odżywiony. Niemała tusza sprawiała, że przechylał się do przodu, a wino, które pił, jeszcze potęgowało ten efekt. Wielki ogień buzował w otwartym palenisku, rajtarzy czuli wyraźny zapach cebuli i tłustego drobiu.

Neiber sączył wino z niewielkiej, przypominającej wyglądem naporstek szklaneczki, którą regularnie uzupełniał. Naczynie pochodziło z eleganckiego i kosztownego zestawu podróżnego - otwartego kufereka leżącego na jednym z bocznych stołów. Skórzane pasy leżały rozchylone, by ukazać wyłożone aksamitem wnętrze, gdzie było miejsce na dziesięć podobnych szklaneczek. Kuferek posiadał z boku niewielką wysuwaną szufladę. W środku znajdowały się srebrne sztućce z wygrawerowanym herbem rodu marszałka. Taki sam herb ozdabiał także szklaneczki.

- A kim wy do diaska jesteście? - zapytał niemrawo Neiber, gdy podeszli i zaszalutowali. Zdjęte hełmy trzymali w zagiętych lewych rękach.

- Rajtarzy Drugiej Kompanii Hipparchii z Talabheim, panie marszałku - zameldował Gerlach.

- Schott! Schott? Gdzie się podziałeś cholerny mały szkodniku?

Pojawił się niski mały człowieczek, zupełnie łysy i przypominający Vollenowi swym zachowaniem, zbyt często bitego muła. Miał na sobie kaftan i płaszcz pomocnika sztabowego.

- Tutaj jestem panie marszałku.

- Gdzieżeś ty się do diaska ukrywał?

- Nadzorowałem przygotowywanie pańskiego posiłku, jak pan rozkazał.

- Zamknij, do diaska, swą wszawą gębę - Neiber przysiadł na niewielkim krześle z niskim oparciem stojącym tuż obok paleniska i zbliżał na przemian, to jedną, to drugą podszewę do ognia. Owinięty był futrzanym płaszczem, a do nóg przyłgnęły mu przemoczone pończochy. Marszałkowską buławę złożył na kolanach.

- Czy moje buty już wyschły? - zaskrzeczał, wypił jednym haustem resztę wina i czekał na ponowne napełnienie naczynia. Schott rzucił się w pośpiechu by to zrobić.

- Pracuję nad tym panie marszałku - odpowiedział nalewając jednocześnie wina.

- Rajtarzy Drugiej Kompanii Hipparchii z Talabheim.

- Druga Kompania rajtarzy Hippo... jak to do diaska szło?

- Rajtarzy Drugiej Kompanii Hipparchii z Talabheim, panie marszałku - powtórzył Gerlach.

- Właśnie tak. Kto jest ich dowódcą, Schott?

Schott skierował się przez pomieszczenie do wielkiej sterty ksiąg, rozkazów bitewnych i spisów wojsk spiętrzonych na pobliskim biurku.

- Ty jesteś dowódcą? - zapytał Neiber zezując na Gerlacha i wskazując w jego kierunku buławą.

- Nie panie marszałku. Jestem chorążym.

- Dobrze, gdzie więc do ciężkiej cholery podziewa się wasz dowódca?

- Stouer, panie marszałku - wykrzyknął Schott.

- Gdzie jest Stouer? Gdzie do cholery jest Stouer?

- Z oddziałem, w miejscowości Choika panie marszałku.

Neiber beknął i podniósł się z krzesła. Buława spadła z kolan i potoczyła się pod stół.

- Nie tutaj?

- Nie panie marszałku.

- Po co do diaska tam siedzą, w tej, tej... Choika tak? Przecież to zupełnie bez sensu. To znaczy nie widzę w tym żadnego cholernego sensu. Tam nie toczy się wojna!

- Mamy... Mamy rozkaz stawić się tutaj jutro dokładnie w południe panie marszałku. Dowódca wysłał mnie przodem żebym nawiązał kontakt z głównymi siłami.

- Naprawdę? Zrobił to? Głupi palant. Napełnij mój kubek! - Neiber zamachał naczyniem w powietrzu. Schott zajęty był w dalszym ciągu grzebaniem pośród ksiąg i przeróżnych papierów.

- Napełnij! Ty chłopcze! - marszałek spojrzał na Vollena - No weź tę przeklętą butelkę!

Vollen prędko schwycił butelkę stojącą na bocznym stoliku i napełnił szklaneczkę Neibera. Ten wychylił jej zawartość jednym haustem.

- Nalej jeszcze raz, jak już się tak kręcisz w pobliżu, niczym smród po gaciach.

Vollen spełnił życzenie marszałka.

Neiber spojrzał na Gerlacha.

- W lesie nieopodal, siedzi cała kupa przeróżnych gównianych stworów, zdajecie sobie w ogóle z tego sprawę? - zauważył zupełnie niespodziewanie.

- Nie panie marszałku.

- Cholerne, parszywe tałatajstwo. Takie wieści przynieśli zwiadowcy, których wysłałem do lasu - Neiber potarł nos palcem. Zamyślił się na moment.

- Nie wszyscy wrócili. Wysłałem pięćdziesięciu, a powróciło z wieściami jedynie pięciu. Do cholery, pięciu, Sigmarze! Wróg siedzi nam na karku. Niecały dzień drogi stąd, kłębi się istna horda pogańskiego ścierwa, paradującego po lesie. I niestety wkrótce tu nadejdą. Wkrótce, weźcie to pod uwagę. Przyjdą po nas wszystkich. Chłopcze!

Vollen już doskoczył trzymając wciąż butelkę. Neiber wypił, oblizał wargi i ponownie opadł na krzesło. Wyglądał na bardzo wyczerpanego, głos miał zmęczony.

- Całe to cholerne tałatajstwo już nadchodzi. Więksi, twardsi i bardziej dzicy niż ktokolwiek z tych idiotów na południu podejrzewa. Sądziło się, że zacznie się na dobre za dwa tygodnie, że hordy są jeszcze daleko, ale nie. Nie, nie, nie! - Neiber charknął siarczyście i splunął flegmą prosto w buzujący ogień. Spojrzał na Gerlacha.

- Nie ma dla mnie żadnego pożytku z waszego oddziału dopóki siedzicie na tyłkach w Choice. Ten Stouer musi być jakimś niezwykłym idiotą. Wsiadajcie na konie, jedźcie do niego i powiedzcie mu, co wam rzekłem. I powiedzcie jeszcze, że ma tu być najpóźniej o świcie albo wsadzę mu w dupę lufę armatnią i sam osobiście podpalę lont.

- Panie marszałku.

- Gdzie są moje buty, Schott? - ryknął Neiber.

- Ciągłe jeszcze schną, panie marszałku.

- Bezużyteczna świnię! Powinienem cię zastrzelić. Ha, ha! Zastrzelić! Zastrzelić Schotta!¹ Ha, ha, ha!

- Twój dowcip jest w rzeczy samej przewspaniały, choć trochę niepokojący, panie marszałku - odparł Schott.

- Mam cię głęboko... - Neiber splunął raz jeszcze i rzucił szklaneczką w stronę pomocnika.

- Możecie już odejść - oznajmił Schott Gerlachowi i Vollenowi, gestem wyprasząc ich z sali.

- Napelnij! Schott! Nalej mi! I daj mi do diaska nową szklaneczkę!

- Tak, panie marszałku.

VIII

¹ Nieprzetłumaczalna gra słów. W oryginale słowo zastrzelić (shot) przypomina nazwisko pomocnika (Schott).

Na zewnątrz już zmierzchało, wcześniej i szybciej niż się tego spodziewali. W całym obozie zapalono pochodnie, wyglądało to jak migoczące na wieczornym nieboskłonie gwiazdy. Gdy dołączyli do Friedela i Truchsa, Karl i Gerlach wyraźnie słyszeli jak wojacy śpiewają dookoła obozowe, żołnierskie pieśni.

- Chorąży!

Schott wołał ich od przedsionka ziali. Trzymał w dłoniach zapieczętowany pergamin, wyciągnął go do Gerlacha.

- Powiedz swojemu dowódcy, żeby ruszał jak najprędzej i dołączył tu do nas. Wasz oddział ma stanąć na prawym skrzydle, wszystko jest w rozkazach. Zaznaczyłem dokładne miejsce na mapie. Są tam podmokłe łąki. Będziecie pomagać konnym z Pułku Sanizańskiego.

- Komu?

- Marszałek chce, żeby silne półkopie rajtarów walczyły i mieszały się z tutejszymi regimentami.

- Kislevitami? Bardzo dobrze - odparł Gerlach, choć wcale nie było mu to w smak.

- Spieszcie się i zajmijcie swoje pozycje. Tak szybko jak tylko zdołacie. Potem niech zajrzy do marszałka wasz kapitan. Nie spodziewamy się walki jeszcze przez trzy dni przynajmniej, ale bądźcie gotowi na wszelki wypadek.

- Spieszymy właśnie z powrotem - potwierdził Gerlach. Przerwał na chwilę. - Marszałek... czy wszystko jest z nim w porządku?

- Jest po prostu pijany - stwierdził nie owijając w bawełnę Schott.

- Czy to u niego normalne?

- Nie - odparł pomocnik. - Upija się ze strachu. On zdaje sobie doskonałą sprawę z tego, co właśnie nadchodzi.

- Nie może być aż tak źle...

- Naprawdę? Walczyłeś już kiedyś na pograniczu, chorąży?

- Nie.

- No to, żeby być szczerym, gównu wiesz o tym o czym właśnie mówisz.

IX

Jechali na południe w zapadających prędko ciemnościach. Za plecami słyszeli warkot imperialnych bębnow bijących w obozowisku przy Zedewce. Zapadała już noc spowita

siąpiącym deszczem. Ponad jednostajnym pomrukiem bębnow z obozu, Karl Reiner Vollen mógłby przysiąc, że słyszy jeszcze inne łomotanie.

Bardziej mroczne, wolniejsze bębnienie z odległego lasu.

Zedewka

I

Z Choiki do Zedewki było dobre półtorej godziny ostrej jazdy.

Kapitan Stouer podniósł swój oddział na nogi dokładnie o północy. Padał nieprzyjemny, chłodny deszcz. Czterech jeźdźców, którzy pojechali do Zedewki i z powrotem, spędziło w łózkach, belach śmierdzącej słomy ułożonych w stodole, jedynie trzy godziny. Karl był cały obolały, dokuczały mu od wilgoci stawy, a Friedel narzekał głośno. Oczy miał zaczerwienione z braku odpowiedniej ilości snu.

Plac był ponury i pusty. Było tak ciemno, że poza kręgami światła rzucanymi przez latarnie u wozów nie było prawie nic widać. Nikt, nawet jeden mieszkaniec Choiki nie wyszedł żeby ich pożegnać i choćby przyświecić pochodnią, gdy zbierali się do odjazdu. Żołnierze potykali się w ciemności, walczyli z zimnymi zbrojami, popręgami i nerwowymi końmi.

Stouer twarz miał zastygłą i ponurą. Po części z powodu braku snu, a po części z powodu niewesołego raportu, dotyczącego nastroju Neibera, który złożył mu jego chorąży. Uważnie wysłuchał sprawozdania Gerlacha z tego, co mówił o zbierającym się i nadciągającym nieprzyjacielu marszałek.

Dosiadł konia i pochylił się w siodle nad szyją wierzchowca by szepnąć mu do ucha jakieś uspokajające słowa. Potem zawołał Gerlacha. Chorąży zbliżył się na koniu i uniósł do góry sztandar.

- Półkopia gotowa?

- Półkopia gotowa, wrychtowana do podróży, panie kapitanie.

Na skinienie Stouera Vollen zatrąbił sygnał „naprzód” i oddział ruszył rozchlapując w smolistych ciemnościach błoto drogi. Wiedział, że kapitan był zdecydowany dojechać do Zedewki jeszcze przed świtem. Stouer chciał mieć jasne i dobre stosunki z marszałkiem.

Jazda była zaskakująco spokojna. Deszcz ustał wreszcie i na niebie pojawił się rozmyty księżyc. Zdawał się kołysać na samym wierzchołku olbrzymiego kurhanu. Uniosła się mgła i spowiła całą okolicę.

Zdawało się, że mają jeszcze sporo czasu do świtu, ale deszcz rozmył drogi. Wozy

zaopatrzenia pozostawały w tyle i grzęzły w rozmiękłym blocku. Żołnierze cofali się, zsiadali z koni i wspólnym wysiłkiem uwalniali je z pułapki.

Kiedy wreszcie przejechali najgorszy kawałek traktu horyzont na wschodzie znacząco już szare pasmo wstającego dnia. Świt zbliżał się wielkimi krokami. Dzielili ich od niego jeszcze mniej więcej godzina. Stouer wstrzymał odrobinę konia i zrównał się z Gerlachem Heilemanem.

- Musimy się pospieszyć, żeby udało się nam dotrzeć na czas. Poprowadź oddział, chorąży - powiedział.

- Kapitanie?

- Zabierz oddział i poprowadź na przydzielone nam miejsce. Znasz plany. Ja pojedę do Zedewki i zdam marszałkowi raport. Zaoszczędzimy dzięki temu trochę czasu.

Zaskoczony możliwością dowodzenia całym oddziałem w zastępstwie, Gerlach próbował ukryć swój entuzjazm.

- Jesteś pewien, kapitanie?

- Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę to rozgniewać Neibera.

- Uczciwie powiedziawszy, wątpię, czy będzie tak rano na nogach...

- Nieważne. Powiedział o świcie. Dasz sobie radę?

- Wielki to dla mnie zaszczyt kapitanie - odpowiedział Gerlach unosząc do góry sztandar oddziału.

- Wezmę ze sobą eskortę. Do zobaczenia za kilka godzin.

Stouer odłączył się od kolumny i ruszył na zachód, wzdłuż drogi. Jako przyboczni pojechali wraz z nim Friedel, Anmayer i Karl. Mimo, że i tak regulamin mówił, że sygnalista powinien zawsze pozostawać z dowódcą, Vollen wiedział, że jedzie razem z kapitanem, bo ten przypuszcza, że będzie musiał w sztabie czytać przeróżne mapy i rozkazy.

Tymczasem chorąży poprowadził główne siły na wschód.

II

Zapiski i kroniki opisujące Rok Którego Nikt Nie Zapomni, są bardzo bogate i niezwykle dokładne. Był to czas, jak to napisał Anspracht z Nuln, żywej historii. Miał przez to na myśli, że zmieniająca się kilkakrotnie w ciągu każdego dnia sytuacja miała przeogromne znaczenie. Tak ogromne, że przyszłość i istnienie samego Imperium mogło zależeć od wydarzeń

dziejących się w ciągu kilku zaledwie godzin. Historia kształtowała się tak szybko, że był to wręcz proces zauważalny gołym okiem. Nie był to długi, spokojny bieg czasu, który odmienia losy tak wolno, że jest niezauważalny dla żyjących w danym momencie ludzi. Był to moment, gdy wszystko działo się niezwykle szybko, niczym młot uderzający w kowadło losów.

Każdy najmniejszy szczegół jest gdzieś opisany, czy to u Ansprachta, Gottimera, księni opactwa w Vries, Ocvelda Starego, Teladonna z Bretonnii i wielu, wielu innych, wliczając w to kronikarzy i skrybów Starych Ras.

Mimo to Bitwa pod Zedewką niewiele miejsca zajmuje w księgach opisujących tamte dzieje. Jest o niej wzmianka u Ansprachta, jakieś odniesienie u Ocvelda. Był to przecież mały szczegół w większej batalii zwanej później jako Wiosenna Pogoń. Ten kłamliwie delikatny i ogólny termin obejmował cały ten koszmar. Niesamowity, potężny i zaskakujący atak, po którym Imperium ledwie się podniosło. Warto zauważyć, że pomimo tego, iż miejscowość zwana Zedewka pojawia się tylko sporadycznie w historycznych tekstach, jest to miejsce przepełnione bólem straty, pełne zbiorowych mogił, grobów, pamiątkowych kamieni, tablic na świątyni i leżących pod ziemią synów możnych rodów z całego Imperium.

Jako, że wiele żywotów zakończyło się w Zedewce. Bardzo, bardzo wiele.

Wszystko zaczęło się o pierwszym brzasku, zanim jeszcze świt nastał w pełni, wtedy, gdy ludzie są jeszcze powolni i zziębnięci. Kapelani przygotowywali się do porannych modlitw, a kucharze nie zdążyli jeszcze nawet rozniecić ognia pod wielkimi kotłami, w których mieli warzyć śniadanie. Ze wschodu nadszedł ponownie deszcz i ukrył pod swą kurtyną stojące na niebie księżycy. Okolica spowita była ciemnością i mgłą.

Tak naprawdę nie było żadnego ostrzeżenia.

III

Na stanowiskach armat, wzdłuż północnej krawędzi miasteczka, na ziemnym wale siedział młody obserwator artyleryjski, pełniący w tym akurat czasie swą wartę. W pewnym momencie wydało mu się, że odległy cień lasu zdaje się falować i poruszać. Natychmiast pobiegł do namiotu oficera, ale ten szukał właśnie zagubionej pamiątki, którą przed wyruszeniem na wojnę dostał od swej żony i kazał młodemu wartownikowi czekać.

W międzyczasie stanowisko obserwacyjne na wschód od artyleryjskich szańców również dostrzegło te niepokojące znaki i natychmiast rozbrzmiał stamtąd ostrzegawczy dźwięk

dzwonu. Dwie inne czujki również podniosły alarm dzwoniąc swymi dzwonami, wrywając swoje oddziały ze snu. Na pokrytym namiotami polu za ich plecami, organizowała się już w podobny sposób drużyna łuczników. Dowódca wart nadbiegł, zaalarmowany dźwiękami dzwonów i zdano mu prędko raport. Posłańcy zostali natychmiast wysłani do kwatery marszałka, głównodowodzącego kawalerii i trębaczy stacjonujących nieopodal miejskich spichlerzy.

Inver Schott, adiutant marszałka, poinformował przybyłych, dobijających się do drzwi posłańców, że marszałek jest w chwili obecnej niedysponowany. Kiedy zdał sobie sprawę z powagi zaistniałej sytuacji, sam udał się do trębaczy. Ci stanowczo odmówili spełnienia jego rozkazu bez potwierdzenia go osobiście przez samego marszałka. Głównodowodzący kawalerii, również zdezorientowany i niepewny, posłał do kwatery marszałka własnych umyślnych, żeby potwierdzić swe obawy, pewny, że jeśli byłoby rzeczywiście jakieś niebezpieczeństwo to rogi trębaczy już dawno by wszystkich ostrzegły.

Nikt, to jest pewne jak wynika z zapisków, nikt nie spodziewał się, że rzeczywiście nadchodzi niespodziewany i zaskakujący atak. Wypadki i potyczki mogły się odbywać z zaskoczenia, bez ostrzeżenia, ale bitwa i zaskoczenie to dwa pojęcia, które nie idą ze sobą w parze, nie wtedy, gdy po przeciwnych stronach stoją naprzeciwko siebie dwie wielkie armie. Wojny toczyło się po prostu w zupełnie inny sposób.

Nawet, gdy walczyło się z dzikimi barbarzyńcami z Północy obowiązywały w bitwie jakieś zasady. Były prymitywne, ale doskonale zrozumiałe dla obydwóch stron. Armie zbierały się w polu, ustawiały naprzeciwko siebie, czasem okopywały się, pokrzykiwano na siebie, wykrzykiwano wyzwiska i pogroźki. Czasami trwało to całe godziny, a nawet dni, do momentu, gdy zderzenie było już nieuniknione. W rzeczy samej często okazywało się, że owe drwiny i zaczepki były rzeczą ważniejszą od samej bitwy. Jeżeli jedna z armii była wystarczająco wojownicza i wielka, zdarzało się, że przeciwnik uchodził bez jednego nawet skrzyżowania mieczy.

U korzeni tego zwyczaju leżał niezaprzeczalny fakt, że armia złożona z więcej niż kilku setek ludzi musiała mieć bardzo silną motywację by w ogóle ruszyć do boju i zaatakować jedną drugą. Pojedynczy oddział mógł nagle zaatakować, ale tak duże masy potrzebowały ostrej zachęty. Armia musiała być zagrzana do boju przemowami, ciągłym warkotem bijących bębnow i sporą dawką alkoholu. Musiała się zagotować. Dopiero wtedy tysiące ludzi było w stanie ruszyć jako jedna zmasowana kolumna do ataku.

Nawet, jeżeli ta prawie niemożliwa rzecz, została w jakiś sposób osiągnięta bez zauważenia z drugiej strony, to zdawało się, że szarża od linii drzew w szarym, zimnym i

wilgotnym wiosennym poranku nie ma najmniejszego sensu. Oddziały po tak męczącym biegu będą zupełnie wyczerpane, cała potęga uderzenia zwartą masą zmarnowana, siła poszczególnych wojów roztrwoniona w biegu.

W ten sposób nie prowadziło się po prostu bitew.

IV

Pierwsza fala wojowników z Północy uderzyła w zewnętrzną linię umocnień dokładnie dziewięć minut po tym, jak młody obserwator zauważył pierwsze poruszenie w lesie. Nadbiegli w pędzie, pomimo tego, że przebiegli po nierównym gruncie, prawie dwa kilometry od ściany drzew. I nie byli to jedynie biegacze i berserkerzy wyprzedzający w szaleńczym pędzie główne siły. Oni stanowili jedynie czubek lodowej góry, pierwszy szereg w zbitej gromadzie mrocznych, rogatych wojów, płynącej niczym fala z odległego lasu. Łomotanie bębnow rozbrzmiało w powietrzu wstającego właśnie dnia, pulsujące uderzenia rozbrzmiewały ponad surowym hałasem czynionym przez szarżującego nieprzyjaciela. Był to, jak mówili potem ci, którzy ocaleli, najwstrętniejszy widok, najobrzydliwszy dźwięk, jaki dane im było oglądać i słyszeć.

Był to ucieleśniony i przywołany do życia senny koszmar. Niemożliwość, która stała się faktem.

Stanowiska artylerii zostały zdobyte zanim jeszcze któryś z wielkich moździerzy lub bombard ze Szkoły Artylerii z Nuln zostały załadowane, nie mówiąc już o oddaniu choćby jednego wystrzału. Wzmocnione wikliną umocnienia zostały zgniecione i rozpląszczone samym tylko ciężarem atakujących. Młody obserwator artyleryjski, który pierwszy spostrzegł, co się dzieje był również jednym z pierwszych, którzy zginęli, porąbany na kawałki przez ciężkie topory i obosieczne miecze. Dowódca artylerii nie żył na tyle długo, by odnaleźć swą cenną pamiątkę. Namioty i wozy stanęły w płomieniach.

W tym czasie pikinierzy z Wissenlandu, razem z pomocniczym oddziałem łuczników byli jedynymi oddziałami Imperium na całym polu walki, które zostały na czas zmobilizowane i dało to jakiś wymierny efekt. W desperackiej próbie obrony ustawili najeżoną ścianę z pik na północnej krawędzi miasteczka. Nieprzyjaciel załamał się i obszedł ich dookoła, niczym fala obmywająca dziób statku, atakując w pędzie, z boku. Żołnierze byli systematycznie dekapitowani. Broczące krwią głowy zatknięto na ich własnych pikach i poniesiono dalej.

Horda niosła je jako okropne trofea, jak kawałki rozbitego okrętu płynące pośród fal. Łucznicy położyli pokotem wielu nieprzyjaciół swymi pierwszymi strzałami, ale po chwili zwarta masa wojów zmiażdżyła ich pozycję, pozostawiając za sobą okaleczone ciała, by ludzie pomarli w błocie, pozbawieni rąk i dłoni.

W tym momencie horda wdarła się już do samej Zedewki i zanosilo się na to, że rozpocznie się zaraz prawdziwa masakra.

Na zachodnim krańcu Imperialnego obozu, dookoła zgromadzonych tam budynków spichlerzy, dowódca wart zdołał zorganizować dwie kompanie pikinierów i halabardzistów z Nordlandu i oddział odzianych w żółto czarne płaszcze arkebuzerów z Averlandu. Obudził ich tumult, ale kręcili się zdezorientowani w kółko, wielu z nich było nawet nie ubranych. Poborowi i pospolite ruszenie już dawno uciekli ze strachu, pozostawiając za sobą części garderoby i przeróżne przedmioty. Dowódca warty, wraz z oszołomionym starszym sierżantem, szybko ustawili żołnierzy z Nordlandu w linię wzdłuż północnej krawędzi spichlerzy. Krótsze halabardy, o ostrzach przypominających topory, rozmieszczono pomiędzy pikami, które posiadały o wiele dłuższych drzewca. Arkebuzerzy ustawili się w linii odrobinę bardziej na południe. Dym i mgła wirowały na przedmieściach Zedewki wypełniając zimne powietrze świtu.

Żołnierze dzierżący piki i halabardy stężeli, naprężyli mięśnie. Wilgotne dłonie ścisnęły mocno drzewca broni, gdy piekielny hałas przetoczył się przez opar i zmienił się w zwartą linię szarżujących postaci. Po raz pierwszy żołnierze z Imperium mieli szansę przyjrzeć się bliżej napastnikom. Byli to potargani, kudłaci mężczyźni z pomalowanymi twarzami, odziani w futra, czarne kolczugi i skórzane zbroje. Przeróżne kły, kości i inne trofea sterczały z ich usztywnionych łożem włosów. Nagie ręce przyozdobione mieli żelaznymi pierścieniami i bransoletami ukutymi z broni pokonanych przeciwników. Większość miała na głowach zwieńczone rogami lub pokryte kolcami hełmy. W krzepkich dłoniach, dzierżyli topory lub szerokie miecze. Nadciągali wciąż biegnąc. Wszyscy wyli potępieńczo. Ich widok był przerażający.

Część szyku żołnierzy z Nordlandu załamała się i ludzie poszli w rozsypkę. Pozostali trzymali formację dookoła sztandarów i przyjęli na siebie impet szarży. Wojownicy z Północy, szereg za szeregiem, ginęli, nadziewając się na las pik, ale sam ciężar trupów przywiódł wreszcie ostrza na długich drzewcach w dół, wiele z nich pękło. Arkebuzerzy wypalili, rozległa się seria głuchych trzasków, potem przeładowali i wypalili ponownie. Te dwie salwy kosztowały napastników trzy tuziny zabitych i utworzyły w powietrzu ścianę gęstego, białego dymu.

Strzelcy po raz drugi przeładowywali arkebuzy, gdy pochłonęła ich drapieżna horda. Części udało się cofnąć i dobywszy swych katzbalgerów opóźniali napór barbarzyńców na formacje pikinierów.

Głównodowodzący kawalerią zdołał zebrać sześćdziesięciu ludzi. Większość z nich stanowili rajtarzy. Oddział ten, w pełnym rozpędzie nadjechał od zachodu, wzdłuż głównej ulicy i wbił się w prawą flankę nieprzyjaciela. Szarżowali z kopiami, gdyż nikt nie miał czasu by przygotować do strzału pistolety i petrynały. Była to brawurowa akcja, która dała pikinierom z Nordlandu chwilę nowej nadziei. Ruszyli do przodu, opuszczone drzewca sterczały w jednej linii, dokładnie tak, jak nauczyła ich tego musztra. Ze śpiewem na ustach natarli na przeciwnika i odepchnęli go dwadzieścia kroków w tył.

W tym momencie, od zachodu doszedł ich uszu ryk i hałas. Z mgły na równinie wynurzyła się zupełnie nowa fala wojów z Północy wywijających nad głowami toporami. Runęli by złączyć się ze swymi kamratami i zatrzasnęli kleszcze niczym kowal chwytający obcęgi kawał żelaza. Dowódca warty desperacko próbował utrzymać formację tak długo by ustawić żołnierzy w najeżony ze wszystkich stron pikami czworobok, ale ludzie wykuszali się ciągle i rozpaczliwa obrona trwała jedynie jakieś cztery minuty, zanim pikinierzy poszli w rozsypkę. Wycięto ich potem do nogi.

Dowódca kawalerii powiodł swój oddział rajtarów szerokim łukiem dookoła stojących za spichlerzami stajni i dał rozkaz do ataku mieczami, gdyż większość konnych straciła kopie w pierwszej szarży. Kilku rajtarów próbowało przekonać go by nie atakowali, a uszli z pola, ale on nie słuchał, kontynuował objazd i runął na masę nieprzyjaciela stojąc w strzemionach, z uniesionym przed sobą mieczem. Jeźdźcy podążyli za nim, wszyscy, co do jednego. Zanim szarża straciła swój impet i zrobiło się zbyt ciasno dla koni zabili około czterdziestu przeciwników.

Potem zostali przywaleni masą napierającej hordy. Ludzie i konie zostali zwaleni na ziemię i porąbani ostrymi żeleźcami.

V

- Co to za dźwięk? - zapytał ni z tego ni z owego Truchs.

Gerlach ściągnął wodze i wsłuchał się uważnie. Kompania znajdowała się jeszcze dobre ćwierć ligi od wschodniej linii umocnień, gdzie mieli się zameldować. W szarówce

przedświtu niewiele było widać, ale Truchs rzeczywiście miał rację.

Z oddali dochodziło do nich głucho dudnienie. Lekkie wibracje czuć było w powietrzu i ziemi. Upiorny łoskot bębnow i podniesione głosy.

Instykt wziął górę nad rozsądkiem Heilemana.

- Prezentuj broń! Gotuj się! - huknął.

Ludzie dookoła zarechotali szyderczo.

- Wykonać rozkaz! - ryknął. Jeden po drugim spowaźnieli, gdy dotarli do nich krzyki i wrzaski niesione ponad odległym szmerem.

Rozkaz Stouera był prosty. Mieli połączyć się ze stacjonującym na wschodzie kislevskim pułkiem. Gerlach wiedział, że jeśli tego nie zdoła uczynić okryje się niesławą. Machając żwawo zaciśniętą pięścią uformował rajtarów w linię. Na maruderów nie dość prędko dobywających swych kawaleryjskich mieczy wrzeszczał wściekle.

Ruszyli przed siebie, w linii. Miecze wszyscy oparli na prawym ramieniu.

- Spokojnie, trzymać linię i przygotować się do ataku! - krzyknął chorąży. Jakże by chciał również dobyć miecza albo przygotować do strzału pistolety, ale jego głównym zadaniem, było niesienie wysoko sztandaru. Oddział nabierał szybkości. Jechali najpierw kłusem, potem przeszli w galop, wjechali we mgłę, w niewidzialny świat. Część linii załamała się i rozciągnęła. Gerlach podał w wątpliwość ich jeździeckie umiejętności.

- Równać! Trzymać linię!

Jechał teraz z taką szybkością, że wiatr przelatujący przez gardziel osadzonej na sztandarze smoczey głowy wydobył z niej niski, basowy ryk, niczym dźwięk rogu. Wstęgi sztandaru łopotały daleko za plecami Gerlacha.

Bez żadnego ostrzeżenia z naprzeciwka, spośród mgły, wyłonili się jeźdźcy. Przez chwilę zdawało się Heilemanowi, że to nieprzyjaciel. Potem rozpoznał w nich obszarpanych Kislevitów czmychających w trwodze z linii frontu na wystraszonych konikach.

- Tchórze! - wrzasnął, gdy przejeżdżali obok nich, dziurawiąc już i tak koślawą linię rajtarów.

Rajtarzy Drugiej Kompanii Hipparchii z Talabheim parli dalej. Łomotanie podków stało się tak głośnie, że nie słyszeli już złowrózbnego hałasu. Nie sposób było rozróżnić czy to odgłos bębnow, kopyt czy stóp. Rajtarzy zjechali w dół podmokłego, zarosłego trawą zagłębienia, niesieni basowym pomrukiem swego smoczey sztandaru i tam właśnie spotkali się oko w oko z nieprzyjacielem.

Była to konnica. Rogaci jeźdźcy, mroczni niczym zmierzch, siedzący na potężnych wierzchowcach z piórami u kopyt, mierzących nie mniej niż siedemnaście dłoni każdy.

Galopowali chcąc wyciąć w pień gnanych przed sobą żołnierzy, a teraz zobaczywszy nowy cel chlasnęli konie po zadach i ruszyli do szarży.

Pięćdziesiąt długości konia, trzydzieści, ramię w ramię w szerokiej linii. Barbarzyńcy z Północy wyli wściekle, ich krzyk zagłuszył nawet łomotanie kopyt na mokrym podłożu, ale Gerlach i tak tego nie słyszał. Wszystko ginęło pod basowym buczeniem smoczej głowy na sztandarze.

Gdy dzieliło ich jeszcze jakieś dziesięć długości, rajtarzy zachowali się jak na ćwiczeniach i wypalili. Niektórzy mieli pary pistoletów, po jednym w każdej ręce. Inni wypalili z petrynałów, opierając ich kolby o kirysy. Grad pocisków był bezlitosny. Konie i jeźdźcy potykali się i przewracali na ziemię wrzeszcząc nieludzko. Rajtarzy wbili się w nich, przejechali, trując przy tym wielu.

- Miecze i kopie! - rozkazał Gerlach walcząc by utrzymać ciężki sztandar w górze. Odmar i Truchs jechali u jego boku, z dobytymi i zniżonymi w dół kopiami, tworząc parę przybocznych.

Potem zderzyli się z drugą falą nieprzyjaciół. Wokół rozległa się seria głuchych uderzeń i ciężkich łomotów, ludzie spadali z sodeł. Odmar przebił kopią jeźdźca z Północy nadjeżdżającego z prawej strony. Fontanna krwi spryskała pędzącego Gerlacha. Potem Odmar zniknął. Widać było jedynie jakiś rozmyty cień, potem nastąpiło ohydne chrupnięcie i skowyt. Wąż rajtara pogalopował przed siebie już bez jeźdźca.

Gerlach rozejrzał się w panice na boki i zobaczył wysokiego barbarzyńcę na koniu, w mosiężnym hełmie, zajeżdżającego go z lewej flanki. Krew bryzgała z ostrza wznoszącego się bojowego topora. Gerlach wypuścił z ręki wodze i wyszarpnął z olstra jeden z pistoletów, a następnie strzelił prosto w czoło napastnika. Potężne, ozdobione pierścieniami łapy szarpnęły się w górę, jakby w bluźnierczej modlitwie, gdy siła wystrzału odrzuciła do tyłu głowę. Barbarzyńca spadł na bok, koń zachwiał się, zbalansował zadem i uwolniony wreszcie od ciężaru pogalopował przed siebie.

Trup leżał w grząskim błocie u stóp Gerlacha. Plecy były wygięte w nienaturalny łuk, jedna ręka podwinęła się pod tułów. W białym czole ziała dziura po kuli, widać było wyraźnie pokryte sadzą, strzaskane kawałki czaszki z krwistą bieżą pośrodku.

Zabiłem właśnie człowieka. Fakt ten wydawał mu się zupełnie niedorzeczny. Cały jego umysł skoncentrował się na połyskującej krwisto dziurze pośród osmalonego czoła. - Zabiłem człowieka. Odebrałem komuś w bitwie życie.

Saksen znarowił się i ruszył gdy poczuł, że nikt nie trzyma wodzy. Ten nagły ruch wyrwał Gerlacha z dziwnego ośpienia. Otrząsnął się, chcąc odzyskać kontrolę nad

wierzchowcem i starając się jednocześnie trzymać sztandar uniesiony wysoko w górę, tak by był doskonale widoczny. Zatrzymał się.

- Przeformować linię! Przegrupować się! - wrzasnął w dym i zgiełk bitwy. Kolejny napastnik ruszył w jego stronę, zjeżdżając wzdłuż stoku, kręcąc młyńca swym mieczem. Żelazne ostrze świszczało wściekle z każdym obrotem.

Ze stoickim spokojem Gerlach schował pistolet do olstra przy siodle i wyciągnął kolejny. Rozległ się huk i z lufy rzygnął niewielki kłęb gorącego dymu. Najeżdźca z Północy spadł z konia.

Nie miał już z czego strzelać, nie było czasu na przeładowanie. Widział jak rajtarzy walczył dookoła mieczami, bok w bok z przeciwnikiem. Widział przyjaciół i towarzyszy broni ściąganych w dół. Widział jak wypruwano im wnętrzności. Widział jak zrzucały ich okrutnie poranione konie.

Gerlach wyszarpnął z pochwy miecz i skierował Saksena do przodu, trzymając sztandar i oręż uniesione wysoko, sterując koniem wyłącznie uściskiem kolan.

- Za kompanię! Za kompanię! Za Imperatora! - zakrzyknął.

Dwóch najeżdźców z Północy ruszyło do chorążego. Jechali prędko i unosili się nad siodłami pochyleni do przodu, miecze też mieli nisko pochylone. Gerlach wykręcił Saksena dokładnie na czas by chlasnąć jednego przez plecy, a potem zachwiał się w siodle, gdy otrzymał cios ostrzem miecza w prawą rękę. Na szczęście przeciwnik uderzył w znajdującą się tam pancerną płytę.

Sztandar wysunął się z jego ręki i wbił się drzewcem w ziemię. Tak pozostał, pochylony pod niewielkim kątem. Gerlach obrócił wałacha i przeklinając startł się z barbarzyńcą. Żelazo przeciw stali, opętańczy wir ciosów. Heileman rozciął policzek napastnika i gdy ten wrzasnął z bólu dźgnął go prosto w pierś czubkiem miecza.

Ciało zsunęło się z siodła i Gerlach musiał walczyć by nie stracić miecza, w ostatniej chwili wyszarpnął ostrze, tak mocno zassało się w ranie. Saksen zarżał i przerażony wierzgnął zadnimi nogami. Gdy Gerlach odzyskał kontrolę nad wierzchowcem byli już parę kroków od wbitego w ziemię sztandaru.

Truchs nadszedł galopem i w biegu wyszarpnął z mokrej ziemi drzewce. Potem uniósł je wysoko w górę, tak by wszyscy rajtarzy mogli je dobrze widzieć.

Gerlach zanotował w pamięci, że Stouer powinien jakoś uhonorować i nagrodzić Truchsa za ten właśnie moment, za odwagę i wielce honorowe zachowanie. Nagle Truchs zaczął się skręcać i wrzeszczeć. Był to prawdziwie przerażający krzyk, brzmiał wręcz nieludzko. Z brzucha rajtara wyłoniło się pokryte kolcami ostrze kopii, krew trysnęła na wszystkie strony.

Truchs schwycił je kurczowo rozcapierzonymi palcami i zwałił się z konia.

Nieopodał upadł na ziemię sztandar.

VI

Stouer wraz z eskortującymi go rajtarami wjeżdżał właśnie do Zedewki, gdy rozległ się dźwięk rogów. Południowy skraj miasteczka zdawał się być podejrzanie opustoszały, a powietrze wypełniał dziwny pulsujący zgiełk.

- Bębny - rzucił kapitan z całą stanowczością. Karl przytaknął. Wciąż starał się zgłębić sens sygnałów, które przed chwilą rozbrzmiały. Były szybkie, rozpaczliwe, źle zagrane i prawie zupełnie nieczytelne. Koń pozbawiony jeźdźca przygalopował w ich stronę, w dół głównej drogi, oczy miał oszalałe ze strachu. Był to koń jakiegoś imperialnego kawalerzysty. Wodze zwiślały mu bezwładnie. Musieli odjechać swymi wierzchowcami na bok, bo inaczej by na nich wpadł. Przejechał obok grupki i pogalopował na południe, przez bramę.

Ruszyli za Stouerem do przodu, spięci i zaalarmowani. W powietrzu czuć było woń spalenizny, a łomotanie bębnow stało się głośniejsze. Anmayer wyciągnął miecz.

- Schowaj to! - warknął Stouer.

- Gdzie się wszyscy podziali, panie kapitanie? - zapytał Friedel.

- Broń palna! - ryknął Stouer. Sam wyciągnął jeden z pistoletów z olstra przy siodle. Anmayer i Friedel uczynili to samo. Każdy z nich posiadał parę pistoletów, po jednym z każdej strony łęku siodła. Vollen zamiast pistoletów miał petrynał spoczywający w pochwie z koźlej skóry po prawej stronie siodła, lewą pozostawiając wolną dla swego rogu. Cała czwórka sprawdziła czy broń jest poprawnie załadowana i nakręcili sprężyny zamków kołowych kluczami zawieszonymi na szyi.

- Przycisnąć kurki - rozkazał Stouer. Wszyscy przycisnęli kurki z pirytem do ponacinanego kółka zamka. Zwolnienie spustu powodowało, że kółko kręciło się i krzeszło iskry zapalając proch na panewce.

Nagle w polu widzenia pojawił się jakiś biegnący mężczyzna. Ręce rozłożył szeroko i wydawał z siebie przedziwne kwilenie. Jego ubranie świadczyło o tym, że należał do oddziału strzelców lub arkebuzerów z Averlandu. Płaszcz miał żółto-czarny. Nie miał jednego buta. Na jednej nodze miał wojskowy kamasz z szerokim noskiem, druga była naga a szara pończocha zwiślała w strzępach. Kroki mężczyzny były zadziwiająco krótkie i szybkie, tak jakby dopiero

co nauczył się chodzić.

Biegł prosto na Stouera, kwiląc głośno i machając rozłożonymi rękami.

- Na Sigmara! - nieoczekiwanie wypalił Anmayer. Pod brodą nieznajomego kryło się coś ciemnego. Wszyscy wzięli to w pierwszej chwili za spiczasty zarost, ale byli w błędzie. Była to czarno opierzona lotka strzały. Kiedy mężczyzna zwrócił się w kierunku Stouera wyraźnie było widać resztę pocisku - prawie metrowe drzewce sterczące z jego karku.

Żołnierz z Averland próbował chwycić Stouera, ale ten cofnął się do tyłu i odepchnął go. Jego koń zatańczył zdenerwowany. Mężczyzna bluznął krwią, prawdziwy potok czerwieni spłynął po boku kapitańskiego konia, a potem oparł się o niego i zaczął się zsuwać w dół oparty o wilgotny bok wierzchowca. W końcu opadł na ziemię z głową przekrzywioną na jedną stronę. Pięty uderzały w spazmach o grunt. We krwi płynącej z ust tworzyły się pękające bąble.

Stouer uczynił ręką gest Shallyi, a Anmayer splunął i dotknął żelaza by odegnać zły los. Vollen i Friedel patrzyli tylko na trupa.

- Jazda! - wykrzyknął kapitan. - Karl, prowadź do kwatery marszałka!

Karl ponaglił Gana do biegu i pogalopowali drogą w kierunku ziali. Kopuła o kształcie cebuli była wyraźnie widoczna, górowała nad innymi dachami w mieście. Przejeżdżając obok pobliskich budynków, mając już w polu widzenia ziałę, zobaczyli też w oddali, kotłowaną bitwę na północy Zedewki. Widzieli głównie, co prawda kłęby dymu, ale nie mieli najmniejszych wątpliwości, co się tam dzieje i na co właśnie patrzą, było to jasne nawet dla ludzi, którzy jeszcze nigdy nie widzieli na własne oczy bitwy.

Dla Karla Reinera Vollena, który podobnie jak Gerlach Heileman, większość swego życia spędził na marzeniach by być żołnierzem, widok ten zdawał się być bardzo dziwny. Wszystko mieszało się i kotłowało, ciężko było stwierdzić, co się tam właściwie dzieje. Tylko jakieś dziwne i mało ważne szczegóły zdawały się być jednoznaczne. Koń bez jeźdźca - pędzący, zataczający koła. Klęczący mężczyzna, płaczący jak dziecko i zasłaniający głowę ramionami. Ciemne wierzchowce, z równie mrocznymi jeźdźcami na grzbietach, pędzące tak szybko, że tworzyły się za nimi, w snującym się wszędzie dymie, przedziwne kłęby. Siedzący trup z prostymi nogami, pochylony do przodu na tyle na ile pozwoliła wystająca z piersi włócznia. Oddalający się od zawieruchy powolnym krokiem człowiek w płonącym ubraniu.

Wcale nie przypominało to kilimów wiszących na ścianach domu Heilemanów, ani też drzeworytów w wojskowych książkach dotyczących historii, nad którymi ślęczał w czasach młodości. Dym, zamieszanie, histeryczne zachowanie ludzi schwytych w środek tego koszmaru, ludzi którym strach, ból, albo też obie te rzeczy naraz, odebrały rozum.

- Naprzód! - huknął Stouer. Rogaci jeźdźcy nadciągali i atakowali ziałę. Niektórzy zsiadli z koni i rąbali drzwi swymi toporami na długich styliskach.

- Ognia! - rozkazał kapitan gdy zmierzali wprost na nieprzyjaciół. Kilku odwróciło się, wyjąc. Jeden przewinał się do tyłu przez siodło z przestrzeloną krtanią. Karl poczuł w mostku tępą wibrację, echo uderzenia i uświadomił sobie, że właśnie wypalił z petrynału. Zabił człowieka. Jego ołowiana kula rozszarpała mu krtani.

Nie było czasu by przeładować broń. Wsunął petrynał do olstra i najechał na kolejnego barbarzyńcę, stratował go pod kopytami Gana. W tym momencie dobył koncerza. Stouer i Anmayer obydwaj wypalili z pistoletów w oparach trzeszczącego dymu i każdy strzał okazał się celny. Teraz walczyli już na miecze. Friedel fatalnie spudłował. Dwóch przeciwników zwolniło, okręciło konie i popędziło ku niemu. Rajtar krzyknął ze strachu i wypuścił z ręki cugle. Koń wyrzucił go z siodła i mocno uderzył o ziemię.

Karl okręcił Ganem dookoła, przeskoczył nad leżącym Friedelem i ruszył naprzeciw obu napastnikom. Miecz sygnalisty wyciągnięty był w przód i zupełnie przypadkiem chlasnął nim przez cugle i policzek jednego z jeźdźców. Ten złapał się odruchowo rękami za twarz i zwałił się z konia. Drugi napastnik zamachnął się mieczem i Karl poczuł, że jego głowa skręca się brutalnie, gdy otrzymał potężne uderzenie w bok hełmu. Chciał się obrócić machając rozpaczliwie mieczem, zapomniawszy w jednej chwili wszystkiego, czego uczył się na lekcjach fechtunku. Gan wpadł w szal, gotów był w każdej chwili ponieść lub skoczyć. Powietrze było gęste od smrodu prochu strzelniczego, krwi i gnoju. Karl zdołał wreszcie opanować Gana i obrócił się, ale w tym czasie zarobił kolejne uderzenie w głowę, a koń otrzymał ciętą ranę w bok. Przeciwnik był masywnym mężczyzną. Na jego torsie i ramionach grały potężne węzły mięśni. Niedźwiedzia skóra spięta na piersi spływała mu na plecy i łopotała w pędzie. Na rękach miał tuziny pierścieni i bransolet, trofeów licznych starc. Na głowie nosił zwieńczony rogami hełm, ukuty z czarnego mosiądzu, z przyłbicą w kształcie wilczego pyska, zakrywającą całą twarz. Jego koń miał dobre dziewiętnaście dłoni i był czarny niczym węgiel. Grzywa falowała mu dziko.

Karl pchnął koncerzem. Cios odbił się bez efektu od pokrytej bransoletami lewej ręki. Miecz długi na dobre półtora metra zatoczył krąg i śmignął nad głową Vollena, gdy ten pochylił się w siodle. Poczł szarpnięcie, ucisk na karku i powietrze wypełniło się kawałkami wirujących piór - barbarzyńca musiał obciąć jego szysz. Karl w desperacji ściągnął cugle, cofnął Gana o krok wykręcając jednocześnie w bok i sieknął na odlew. Rogaty napastnik, wyjący wciąż za zasłoną przyłbicy swego wilczego hełmu, sparował uderzenie i sam ciał potężnie pozostawiając na koleczudze Karla bolesne zagłębienie. Ból sparaliżował mu rękę

tak, że omal nie wypuścił koncerza. Zamiast tego schylił się i rzucił w przód, otrzymując jednocześnie cios mieczem w plecy. Uderzenie przebiło pancerz i zatrzymała je dopiero kolczuga pod spodem. Czuł, jak połamane kółka, zsuwają mu się w dół, po plecach.

Obrócił się i pchnął raz jeszcze. Ostra końcówka koncerza zagłębiła się w nagie ramię barbarzyńcy i Karl wepchnął ostrze prawie po samą rękojeść. Gdy je wyciągał, razem z nim, z rany bluznęła krew. Wielki wojownik z Północy wrzasnął z bólu i przestał panować nad swym masywnym koniem, który poniósł go galopem. Ranny jeździec kołysał się w siodle, starając się za wszelką cenę uniknąć upadku.

Karl spróbował się wyprostować. Miał wrażenie, że plecy i prawe ramie są połamane. Potem Gan runął na ziemię, zrzucając jednocześnie Vollena z siodła.

Gdy się podniósł i przyjrzał leżącemu na boku wierzchowcowi zobaczył, że cięcie, jakie otrzymał biedny zwierzak było znacznie poważniejsze niż przypuszczał na początku. Krew tryskała z rany na wszystkie strony. Nic już nie można było zrobić by mu pomóc. Gan spazmatycznie kopał nogami, kopał i kopał, łeb odgiął w tył, miał obnażone zęby, krew płynęła z niego strumieniami. W ciągu niecałej minuty ukochany wałach Karla był martwy.

Świadomy łez wściekłości płynących mu po policzkach, Karl podbiegł do Friedela i pociągnął go w stronę wejścia do ziali. Friedel jęczał i szlochał. Jego zwieracze nie wytrzymały napięcia.

- Bierz swój miecz! Twój miecz! - krzyknął na niego Karl.

- Zesrałem się! Taki wstyd! Słyszysz Karl, zesrałem się!

- Zamknij się Johann! - huknął Vollen starając się opanować mdłości wywołane smrodem gówna - Bierz miecz i wstawaj!

Anmayer już nie żył. Leżał twarzą do ziemi w błocie. Przedramiona, ręce i głowę miał pociętą w wielu miejscach przez bezlitosne razy, zadane mieczami i toporami, gdy próbował się zasłaniać. Stouer stracił konia i stał teraz na ziemi dzierżąc w jednym ręku miecz, a w drugim pusty pistolet. Był otoczony przez gromadę nieprzyjaciół, walczył jak lew, ale krwawił już z tuzina ran. Zerwany lewy naramiennik wisiał jedynie na kilku paskach.

Gdy ostatnim razem Karl stał na tym krużganku, choć było to tylko dzień wcześniej, zdawało mu się, że minęły od tamtego momentu długie miesiące - był tu z Gerlachem i kiedy już wychodzili przywołał ich z powrotem adiutant marszałka Schott. Teraz też tu był, przez jakiś przedziwny zbieg okoliczności znajdował się dokładnie w tym samym miejscu gdzie stał jak odjeżdżali. Teraz jednak był martwy, ciało miał rozcięte ciosem jakiegoś ciężkiego ostrza aż do kręgosłupa. Wystrojeni jak na paradę drabanci walczyli wściekle osłaniając sobą wejście do budynku. Dwóch z nich już padło, ale pozostali walczyli mieczami z niezwykłą

zaciętością.

Jak można się było tego spodziewać po przybocznej gwardii samego marszałka, drabanci byli zaprawionymi w bojach weteranami. Miecze, którymi walczyli, były rozpoznawalne na pierwszy rzut oka, zwano je katzbalgerami. Miały krótkie, szerokie, okrągławo zakończone ostrza i podwójnie zakreconą osłonę przypominającą literę S. Bogate szaty drabantów także potwierdzały ich wysoki status. Pod ciosami katzbalgerów padło już do tej pory jakiś tuzin najeźdźców.

Karl rzucił się by ich wspomóc. Zupełnie stracił kontakt z łkającym Friedelem, chociaż wciąż jeszcze wykrzykiwał jego imię. Znalazł się nagle ramię w ramię z jednym z drabantów, starszym wojakiem z pierwszorzędnym orężem, w kolorowych pończochach. Razem zaczęli siec napierających wrogów. Karl poczuł, że miecz przebija coś miękkiego i zdał sobie sprawę, że zabił właśnie kolejnego człowieka. Jeden z drabantów wrzasnął, gdy nacierająca ciżba przygniotła go ciężarem napierających zewsząd wojowników.

- Jak się nazywasz?! - wykrzyknął szermierz walczący u boku Karla.

- Karl Reiner Vollen!

- Wskakuj tam Karl! Do środka! Znajdź marszałka i bacz by włos mu nie spadł z głowy!

- Ale...

- Na umiłowanego Sigmara, nie możemy pozwolić by zginął! Wysłałem ludzi by przyprowadzili wierzchowce do zachodniego wyjścia! Zabierz go tam! Zadbaj by się wydostał! My utrzymamy te wrota!

Karl nie był pewien, co robić. Drabant zachlapany był krwią. Widać było jego katzbalger, jedynie, jako siekający zaciekle cień.

- Proszę... - błagał zmagający się z wieloma przeciwnikami szermierz.

Karl wreszcie odskoczył i pobiegł do wnętrza ziali. W środku ogarnęła go nagła cisza. Hałas dochodzący z zewnątrz zmienił się w głuchy pomruk. Przeszedł przez przedsionek, przekroczył szczątki połamanej lutni, leżącej na podłodze, tam gdzie porzucił ją ostatni właściciel. W ciszy rozbrzmiało cichutkie kap, kap. Vollen zorientował się, że to odgłos krwi spadającej z ostrza jego miecza na kamienną posadzkę.

Zdarł z głowy hełm i odrzucił go na bok.

- Panie marszałku? Marszałku Neiber?

Ogień w głównej sali wygasł. Palenisko było chłodne i ciemne. Tylko od czasu do czasu leżące, nadpalone szczapy drgały od wstrząsających budynkiem uderzeń z zewnątrz. Piękny podróżny kuferek leżał otwarty. Pośród atlasowego obicia brakowało dwóch szklaneczek.

Karl położył miecz na stole i wziął z futerału jedno z pięknie zdobionych naczyń.

Napełnił szklaneczkę trunkiem ze stojącej obok, otwartej butelki. Wypił jednym haustem i poczuł się od razu o wiele lepiej. Budynek znów zadrżał od uderzenia.

Odstawił pustą szklaneczkę i schwycił ponownie miecz.

- Marszałku Neiber?

Końcówką swej broni uchylił wiszącą w drzwiach atlasową zasłonę i zajrzał do wnętrza.

Pusto.

Ruszył dalej popychając koncerzem kuchenne drzwi. Kuchnia również była opustoszała, jedynie z dogasającego paleniska unosił się lekki dymek.

Dalej znajdowała się sypialnia i tam właśnie odnalazł Neibera. Marszałek połowy był martwy, leżał przekreślony na bok na łóżku. Był zupełnie nagi za wyjątkiem pończoch. Twarz miał nabrzmiałą i siną, najwyraźniej został uduszony własną, marszałkowską buławą. Karl skierował się w stronę łóżka. Gdy uświadomił sobie bezsens całej tej sytuacji, zaczął się głośno, histerycznie śmiać. Drabanci walczyli na zewnątrz, do ostatka, by utrzymać przy życiu tego właśnie człowieka, a tu proszę, on już jest martwy.

Vollen nagle cały stężał. To nie było przecież samobójstwo, Neiber został zamordowany. Okręcił się dookoła z koncerzem uniesionym do ciosu, dokładnie na czas by odeprzeć atak wojownika skradającego się w jego kierunku spomiędzy zalegających komnatę cieni. Gibki, nagi kształt pozawijany w skóry z brązowym, przypominającym byczy łeb, hełmem na głowie. Sterczały z niego asymetrycznie trzy powywijane rogi.

Uderzony w ryj byczego hełmu barbarzyńca zręcznie odskoczył, ale zaraz doskoczył z powrotem. W każdym ręku dzierżył wąski nóż. Wydawał się Karlowi śmieszny i przerażający jednocześnie. Głowę miał osłoniętą masywnym hełmem, będącym jednocześnie maską. Jedyne odzienie stanowiły skrawki i pasy skóry, a także naszyjniki z muszli i kawałków kości. Z drugiej strony nogi, pierś, ręce i pachwiny były zupełnie nieosłonięte. Wszystkie słabe miejsca na ciele, które normalni ludzie chronili pancerzem, lub zasłaniaли przez skromność miał zupełnie nagie, ale głowa była zamknięta w metalowym uścisku. Wojownik z północy rzucił się do przodu. Jego bosc stopy zaklaskały na kamiennej podłodze, a naszyjniki zadzwoniły cicho.

Karl chwycił mocno miecz i uderzył całą siłą obydwu ramion. Trafił przeciwnika dokładnie w bok hełmu i posłał go z powrotem w zalegające w kątach cienie. Noże wypadły mu z rąk i zabrzęczały na podłodze. Zerwał się też naszyjnik i po podłodze rozsypały się ostre i twarde kawałeczki połamanych kości i muszli.

Vollen rzucił się do ucieczki. Pobiegł do zachodnich drzwi, tam gdzie, jak mówił drabant, będą czekały konie. Dotarł do nich i rozwarł je jednym szarpnięciem.

Stał tam wojownik z Północy, w hełmie ukutym w wilczy pysk. Okalała go poświata płonących z tyłu ogni. Po ramieniu spływała mu krew. W ręku dzierżył topór. Rzucił się do przodu przez drzwi i samą masą powalił Karla na podłogę, tak, że ten upadł na plecy. Potem opuścił topór w dół z zamierzając rozplatać czaszkę sygnalisty.

VII

Niebo o świcie było ponure i ciemne niczym pogrzebowy całun. Smugi czarnego dymu wiły się w powietrzu, wiatr pędził je na boki, kładł przy ziemi niczym mgłę. Zedewka stała w płomieniach.

Z pół po wschodniej stronie miasta Gerlach Heileman widział wyraźnie jasne jęzory ognia, podskakujące i uderzające wzdłuż ciągnących się wokół palisady posterunków i pożerające dachy domostw. Jasnoniebieskie płomienie trawiły osikowe gonty kopuły ziali, przypominającej w kształcie cebulę.

Widok miasta stojącego w pozodze pojawiał się i znikał, gdy wiatr pędził w różne strony wielkie obłoki dymu. Dym śmierdział spalenizną, pordzewiałym żelazem i zepsutym mięsem. Pozostawiał na języku słony posmak. Gerlach nagle uświadomił sobie, że to wcale nie dym, tylko jego własne łzy płynące po policzkach, smakowały słono. Płakał już od paru minut, nie zdając sobie z tego sprawy.

Saksen uderzał o ziemię kopytami, całe ciało wierzchowca przeszywały dreszcze. Niespokojnie targał cugłami. Gerlach okręcił wielkiego wierzchowca i pogalopował przez kłęby czarnego dymu. Stratowana trawa usłana była leżącymi ciałami. Ludzie, konie, połamana broń, strzaskane kopie - było tam wszystko. Samotne konie bez jeźdźców umykały przed nim, niczym duchy pośród skłębionej ciemności.

Próbował przebić się do z powrotem do sztandaru, ale znalazł tam tylko przebite ciało Truchsa. W oddali słyhać było sporadyczne dudnienie - huk wystrzałów.

Nagle, tuż przed nim pojawili się gnający na złamanie karku Lisner i Demeter. Lisner stracił hełm, a Demeter zalany był krwią i kołysał się niezgrabnie w siodle. Gdy go zobaczyli wstrzymali konie.

- Chorąży! - krzyknął Lisner.

- Gdzie oddział? - zapytał ostro Gerlach.

Lisner wzruszył szczupłymi ramionami i otarł twarz rękawicą. Tam gdzie dotknęła skóry

pozostawiała za sobą smugę krwi.

- Oddział? - spytał półprzytomnie jakby nie znał wcześniej tego słowa.

- Musimy zebrać ludzi i się przegrupować... - zaczął Heileman.

- Nie ma już żadnego oddziału - spokojnie powiedział Demeter. Przyciskał ręce do brzucha, a w obramowaniu stalowego hełmu widać było jego oblicze - białe jak kreda z bólu.

- Na Sigmara, ty cholerny głupcze! Nie ma już oddziału! Został rozbity!

Kaus Demeter był jednym ze spokojniejszych i budzących respekt żołnierzy w kompanii rajtarów. Usłyszeć z jego ust, tak wzgardliwy ton, było rzeczą zupełnie nową i Gerlach był zaskoczony.

- Kaus musimy się pozbierać. Pamiętasz naszą przysięgę? My....

- Odpieprz się Heileman. Niech przeklną cię bogowie, cholerny, pyszny, mały zarozumiałcze.

- Kaus.

Demeter splunął krwią i wpatrywał się wprost w chorążego.

- Jak będziemy mieć szczęście, dużo szczęścia, to może uda się nam przemknąć do brodu. Wrócić do Choiki. Jeśli się uda to może zobaczymy jeszcze jutrzejszy poranek. Ale jeśli zostaniemy tutaj, grzebiąc wszystkie nasze szanse, ponieważ ty masz jakieś szlachetne wyobrażenie praw rządzących wojną, będziemy bez wątpienia martwi nim minie godzina.

- On ma rację Gerlach - stwierdził Lisner. - To jakieś pieprzone szaleństwo.

Z dymu dobiegały wciąż nawoływania i wrzaski. Wszyscy trzej zastygli, gdy przemknęła obok nich, grupa ledwie widocznych w szarawym oparze, jeźdźców w rogatych hełmach.

- Gówno! - rzucił Gerlach. Patrzył na obu rajtarów.

- Potrafisz mnie stąd wyciągnąć? - spytał wreszcie Kaus Demeter. - Mnie i Lisnera? Dasz radę doprowadzić nas do brodu? Ja chcę żyć Gerlach. Chcę zobaczyć jeszcze moją dziewczynę.

Heileman chlasnął Saksena po zadzie i mocniej schwycił cugle.

- Za mną!

Puścili się galopem, przejeżdżając obok pokręconych ciał, leżących w trawie, zmieniając kierunek jazdy, by wyminąć samotne, spanikowane wierzchowce. Wiatr zaczął się wzmagać i dym przerzedził się tak, że przez moment widzieli w miarę wyraźnie. Gerlach zobaczył grupkę jeźdźców z północy, odwracających się od płonącego pola i ruszających dokładnie w ich stronę.

- Szybko! - ryknął. Mieli przewagę jakichś trzydziestu końskich długości. Mogli się jeszcze wymknąć. W polu widzenia pojawił się kolejny rajtar, galopujący równolegle,

starający się z nimi połączyć. Był to Hermen Volks.

- Tędy! - wrzasnął Heileman.

Na południe od nich, daleko z przodu, kłęby dymu również się przerzedziły. Wyłoniła się zza nich linia kawalerzystów. Stali tak w ciszy i bezruchu, ostrza mieczy i styliska toporów oparli o łęki siodeł. Zakuci w czarne zbroje, kolczugi, mosiężne pełne hełmy z długimi rogami. Wszystko spowite smolistą czernią.

Przeciwnik całkowicie panował na polu bitwy. Oczyszczał je teraz systematycznie zaganiając tych, którym udało się przeżyć, w takie właśnie pułapki i wycinając ich w pień. Gerlach wielokrotnie w swym życiu polował w elektorskich lasach. Wiedział jak wytropić zwierzynę, wypędzić ją na otwartą przestrzeń, zablokować oskrzydłającymi jeźdźcami i wreszcie osaczyć, a potem zabić.

Teraz mógł się przekonać na własnej skórze jak czuje się w takiej sytuacji jeleni.

- Zawracać! Szeroko! - wykrzyczał rozkaz i czterech rajtarów skreśliło w lewo pędząc przez rosnące na torfie trawy, wyrzucając w górę błoto i wachlarze wody. Linia jeźdźców wciąż była nieruchoma. Tworzyli cierpliwie barierę, po prawej stronie uciekinierów. Kiedy Gerlach obejrzał się za siebie zobaczył, że pozostająca za plecami część linii łamie się i rozpełza, gdy jeźdźcy jeden po drugim dołączali do następującej im na piąty grupy pościgowej. Było ich już dwudziestu, trzydziestu i robiło się wciąż coraz więcej.

To wcale nie była wojna. Nie przypominało to już bitwy ani walki, do której Gerlach był przyuczony i przygotowany. Przypominało to już raczej jakiś niedorzeczny, okrutny żart. Może to kaprys Ranalda, który jest niczym więcej niż tylko boskim błaznem i lubował się w ludzkim nieszczęściu?

Kapitan Stouer opowiadał kiedyś Gerlachowi o pewnym nocnym koszmarze, który nie przestawał go nękać. Stawiał się na polu bitwy, by uświadomić sobie nagle, że jest zupełnie sam i w nieodpowiednim miejscu. Co gorsza był też zupełnie nagi i bez żadnego oręża. Potem nadchodzili wrogowie. Kończyło się to wszystko śmiercią, śmiercią samotnego człowieka, który nie miał najmniejszej szansy na zwycięstwo. Najgorszą rzeczą było w tym koszmarze to, że był zupełnie bezsilny, odsłonięty i nie mógł w żaden sposób odgryźć się przeciwnikom. Upokorzenie było rzeczą, której rajtar bał się najbardziej.

Sytuacja, w jakiej znajdował się Gerlach, była prawie taka sama, jak ta ze snu. Wszystko zdawało się być jakieś nierealne. Byli zamknięci w pułapce pośród tej równiny śmierci, gdzie nawet trawa tliła się i płonęła, wróg przeważał liczebnie, a dookoła leżały porzucane, rozprute i połamane ciała towarzyszy i przyjaciół. No i stanowili teraz zwierzynę, gonioną i osaczaną przez dziwne istoty z twarzami ukrytymi za rogatymi maskami.

Grupa pościgowa zmusiła ich by znów skręcili na północ, w stronę łąk, dokładnie w odwrotnym kierunku niż ten obrany za trasę ich ucieczki. Czterej rajtarzy jechali teraz zbici w ciasną gromadkę, choć Demeter zostawał lekko z tyłu. Gerlach czuł niepokojące, regularne skurcze podczas galopady Saksena, tak jakby wałach zaczynał się męczyć, lub co gorsza, okulał albo zgubił podkowę.

Dokładnie przed nimi, znajdował się niewielki lasek, za którym rozciągał się, wzdłuż najniższej części łąki, jeszcze jeden. Drzew przybywało na wschodzie. Zagajnik gęstniał, aż w pewnej chwili łączył się z lasem, z którego nadszedł atak.

Gerlach poprowadził ich w tą stronę, dokładnie w kierunku drzew. Za sobą słyszeli zbliżające się szybko odgłosy rogów i mieczy bijących wściekle o tarcze.

Trzech wojów z Północy, na czarnych wierzchowcach, wyjechało spomiędzy drzew i ruszyło z głuchym dudnieniem kopyt, żeby odciąć im drogę. Nie mieli jak ich wyminąć. Gerlach dobył kopii i natarł na pierwszego. Rozległo się głuche chrupnięcie i wrogi jeździec przewinał się z wrzaskiem przez siodło. Noga zaplątała mu się w strzemień i koń pociągnął go za sobą przez rosnące na podmokłej łące zielsko.

Volks znalazł wcześniej czas żeby przeładować petrynał. Dzięki niech będą Sigmarowi. Teraz jednak grzebał się z nim i nie mógł odpalić, a dwóch pozostałych jeźdźców jechało wprost na niego.

Gerlach zmusił Saksena do ostrego skrętu by nabrać ponownie rozpędu i ochronić Volksa. Pochylony w siodle, z nisko opuszczoną kopią przechwycił jednego z nacierających i dźgnął go w bok, wprost w klatkę piersiową. Kopia osunęła się jednak, a ich konie zderzyły się w biegu. Siła uderzenia wyrzuciła barbarzyńcę z siodła i wyrwała kopię z ręki Gerlacha. On sam ledwie się utrzymał na koniu.

Wjechali wreszcie do zagajnika, przebijając się przez krzaki i łamiąc nagie, bezlistne gałęzie. Opadł na nich prawdziwy deszcz kropel i kawałków spróchniałej kory. Gerlach zauważył po lewej Volksa i Demetera po prawej stronie. Nie było z nimi Lisnera.

Chorąży obejrzał się do tyłu. Ostatni jeździec, który wyjechał spomiędzy drzew zabił wałacha Lisnera zrzucając go tym samym na ziemię. Wielu z ich prześladowców zatrzymało się i utworzyło dookoła samotnego rajtara koło. Gerlach widział jak wrzeszczący opętańczo Lisner z rękami w górze unikał gradu ciosów, uskakiwał to w przód, to w tył, próbując nie dać się zranić wciąż gęstniejącej, ruchomej ścianie kłujących mieczy i uderzających toporów. Wojownicy z Północy śmiali się głośno i szydzili, igrali ze swą zdobyczą jak myśliwy drażniący osaczonego dzika. Widział też jak rajtar stracił kawałek dłoni odcięty ostrzem miecza. Rozpaczliwy krzyk żołnierza wzniósł się w zadymione niebo.

Sigmarze! Sigmarze, oszczędź go!

- Heileman!

Gerlach rozejrzał się dookoła. Wołał go Volks, przynaglając by jechał wraz z nimi głębiej w las. Demeter opadł już zupełnie na szyję swego konia i Volks schwycił jego cugle.

- Gerlach pędzej! Na miłość Sigmara!

Pozostali prześladowcy, ci którzy nie zatrzymali się przy Lisnerze, dotarli już do linii drzew i przebijali się za nimi przez gąszcz. Gerlach wskazał kierunek i Volks ruszył za nim w lewo, wprost w istny labirynt bezlistnych jesionów i ciemnych sosen, prowadząc za sobą Demietera.

Pomiędzy drzewami unosił się ciężki zapach ściółki i kory. Grunt był tu gąbczasty, zaścielony grubą warstwą zgnilego listowia. Musieli teraz jechać znacznie wolniej. Wyraźnie było słycać trzask łamanych gałązek i chlupotanie. To ich prześladowcy przebijali się za nimi przez las.

Jadąc powoli, Gerlach znalazł wreszcie czas, by przeładować pistolety. Kierował Saksenem jedynie uciskiem kolan i jednocześnie rychtował kołowy zamek, po nim drugi. Czynność tę powinno się wykonywać stojąc bez ruchu, a nie w czasie jazdy. Było to naprawdę ciężkie zadanie, zważywszy na to, że koń trząsał się i kołysał. Gerlach rozsypał sporo prochu i stracił trzy ołowiane kule zanim udało mu się wreszcie załadować. Do czasu, gdy przejechali zagajnik, sprężyny obu pistoletów były naciągnięte, kurki z pirytem dociśnięte. Broń była gotowa do strzału. Volks uczynił to samo ze swym petrynałem.

Przestrzeń za drzewami była szara i zupełnie spokojna. Zagajnik odgradzał ten teren od dymów wydobywających się ze zniszczonego miasteczka. Mgła pokrywała tu wilgotne trawy i spowijała krawędź lasu leżącą po ich prawej stronie. Volks skierował właśnie tam, swego utrudzonego wierzchowca, wlokąc za sobą Demietera. Obejrzał się na chorążego.

- Gerlach? Człowieku, chodźże tu! Las!

Gerlach wcale go nie słuchał. Patrzył na zachód, z powrotem na płonące, spowite dymem pole bitwy, zaczynające się tuż za drzewami. Zdawało się, że zapomniał zupełnie o ścigających ich jeźdźcach, którzy następowali im na pięty jadąc przez zagajnik.

- Gerlach! Nie bądź głupcem!

Pół ligi na zachód masa wrogiej konnicy i pieszych wojów zbierała się dookoła swego przywódcy. Wielu z nich niosło nabite na oręż ludzkie głowy, potrzasał nimi dziko świętując zwycięstwo. Niektórzy dzierżyli sztandary dumnych oddziałów Imperium. Inni dźgali i popychali przed sobą poszarpanych, skrwawionych jeńców w podartych łachach, które pozostały z ich mundurów. Gerlach rozpoznał pomiędzy nimi Williama Weitza, Gunthera

Stoelma, Kurta Vohmberga...

Błysk złota. Pięciu jeźdźców galopowało z północnego krańca pola bitwy z kolejnym trofeum, które chcieli rzucić do stóp swego wodza.

Sztandar Drugiej Kompanii Hipparchii Rajtarów. Jego sztandar.

- Gerlach? - wołał Volks - Chodźże już! Prędko!

- To nasz - odpowiedział mu Heileman.

- Tak, ale...

- To nasz, Hermen.

Volks spojrział na niego. Oczy miał pełne łez.

- Wiem, ale...

Gerlach dobył miecza. Pościg z lasu był już ledwie sekundy od nich.

- Nie bądź cholernym głupcem! - krzyknął na niego Volks.

- Tak - wtrącił się Demeter prostując się nagle w siodle - Bądź cholernym głupcem.

Tylko to już nam pozostało. Nic więcej, tylko chwała.

Gerlach zerknął na niego. Demeter na chwilę podniósł ręce. Dół kirysu miał strzaskany, z dziury wyzierały różowe wnętrzości, całe zalane krwią.

- Nigdy już nie zobaczę swojej dziewczyny, prawda? - zapytał.

Gerlach pokręcił głową.

- Róbnmy więc co do nas należy - powiedział, dobywając ostrożnie swej kopii. Jedną ręką wciąż podtrzymywał w środku wypływające na wierzch kiszki.

- Volks?

Herman Volks wyciągnął z olstra petrynał.

- W takim razie naprzód, zanim pomyślę, że obaj straciliście rozum.

Dali ostrogę koniom i ostro ruszyli na zachód. Pojechali dookoła długiego zagajnika, wyłonili się z mgły, dwóch z nich ze wzniesioną bronią palną, jeden z wyciągniętą przed siebie kopią. Ścigający ich wyjechali zza zasłony drzew i znów ruszyli w pogoń.

Gerlach uniósł się w strzemionach, gdy Saksen nabrał prędkości. Jedną ręką trzymał cugle, drugą mierzył z pistoletu. Konni niosący ich sztandar usłyszeli łomotanie podków o namiękły grunt i odwrócili się. Odezwały się ostrzegawcze okrzyki i głosy zaskoczenia. Zabłyśły ostrza wyciąganych z pochew mieczy. Gerlach wypalił w pełnym pędzie i zrzucił jednego przeciwnika z siodła. Wsunął pistolet do olstra i wydobył kolejny w momencie, gdy Volks strzelił z petrynału. Rogaty jeździec został odrzucony do tyłu i złapał się za ramię. Jego koń zaczął nerwowo skakać.

Gerlach wystrzelił z drugiego pistoletu. Kula poszła za nisko i trafiła konia, zabijając go

na miejscu. Siedzący na nim wojownik został zrzucony na ziemię. Próbował się jeszcze uwolnić i uskoczyć, ale martwe zwierzę przetoczyło się, miażdżąc mu nogę i przyszpilając go do ziemi.

Potem rajtarzy zwarli się w walce z resztą jeźdźców. Heileman zmuszony był odrzucić pistolet, by szybko dobyć miecza. Ciął mężczyznę trzymającego sztandar i chyba go oślepił, ale rozpedzony Saksen przemknął obok niego. Dookoła wirowały jakieś postacie, ludzie krzyczeli, a konie kwiczały dziko. Coś uderzyło go w bok, Saksen się zachwiał. Błoto pryskało na wszystkie strony. Gdzieś niedaleko rozległ się trzask łamanej kopii lub drzewca jakiejś broni. Ktoś histerycznie wrzeszczał. Końska plwocina ciągnęła się kleistymi strunami.

Gerlach przymusił swego wałacha by zatoczył koło i wyjechał na wolną przestrzeń, a potem ostro nim obrócił, widząc biegnącego w swoją stronę pieszego woja z Północy wywijającego berdyszem. Barbarzyńca miał szyszak zwieńczony pofarbowanymi na czerwono włosami z końskiego ogona, a jego dzikie oczy były studniami czerni okolonymi białą obramówką, zupełnie jak oczy ogara. Gerlach rzucił się naprzód i przebił mieczem pierś mężczyzny. Było to perfekcyjne pchnięcie, którego nauczyli ich sierżanci w szkole Kawalerii.

Gerlach wyszarpnął ostrze z ciała, kiedy mężczyzna zwałił się na ziemię. Nieopodal, pośród szaleńczego boju, jakiś jeździec przewrócił się wraz z koniem, bez żadnego widocznego powodu, na ile zauważył Heileman. Ktoś próbował go dźgnąć szeroką włócznią, podobną do tej jakiej używa się przy polowaniu na dzika, ale pchnięcie okazało się zbyt krótkie. Chorąży dał koniowi ostrogę i wprowadził Saksena z powrotem w gąszcz walczących, rozdając pchnięcia na lewo i prawo. Coś wydało z siebie nieludzki jęk.

Przez bitewny chaos widział Volksa. Rajtar trzymał w dłoni drzewce sztandaru i walczył zaciekle by wydostać się na wolną przestrzeń, ciągnąc go za sobą. Jakiś szeroki miecz pomknął ku twarzy Heilemana, ale zdążył go zablokować swym koncerzem i aż stęknął z wysiłku. Czuł narastającą panikę wałacha, na którym siedział. Dosiadający potężnego, czarnego ogiera wojownik z mieczem, próbował raz jeszcze ciąć Gerlacha i naparł swym wierzchowcem na bok Saksena. Smolisty ogier gryzł i kopał na wszystkie strony. Gerlach uderzył raz i drugi, starając się ciąć krawędzią koncerza, zbyt mało miał bowiem miejsca by wziąć zamach w tył i wyprowadzić czyste pchnięcie. Nie zdawał sobie sprawy czy trafił, ale barbarzyńca zniknął mu z pola widzenia.

- Volks! - ryknął. - Uciekaj! Uciekaj!

Nie widział już swego towarzysza, ale ponad kłębiącą się masą walczących, pojawiła się na chwilę smocza głowa, kołyszając się dziko na boki, sztandar łopotał szaleńczo.

Coraz więcej nieprzyjaciół zbierało się dokoła. Jechali galopem od swego przywódcy by

dołączyć się do potyczki. Gerlach nie widział Demietera od momentu, gdy wbili się w jeźdźców. Coś uderzyło go w pancerz na lewym ramieniu i prawie równocześnie poczuł ostry ból w prawym biodrze. Śmierzący, wyjący barbarzyńcy byli wszędzie dookoła. Bardzo bliscy i śmiertelnie groźni, niczym wataha wilków. Jego koncerz był już klejący i śliski od krwi.

Zupełnie niespodziewanie pojawiło się słońce. Było to bardzo osobliwe. Być może pogoda miała się wreszcie zmienić. Albo była to ingerencja bogów, którzy rozkazali żywiołom by te odpowiedziały na ten szczególny moment bitwy, który właśnie miał miejsce. Przynajmniej Gerlach był przekonany, że tak właśnie było. Ulryk, srogi bóg odwagi, zachwycony mającą miejsce rzezią, albo też Myrmidia, bogini wojny, pragnąca uhonorować męstwo, a może i ponownie błazen Ranald ograbiający z nastającej ciemności swego ponurego brata Morra i czerpiący z tego ogromną przyjemność.

Słońce weszło jaśniejac niczym pancerz Sigmara. Zimne wiosenne słońce. Srebrzyste promienie światła spadły na pole bitwy, przebijając się przez poszarpane dziury w czarnym dymie i ciemnoszarych chmurach. Wszystko nagle zaśniło: ostrza, krople potu, krew, kirysy. Światło spowiło wszystko, czarne zbroje tłoczących się wokół nieprzyjaciół, w kontraście z nagłą iluminacją, stały się jeszcze czarniejsze.

Od zachodu nadjeżdżali nowi jeźdźcy. Byli już blisko, docierali prawie do kotłowaniny, gdy Gerlach spostrzegł ich przez chaos walczących ludzi i usłyszał łomotanie kopyt wierzchowców ponad hałasem bitwy. Było ich co najmniej czterdziestu, jechali bardzo prędko. Schwytani w blask słonecznych promieni wyglądali zupełnie jak anielskie istoty. W momencie gdy ich spostrzegł, Gerlach poczuł grozę, strach większy, niż czuł kiedykolwiek do tej pory w obliczu hordy z Północy. Uczucie to nie opuściło go, gdy się zorientował, że nie są to wcale kolejni przeciwnicy.

Była to husaria. Husaria z Kislevu.

Każdy rycerz miał na sobie srebrzystą kolczugę i zachodzące na siebie warstwy folgowej zbroi, zdobione złotem, pałającym teraz niczym poranne słońce wstające nad morskim odmętym. Na głowach mieli stalowe szyszaki o półkolistym dzwonie z długimi folgowymi nakarczkami i opuszczonymi na twarz nosalami w kształcie serca. Odziani byli w szkarłat i błękit, a wielu miało na sobie białe-czarne lamparcie skóry. Pionowo zza pleców sterczały im długie na dwa metry skrzydła, pióra furkotały na wietrze, tak prędko pędzili. Był to widok zapierający dech w piersiach. Kopie mieli nisko opuszczone, trzymali je prawie poziomo.

Historie, które Gerlach słyszał o szlachetnej i przerażającej zarazem chwale husarii, okazały się jednak prawdą.

Husarze wbili się w kotłującą się gęstwę barbarzyńców z takim impetem, że Heilemanowi zdawało się, że ziemia zadrżała. Kopie zakleszczone ze znanstwem pod rękami jeźdźców zapartych w siodłach i strzemionach uderzały nie samą tylko siłą ludzkiego ramienia, ale przenosiły też całą potęgę szarżującego konia. Przebijały tarcze, dziurawiły ciała ludzi i ich wierzchowców, zmiatając wszystko na swej drodze. Wojownicy z Północy umykali szaleńczo z ich drogi. Tak samo czyniły przerażone konie.

Główna grupa nieprzyjacielskiej konnicy jechała dokładnie naprzeciw szarży Kislevitów, gdy nastąpiło zderzenie. Uzbrojeni jedynie w zakrzywione topory i miecze, nie mieli odpowiedniego zasięgu by im sprostać. W mgnieniu oka pierwszy szereg padł martwy, zmieciony z siodła przez długie i bezwzględne husarskie kopie. Gerlach dosłyszał gromki głos wykrzykujący komendy, potem rozległ się grzmot kościanego rogu. Linia szarżujących rozpadła się, widać było w tym manewrze niezwykle doświadczenie Kislevitów. Prawie nie zwalniając biegu swych koni, ruszyli do walki, dzieląc się na dwójki i trójki. Większość pozostawiła swe długie kopie za sobą. Kołysały się teraz, wbite w ziemię. Dobyli szabel oraz krótkich dziryków tkwiących do tej pory w wytokach przy siodłach. Lekkie, cienkie dziryty latały dookoła niczym prawdziwy grad strzał i wysyłały najeźdźców w zaświaty, jakie przygotowali dla nich ichni bogowie. Każdy husarz wioził ze sobą dwa takie pociski, Gerlach był zdumiony widząc niesamowitą zręczność i umiejętności jeździeckie kislevskiej kawalerii. Ciskali swe dziryty znad głowy. Potem schylali się nisko i wyrwali je w biegu z ciał martwych przeciwników, gotowi by rzucić ponownie.

Kotłowanina wokół Gerlacha nagle ustała, grunt dookoła zasłany był powykręcanymi trupami. Rozejrzał się wypatrując Volksa lub Demietera, kogokolwiek znajomego. Ale widział jedynie porozrzucane i pocięte pozostałości rzezi leżące na trasie szarży. Jakiś oszołomiony najeźdźca z Północy kręcił się nieopodal. Gerlach prędko wysłał go na tamten świat. Ręce chorążego całe były rozdygotane. On sam był jakby ogłuszony, gdy uchodziła z niego powoli ślepa furia, która przywiodła go do tej walki.

Odgłos kościanego rogu rozbrzmiał ponownie. Słońce skrywało się znowu za gęstą zasłonę chmur, zaczęło się robić ciemniej, jakby bogowie wreszcie zdecydowali, że przedstawienie jest już skończone. Uskrzydleni husarze odrywali się od wroga i zawracali. Wyrabali w szeregach barbarzyńców potężną dziurę, ale jeśli pozostaliby tam dłużej, bez impetu swej szarży zostaliby wkrótce zalani samą przewagą liczebną przeciwnika.

Husarze mknęli teraz z powrotem w jego stronę, uniesieni w siodłach wydawali z siebie triumfalne, zwycięskie okrzyki. Każdy pochylał się nisko by wydobyć wbity w ziemię kopie, którą wcześniej zostawił za sobą. Jeden z jeźdźców na czele grupy wywijał wzniesionym do

góry sztandarem, wszyscy mieli za nim podążać. Było to orle skrzydło na tarczy, za którą powiewał w łopocie biało czerwony, długi proporzec.

Gerlach spostrzegł wreszcie Volksa i Demietera. Jechali wraz z husarzami. Volks dzierżył w ręku sztandar ich kompanii i walczył żeby unieść go wysoko ponad głowę w tak zawrotnym galopie. Heileman przymusił Saksena do biegu i skierował się ku uciekającym, nabierając szybkości by doścignąć Volksa. Zmiażdżony i oszołomiony przeciwnik ruszył w pościg, na przedzie jechali konni łucznicy wypuszczający teraz w pędzie kolczaste pociski.

Gerlach wykręcił ostro i wpadł wreszcie w strumień husarzy, jadąc z nimi ramię w ramię. Znów stracił z oczu Volksa i Demietera, ale był teraz blisko dowódcy oddziału Kislevitów i mężczyzny niosącego orli sztandar. Wszystko, co mógł teraz zrobić to starać się by jego zmęczony wałach dotrzymał kroku mniejszym, lecz niezwykle żywym konikom husarzy. Zaczynał powoli zostawać w tyle.

Prowadzący Kislevita, z twarzą zasłoniętą opuszczonym, sercowatym nosalem, odwrócił się, coś krzyknął i zaczął gestykulować przynaglająco. Czarnopióre strzały świstały dookoła i wbijały się w pokryty trawą błotnisty grunt. Jedna trafiła husarza w lewe ramię, wbijając się między płytki naramiennika. Przetoczył się przez siodło, bez jednego jęku, spadł z podniesionymi w górę rękami.

- Jedź! Jedź! - błagał Gerlach Saksena, pochylając się do przodu, starając się przymusić go do jeszcze odrobiny wysiłku. Byli już po wschodniej stronie łąki, galopując po pochyłości w stronę ściany lasu.

Strzała odbiła się rykoszetem od jego naramiennika. Rozległ się trzask, a siła bolesnego uderzenia okręciła lekko tułowiem Heilemana. Walczył jeszcze by utrzymać równowagę, ale skończyło się to niepowodzeniem. Nastąpiła chwila oszołomienia, zdawało się, że unosi się nieważko w powietrzu, a potem nastąpiło okropne, chrzęszczące uderzenie. Wyleciał z siodła i spadł z wysokości na ziemię. Potłuczony i otepiały, nie do końca zdawał sobie sprawę, z tego gdzie się znajduje.

Podniósł się. Fala napastników była już nie dalej niż dwadzieścia końskich długości od niego. Podjeżdżali w górę niewielkiego wzniesienia. Strzały cięły powietrze. Spojrzał na wschód. Jeszcze dwóch husarzy padło ofiarą łuczników. Jednym był chorąży, który dostał strzałą prosto w szyję. Drugi został trafiony w plecy. Jego koń upadł także i teraz walczył żeby podnieść się na nogi. Potrząsał łbem. Srebrne ogłowie i kielzno dzwoniły przy każdym ruchu.

Gerlach pobiegł w jego kierunku ze wzniesionymi uspokajająco rękami. Koń jednak był nieufny i spłoszony odgalopował w stronę drzew zanim Gerlach zdołał chwycić cugle.

- Ihaaaa! Ihaaa! - rozległ się nagle jakiś potężny, niski głos. Dowódca husarzy nadjeżdżał z prawej strony żwawym galopem. Zawrócił i zbliżał się łukiem prowadząc za uzdę Saksena.

- Bywaj tu! Ihaaa! - wykrzyknął.

Gerlach przez ułamek sekundy się zawahał, a potem pochylił się i chwycił leżący na ziemi sztandar husarskiej roty. Podniósł orle skrzydło w górę i rzucił się biegiem do zbliżającego się Kislevity.

- Bierz to! Bierz do cholery! - huknął, wpychając drzewce sztandaru w ręce mężczyzny. Potem wskoczył na siodło Saksena, obaj nawrócili i popędzili za głównymi siłami Kislevitów do lasu.

Wyjścia ciemność podążała tam za nimi.

VIII

Wjechali w półmrok panujący między drzewami. Kislevici jakby nagle gdzieś znikli. Gerlach łapał jedynie kątem oka błyski srebra, czerwieni i złota, kiedy husarze wyłaniali się z cienia i zagłębiali w nim ponownie, lub ukazywali, spomiędzy porośniętych mchem pni drzew. Łomotanie kopyt, głosy i dźwięczenie zbroi odbijały się wokół niego echem pod baldachimem z liści. Gerlach zmusił Saksena by ten ruszył do przodu, stąpając po nierównej ziemi, czarnym torfie, kamieniach i splątanej masie korzeni. Gałęzie chłostały go i przesuwwały mu się po twarzy. Jakiś cień rozdarł mu policzek. Głucha akustyka rzadkiego lasu niosła ze sobą przytłumione, chrapliwe odgłosy pościgu.

Gerlach dołączył do dwóch husarzy. Jednym z nich był dowódca, trzymający teraz sztandar ciasno przyciśnięty do końskiego boku, by nie zaczepiał o gałęzie drzew. Razem przeskoczyli strumień i skręcili w prawo, podążając za zasłanym liśćmi, dnem krętego rowu. Gerlach trzymał się ich. Nie miał pojęcia dokąd jedzie, z wyjątkiem tego, że podążają na wschód.

Po jakiejś godzinie zaczęli zwalniać, konie były już bardzo zmęczone. Odgłosy pościgu ucichły za ich plecami.

Potem wydostali się wreszcie z lasu na nawiedzony przez stada kruków bagnisty teren porośnięty na krawędziach ciemnymi drzewami. Husarze zbierali się tu, poili konie, niektórzy jeźdźcy patrolowali okolicę. Gerlach ściągnął wodze i pochylił się ciężko nad łękiem siodła. Ręce wciąż mu dygotały. Dowódca Kislevitów zatrzymał się tuż obok i uniósł w górę nosal,

odchylił skrzydła stalowego hełmu chroniące policzki i ściągnął go z głowy. Głowę miał gładko ogoloną za wyjątkiem kosmyka włosów na czubku, a brodę długą i obwisłą. Kiedy się uśmiechnął odsłonił dziurę tam gdzie brakowało mu przednich zębów.

To był Beledni.

- Ale dzień, ihaaaa? Ihaaa, Webla? Ale dzień!

IX

Grzmot przetoczył się przez mokradła i pobliską ścianę lasu, błyskawica rozświetliła na moment gęstniejącą szarą zasłonę chmur. Niektórzy skrzydlaci jeźdźcy dotknęli metalowych części swych zakrzywionych pochw, żeby odegnać magię burzy, inni wykrzykiwali gromko przysięgi i modlitwy w kierunku kislevskiego boga piorunów.

Gerlach Heileman patrzył jak Beledni używa grzbietu jeździeckiej rękawicy, by otrzeć pot i tłusty brud z twarzy i łysej czaszki.

- Nie poznałem cię - odezwał się Gerlach.

- Szto? - Beledni wydał wargi i zmrużył oczy.

- Nie rozpoznałem cię... Nie wiedziałem, kim jesteś. W twojej zbroi - wskazał na bogato zdobiony, srebrzysty kirys folgowany u dołu, złożone naramienniki i obojczyk, wspaniałe, czarno zakończone pióra skrzydeł. Ostatnim razem gdy się spotkali Beledni i jego ludzie wyglądali jak żebracy w futrach i szmatach.

Rotmistrz uśmiechnął się.

- My się ubierać do bitwa. Ubierać w zbroja, szyszak i skrzydła. My stawać do bitwa godnie i w dobry strój, robić pokaz siły. Ubierać i... golić, to oczywista.

- Golicie się? A jakie to ma znaczenie?

- Szto?

- Pytałem... nieważne. Skąd się tam wzięliście?

Beledni znów zmarszczył brwi.

- W bitwie. Bitwa. Skąd tam nadjechaliście?

Beledni zamyślił się głęboko.

- W bitwa my rozpoczęli od wschoda, tam być nasz pułk.

- Co?

- Wschodnia czias... czias... po waszemu to część, ihaa? Wschodnia część łąk. Gdzie

stać nasz pułk.

- Nie rozumiem. Co to za słowo „pułk“?

Beledni roześmiał się i rozłożył szeroko ręce.

- Pułk jest... - szukał w myślach słowa - oddział. Oddział do bitwa. Rota Jeczyczowskiego okręgu być kawałek Pułku Sanizańskiego. Dużo rota tworzyć razem pułk, dużo rota... jedna, dwie, dużo więcej!

- Rota - mruknął Gerlach. Słyszał już wcześniej to słowo. Odwrócił się by odszukać wzrokiem Volksa albo Demietera pomiędzy zgromadzonymi jeźdźcami.

- Ihaaa! Rota! U was być na to inne słowo... chorągiew. Ihaa? Chorągiew? Ty uratował naszą Jeczyczowską chorągiew, Webla. Podniósł ją z ziemia, kiedy padł Mikael Russa. Ty uczynił nam wielki honor.

Beledni nagle stał się bardzo, bardzo poważny. Wyciągnął rękę. Gerlach zdziwiony podał mu swoją, a mocarny uścisk łapy wielkiego rotmistrza prawie mu ją zmiądzzył.

Podjechał do nich wysoki i chudy husarz z blizną idącą przez lewy policzek. Pochylił się by przekazać coś szeptem swemu dowódcy. Twarz Beledniego spochmurniała.

- Ty iść, Webla. Ty iść. - powiedział.

X

Demioter leżał na czarnej, glinianej ziemi, niewielkiej wysepki pośród mokradeł. Leżał tuż obok swego konia. Husarze ze skrzydłami posiadali z koni i zebrali się wokół niego. Dwóch przy nim klęczało. Gerlach zeskoczył z Saksena i przykucnął u jego boku.

- Kaus?

- Heileman? To ty? Nie za dobrze widzę. Ciemno tu.

- Zbiera się na burzę...

- Nie, wszyscy jesteście jak cienie.

Rana w podbrzuszu Demietera była ohydną mieszaniną wnętrzności i krwi. Brzegi kirysu miał poplamione czerwienią.

- Gdzie jest Volks? - zapytał Gerlach.

Demioter obliznął spieczoną wargę i z trudem przełknął ślinę zanim odpowiedział.

- Nie widziałeś go? Ja wręcz przeciwnie, Gerlach. Jechał tak blisko mnie. Trafili go tuż przed linią drzew. Dokładnie wtedy, kiedy wjeżdżaliśmy w las. Dostał tyle strzał w plecy.

- A sztandar, Kaus? Co ze sztandarem?

Suchy charkot wydostał się z płuc rajtara. Był martwy.

Gerlach wstał i ściągnął jeździeckie rękawice. W jakiś sposób udało im się ocalić ten bezwartościowy sztandar Kislevitów i stracić po raz drugi swój własny. Czuł, że coś ściska go nieprzyjemnie w żołądku. Tylko on ocalał z Drugiej Kompanii Hipparchii Rajtarów z Talabheim. Nawet ich ukochany sztandar został utracony na polu bitwy. Został sam i jako chorąży okrył się przez jego utratę niesławą. Chyba lepiej by się stało, gdyby zginął w walce. Lepiej by się stało, gdyby te kislevskie psy, pozostawiły go, by poległ w chwale.

Znowu rozległ się grzmot. Świetliste linie pomknęły, rozgałęziając się, ku ziemi. Czarne, ciężkie od deszczu chmury rozbłysły od dołu przez krótką chwilę. Beledni i jego husarzy patrzyli teraz na niego.

Musiał uratować cokolwiek. Choć odrobinę honoru.

- Jedziemy - zwrócił się do rotmistrza - Do Choiki albo innego miasteczka nad rzeką Lynsk. Musimy tam pojechać. Zawieźć ostrzeżenie.

Beledni potarł policzek i wzruszył ramionami.

- Musimy tam jechać! - ciągnął Heileman - Najeźdźcy zmiażdżyli pod Zedewką nasze siły! Ruszą teraz na południe, ku rzece! Przeprowadzą się za nią! Sigmar ocalił nas z dzisiejszej rzezi! To dar, który musimy wykorzystać!

- Nie - stwierdził prosto Beledni - Wschód.

- Do pioruna! Armie Imperium wciąż podążają na północ, na pogranicze! Zbliżają się do rzeki! Podążają wprost w pułapkę! Wszyscy zginą, jeśli ich nie ostrzeżemy!

- Nie Webla. My powinni teraz jechać wschód. Wydostać się. Później my jechać nazad.

- Nie.

- To jedyne wyjście, ihaaa? My pojechać zachód albo południe, my zginąć. Tu jest śmierć i tu jest śmierć także. My możemy tam mało działać. Ale wschód, ihaaa? Mało i dużo, dużo dzięki mału. Tak jak opowieść o człowieku, co miał kamyk, a chciał zamek. Z małą po...

- Przymknij się! Gdzie twoja lojalność do cholery?! Gdzie do diabła jest twój honor?

Beledni zmarszczył brwi i wskazał na sztandar ze skrzydłem orła.

- Przy rota - powiedział to tak jakby było to oczywiste.

Niski dźwięk rogu rozbrzmiał ponownie. Wróg przedzierający się przez las był już w zasięgu wzroku. Ludzie rzucili się do swych koni. Beledni patrzył na Gerlacha.

- Mało i dużo, Webla, dużo dzięki mału - i odwrócił się by dosiąść konia. Wskazał na wierzchowca Heilemana. Zaschnięta piana znaczyła boki Saksena.

- Jedź Webla. Jedź by żyć. Kiedy żyć będziesz, ty potem wybierać jak chcesz zginąć.

Kurhan

I

Wszystko wokół stało się nieprzyjemne, cały świat był nieprzyjaznym miejscem. Wszystko obróciło się w ciemność i zmieniło w jedną, wąską pionową linię o niezwyklej twardości, która naciskała na grzbiet nosa i czoła.

Cała ciemność, całe stworzenie, wszystkie rzeczy, z których składał się świat, cała „Materia” jak nazywali to najwięksi uczeni z Imperium, których dzieła czytał, skupiła się w tej linii, czyniąc ją tysiąckroć twardszą od skały, setki tysięcy razy twardszą od żelaza. Nawet ciemność została w nią wessana. Nacisk z pewnością rozłupałby wkrótce jego czaszkę. Jedyną rzeczą, która nie zawierała się w linii, był zapach. Czuł unoszący się wokół przeraźliwy smród ekskrementów.

Karl Reiner Vollen zakaszłał i uświadomił sobie, że jeszcze żyje. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że paląca linia bólu naciskająca na czoło i nos to w rzeczywistości rana pozostawiona przez ostrze topora barbarzyńcy w wilczym hełmie. Nie chciał się poruszyć w obawie, że twarz rozłoży się niczym książka.

Zaczął macać dookoła dłonią pozbawioną rękawicy. Leżał na brzuchu, rzucony na jakąś bardzo nierówną powierzchnię. Głowę miał odchyloną daleko do tyłu, ponieważ coś naciskało mu na twarz. Szczebel. Drag.

Czuł swoją twarz. Nie była rozcięta, choć lewy policzek palił niewyobrażalnym bólem przy każdym dotknięciu. Wąską i pionową linią okazał się szczebel, o który oparte było jego oblicze.

Otworzył oczy. Wszystko było zamglone i rozmyte. Smród ekskrementów był wciąż niezwykle silny, ale teraz mieszał się z odorem dymu, potu i krwi. Usta otworzyły mu się, kiedy był nieprzytomny i język oraz gardło miał suche niczym pieprz. Spróbował się poruszyć. Jęknął z wysiłku i jednocześnie odezwały się inne jęczące i protestujące głosy. Uświadomił sobie, że leży rzucony na stertę ciał. Karl przekreślił się i usiadł. Łomotało mu w głowie.

Znajdował się w klatce. Ale nie takiej zwykłej klatce. Zrobiona była z pik i innych drzewcowych broni wbitych w ziemię w odstępach równych szerokości ludzkiej dłoni. Palisada ta, tworzyła okrąg o średnicy pięciu metrów. Ciężkie łańcuchy z brązu owijały i

wzmacniały całą konstrukcję w połowie jej wysokości i na samej górze. Na górze klatka była otwarta. Na niebie gnały i kłębiły się burzowe chmury.

Piki i reszta broni użytej do jej budowy... wszystko to był oręż żołnierzy z Imperium, oręż ludzi, którzy padli w walce. Na zewnątrz tej prowizorycznej klatki nie było widać nic za wyjątkiem zrytego błota, dymu i płomieni. Sadze i iskry unosiły się w górę z palących się budynków. Z ciemności dochodziły krzyki i niepokojące łomotanie bębnow. Karl nie miał pojęcia gdzie właściwie jest, ale domyślał się, że pewnie wciąż w Zedewce.

Wnętrze tymczasowego więzienia zasłane było warstwą ciał. Byli tam ludzie z Imperium: pokrwawieni, brudni, większość z nich nieprzytomna, a niektórzy martwi ponad wszelką wątpliwość. Leżeli tam gdzie cisnęły ich ręce oprawców, splątani i przemieszani. Karl zrozumiał nagle, jakie miał szczęście, że był jednym z ostatnich więźniów wrzuconych do klatki. Dzięki temu znalazł się na szczycie hałdy ciał. Ci, którzy byli na dole z całą pewnością zadusili się. Kończyny skręcały się i dygotały, niektóre wystawały przez szpary między prętami na zewnątrz.

Obok niego leżał jakiś mężczyzna z Carroberg. Kaftan miał pocięty i nasiąknięty krwią. Miał również złamaną szczękę. Pod nim znajdował się pikinier z Wissenlandu z uchem trzymającym się jedynie na strzępku skóry i napuchniętymi sinymi ustami. Leżący jeszcze niżej i trochę z boku łucznik był nieprzytomny lub martwy. Inni byli zbyt brudni lub oberwani by zidentyfikować, kim są.

Ubranie Karla i jego półbroja były zlachmanione i pocięte. Dotknął raz jeszcze twarzy i cofnął palce z sykiem. Ten topór! Czemu jeszcze nie jestem martwy?

- Co z nami robią? - zapytał jakiś niski, złękniiony głos.

Karl rozejrzał się. Jeszcze jeden pikinier z Wissenlandu siedział na zwale ciał, oparty plecami o pręty klatki i wpatrywał się w niego. Był młody, kaftan miał rozdarty, pierś znaczyła mu długa rana. Włosy miał posklejane krwią i potem.

- Rajtarze? Jak myślisz, co z nami będzie?

Karl potrząsnął głową.

- Jak się nazywasz? - zapytywał młody pikinier.

- Karl R... - zaczął. Dorzucił jednak potem - Karl.

- To zupełnie tak samo jak ja! Rozpromienił się na moment pikinier. Twarz mu jednak zaraz spochmurniała. - Karl Fedrik z Wissenlandu. Zabiją nas, mam rację?

- Na razie jeszcze tego nie zrobili - odparł Vollen. Nikt nie buduje klatki, nawet tak prymitywnej, dla tych, których i tak zamierza potem zabić. Nie chciał tego mówić na głos, ale zdawało mu się, że śmierć była najmniej przerażającą perspektywą w obecnej sytuacji.

- To, co? No, co? - jękał się młodzieniec z Wissenlandu.

- Zamknij się chłopcze! Zamknij do cholery swą gębę na miłosierdzie Sigmara!

Karl rzucił okiem wkoło i ujrzał niedźwiedzioatego weterana z Averlandu skręconego i opartego przy prętach po drugiej stronie klatki. On też został niedbale ciśnięty na stertę ciał.

- Po prostu zawrzyj gębę - powiedział jeszcze raz. Miał ranę od cięcia mieczem na rękę i przyciskał teraz kończynę do tułowia. Jego broda była niedawno ścięta, widać było krwawe ślady na szczeciniastym podbródku.

Karl spróbował się poruszyć, ale rozległo się natychmiast stękanie z dołu. Był pewien, że usłyszał odgłos wydawany przez powietrze wyciskane z martwych już płuc. Wszechobecny smród rozkładu aż dławił. Muchy falowały w powietrzu i obsiadały ciała.

Nagle przegalopowało obok klatki, tuż za prętami, dwóch jeźdźców z Północy. Młody pikinier, na ten widok, skulił się cały w sobie. Jeźdźcy zniknęli zaraz za kłębiącą się kurtyną dymu.

- Wszystko w porządku - Vollen starał się jakoś pocieszyć chłopaka. - Wszystko w porządku, Karl. Sam nie wierzył w wypowiedane przez siebie słowa. Nic tu nie było w porządku. Spojrzał znów przez całą długość klatki na weterana z Averlandu. Uczynił to dokładnie w momencie gdy starszy mężczyzna wysuwał zza swego splamionego krwią rękawa niewielki sztylet. Schwycił go później i docisnął szpic do swej krtani zamykając jednocześnie oczy.

- Nie! - Karl rzucił się w jego stronę nie zważając na protesty i jęki dochodzące z ciał pod jego stopami. Wpadł na weterana i siłą odciągnął mu sztylet od gardła. Ostrze zostawiło na skórze ciemną kropelkę krwi. Mężczyzna krzyknął i starał się uderzyć go pięścią, ale Vollen zacisnął swoją dłoń na dłoni trzymającej sztylet, a drugą ostro chlasnął Averladczyka po twarzy. Mężczyzna opadł bezwładnie i Vollen odebrał mu broń.

- Co ty do diabła wyrabiasz?

- Oddaj to! Oddaj mi mój sztylet! - błagał płaczliwie weteran.

- Nie! Co ci do łba strzeliło?

Starszy mężczyzna odepchnął Karla do tyłu i splunął na niego siarczyście.

- Idź do cholery! Wszyscy jesteśmy martwi! Wszyscy! Umrzemy tu! Oddaj mi mój sztylet, żebym mógł sam przebić sobie gardło i skończyć z tym wszystkim! Oszczędź mi bólu, jaki z pewnością zadadzą nam oprawcy!

- Nie! Zamknij się! - ryknął na niego Karl.

- Proszę! Ty cholerny bękarcie!

Karl popchnął szarpiącego się weterana z powrotem na pręty klatki z taką mocą, że

zadzwonily donośnie łańcuchy z brązu.

- Jesteśmy żołnierzami Imperium... przysięgaliśmy, że będziemy służyć Karlowi Franzowi! Jeżeli pisana nam śmierć to umrzemy! Nie wcześniej, nie z własnych rąk! Zawsze jest jakaś nadzieja!

Mężczyzna opadł w tył, oddychał ciężko. W jego oczach odbijały się tańczące nieopodal płomienie.

- Nie ma już dla nas żadnej nadziei. Nie w tej sytuacji rajtarze. - powiedział miękko - Nie masz o niczym pojęcia. Ci poganie wrzucili nas tutaj abyśmy później stali się głównymi bohaterami ich bluźnierczych zabaw.

- Nie - sprzeciwił się Karl - zamknęli nas tu bo jesteśmy jeńcami w...

Averlandczyk zaśmiał mu się prosto w twarz. Śmiał się tak, że krew zmieszana ze śliną przyskały naokoło.

- Walczyłeś już kiedyś z najeźdźcami z Północy chłopcze?

- Nie.

- Co o nich w ogóle wiesz? Nieokrzesane, brutalne plemiona? Kurhani?

- Niewiele o tym czytałem.

- Więc tak naprawdę nie wiesz nic! - głowa mężczyzny opadła. Westchnął ciężko. - Przed dwoma laty, walczyłem z Kurhanami. Widziałem wtedy takie rzeczy, że... nie mogę tego nawet opowiedzieć. Akty bezrozumnego barbarzyństwa. Oni nie są ludźmi, jak ty czy ja. To demony. Usypują z czaszek stosy i zdzierają skórę z pokonanych wrogów. I te ich rytuały. Sigmarze, chroń mnie. Ich rytuały. Ofiary z krwi dla ich piekielnych bogów. Myślisz, że dlaczego w ogóle jeszcze żyjemy?

- Ja...

- Jeńcy? Cha, cha, cha. Ty idioto! Chcą byśmy zostali przy życiu by nasze serca wciąż biły, gdy będą nas składać w ofierze swym bóstwom!

Młody pikinier zawył głośno po drugiej stronie upiornej klatki na samo tego wyobrażenie.

- Przymknij się! - uciął rozmowę Karl i smagnął raz jeszcze po policzku starszego żołnierza. - Straszysz tylko chłopaka!

- Powinien się bać - syknął weteran.

- Skończ już, ty stary głupcze! - odparował Vollen i uderzył go raz jeszcze. - Możemy się jeszcze stąd wydostać. My...

- Nie rajtarze. Nie możemy. Jesteśmy teraz bydlętem przeznaczonym na rzeź. Bydłem. Jeżeli rzeczywiście dbasz o życie towarzyszy, naprawdę dbasz, oddasz mi teraz mój sztylet. Kiedy ja skończę będziesz mógł użyć go, by ulżyć niedoli tego chłopca, a potem skończyć

sam ze sobą. To jest właśnie miłosierdzie okazane nam przez Sigmara.

Karl potrząsnął głową. Mężczyzna wyciągnął dłoń w jego kierunku.

- Proszę? Sztylet?

- Jak się nazywasz? - zapytał go Karl.

- Drogo Hance z Averlandu.

- Drogo Hance, uda nam się stąd wydostać. Przysięgam ci na honor mojej kompanii. Śmierć nie jest jedyną możliwością ucieczki.

Averlandczyk chłodno parsknął śmiechem i odwrócił się.

Coś działo się na zewnątrz klatki. Z dymu wyłoniło się trzech rogatych wojowników wlokąc ze sobą mężczyznę w pełnej zbroi. Jeden trzymał go za kolana, a drugi schwycił pod pachami. Człowiek w zbroi był nieprzytomny albo martwy. Bogata zbroja zdradzała, że należał do zakonu majestatycznych, imperialnych Rycerzy Panter. Jego zbroja i wyposażenie pobrzękiwały i dzwoniły, kiedy go tak taszczyli po torfie.

Wojownicy Kurhanów rzucili go na ziemię i zaczęli obierać z płyt zbroi, jego bezwładne ciało. Odrzucali to wszystko na bok, rwąc i przecinając skórzane pasy. Naramienniki, obojczyk, kirys, lamparcia skóra. Ściągnęli mu kolczugę i podarli nogawice, a także przeszywanice. Mężczyzna leżał teraz nagi twarzą ku ziemi. Wciąż się nie przebudził.

Karl chwycił się prętów klatki i obserwował. Jeden z Kurhanów zagłębił się w dym i wrócił po chwili z drewnianą baryłką. Ustawił ją na ziemi, a dwaj pozostali przewiesili przez nią rycerza w taki sposób, że opierał się na klatce piersiowej, a głowa zwisała mu poza jej krawędź. Kolejny z trójki dobył swego pałasza - długiego, prostego, obosiecznego miecza.

- Trzymać go - nakazał. Pozostali dwaj barbarzyńcy tak właśnie uczynili. Rycerz poruszył się, najwyraźniej zaczynał się budzić. Kurhan z pałaszem wzniosł oręż ponad głową szykując się do ciosu.

- Stać! Ani się waż! - zagrzmiął jakiś głos.

Rogaty wojownik opuścił powoli ręce. Trzy wysokie postacie ukazały się spomiędzy oparów dymu i wkroczyły szybkim krokiem w blask rzucany przez ogień. Jeden był przybocznym strażnikiem spowitym w łuskowaty płaszcz, z berdyszem przyciśniętym ukośnie do piersi. Dwaj pozostali byli hetmanami. Szczupły, choć nienaturalnie wysoki mąż zakuty od stóp do głów w czarną zbroję i potężny wojownik w hełmie z wilczym pyskiem. Jego ramię było teraz owinięte szmatami nasiąkniętymi krwią.

- Co tu robicie? - domagał się odpowiedzi wysoki barbarzyńca w zbroi. Pancierz miał pokryty jakąś czarną substancją, która była porysowana i zryta jakimś ostrym narzędziem, pozostawiając misterny rysunek złożony ze spiral, łuków i gwiazd połyskujących czystym

metalem. Na głowie miał barbutę, równie czarną jak zbroja i tak samo udekorowaną, z poziomą szparą służącą do obserwacji.

- Bierzemy jego czaszkę Zar Blayda - odpowiedział jeden z Kurhanów przykładając rękę płasko do serca.

- Tę czaszkę?

Wojownik z pałaszem odłożył broń by również położyć dłoń na swym sercu.

- Zar Herfil potrzebuje jeszcze dwóch by usypać swój zwycięski stos...

- Ale nie tę właśnie. Tego chcę mieć dla swej własnej uciechy - wysoki hetman wydobył zza pasa niewielką skórzaną flaszkę. Była zatkana woskiem, z którego sterczała długa, żelazna szpilka. Hetman wyciągnął ją i unióś bezwładną głowę rycerza za włosy, po czym szybko nakłuł trzykrotnie skórę na policzku. Potem pozwolił głowie opaść.

- Macie. Teraz nosi już na sobie mój znak.

- Ale Zar Herfil...

Wysoka postać w zbroi odwróciła się gwałtownie i z całym impetem rąbnęła wojownika dzierżącemu pałasz prosto w twarz. Ten zawył i zachwiał się do tyłu.

- Nie podawaj w wątpliwość mych słów, psie. Herfil dostanie swoje czaszki - Czarna postać wskazała w stronę klatki. - Weźcie je sobie stamtąd.

Kurhani rzucili się w kierunku prymitywnego więzienia pozostawiając nagiego, nieprzytomnego Rycerza Pantery, by sturlał się bezwładnie na bok z beczki. Jeden z wojowników ostrzem topora unióś do góry łańcuchy podtrzymujące pręty klatki, a pozostali wyrwali z ziemi drzewca i odrzucili na bok.

- Oni wszyscy nie żyją! - obwieścił jeden z Kurhanów gdy tylko zerknął do wnętrza.

- Tu masz jednego - powiedział Zar Blayda.

Barbarzyńcy przemocą wywlekli z klatki Karla Fredrika z Wissenlandu. Wrzeszczał straszliwie.

- Zostawcie go! - krzyczał Vollen rzucając się na oprawców. Wojownicy z Północy tęgimi kopniakami odrzucili go do tyłu.

Karl Fredrik z Wissenlandu, przerażony i absolutnie pewny losu, jaki go czeka został rzucony twarzą w dół wprost na beczkę. Cały uwalany był swymi odchodami. Kurhan z pałaszem potrzęsnał dwukrotnie bronią, a potem ciał w dół, odcinając za jednym razem głowę chłopaka. Krew buchała rytmicznymi falami z kikuta szyi.

- Jego też? - zapytał Zar Blayda wskazując na Vollena.

- Nie. Tego zostawcie - te stłumione, wypowiedziane niskim i mrocznym tonem słowa dobiegły od strony hetmana w hełmie przedstawiającym wilczy łeb. - Nazaczyłem go.

- Dobrze więc. Weźcie w takim razie tamtego.

Barbarzyńcy chwycili Drogo Hanca i pociągnęli go na zewnątrz. Gdy wlekli go do wyjścia spojrzął na Vollena i wrzasnął - Mówiłem ci! Mówiłem, parszywy bękarcie! Mówiłem! Mogłeś mi tego oszczędzić! Mogłem to zrobić szybko! Cholerny bękarcie!

Kurhani także zrobili to szybko. Pałasz opadł w dół, głowa Drogo Hanca sturlała się na ziemię. Zar Blayda podniósł obie ucięte głowy za włosy. Hance i Fredrik, mieli otwarte usta, a oczy schowane gdzieś w głąb czaszki tak, że widać było jedynie białka.

- Herfil będzie zadowolony - powiedział.

Wilcza maska wpatrywała się natarczywie w Vollena przez pręty klatki, gdy mężczyźni wrzucali do niej nagie ciało rycerza i zakładali z powrotem łańcuchy.

- Jesteś mi przeznaczony - rzekł w końcu Wilczy Łeb. Potem odwrócił się i odszedł brodząc w dwóch szerokich kałużach krwi wypływającej z bezgłowych trupów.

II

Pozostawiony sam sobie Karl zwymiotował. Obrzydzenie i groza. Groza i obrzydzenie. Te dwie rzeczy pulsowały i krążyły w jego głowie. Był bardzo bliski paniki. Żelazisty odór krwi był tak silny, że zwymiotował raz jeszcze i jeszcze, do momentu, gdy nie pozostało mu już nic w żołądku. Próbował oszczędzić innym swej słabości, ale nie był w stanie się powstrzymać.

- Przepraszam! Przepraszam! - dyszał w przerwach między spazmami, starając się oczyścić człowieka leżącego pod nim ze swych wymiocin. Wyglądało jednak na to, że w klatce byli już rzeczywiście tylko martwi.

Trzęsąc się z zimna i suchych spazmów żołądka Karl skulił się przy kratkach. Na zewnątrz, w ognistej ciemności, jakiś prymitywny róg zagrał długą i niską, zupełnie atonalną nutę. Inne dołączyły do niego. Niektóre rozbrzmiały całkiem blisko, inne w oddali. Grały tak i zawodziły przez całe minuty zanim wreszcie ucichły na dobre.

Karl uświadomił sobie, że skulił się dokładnie w miejscu zajmowanym wcześniej przez Karla Fedrika z Wissenlandu, niech przeklęta będzie ta zbieżność imion. Ta myśl..., porównanie..., to było zbyt wiele. Nie mógł tego znieść. Nie potrafił nawet zmusić się, by spojrzeć na dwa bezgłowe trupy, porzucone poza klatką. Ruszył po stercie ciał aż znalazł inne miejsce, gdzie usiadł. Ruch sprawił, że z ludzkiej hałdy dobieły się jęki i wycia. Kiedy

usadowił się na powrót, uświadomił sobie, że trzyma coś w lewym ręku. Coś małego, zimnego i twardego. Sztylet Drogo Hanca.

Karl podniósł go powoli do swej twarzy. Prawdziwe niewielkie cacuszko ukute w kuźniach Averlandu. Ostrze długości męskiej dłoni było przewężone i zaokrąglone tak, że przypominało tulipan. Sztylet miał prostą mosiężną rękojeść, uchwyt był owinięty dodatkowo czarnym, matowym drutem. Typowa broń pikiniera, trzymana w bucie albo za pasem, służąca do dobijania opancerzonego wroga, gdy ten już padnie, pod uderzeniami halabard i pik. Pikinierzy nazywali takie sztylety „prawdziwymi zabójcami”. Znano ich głównie z tego, że używali długich broni drzewcowych, ale to właśnie takie niewielkie sztylety i mizerykordie najczęściej zabijały.

Karl przyglądał się ostrzu. Prawdziwy zabójca. Uświadomił sobie, że Hance miał rację. Małe, szybkie ostrze i taka sama śmierć. Miłosierna, uwalniająca. Jako, że ból i groza, które czekały na niego poza tą prymitywną klatką, przekraczały wszelkie wyobrażenie.

To zdawało się być niezwykle proste, niezwykle uczciwe.

Karl Reiner Vollen zamknął oczy i wypowiedział słowa modlitwy do Sigmara. Poprosił Imperatora Karla Franza o wybaczenie. Bogowie powinni go zrozumieć. Przycisnął ostrze na płask do gardła i palcami drugiej ręki starał się wymacać tętnicę szyjną. Była napęczniała i pulsowała rytmicznie. Serce łomotało mu jak szalone. Odwrócił ostrze tak, że teraz opierało się krawędzią o ciało. Jeszcze jedna modlitwa, by wspomnieć o swych siostrach, o ojcu i matce, o Guldenie, który nauczył go wszystkiego, o konnej jeździe i...

Zagryzł wargę.

Nie mógł poruszyć ręki choćby o milimetr.

- Sigmarze, proszę... - zaszlochał.

Nie potrafił tego zrobić. Jakaś desperacka wola życia powstrzymywała go i nie pozwalała choćby drgnąć ręce dzierżącej sztylet. Jeżeli już nic innego, to było coś nieprzystojnego w fakcie, że to imperialne ostrze miało odebrać życie żołnierza Imperium.

- Bądź przeklęty Drogo Hance! - krzyknął i upuścił sztylet. Potem, ze łzami wzbierającymi w oczach wyszeptał. - Bogowie ci wybaczą, na pewno.

- Halo...? - otrzeźwił go jakiś głos. Karl odwrócił się. Rycerz zakonny, rozebrany i ciśnięty na hałdę ciał walczył żeby się podnieść, rozglądając się niewidzącym wzrokiem dokoła.

- Jest tu ktoś? Ktokolwiek? Halo... Ktokolwiek. - silny i dumny głos łamał się trochę.

- W porządku. Nie obawiaj się, jesteś bezpieczny - zapewnił go Karl brnąc do niego przez materac złożony z ludzkich kończyn i torsów.

- Ktoś ty? Nic nie widzę. Nie wiem nawet gdzie jestem.

- Nazywam się Karl Reiner Vollen, panie. Druga Kompania Hipparchii Rajtarów. Jestem trębaczem. Jesteś bezpieczny... na razie, jesteś bezpieczny.

Rycerz przetoczył się i sięgnął ręką w kierunku skąd dochodził głos Vollena.

- Karl Vollen? Gdzie jesteś?

- Tutaj panie - Karl wyciągnął dłoń i mężczyzna uchwycił ją wreszcie.

- Jestem ślepy - powiedział rycerz. Miał na czole jakąś ciemną plamę, poważną kontuzję. Jego niewidzące oczy kręciły się dookoła niczym orzech w luźnej łupinie. Mocno ścisnął dłoń Karla.

- Gdzie jesteście?

- W dosyć kiepskim położeniu, panie, nie mogę kłamać. Zostaliśmy schwytani i zamknięci w klatce przez Kurhanów.

- Ach - rycerz skinął głową i westchnął. - Tego się właśnie obawiałem. Zabili pode mną konia. Biedna Schalda. Potem coś uderzyło mnie w twarz. W głowę mówiąc dokładniej. Myślę, że to była kopia. Może topór. Zimno mi.

- Zabrali twą zbroję i ubranie - wyjaśnił Karl, chcąc jeszcze dodać, że omal przy okazji nie stracił również swej głowy, ale powstrzymał się i nie rzekł nic.

- Tak oto nadszedł mój koniec - powiedział rycerz.

Karl pogrzebał w stercie ciał i znalazł kogoś, kto bez wątpienia był już martwy. Szarpiąc i ciągnąc udało mu się zdjąć z niego kurtę i wełnianą koszulę.

- Panie? - zaczął. - Weź to i załóż na siebie. Rozgrzejesz się trochę.

Jego oczy skrzyżowały się jakby miał zeza, kiedy rycerz wymacał drogę do brudnych ubrań, które zdobył dla niego Karl.

- Tak lepiej - stwierdził po chwili. - Za okazanie serca i pomoc winien ci jestem wdzięczność, jestem twoim dłużnikiem trębacz Vollen. Twoja kompania jest z Talabheimu, prawda?

- Tak panie.

- Złożyłeś już śluby? Jesteś gotowy by przyjąć ostrogi?

Rycerz pytał czy Karl przygotowuje się do wstąpienia do jednego z rycerskich zakonów.

- Ja... moje urodzenie nie jest wystarczające panie. Nie jestem gotowy.

Rycerz obrócił się tak, że patrzył teraz na młodzieńca, mimo, że i tak nie mógł go zobaczyć. Puste oczy wpatrywały się w punkt sporo ponad lewym ramieniem Vollena.

- Jeśli się stąd wydostaniemy, Karl, twoje urodzenie nie będzie żadną przeszkodą. Jest to w mej mocy by wynagrodzić cię za twą pomoc.

- Nie zrobiłem tego po to by...
- Oczywiście, że nie. Nie chciałem cię urazić.
- Jak się nazywasz, panie? - zapytał Karl.
- Von Margur - odparł rycerz, ogarniając swój tors rękami.
- Von Margur? Tak jak wielki bohater z Altdorfu?
- Ślepy, patrzący w złą stronę rycerz uśmiechnął się.
- Bogowie! - podniósł głos Karl. - Ty jesteś von Margur z Altdorfu!
- Jestem. Chyba, że jest jeszcze jakiś inny, o którym nic mi nie wiadomo.
- Wielki to zaszczyt dla mnie, panie - zaczął Vollen, lecz po chwili jego głos osłabł.

Uświadomił sobie jakże to było śmieszne. Byli zgromadzeni w klatce, oczekując barbarzyńskiej śmierci, a on właśnie wysławiał i ekscytował się jakimś bohaterem. Brutalna prawda była taka, że ów bohater był równie bezbronny, co on. Obaj mieli wkrótce umrzeć.

- Karl? Gdzie się podziałeś? - chrapliwym głosem zawołał von Margur.
- Jestem tu panie - odpowiedział.

Przeszukiwał zwał ciał by odnaleźć upuszczony sztylet. Ręka zacisnęła się na rękojeści i wydobył go z płataniny kończyn. I trzymała w pobliżu serca.

III

Po pewnym czasie rycerz zapadł w sen. Głęboki, niezdrowy sen rannego człowieka. Karl usiadł i oparł się plecami o kraty. Sztylet schował głęboko za pazuchę. Obrócił głowę i po raz pierwszy spojrzał na dwa bezgłowe trupy leżące nieopodal klatki. Kłębily się na nich roje much.

Ktoś wynurzył się z dymu. Hełm z brązu wykuty tak, by imitował byczy łeb. Trzy niesymetrycznie rozmieszczone rogi. Skórzane pasy. Dzwoniące naszyjniki z muszli i polerowanych kości. Oprócz tego zupełnie nagie ciało. To był ten barbarzyńca, którego Karl spotkał wcześniej w sypialni marszałka. Kurhan postąpił do przodu, bosc stopy klaskały w rozmiękłym błocie. Był niski i krępy z grubą, byczą szyją. W każdym ręku kręcił długi, ostry nóż, służący do dźgania.

Doszedł do prętów naprędcy skleconej klatki i patrzył do środka, prosto na Karla. Vollen nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten rogaty diabeł go rozpoznał. W rzeczy samej, miał nieprzyjemne uczucie, że barbarzyńca dotarł tu, bo go szukał. Po jednej stronie wizjera jego

helmu widniało świeże i głębokie, poszarpane wgłębienie, tam gdzie dosięgnął go miecz Karla. Mężczyzna schował do pochwy jeden z noży i sięgnął ręką do helmu, dokładnie do rozcięcia. Przejechał palcami w dół ostrej, poszarpanej krawędzi kalecząc ją o metalowe zadziory. Potem strzepnął krople krwi na Karla, skręcając dłoń w nadgarstku.

- Jestem Ons Olker, padlino - powiedział z lekkim tylko wahaniem w języku Imperium. - Naznaczyłem cię mą krwią. Za twój atak zabiorę twą duszę.

Potem odwrócił się i odszedł w dym, wciąż strzepując krew z ręki.

IV

Karla obudził zacinający i zimny deszcz. Nie pamiętał, kiedy i jak zapadł w sen. Deszcz, najmocniejszy, jaki padał od chwili, gdy opuścili Brodny. Był wręcz lodowaty. Przebudził i zmusił do czynu kilku zamkniętych w klatce ludzi, którzy zdawali się być już trupami. Był między nimi von Margur. Okazało się, że nie ma już zbyt dużo miejsca w ich więzieniu. Nie można było już leżeć, czy choćby zwinąć się w kłębek. Więźniowie zmuszeni byli teraz stać, trzęsąc się z zimna, na ciałach tych, którzy nie mieli już nigdy wstać. Niektórzy stękali i jęczeli.

Ktoś szlochał. Inny wykrzykiwał jakieś niespójne nonsensy. Kilku połączyło się w intonacji modlitw do Sigmara. Były to modlitwy błagalne mające przynieść im siłę.

Karl zorientował się, że sam szepcze stare, wyuczone na pamięć wersy. Był tak mokry i zziębnięty do szpiku kości, że nie mógł zapanować nad trzęsącymi go drgawkami. Gdy wyrzał na zewnątrz klatki, nie mógł dostrzec nic, co znajdowało się dalej niż cztery metry od ich więzienia, tak silny był deszcz. Zastanowił się czy ktoś ich pilnuje. Na dobrą sprawę można było wyciągnąć z ziemi jedną lub więcej pik stanowiących pręty klatki i wydostać się z tego prowizorycznego więzienia. Tylko gdzie uciec? Taka próba z pewnością sprowokowałaby odwet ze strony barbarzyńców. Ale z drugiej strony, cóż mogło być gorszego niż nędzna sytuacja, w jakiej znajdowali się obecnie?

Karl schwycił mocno drzewce, obok którego stał.

- Co robisz? - syknął mężczyzna stojący obok niego. Karl nie odpowiedział.

- Przestań! - dodał po chwili współwięzień. - Zabiją nas bez wątpienia, jeśli...

Karl spojrzął na niego. Był to przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, mający na sobie wystrzępiony skórzany płaszcz i fartuch kowala lub artylerzysty.

- I tak nas zabiją - odpowiedział Vollen.
- Karl? Czy to ty? - zawołał von Margur, sięgając na ślepo w jego stronę.
- Chłopak próbuje uciekać! - odpowiedział mu przysadzisty mężczyzna.
- Daj sobie spokój Karl - miękko rzekł von Margur.
- Tam na zewnątrz nikogo nie ma panie... - zaczął kręcąc drzewcem by wydobyć ostrze zagłębione w błotnistej ziemi.
- Oczywiście, że są - stwierdził rycerz.
- Skąd możesz to wiedzieć? Nie możesz... To znaczy mam na myśli...
- Czuję ich, czuję i wiem, że czuwają - odparł na to ślepy rycerz. Powiedział to z takim przekonaniem, że Karl puścił wreszcie pręt klatki w poczuciu winy.

Po kilku minutach deszcz ustał raptownie. Ulewa oczyściła powietrze z dymu i odsłoniła ich oczom świat w różnych odcieniach szarości, spowity bezbarwnym zmierzchem. Był to prawdziwy obraz zniszczenia i dewastacji: wszechobecne błoto, stratowane pola i dymiące jeszcze, czarne ruiny Zedewki. Ich klatka ze zdobycznych broni była jedną z dwudziestu podobnych stojących na zalanym wodą pastwisku nieopodal zachodniej ściany martwego teraz miasteczka. Każda była zapełniona brudnymi i pozostawionymi samym sobie ludźmi i ciałami, zupełnie tak jak ta, w której siedział Karl. Musiało tam być ponad tysiąc więźniów, spędzonych niczym świnię do zagrody.

W oddali płonęły wielkie ognie. Tak wielkie, że nawet potężna ulewa nie zdołała ich zgasić. Prawdziwe wzgórza z bali, wyższe niż stodoła, ślące w puste niebiosa ogromne płomienie. Ognie sygnałowe, stosy pogrzebowe, gorejące płomienie zwycięstwa - Karl nie potrafił orzec, czym tak naprawdę były. Widział ciemne sylwetki, plamki zaledwie z tej odległości, krążące dookoła wielkich ogni niczym ich wyznawcy. Słyszał grzmienie bębnow i rytualne śpiewy. Padlinożerne ptaki, wrony w szczególności, krążyły ponad polem bitwy, trzepotały w powietrzu niczym jesienne liście.

Ulewa odsłoniła także inną rzecz, znacznie im bliższą. Woje z Północy zbrojni w topory i szerokie włócznie kręcili się przy granicy pastwiska gdzie stały klatki, bacząc na nich wszystkich. Niektórzy mieli ze sobą pokaźnych rozmiarów ogary, które teraz leżały nieopodal swych panów, trzymane na smyczach z łańcucha.

- Widzisz? - syknął mężczyzna stojący obok Vollena.
- Miałeś rację panie - Karl zwrócił się do rycerza.

Nikt się już więcej nie odezwał. Nawet biedak gadający wciąż swoje bezsensowne zleпки słów również umilkł. Perspektywy jakie mieli przed sobą były zbyt ponure, zbyt złowieszcze i apokaliptyczne, by warto było o nich jeszcze mówić.

Zapadła ciemna i zimna, bardzo rześka noc. Mroźna, szklista ciemność wiosennej nocy. Wszyscy wciąż stali, drżący i oboleli z zimna. Wszedł księżyc pałający niczym ogromna biała lampa. Pojawiły się gwiazdy, ale były przyćmione i zimne, a do tego nie przypominały żadnego z gwiazdozbiorów, o jakich się kiedyś uczył Karl. Był pewien, że to tylko jego wyobraźnia płata mu sztuczki.

Później pojawił się także drugi księżyc, ale nie mógł dorównać jasnemu, mroźnemu światłu pierwszego. W oddali, pośród ciemności ustały śpiewy i łomotanie bębnow, a wielkie ognie gasły jeden po drugim.

V

Karl przebudził się znowu o świcie, zmarznięty do szpiku kości. Obudziło go potrząśnięcie, wciąż stał wyprostowany. Zamrugał nieprzytomnie oczami i w słabym jeszcze świetle zobaczył, że to dobrze zbudowany sąsiad, podtrzymywał go, by nie upadł i mógł spać. Karl był naprawdę zdziwiony jego szlachetnym uczynkiem.

- Wszystko dobrze chłopcze - kiwnął głową mężczyzna. - Nie mogłem pozwolić byś upadł, na pewno by cię stratowali.

Karl zauważył, że mężczyzna płakał, miał zaczerwienione oczy i ściągniętą twarz. Wielkie dłonie, uwalane prochem, drżały mu z zimna i strachu.

- Jak się nazywasz? - zapytał Karl.

- Ludhor Brezzin z Nuln.

- Inżynier?

- Nie chłopcze. Nic tak wielkiego. Jestem prochowym z obsługi działa. To znaczy byłem prochowym - wzruszył swymi wielkimi ramionami na tyle, na ile pozwalała gęsta ciżba tłoczących się ciał. Potem odwrócił się i pociągnął nosem, trąc oczy pokaźnym nadgarstkiem.

- On ma syna - wyszeptał jakiś głos wprost w ucho Karla. Należał do ślepego rycerza.

- Syna?

- Chłopaka, mniej więcej w twoim wieku. Całą noc szlochał z żalu, że już nigdy go nie zobaczy.

- Powiedział ci to wszystko, panie? - zapytał go szeptem Vollen.

Rycerz pokręcił przecząco głową. Karl chciał zapytać skąd w takim razie wie o tym, ale szlachcic wyglądał na bardzo słabego i wyczerpanego. Siniec na jego głowie urósł jeszcze i

przybrał dziwną bladą barwę. Oczy rycerza wciąż kręciły się bezwładnie, niczym oczy lalki. Lewe, te bliższe zranieniu podeszło krwią. Pomimo, że cios, który go powalił nie rozplątał mu głowy uczynił jednak samą swą siłą znaczne szkody. Karl był tego pewien. Od wstrząsu zerwały mu się gałki oczne, czyniąc go ślepym. Jego mózg również został bez wątpienia uszkodzony. Kiedy von Margur otworzył usta by przemówić, jego białe zęby, okolone były obwódką krwi.

- Mój przeciwnik tego mnie zaprawił - odezwał się nagle rycerz, jakby prowadził rozmowę. Jakby słyszał wszystko to, o czym myślał Vollen. Obrócił twarz ku sygnaliście, chociaż oczy wpatrywały się w coś zupełnie innego. - To był czart w czarnej zbroi, tej z rzeźbionymi wzorami...

- Kurhani nazywali go Zar Blayda.

- To demon - rzucił ślepy rycerz - Jego myśli są jak roztopione żelazo. Chce zostać Wielkim Zarem i knuje spisek by zamordować Surtha Lenk.

- Kogo?

- Nie wiem. Słowa same cisną mi się na usta.

Von Margur umilkł raptownie i wyciągnął dłoń w stronę Karla. Ten ją schwycił. Skóra rycerza była zimna niczym lód. Karl wyraźnie widział piętno Zara Blayda na prawym policzku. Trzy ciemne nakłucia, kropki zaschniętej krwi. Ciało dookoła nich było zielonkawe, jakby odbarwione. Na szpilce musiała być widocznie jakaś farba albo atrament. Co miał na myśli Wilczy Łeb mówiąc, że on też naznaczył Karla? Sygnalista delikatnie pomacał się po twarzy wolną ręką. Lewa strona była wciąż obolała i napuchnięta, pokrywał ją wielki siniec. Czuł tam wiele nacięć. Skóra była popękana i starta. Na prawym policzku też odczuwał ból. Maleńką, piekącą kropeczkę. Nakłucie.

- Co oznacza to piętno?

- Karl - odezwał się von Margur. - Boję się.

- Wszyscy się boimy panie.

- Boję się o siebie. Coś wlało mi do głowy. Coś, co próbuje się teraz wydostać. Dzięki temu widzę różne rzeczy, a oni nazywają to co ujrzałem. Ja... - urwał ponownie i potrząsnął głową. A potem upadł.

Ogarnęły go spazmy i drgawki, kończyny miał tak sztywne jak drzewca włóczni. Koszmarny, zniżający się chrobot wydostał się z jego krtani. Spomiędzy zaciśniętych kurczowo zębów spływała na wargi różowa piana. Karl schwycił go i starał się podtrzymać, szarpane konwulsjami, ciężkie ciało. Przestraszeni współwięźniowie stojący dookoła, starali się za wszelką cenę cofnąć, nie chcieli dotknąć rycerza.

- Pomóżcie mi z nim - wrzasnął Karl.

- Zostaw go chłopcze! Jest już przeklęty! - ostrzegł go jeden z tłumu.

- Został opętany! Wsiąknęło w niego zło z Północy! - zakwiczał inny.

- Wy sucze syny! Niedouczeni głupcy! - krzyknął Vollen. - To po prostu atak! To przez tę jego ranę! Bogowie, jesteśmy mieszkańcami Imperium! Podobno jesteśmy cywilizowanymi ludźmi! Pomóżcie mi, wy przesadne barany!

Tylko Brezzin ruszył by mu pomóc.

- Upewnij się, że nie pogryzie języka - rzucił potężny artylerzysta, kołysząc von Magura, w swych mocarnych łapskach. Po jakiejś minucie ciało rycerza zwiotczało i przestał się rzucać. Brezzin puścił go delikatnie, a von Margur raptownie usiadł, po czym przechylił się i zwymiotował wprost na zasłaną trupami podłogę jakąś ohydłą mieszaniną żółci i czegoś czarnego. Następnie zapadł w sen.

- Dzięki niech będą Sigmarowi, że choć ty nie podzielasz opinii tego ignoranckiego motłochu - zwrócił się Vollen do prochowego.

- O tym, że jest opętany?

Karl przytaknął skinieniem głowy.

- Podzielam - stwierdził Brezzin. - Ale potrzebowałeś pomocy.

VI

Godzinę po ataku Von Magura, Kurhani podeszli tłumnie do klatek. Czuć było wielkie podniecenie. Grały rogi, grzmiały bębny, czekały psy, a ludzie śmiali się głośno i pokrzykiwali w surowych narzeczach Północy. Więźniowie czekali w ciszy wewnątrz pierścieni z pik.

Zwarty tłum Kurhanów, otoczył klatkę w której znajdował się Karl. Zaglądali do środka, wykrzykiwali obelgi, drwili sobie i kłuli ich końcówkami włóczni. Więźniowie zbili się w ciasną gromadę, obserwując otaczające ich twarze, skryte w hełmach z czarnymi wizjerami. Karl zauważył w gęstwie dzikusa, którego zwano Ons Olker. Wyróżniały go z tłumu trzy niesymetrycznie rozłożone na hełmie rogi.

Zagrzmiały kopyta i gromada Kurhanów rozdzieliła się, by przepuścić jakiegoś jeźdźca. Był to przywódca w hełmie o kształcie wilczego łba, Nemezis Karla. Zsiadł z konia i skierował się długim krokiem ku klatkom. Wciąż miał na sobie niedźwiedzią skórę, czarne

nogawice i buty. Ale skórę miał czystą i natartą jakimś tłuszczem tak, że cała błyszczała. Uderzył ręką o rękę, pierścienie opasujące mięśnie zadzwoniły głośno. Zebrani dookoła Kurhani krzyknęli gardłowo na ten znak. Potem Wilczy Łeb podniósł ręce i uniósł za skrzycone rogi swój czarny, wilczy hełm.

Jego twarz wyglądała zupełnie inaczej niż to sobie Karl wyobrażał. Był gładko ogolony, nie miał brody, włosów a nawet brwi. Starożytne, rytualne blizny biegły szerokimi bruzdami w dół policzków, pięć po jednej stronie, dwie po drugiej. Oczy miał błyszczące i twarde niczym diamenty. Był zaskakująco urodziwy w jakiś prymitywny sposób. Przystojny jak przywódca wilczego stada. Rzucił hełm do jednego ze stojących obok Kurhanów i otarł dłonie o łysą, naoliwioną czaszkę.

- Wyciągnąć ich - rozkazał.

Tłum ruszył i barbarzyńcy zaczęli wyciągać powbijane w ziemię piki, zaczęli ściągać w dół łańcuchy łączące je do tej pory. Potem, kijami i włóczniami, wypędzili jeńców z otwartej już klatki. Pozostała za nimi nędzna, splątana sterta ludzkich ciał.

Brezzin i Karl podtrzymywali von Magura. Kilku z ich towarzyszy niedoli szlochało i błagało o litość. Kurhani przepychali się dookoła nich, napierali żeby szturchnąć lub klepnąć któregoś z więźniów. Popychali i zabawiali się przy tym głośno rechocząc. Jakiś mężczyzna padł na kolana przed Wilczym Łbem i zaczął błagać go o litość. Ten jednak kopnął go mocno prosto w twarz.

- Trzy rogi! - zaskakująco odezwał się von Margur, budząc się w jednej chwili. Brezzin i Karl spojrzeli na niego zdziwieni. Jakaś dłoń opadła na ramię Vollena i obróciła go. Patrzył teraz wprost w oczy byczej maski Onsa Olkera. Nagi, krępy osiłek przebił się przez tłum by go dosięgnąć. W ręku dzierżył jeden ze swych ostrych noży.

Wilczy Łeb rzucił się w ich stronę, odkopując na boki przeszkadzających mu więźniów i uderzył mocno Olkera w pierś, zanim jeszcze ten zdążył dźgnąć młodziana. On Olker upadł i wydał z siebie okrzyk zaskoczenia. Więźniowie i barbarzyńcy cofnęli się by zrobić im miejsce. Wilczy Łeb uderzył ponownie, trafiając w hełm zakutym w bransolety przedramieniem. Siła ciosu wygięła jeden z i tak już pokrzywionych rogów.

Ons Olker zaskowyczał jak pies. Jego naszyjniki zagrzechotały.

- Co to, Olker? Jaką grę tu prowadzisz? - domagał się odpowiedzi olbrzymi wojownik.

- On mój, zar! Naznaczyłem go krwią, jako, że mi przewinił! Jego dusza należy do mnie!

- Twoje piętno krwi nie ma znaczenia. On nosi już mój znak, Olker. Musisz mnie pokonać, nie uderzać za moimi plecami.

- Jego dusza należy do mnie! - zawył mniejszy mężczyzna.

Wilczy Łeb kopnął go.

- Precz gównojadzie! Zar Badyła może ceni cię za twój dar wieszczczenia, ale nie ja. Dla mnie jesteś tylko gównojadem i sługą. Precz i nie wchodź mi w drogę, dopóki twoje oczy, znów nie wypatrzą czegoś użytecznego!

Ons Olker syknął w kierunku potężnego woja i uczynił jakiś znak splecionymi palcami. Potrząsnął kościanymi naszyjnikami.

- Oszczędź sobie uroków! Mój szaman już mnie poświęcił! - ryknął Wilczy Łeb.

Ons Olker włożył zagięte palce pod krawędź swej byczej maski i uniósł ją na tyle, by odsłonić chropawe, okolone brodą usta, wypełnione połamanymi, brązowymi zębami. Splunął w stronę Wilczego Łba.

- Przeklinam cię, Zar Uldin! Tyś dłużny mi duszę!

Uldin spojrział na jednego ze swych ludzi.

- Przynieś mi mój pałasz - rzucił w jego kierunku.

Słyszając to Ons Olker odwrócił się i uciekł.

Zar Uldin powoli odwrócił się i spojrział na Karla. Jego oczy były jasne i mroźne niczym księżyc, który świecił nad głowami ostatniej nocy.

- Kosztujesz mnie sporo człowieczku z południa. To - dotknął wciąż otwartej rany na ramieniu, którą zadał swym mieczem Karl jeszcze w ziali. - A teraz przekleństwa czarownika. Zaczynam myśleć, że jesteś zbyt niebezpieczny by zatrzymać cię przy życiu.

- Ty zabiłeś mojego konia - odpowiedział mu Vollen.

Oczy Zara Uldina ściągnęły się w wąskie szparki. Po chwili zaśmiał się gromko.

- Nie będziesz już potrzebował swojego konia.

To rzekłszy oddalił się wydając Kurhanom rozkazy. Więźniowie zostali poprowadzeni w stronę wielkiej łąki, na której toczyła się bitwa. Kurhani spędzili ich w pobliżu jednego z wielkich stosów, które paliły się ostatniej nocy. Wyglądał jak nierówna piramida wypalonych bel drewna i zbielałego, suchego popiołu dymiącego jeszcze w tym zimnym poranku. Karl widział, że ludzie z innych klatek też są prowadzeni do wielkich pogorzeliisk. W powietrzu wisiał dziwny zapach. Na pewno był to swąd dymu, ale złamany lekko przez cuch jakby pieczonego mięsa. Kurhani zmusili wszystkich do wejścia i kopania w popiele. Stos był wciąż gorący i parzył przy każdym zetknięciu ze skórą. Kiedy odgarniali tak popiół gołymi rękami w kilku miejscach odsłoniли gorejące jeszcze czerwienią węgle. W ciągu kilku sekund ręce pokryły im oparzenia i pęcherze od tłących się jeszcze szczap drewna.

- Co my właściwie do cholery robimy - zapytał jeden z więźniów.

Karl odgarnął gołymi palcami gorący popiół i odkrył odpowiedź na pytanie. Kilku innych

ludzi także ją odkryło, w tym samym momencie, co młodzieniec. Rozległy się okrzyki grozy. Wykopywali czaszki. Czaszki, które zostały wypalone do czysta. Mięso, skórę i włosy strawił ogień. Czaszki kredowobiałe od popiołu i pulsujące jeszcze wewnętrznym ciepłem. Kiedy je wyciągali, wypływały z wnętrza, resztki jakiegoś płynu.

Taki był właśnie cel, rozpalenia tych wielkich ogni. Miały przygotować czaszki pokonanych do usypania przez Kurhanów triumfalnych stosów. Ich wykopywanie było zaś kolejnym upokorzeniem, które musieli wycierpieć.

VII

Śmiejąc się i pokrzykując, Kurhani zmusili więźniów, by ci wykopywali z pogorzeliśka czerepy i składali je nieopodal ognia. Utworzyły wkrótce luźny kopczyk, poprószonych białym popiołem kości, które klekotały i trzaskały, uderzając o siebie. Niektórzy z więźniów wymiotowali przymuszeni do makabrycznej pracy, a jeden w ogóle jej odmówił. Kurhani pobili go, potem skłuli włóczniami i pozostawili ciało wronom.

Pojawił się znów Zar Uldin i część wojów zaczęła nosić do niego czaszki wydobyte z popiołu. Zaczął je układać w stos, cierpliwie, jak dziecko budujące coś z klocków. Był z nim szaman. Niewielki, zasuszony człowieczek, nagi zupełnie tak jak Ons Olker. Miał na sobie żelazną barbutę z wyrzeźbionym dookoła węzłem i zawodził jakieś intonacje, kiedy podskakiwał wokół zara. Trząśł grzechotką i naszyjnikami z muszli i kości palców. Na nagim ciele wyrysował z pomocą popiołu jakieś dziwaczne symbole.

Zar Uldin dokładnie wypełniał polecenia szamana wydawane głosem podobnym do szczekania psa. Pierwsze czaszki ułożył w kwadrat. Każdy jego bok składał się z trzynastu patrzących na zewnątrz czaszek. Szaman upewnił się jeszcze, że jeden z rogów wskazuje dokładnie północ. Karl nie był pewien, w jaki sposób to zrobił, ale zdawało mu się, że barbarzyńca ma w rękach coś w rodzaju prymitywnego kompasu.

Potem Uldin zaczął układać przyniesione przez Kurhanów czaszki w środku kwadratu, wznosząc w ten sposób piramidę. Wygłaszał przy tym jakąś modlitwę, niestety Karl nie mógł rozróżnić jej słów. Szaman skakał wokół zara wciąż śpiewając i grzechocząc, nie stawiając na ziemi lewej nogi.

W tej chwili wszyscy więźniowie byli już uwalani po łokcie w białym popiele i ogarniały ich mdłości. Niektórzy płakali.

Piramida rosła. Szaman wciąż podskakiwał potrząsając grzechotkami i naszyjnikami, śpiewając bez ustanku.

Karl wygrzebał z popiołu kolejną czaszkę i ośmielił się rzucić okiem na to, co działo się w okolicy. Przy każdym pogorzelisku dookoła pola bitwy, odbywała się podobna scena. Pod strażą najeźdźców z Północy więźniowie ekshumowali wypalone czaszki spośród popiołów. Zarowie budowali z nich kopce, a nieopodal tańczyli czarownicy. Przy najbliższym wygasłym ogniu, nie dalej jak sto kroków, Karl widział Zara Blayda, budującego swoją piramidę, w sztychowanej. Obok odprawiał rytualny taniec Ons Olker.

Piramida Uldina była już prawie gotowa. Było jasne, że budował ją z istic matematyczną precyzją. Do jej ukończenia potrzebna była określona ilość czaszek.

- Jeszcze trzy! - domagał się Uldin.

Więźniowie rozgarnęli prawie całe pogorzelisko, pocąc się w żarze i dymie. Wyłowili z popiołu jeszcze dwie czaszki. Kurhani popędzili do zara niosąc mu nowo odkryte trofea.

- Została jeszcze ostatnia! - ryknął.

Jakiś mężczyzna w obdartym ubraniu, na którym można było rozpoznać resztki munduru arkebuzerów z Nordlandu, wykopał ostatni czerep. Wydawał się być wręcz wzruszony, że udało mu się w ten sposób zadowolić zara. Uldin podszedł do niego, wyjął mu z dłoni gorącą czaszkę i poprowadził za rękę w stronę piramidy. Z nabożeństwem umieścił ją na szczycie ohydnej sterty. Szaman pohukiwał i krzyczał. Białe zbocza kościanej piramidy zdawały się pałać blaskiem w mdłym świetle. Oczodoły wyglądały jak niezliczone okna.

Wszyscy więźniowie stali pochmurni i przypatrywali się jak ostatnia czaszka trafia na przeznaczone jej miejsce. Od północy zerwał się zimny wiatr i zaczął rozwiewać biały pył po mokrym polu.

Zar Uldin spojrzał w dół na trzęsącego się arkebuzera z Nordlandu, tego, który wydobył ostatnią czaszkę z pogorzeliska i uśmiechnął się do niego, prawie przyjaźnie, uspokajająco, tak jakby mężczyzna uczynił mu jakąś ważną przysługę. Potem wziął od szamana ostry, krzemienisty nóż, schwycił żołnierza i rozplątał mu gardło.

Arkebuzer wciąż jeszcze krztusił się i wył, gdy Uldin uniósł go nad hałdą czaszek i pozwolił żeby obmyła ją jego gorąca krew. Karl odwrócił głowę z obrzydzenia. Niektórzy więźniowie padli ze zgrozy na kolana. Uldin odrzucił ciało na bok i odwróciwszy się podał szamanowi pokrwawiony, krzemienisty nóż. Ten, kończąc ten barbarzyński rytuał, wziął od zara zbrukane ostrze i przeciął głęboko jego policzek, tnąc z góry do dołu. Teraz Uldin miał pięć cięć na jednym i trzy na drugim. Zar uniósł swe potężne ręce do góry i zawył w stronę niebios.

Rozległ się grzmot.

Bogowie nasłuchują - trwożnie pomyślał Karl. Nikczemni bogowie, których nie potrafił nazwać.

Kurhani poprowadzili jeńców z powrotem na śmierdzące pastwisko i ponownie zamknęli w klatkach. Vollen nie był w stanie policzyć stosów czaszek zalegających pole bitwy.

VIII

Następnej nocy von Margur miał kolejny atak. Kiedy się wreszcie przebudził trzymany przez Karla i Brezzina, powiedział coś co brzmiało jak „zabij mnie”.

- Nie mogę cię zabić, panie - powiedział do niego Vollen.

Von Margur wstrząsnął głową. Gałki oczne latały mu bez kontroli, uśmiechnął się poprzez pokrywającą mu usta pianę.

- Nie Karl. Powiedziałem..., że kiedyś mnie zabijesz. I zabijesz również Uldina. Ale nie stanie się to, zanim nie będzie naznaczony piątym cięciem na policzku.

Potem zapadł w sen.

Karl Vollen miał nadzieję, że już się nigdy więcej nie obudzi.

Północnyje

I

Przez dwa dni, po rzezi w Zedewce, rota kislevskich husarzy jechała na wschód. Gerlach Heileman podążał wraz z nimi.

Tereny województwa na wschód od Zedewki były niezamieszkane, pełne splątanych lasów i błotnistych mokradeł tam gdzie stopy Kislevu opadały w dół i napotykały naturalną barierę, rzekę Lynsk. Leśne trakty wiodły w głębokim cieniu gęstwiny klonów, cisów i prastarych topoli. Drzewa zaczynały wypuszczać pierwsze pąki oznajmiając, że nadeszła już wiosna. Małe, niebieskawe kwiatki rosły obficie, przebijając się przez poszycie i tworząc jasnobłękitne dywany przypominające śnieg. Ptasi śpiew nawiedzał polany, powietrze było balsamiczne i pachniało deszczem. Co kilka lig las urywał się odsłaniając pola czarnej glinki, błyszczące w bladym wiosennym słońcu. Tutaj rzeka Lynsk wylała zasilona wodami pochodzącymi z roztopów. Rota przekraczała te błotniste równiny w jednym szeregu. Jeźdźcy odbijali się w podeszłej wodą glinie, tworząc na ziemi drugi rząd rozmytych obrazów.

Husarze jechali w ciszy, podążając za swym wysmukłym sztandarem. Nie zatrzymali się ani razu. W dzień jechali spokojnym kłusem, nocą posuwali się powoli krok za krokiem. Niektórzy ludzie spali na siodłach, wyprostowani, z głowami kołyszącymi się na boki. Ich konie szły jednak wciąż do przodu trzymając się grupy.

Noce były piekielnie zimne i panowała wtedy głęboka ciemność. Kislevici nie zapalali żadnych lamp ani świec. Wśród zacinającego deszczu przyglądały im się bliźniacze księżycy emanujące białym światłem. Słyszeli pohukiwania sów, jakby drwiące, naśmiewające się z nich. Niekiedy odzywał się huk grzmotu.

Dnie zdawały się być jeszcze cięższe. Często padał deszcz, podnosząc ulotną mgłę, spływając potokami poprzez gęste listowie i ciemne gałęzie lasu. Na otwartym terenie, błotnistych równinach, był jeszcze bardziej dokuczliwy. Pośród błota stały wielkie kałuże wody, gdzieś płynęły prawdziwe rwące potoki. Słońce pojawiało się rzadko. Normalnie stało skryte za podświetlonymi od góry chmurami. Czasami coś żółtawego i jasnego chciało przebić się przez zasnutę niebo, ale prawie nigdy się to nie udawało. Widzieli stada czapli i innego ptactwa wodnego, i raz, z oddali, brunatnego niedźwiedzia spieszącego

w dół biegu rzeki.

Trzech lub czterech jeźdźców pozostawało zawsze z tyłu głównych sił, wypatrując ewentualnego pościgu. Co kilka godzin husarze z oddziału zostawali w tyle i luzowali ich. Wieczorem pierwszego dnia ariergarda przyspieszyła nagle i rota także poszła w galop. Jechali tak przez parę lig, poprzez podmokłą i błotnistą równinę, by dotrzeć do kolejnej połaci lasu. Żaden przeciwnik się jednak nie pokazał.

Trzeciego dnia Beledni skierował oddział na północ.

II

Demieter jechał razem z nimi. Kislevici owinęli jego ciało w prześcieradło i przywiązali go do siodła. Gerlach nalegał, by mógł go prowadzić i przywiązał wodze Demietera do łęku swego siodła.

Nikt nie odzywał się do chorążego, a on również nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Jechał, zgarbiony i wyczerpany, kołyszając się bezwładnie, nieświadom tego, że Saksen coraz bardziej kuleje. Był głodny jak wilk. Całe ciało miał obolałe.

Kiedy rota skierowała się trzeciego dnia ku północy, przyspieszyła również biegu. Gerlach uświadomił sobie, że zostaje coraz bardziej z tyłu. Stwierdził, że i tak mu nie zależy. Zmiana kierunku w jakim jechali i tempa jazdy zmieniła nastrój husarzy. Słyszał jak rozmawiają ze sobą, rozlegały się okazjonalne śmiechy. Chciał żeby go zostawili i poszli do wszystkich diabłów. Nie chciał już z nimi dłużej pozostawać.

Dwóch husarzy wstrzymało lekko konie by się z nim zrównać. Jechali teraz po jednej i drugiej jego stronie, uśmiechali się i gestykulowali, co miało mu dać do zrozumienia, że przyjechali tu specjalnie do niego.

- Jedźcie. Zostawcie mnie - powiedział.

Jeźdźcy popatrzyli jeden na drugiego niepewni, o co mu chodzi.

- Precz! - Gerlach machnął z rezygnacją ręką.

- My pojedziem, ale ty pojedziem też - odparł jeden. Był to wysoki mężczyzna z siwiejącym czubem i głęboko osadzonymi oczami. Usta miał szerokie, wypełnione rzędami malutkich i równych zębów. Wysokie i zakrzywione drewniane skrzydła, wystające mu nad pleców, pełne były jastrzębich piór.

- Po prostu odejdźcie - rzucił Heileman.

- Rotmistrz skazał przyjdźta z taboj. Z taboj. Z... - husarz zająknął się. - Jak to skazał?
Gerlach westchnął.

- Ty pojechał, co by obaczit teraz, co z nim! - prędko odparł drugi. Był mniejszy, prawie chłopak z jeszcze rzadką brodą i bardzo niebieskimi oczami. Kolorowe pióra sroki mieszały się w jego skrzydłach z piórami czapli.

Spojrzał na swego kamrata wyraźnie dumny ze swych językowych umiejętności.

- Eee? Eee?

- Ty pojechał, co by obaczit teraz, co z nim! - powtórzył wysoki husarz kiwając z entuzjazmem głową. - Ty pojechał, co by obaczit teraz, co z nim!

- Eee? - rzucił znów zadowolony z siebie chłopak. Patrzył na Gerlacha. - Ja dobry twój język!

- Nie sądzę - mruknął rajtar.

- Eee?

- Powiedziałem... nieważne.

- Szto?

Starszy mężczyzna był bardzo poważny. Wskazał na chłopaka. Kiedy się odezwał, każde słowo, które wypowiadał było starannie przemyślane.

- Waja jest chłopak, który... eee... mówi najbardziej... eee... dobrych słowa z swych ust. W twoich uszach... eee... dobrze brzmieć także?

Chłopak, Waja, szybko syknął na swego towarzysza, poprawiając go.

- Ach! - rzekł starszy husarz - Waja, jego język jest w twojem uchu.

- Eee? - przynaglił chłopak.

Gerlach spojrzał na niego.

- Bardzo dobrze, dobre słowa.

- Rozumiesz! To dobra! - Waja wyglądał na bardzo zadowolonego, a starszy mężczyzna aż cały się rozpromienił, niczym ojciec chłopaka.

- Być wiele razy ja czytać książka. Ta sama książka. Wiele czytań. Książka. Och, książka jeszcze raz. I takem się nauczył.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Heileman. Był niezwykle zmęczony. Zastanawiał się, czy całe to wykształcenie Waji pozwoli mu zrozumieć słowo „spadaj”.

Chłopak pochylił się w kierunku Gerlacha.

- Witalij on. Witalij nie być uczonyj.

Witalij poczuł się chyba urażony.

- Witalij mówić mało dobrze - zauważył z żalem.

Chłopak zaczął łąć żartobliwie swego towarzysza po kislewsku. Przerzucali się żartami w jedną i drugą stronę. Główna kolumna oddziału prawie już znikła gdzieś z przodu, kryjąc się za drzewami. Gerlach marzył o tym, by ci również zostawili go w spokoju.

Obaj Kislewici zamilkli raptownie, w tym samym momencie, i obaj spojrzeli za siebie przez ramię. Na trakcie za nimi zapanowała nagle cisza.

- Północnyje - syknął Witalij i Gerlach nie potrzebował wyjaśnień by zrozumieć to słowo.

Starszy husarz prędko wydał młodszemu jakieś polecenia i obrócił swego konia. Z wytoka wyciągnął jeden z wąskich dzirytów i oparł go o ramię z grotem skierowanym w dół.

- Jazda! - warknął i pogalopował z powrotem wzdłuż drogi, którą właśnie przebyli.

Waja pochylił się sięgając po wodze Gerlacha, ale ten odtrącił jego rękę.

- Musimy jechać! Pajechali! - rzucił podenerwowany husarz.

Gerlach obejrzał się w tył. Witalij zniknął już za drzewami.

- Musimy jechać! - powtórzył Waja.

- No dobrze! - odparł Heileman podrywając Saksena do biegu za galopującą klaczą. Koń Demietera włókł się ciężko za nim. Podążali tak podmokłym traktem przez jakąś minutę. Waja wciąż oglądał się za siebie. Był bardzo podekscytowany. Wciąż nie widać było ogona oddziału, który starali się dogonić.

- Masz trąbkę? - zawołał Gerlach.

- Szto?

- Trąbkę? Róg?

- Ruk?

Gerlach udał, że przytyka trąbkę do ust i dmie w nią ostro. Waja potaknął skinieniem głowy i usłużnie zaproponował rajtarowi swój bukłak.

- Sigmarze, oszczędź mi tego. Nie. Powinniśmy jakoś ostrzec oddział. Ostrzec rotę.

- Rota...?

- Ostrzeż ich! - krzyknął krótko Heileman. Odwiązał wodze konia Demietera od łęku swego siodła i podał je chłopakowi. Potem wskazał na trakt ciągnący się przed nimi.

- Jedź i ostrzeż rotę. Ostrzeż Beledniego. Wyglądało na to, że Waja ma wątpliwości, więc Gerlach smagnął jego klacz po zadzie, by ruszyła ponownie. Młody husarz oglądając się powoli odjeżdżał wąskim traktem. Gerlach dobył miecza i zakręcił Saksenem wokoło.

III

Wracał tą samą drogą, którą jeszcze przed chwilą jechał w przeciwnym kierunku. Wypatrywał jakichkolwiek znaków, które powiedziałyby mu gdzie może być Witalij. Las ogarnęła złowróżbna cisza. Pośród paproci snuła się mgła przypominająca dym z ogniska, a na korze cisów i modrzewi lśniły krople deszczówki, wyglądające z daleka jak małe diamenciki. Rozległ się jakiś dźwięk i Gerlach aż podskoczył w siodle. Okazało się jednak, że to tylko dzięcioł stukający dziobem w pień pobliskiego drzewa.

Dojechał po chwili do zacisznej dolinki, na dnie której, woda utworzyła wielką kałużę, pomiędzy wystającymi z ziemi korzeniami. Woda była tu ciemna i nieruchoma, kaskady bluszczu opadały do niej po gliniastych zboczach i pochylonych drzewach.

Potem usłyszał hałas. Głośne nawoływania. Uderzenia metalu o metal.

Pochylając się pod niskimi gałęziami przynaglił Saksena do szybszego biegu wzdłuż krawędzi dolinki, w kierunku podmokłej polany znajdującej się za nią.

Północnyje zostali najwyraźniej przez Witalija odnalezieni.

Było ich ośmiu. Sześciu brzydkich ludzi na piechotę i dwóch na czarnych koniach. Wszyscy mieli na sobie żelazne, łuskowe zbroje i rogate ciemne barbuty. Otoczyli Witalija, stojącego teraz w środku koryta płytkiego strumienia i kręcącego w kółko swą kłaczą. Woda chlapała naokoło.

Był jeszcze dziewiąty. Leżał na brzegu w połowie zanurzony w leniwym nurcie. Z piersi sterczał mu wbity dzirynt.

Północnyje zacieśniali krąg dookoła husarza, dźgając go szerokimi włóczniami i krótkimi pikami. Jeden dzierzył w dłoni korbacz, kula wirowała dookoła, widać było, że potrafi się tą bronią posługiwać z ogromną precyzją i doświadczeniem.

Witalij we wzniesionej do góry ręce trzymał drugi dzirynt i pokrzykiwał wyzywająco w stronę napastników, odwracając się, gdy któryś z nich chciał skorzystać z okazji i rzucał się w przód. Jeden z jeźdźców był tylko częściowo opancerzony, miał nagi tors i dzierzył w dłoni miecz. Rogi na jego hełmie sterczały wysoko w górę i były zupełnie proste, tak jak rogi żyjących na południu bawołów. Drugi był o wiele bardziej postawny i niepokojący. Nosił długą, poczernianą łuskową kolczugę, a każda jej pojedyncza łuska zakończona była ostrym szpikulcem. Miał płaszcz z pomszywanych szarych i białych wilczych skór, które wisiały i zawijały się wokół niego. Głowę miał skrytą w objęciu zamkniętego hełmu z przyłbicą, który musiał zostać wykuty w jednej z kuźni Imperium i zdobyty jako bitewne trofeum. Był cały pomazany czernią i dołączono do niego pokręcone rogi, które splatały się w górze niczym węże. Oba rogi miały na końcach małe smocze paszczęki. To właśnie był ich przywódca - zorientował się od razu Gerlach.

W rękę trzymał długą kawaleryjską kopię. Miała mniej więcej trzy metry długości, a czarne drzewce ozdobione było owiniętymi dookoła pasami złota. Bez wątplenia chciał zakończyć tę walkę, kiedy tylko reszta jego ludzi zaciśnie krąg dookoła husarza.

Heileman schował do pochwy miecz i dobył pistoletu. Przygotował go i naładował dzień wcześniej, a teraz przyłożył kurek i zmusił Saksena do szarży.

- Karl Franz! - ryknął.

Kurhani odwrócili się zaskoczeni i zobaczyli pędzącego na nich korytem strumienia obdartego rajtara. Końskie kopyta wzbijały w górę fontanny wody.

Najpierw dowódca - pomyślał Gerlach. Wycelował i wypalił. Z zamka poszły skry i z panewki podniósł się obłoczek dymu. Dał się słyszeć wyraźny głuchy stukot, gdy kula trafiła jeźdźca ze splątanymi rogami. Mężczyzna wrzasnął i siła uderzenia wysadziła go z siodła z taką mocą, że pociągnął ze sobą na ziemię również swego konia. Trzymana w rękę kopia złamała się pod ciężarem wierzgającego wierzchowca.

Gerlach znajdował się dwie końskie długości od najbliższego pieszego Kurhana, tego który dzierżył w rękę korbacz. Wepchnął w olstro pistolet i wydobył miecz, tnąc mocno w dół. Staranował wojownika koniem tak, że ten padł w splatany bluszcz. Inni rzucili się na niego. Gerlach poderwał do góry Saksena i ten odrzucił pierwszego napastnika swymi przednimi kopytami. Potem, gdy wałach już na powrót opadł na ziemię, chorąży pchnął prosto w dół i przebił ramię następnego przeciwnika.

Witalij krzyknął coś, pokrzepiony nagłą odmianą losu. Cisnął swym dziirytem i powalił kolejnego woja z Północy dzierżącego szeroką włócznię. Potem wyciągnął z pochwy kislevską szablę, zakrzywiony miecz z pięknym półkolistym ostrzem zakończonym prostym krzyżowym jalcem i rzucił się w wir walki.

Osiągnęli teraz impas. Gerlach i Witalij mieli po swojej stronie atut zaskoczenia i obaj siedzieli na koniach. Odpychali grupę wrogów do tyłu. Ale Kurhani mogli ich powstrzymać z dalszej odległości dzięki włóczniom. Ryczeli i szczekali, gdyż trzymali konie w bezpiecznej dla siebie odległości. Drugi konny wojownik zbliżył się wywijając w powietrzu szerokim mieczem i Witalij zwrócił się w jego stronę, chcąc mu się przeciwstawić. Wysmukła szabla Kislevity z pewnością złamałaby się w zetknięciu z ciężkim i prostym ostrzem Kurhana. Witalij był jednak bardzo zwinny. Aż przyjemnie było na to patrzeć. Zanurkował pod ciosem miecza, przejechał mimo barbarzyńcy i uderzył od tyłu. Ostrze szabli rozplatało kark przeciwnika, tuż pod krawędzią barbuty. Koń poniósł wojownika z Północy pomiędzy drzewa, spowitego mgłą lasu, ciało kołysało się bezwładnie w siodle z boku na bok.

Gdzieś w pobliżu odezwał się głos rogu, brzmiały bardzo ostro wśród drzew. Na polanę

wjechało galopem ośmiu husarzy prowadzonych przez Waję i Beledniego. Woda pluskała im spod kopyt na wszystkie strony. W rękach ściskali dziiryty. Podjechali i ustawili się w linię dołączając do Gerlacha i Witalija.

Pozostali Kurhani, wszyscy na piechotę, cofnęli się i skupili dokoła pnia jakiegoś prastarego dębu, starając się trzymać ich na dystans swymi włóczniami.

- Kidaj - zakomenderował Beledni zza opuszczonego nosala przypominającego kształtem serce.

Jeźdźcy rzucili swe pociski. Skupieni w gromadzie Kurhani zginęli, większość została przybita do grubego pnia i rozrośniętych korzeni wąskimi dziirytami.

- Ja ostrzegł rota! - obwieścił z dumą Waja zwracając się do Gerlacha.

Heileman chrząknięciem wyraził swe uznanie. Chłopak podjechał do niego rozchlapując wodę i wyciągnął rękę. Gerlach uściśnął ją. Husarz uśmiechnął się i skinął głową. Nie odezwał się, wiedział że nie zna odpowiednich słów, ale znaczenie gestu było jasne.

- Rotmistrzu! - krzyknął jeden z husarzy.

Gerlach odwrócił się. Dowódca ze spletanymi rogami na hełmie właśnie podnosił się na nogi. Cały był uwalany błotem, a w miejscu gdzie trafiła go kula ziała w jego łuskowej zbroi poszarpana dziura. Heileman obrócił swego wałacha.

- Niet! - zawołał Beledni wyciągając na bok rękę by powstrzymać rajtara. Obrócił w jego kierunku głowę i pokręcił nią przecząco.

- Niet. Sawiat nior Północnyje giliwe - powiedział, ale Gerlach nie miał najmniejszego pojęcia co to miało oznaczać.

Beledni zsiadł z konia.

Husarze cofnęli się prowadząc ze sobą chudą klacz rotmistrza. Przywódca Kurhanów dobył obusiecznego, długiego pałasza i ustawił się na jednej z odległych wysepek, pośród stojącej wody. Był gotowy do walki i patrzył zuchwale w kierunku Beledniego.

Ten odpiął pochwę z kislevską szablą, którą nosił u boku i podał ją Waji. Podeszedł do swej klaczy i poklepawszy ją dłonią sięgnął do siodła i wydobyl stamtąd szaszkę o długim i prostym ostrzu. Gerlach widział teraz, że większość husarzy ma przy pasie wąską i zakrzywioną szablę, natomiast w pochwie przy siodle wożą długie, proste miecze. Używano ich właśnie w chwilach takich jak ta, kiedy walka na koniu była już zakończona, a trzeba było się potykać na piechotę. Szaszka Beledniego dorównywała długością pałaszowi Kurhana. Miała szeroki, prosty jelec i zawinięty aż do głowicy żelazny drąg tworzący pętlę dookoła dłoni. Pałasz dla odmiany miał bogato zdobiony kosz z poskręcanych i spletanymi metalowych prętów, mający za zadanie chronić dłoń swego właściciela.

Rotmistrz Beledni ruszył przez strumień, ciemne błocko ochlapało mu wysokie do kolan buty. Szaszkę trzymał uniesioną prosto do góry w prawej ręce, lewą podtrzymywał ją za głowicę.

Wódz Kurhanów czekał na niego na wysepce. Miecz miał opuszczony w dół. Beledni był postawny i potężny, ale jego przeciwnik był i tak znacznie wyższy i szerszy w barach. Gerlach przeczuwał, że wewnątrz czarnej, pokrytej szpikulcami zbroi czai się przeciwnik większy i bardziej agresywny niż Beledni. Stęzał cały. Odgrywała się przed nim scena jakby honorowego rytuału. Przywódca na przywódcę. Coś, co być może sam sprowokował, nie zabiwszy wcześniej wodza Kurhanów, lub po prostu tu będąc. Beledni uważał, że jest coś winien Gerlachowi za uratowanie przez niego sztandaru roty. Być może w ten właśnie sposób, w tym bezsensownym pojedynku, chciał spłacić ten dług i wyrównać rachunki.

Wydawało się, że husarzy są zadowoleni z widowiska. Gerlach zaczął przeładowywać pistolet. Nie chciał mieć na swoim sumieniu także śmierci rotmistrza.

Rozległ się głośny trzask, którego pogłos niósł się po otaczającym ich lesie. Gerlach podniósł wzrok znad kołowego zamka. Beledni i wódz ze splątanymi rogami właśnie rozpoczęli. Proste ostrze przeciwko prostemu ostrzu. Krążyli wokół siebie, wymieniali uderzenia, sypały się skry.

Cała walka zakończyła się bardzo szybko.

Kurhan wyprowadził doskonale cięcie, ale Kislevita sparował je, odrzucił miecz barbarzyńcy na bok i pozbawił go osłony. Beledni w następny cios włożył całą siłę obu swych rąk.

Gerlach wiedział, że będzie to śmiertelne uderzenie. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jaką siłą włada Beledni. Szaszka przedarła się przez zasłoniętą hełmem szyję, ćwieki posypały się na wszystkie strony, gdy gięły się blachy. Cios odrąbał głowę. Poleciała ona niczym armatnia kula, wciąż zakuta w hełm zwieńczony bliźniaczymi skrzyżowanymi rogami i zniknęła w paprociach. Bezgłowe ciało Kurhana, zważyło się na ziemię, jak ścięte drzewo. Rozległ się dźwięk niczym tuzina upuszczonych na ziemię cymbałów.

- Hospodarnyj! Hospodarnyj! - zawołał Beledni wznosząc do góry swe ręce i potrząsając pokrzwawioną szaszką. Odwrócił się do swych wiwatujących ludzi.

- Hospodarnyj!

IV

Kiedy Kislevici przestali pohukiwać i klepać go po plecach, Beledni wydał krótki rozkaz by wracali do roty. Husarze pozbierali swoje dziryty. Obmyli ich skrwawione, kleiste ostrza i drzewce w strumieniu. Nie zadali sobie jednak wysiłku by chociażby dotknąć czy poruszyć trupy przeciwników. W rzeczy samej, jakby ich nawet unikali. Nie było tu przeszukiwania ciał dla łupu, czy jakiegoś trofeum, pierścieni czy monet. Mieszkańcy Imperium wrzuciliby truchła do rowu albo jaru. Albo, jeżeli pozwalałyby na to okoliczności, pogrzebaliby je. Kislevici natomiast pozostawiali je by napuchły w słońcu, zgniły i wyschły na tej polanie.

Ale potem, tuż przed odjazdem, Beledni i Witalij poszli do każdego ciała po kolei i wyłupili trupom oczy za pomocą końcówki noża. Rotmistrz musiał chwilę szperać w paprociach zanim odnalazł głowę, którą jakiś czas temu odrąbał i uczynił to samo z jej oczami.

Dla Gerlacha Heilemana, wyglądało to, na jakiś dziwaczy i bestialski zwyczaj.

Ruszyli w szeregu by odnaleźć główną część roty. Heileman jechał tuż za Belednim, który dyskutował nad czymś przyciszonym głosem z chudym husarzem, mającym bliznę na wysokiej kości policzkowej. Mężczyzna ten, jak usłyszał Gerlach, nazywał się Maksym i był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Beledniego.

Rozmawiali o najeźdźcach z Północy, chorąży słyszał parokrotnie powtarzane słowo „północnyje”.

- Jest ich tu więcej w pobliżu? - przerwał cichą konwersację.

- Szto? - zerknęli na niego, do tyłu.

- Więcej ludzi z Północy? Północnyje?

Maksym zdawał się być rozbawiony nienajlepszym akcentem z jakim wymówił to kislevskie słowo.

- Niet - odparł Beledni kręcąc głową - Nie za wiele, tak myślę.

- A co z tymi, których napotkaliśmy z tyłu? Musieli tropić nas kilka dni.

- Niet, Webla. Niet. - zapewnił go rotmistrz - Może dzień. Niewiele więcej może.

Północnyje poszli na południe, cały pułk na koniach, wielu ludzi. Tam bogate ziemie.

Rzeczywiście. Bardziej cywilizowane prowincje Kislevu. Imperium. Beledni zdawał się przypuszczać, że Kurhani byli tak zaaferowani podążaniem na południe, że nie traciliby ludzi i czasu by ścigać tak mały oddział jak rota na wschód.

- Ale co z tymi z tyłu? - nie dawał za wygraną Gerlach.

- Kazjaki - odpowiedział Maksym.

- Kto?

- Najeźdźcy. Łupieżcy - odparł Maksym i odwrócił swą uwagę z powrotem na trakt przed

nimi, jakby te dwa słowa wyjaśniały wszystko.

Rota czekała na nich w siodle trawiastego pagórka wznoszącego się ponad linię drzew. Jeden z husarzy miał ze sobą konia Demietera.

Światło dnia zaczynało blednąć. Gdy wspięli się na szczyt wzgórza Gerlach ujrzał rozpościerającą się przed nimi wielką równinę. Niezmacone niczym morze traw, paproci i ostów, ciągnące się w kierunku bardzo odległej linii zamglonych wzgórz. Trawiaste stepy niezmierzonej krainy.

Beledni zakręcił w powietrzu dłonią. Mieli pozostać tu na noc na popas, zanim ruszą przez step. Gerlach zsiadł z konia i usiadł na trawie. Wiedział, że powinien obejrzeć Saksena, rozluźnić popręgi i wytrzeć wałacha. Ale nagle poczuł się bardzo słaby. W niecałą minutę zapadł w sen.

V

Kiedy się przebudził było już ciemno i ciepło. Zapadła noc i na niebie ponad wzgórzem migotały gwiazdy. Ktoś delikatnie potrząsnął go za ramię i zorientował się, że to go właśnie obudziło.

Usiadł. Spał dokładnie w tym miejscu gdzie usiadł po zejściu z konia. Ktoś zarzucił na niego płaszcz. Niedaleko trzaskało pokaźne ognisko. To właśnie od niego buchały fale przyjemnego ciepła. Dookoła tańczącego blasku, Gerlach widział postacie ludzkie i coś, co wyglądało jak małe namioty.

Obok niego przykucnął Witalij. Zdjął hełm, pancerz i skrzydła. Miał teraz na sobie marny aksamitny płaszcz z odciętymi rękawami, zarzucony na plecy tak, że odsłaniał wełnianą koszulę i opięte nią ramiona. Husarz podawał Heilemanowi drewnianą miskę. Unosiła się znad niej para. Zapach ciepłej strawy spowodował u Gerlacha burczenie w brzuchu i sprawił, że ślina napłynęła mu do ust. Przyjął naczynie. W środku znajdowały się kawałki mięsa zmieszane i posiekane z ugotowanym, tłustym ziarnem. Pachniało to wyśmienicie.

Witalij skinął głową, żeby Gerlach dołączył do ludzi siedzących przy ogniu.

- Chodź, Webla. Chodź do kruga.

Gerlach podszedł ze swą miską do kręgu postaci siedzących przy ognisku. Gorąco buchało mu w twarz, dym z płonącego drewna i opiekanego na rożnach mięsa był gęsty. Usiadł mając Witalija po swej prawicy. Po lewej siedział potężnie zbudowany mężczyzna

mający na pierwszy rzut oka trochę ponad trzydzieści lat. Jadł już swoją porcję posługując się palcami.

Gerlach również złożył palce w coś w rodzaju łyżki i zaczął pochłaniać zawartość miski. Nie miał pojęcia, co to za mięso, ale było przepyszne. Uświadomił sobie, że od kilku dni nie miał nic w ustach. Szybko opróżnił naczynie i dokładnie wyskrobał resztki jedzenia końcami palców. Usta miał lśniące od tłuszczu.

Dookoła ogniska toczyła się leniwa i niezbyt głośna rozmowa. Wszyscy husarze zdjęli pancerze i zarzucili na siebie futrzane płaszcze tak, że znów przypominali obdartych barbarzyńców, jakich widział w nich za pierwszym razem. Wszyscy jedli. Kociołki i nabite na rożen kawałki mięsa stały przy brzegach ogniska.

Kislevita siedzący po lewej stronie, który także już opróżnił swą miskę, zabrał Gerlacha do ognia i pokazał mu, jak może napełnić po raz kolejny swoje naczynie.

Mięso było świeżutkie. Zając albo jakiś niewielki jelonek. Niektórzy Kislevici musieli być zajęci, gdy jechali przez las, polując i zbierając opał. Niedaleko ognia jeden z husarzy rozłupywał gałęzie niewielkim toporkiem. Brał drewno ze sporej, zrzuconej obok sterty.

Gerlach ponownie zajął miejsce w kręgu dokoła płomieni i z zapalem zaczął pałaszować repetę. Kiedy jadł, obserwował lecące w górę skry. Niewidzialny żar lecący od ognia sprawiał, że powietrze nad obozem drgało, pacząc wiszące nad nimi gwiazdy.

Gdy skończył jedzenie drugiej miski gulaszu, znów poczuł ogromne zmęczenie. Cofnął się odrobinę, było mu niewygodnie i gorąco. Zaczął zdejmować, kawałek po kawałku, swój półpancerz i składać na kupę za plecami. Oparł się potem o niego czując każde obtarcie, skaleczenie i siniak na zmęczonym ciele, kojone odrobinę przyjemnym ciepłem płynącym z ogniska i tym, które czuł teraz w żołądku.

Dookoła kruga podawano sobie teraz bukłaki. Ludzie pili i przekazywali bukłak kolejnemu siedzącemu po swej prawej stronie. Masywny husarz wziął tęgi łyk, oblizał usta i wcisnął skórzany worek w dłoń Gerlacha.

- Zdarowie! - powiedział.

Gerlach przez chwilę myślał, że to jego imię, ale zorientował się zaraz, że chodziło tu o jakiś rodzaj toastu. Wziął bukłak, wzniosł go w kierunku mężczyzny i odpowiedział:

- Twoje zdrowie!

- Zdarowie! - powtórzył znowu tamten.

- Zdarowie! - zgodził się Gerlach i napił się.

Napój był słodki i gęsty z cierpkim posmakiem starego, zsiadłego mleka, ale był równocześnie mocny. Heileman czuł jak błyskawicznie pali go w trzewiach.

- Dobrze - skinął głową.

- Iha. Kumys - odpowiedział Kislevita - Kumys dobry dla dusza.

Gerlach przekazał bukłak w ręce Witalija. - Twoje z... - zaczął, ale zaraz się poprawił - Zdrowie!

- Zdrowie, Webla! - odrzyknął Witalij z szerokim uśmiechem na twarzy. Widać było wyraźnie jego malutkie, równe zęby. Dodał coś jeszcze po kislevsku, ale Gerlach nie zrozumiał co powiedział.

- Witalij - powiedział powoli wskazując na siebie. - Webla - wskazał Gerlacha. - My robić walka razem. Walka z kozakiem - pociągnął łyk z bukłaka i przekazał kumys dalej.

- Nazywam się Gerlach Heileman - powiedział chorąży.

- Szto?

Rajtar poklepał się w pierś.

- Gerlach.

- Szto? Niet Webla?

- Nie. Niet. Gerlach.

Witalij wyduł w zamyśleniu wargi, a potem wzruszył ramionami.

- A co znaczy kjazak? - zapytał Heileman.

- Kjazak, iha! - rzucił Witalij czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Co to znaczy?

- Szto?

- Co znaczy to słowo, kjazak?

Witalij zdawał się być bezradny.

- Ech... szto kjazak? - spróbował inaczej Gerlach.

- A! To... to... hramm... - Witalij wykręcił twarz. Patrzył obok Gerlacha na potężnego Kislevitę.

- Mitryj! - zawołał i dodał coś w swoim języku. Gerlach pochwycił jedynie słowa „kjazak” i „imperialnyj”.

Mitryj pomyślał chwilę.

- Znaczy... najeżdźca - odparł wreszcie. Miał głęboki i szorstki głos.

- Oni wszyscy są najeżdźcami - powiedział Gerlach. - Wszyscy północnyje... najeżdźcy.

- Niet - odpowiedział na to Mitry - Najeżdźcy... kjazaki... małe bandy. Łupią dla siebie. Nie część północnyje pułk.

To wyjaśniło trochę więcej. Gerlach zorientował się, że słowo „kjazak” miało specyficzne znaczenie, którego nie oddawało określenie „najeżdźcy”. Kozacy tworzyli łupieżcze bandy

krażące samopas na skraju głównej hordy, napadające dla zdobyczy. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiał, pomimo tego, że ludzie w Imperium często mówili o plemionach żyjących na północy. Sama Północ nie była jakimś jednorodnym miejscem i północnyje nie byli też jedną rasą. Migrowali na południe w wielkiej liczbie, ale tylko dlatego, że gnała ich tam potrzeba podboju nowych ziem i zdobycia łupów. Nie mieli zuniformizowanej struktury wojskowej jak Imperium. Było to jeszcze dziwniejsze, że potrafili operować jako jednolita horda tak jak miało to miejsce w Zedewce.

Co zdołało ich tak przemieszać w jedną masę, zastanawiał się rajtar. Jakaż przerażająca potęga?

Był teraz lekko oszołomiony, prawie spał. Oparty o zbroję przyglądał się czynnościom husarzy siedzących w kole. Niektórzy naprawiali hełmy i kolczugi używając głowni sztyletów niczym młotków. Inni poprawiali i układali pióra przymocowane do drewnianych skrzydeł. Dwóch ludzi śpiewało długą, powolną pieśń splatającą się z dziwnych dźwięków. Bukłaki z kumysem krążyły dookoła.

Gerlach nagle przypomniał sobie o wierzchowcu i zerwał się na nogi. Zachwiał się przez chwilę. Napój musiał być mocniejszy niż mu się to zdawało, albo to on był zbyt wygłodzony i osłabiony.

- Webla? - zawołał do niego Witalij.

Gerlach oddalił się od ognia. Było tu ciemno i o wiele zimniej niż przy trzaskającym ogniu. Wcześniej zdjął pancerz i kolczugę, a teraz płócienna koszula i pilśniowy płaszcz przywarły, wilgotne i zimne do spoconego ciała.

Husarze rozstawiali dookoła ognia namioty. Kiedy przechodził pomiędzy nimi zauważył, że były to niezwykle proste konstrukcje. Każdy Kislevita robił prosty trójnóg z kopii i dwóch dziurytów i z artyzmem wieszał na tym płaszcz albo kropierz spod siodła.

Gerlach słyszał konie, czuł ich zapach, ale ciemność nocy przed jego oczami była nieprzenikniona.

- Webla? - podszedł do niego Witalij. Niósł w ręku płonąca żagiew, którą wydobyl z ogniska.

- Mój koń - rzekł w odpowiedzi - Nie zająłem się nim zanim zasnąłem. No i trochę kulał...

Witalij wzruszył ramionami.

- Mój koń?

Witalij wziął go za rękaw i poprowadził w dół zbocza. Konie znajdowały się w kolistej niby-zagrodzie z kolczastych krzewów, ale jedynie Saksen i wierzchowiec Demietera były

spętane. Stepowe konie Kislevitów pasły się razem posłusznie.

Pomiędzy zwierzętami jaśniało jakieś światło. Kiedy podeszli bliżej zobaczyli, że była to niewielka łożowa lampa.

Gerlach zobaczył dwóch rozebranych do pasa husarzy, spoconych z wysiłku, wycierających konie wiechciami trawy. Jakiś starszy mężczyzna w długiej tunice, wkroczył w krąg światła, rzucając przez lampę. Poprawiał właśnie podkowę klaczy, stukając w nią zrećnie, niewielkim stalowym młotkiem.

- Borodyn! - syknął Witalij.

Mężczyzna dokończył swą pracę i przyniósł do nich lampę. Było to proste gliniane naczynie z knotem. Witalij wyjaśnił coś mężczyźnie po kislevicku. Ten uniósł lampę by przyjrzeć się uważniej Gerlachowi. Twarz Borodyna była stara i zniszczona. Po chwili poprowadził Heilemana do Saksena. Wałach, podobnie jak koń Demietera, był rozprężony i dokładnie wytarty. Borodyn uniósł przednią nogę wałacha i pokazał rajtarowi podkute na nowo kopyto. Widać było też, że nasmarował je czymś by złagodzić zwierzęciu ból.

Kiedy Gerlach spał, Kislevici zadbali o jego wierzchowca z troską równą tej, jaką darzyli swoje własne konie.

- Borodyn. On mistrz koń - przedstawił starego Witalij.

- Mój towarzysz Witalij chciał powiedzieć, że jestem mistrzem koni - odezwał się Borodyn - To wielki honor dla mnie dzierżyć tak poważne stanowisko i być także mistrzem metalu w rocie - jego akcent był szorstki, ale mówił językiem Imperium bardzo dobrze. Witalij i Borodyn, zauważyli na twarzy Gerlacha zaskoczenie. Witalij zarechotał.

- Borodyn dużo studiować! - chichotał.

- Wracaj do kruga, człowieku z Imperium - miękko powiedział starszy Kislevita. - Tak samo jak Saksen potrzebujesz teraz wypoczynku.

Gerlach przytaknął mu skinieniem głowy i pozwolił poprowadzić się Witalijowi w górę zbocza. Nagle zatrzymał się i odwrócił.

- Skąd wiesz jak nazywa się mój koń? - zawołał. Ale Borodyn powrócił już do swej pracy i nie odpowiedział.

VI

Gdy wrócili do ciepła ogniska, husarze byli bardziej ożywieni. Alkohol wciąż krążył, a

piosenki stały się szybsze i bardziej krzepkie. Śpiewało teraz wielu Kislevitów, a jeden przygrywał im na drewnianym instrumencie, przypominającym zmniejszoną lutnię. Jego palce migają, gdy wygrywał skoczną melodię, a struny wydawały z siebie, krótkie i bardzo gęste dźwięki. Dwóch kolejnych wybijało rytm, na odwróconych do góry dnem kociołkach. Jeszcze inni tańczyli w kółkach dookoła ogniska i klaskali głośno.

Gerlach i Witalij usiedli na swoich miejscach. Po chwili dołączył do nich Waja z innym młodym husarzem nazywanym Kwetłaj. Wypili jeszcze trochę kumysu, gdy dotarli do nich bukłaki. Gerlach czuł głęboko w ciele ciepło i był bardzo senny.

- Co śpiewają? - zapytał.

Witalij i Waja naradzali się między sobą w nadziei, że połączonym wysiłkiem zdołają mu wyjaśnić, o co chodzi. Każdy dorzucił kilka słów, przerzucali się nimi w tę i z powrotem, prześmiesznie powtarzając jeden za drugim i dodając po kolei wyrazy. Umiejętność posługiwania się językiem Gerlacha, była u Witalija większa, niż on sam przypuszczał. Młody Waja, który ciągle poprawiał starszego husarza, był z drugiej strony znacznie, znacznie gorszy niżli w to wierzył. Kwetłaj, który nie znał Reikspielu w ogóle, po prostu siedział i przyglądał się.

Ludzie, wyjaśnili wspólnymi siłami, dziękując bogom. Ursunowi, Ojcu Niedźwiedziowi za ochronę. Dażowi za ogień. Torowi za zwycięstwo.

Gerlach zapadał w drzemkę. Wziąwszy głęboki oddech zapytał znowu.

- Kjazaki. Dlaczego przekłuwacie ich oczy?

Dłuższą chwilę zabrało Witalijowi i Waji zrozumienie, o co mu chodzi. Potem odpowiedział Witalij.

- My oślepiali ich, iha?

- Ale przecież oni byli już martwi.

- Niet. Nie dusza męża. Upiory nadejdą. Złe. Szukając tu i tam, szukając tego, kto zabił ich. Witalij chce żeby one nie łatwo miały znaleźć jego, iha?

Gerlach zaśmiał się i pomimo gorąca buchającego od ogniska zadrżał. Potem dotknął żelaznej sprzączki przy pasie by odegnać zły urok.

VII

Upiory przysły po niego, tej samej nocy. Wyszły z lasu, skręcając się niczym dym

po między poczerńiałymi pniami i sycząc między liśćmi. Ich postacie burzyły się i pęczniały, kiedy posuwały się w górę zbocza. Ich przejście zaniepokoiło konie stojące w zagrodzie.

Obozowisko było uśpione, ale ogień wciąż buzował bardzo wysoko. Gerlach stał i patrzył jak posuwają się w jego kierunku poprzez morze ciemności, zmieniając kształty niczym morska piana. Pozostawiały za sobą na trawie ścieżki szadzi i zamrożonej trawy. Zawodziły niczym odległy wiatr chwytając na oślep brudnymi, transparentnymi rękami, pragnąc go odnaleźć. Zamiast oczu, w ich wyciągniętych, trupiobladych twarzach ziały krwiste dziury.

Gerlach myślał, jak mógłby z nimi walczyć. Miecz nie był w stanie zranić tego, czego tak naprawdę tu nie było.

Pojawiały się i rozmywały dookoła niego, srebrzysta mgła przybierająca postać wychudłych postaci. Łajały go syczącymi szeptami za to, że pozostawił ich martwych na skrwawionej ziemi. Spoglądał w ich twarze: otwarte usta, ziejące pustką oczodoły, zapadnięte policzki. Znał ich. Znał ich wszystkich.

Meinhart Stouer, Sebold Truchs, Johann Friedel, Herman Volks, Hans Odamar, Karl Reiner Vollen...

VIII

Zbudził się i szarpnął rozpaczliwie zlany zimnym potem. Leżał na trawie, na zboczu pagórka. Ognisko przygasło i pełgało teraz niemrawo. Ludzie dookoła pogrążeni byli we śnie.

Było piekielnie zimno. Na wschodzie cienka linia jasności na nieboskłonie obwieszczała nadejście świtu i nowego dnia. Gerlach owinał się dokładniej płaszczem i spróbował jeszcze na chwilę zasnąć.

IX

Kościany róg huczał wydając z siebie długą, ostrą nutę. Gerlach poruszył się i słysząc ponownie sygnał uniósł się na nogi. Było już jasno. Ognisko zgasło i było rozkopane. Zniknęły nawet opalone kości, które pozostały po wczorajszej kolacji. Namiotów również już nie było. Był zupełnie sam obok koła popiołu.

Róg zagrzmiał ponownie. Spodziewając się ataku zebrał prędko zbroję i potykając się

popędził do krawędzi wzgórza. Rota zebrała się poniżej, na stepie. Husarze stali obok koni, ubrani w futra i poobdzierane szaty. Zbroje spakowali i przywiązali do drewnianych siodeł. Trębacz siedział na swej klaczy, głowę odchylił do tyłu i wygrywał długie nuty wprost w powietrze wczesnego poranka. Sztandar z orlim skrzydłem łopotał na lekkim, stepowym wietrze.

Za rotą, nad trawiastą równinę wschodziło słońce. Niebo jaśniało rozmytą czerwienią, jak krew w wodzie. W tym nowym świetle falujące morze traw stało się brunatne i różowe. Wszystko było nieruchome, za wyjątkiem uderzeń końskich ogonów, furkoczącego sztandaru i falujących ruchów nieskończonego morza traw. Wzgórza na horyzoncie przypominały poszczerbioną purpurową linię.

Gerlach pobiegł w dół zbocza, zatrzymując się co chwilę by pozbierać te części zbroi, które właśnie mu wypadły. Zobaczył go Beledni i odwrócił się, by go przywołać.

- Co to jest? - zapytał Heileman.

- Wschód słońca. Czas odjeżdżać - odparł na to rotmistrz.

- Czemu mnie nie obudziliście? - dopytywał się rozszłoszczony Gerlach.

Beledni wzruszył tylko ramionami. Róg odezwał się ponownie, salutując nisko stojącemu słońcu.

- My mówić żegnać - powiedział Beledni.

- Co? Dlaczego? Dokąd jedziecie?

Beledni potrząsnął głową i uśmiechając się smutno wskazał coś skinieniem. Przed zgromadzoną rotą husarzy, leżało przewieszzone przez siodło, zawinięte w całun ciało Demietera.

- Ty mówić żegnać, Webla? - zapytał go rotmistrz.

- Co mówisz? Nie rozumiem o co chodzi.

- Jak się nazywa? - zapytał Beledni wskazując raz jeszcze na ciało Demietera.

- Kaus Demioter... ale...

Beledni wznosił głowę i wykrzyczał krótką lecz pełną serca deklarację po kislevicku. Pomiedzy obco brzmiącymi słowami pojawiło się nazwisko Kaus Demioter.

Beledni skończył. Róg zagrzemiał po raz kolejny. Maksym klepnął dłonią w zad wałacha Demietera i koń ruszył. Pogalopował przez morze traw, a zawinięte ciało przywiązane do siodła kołysało się i podskakiwało.

- Nie! - wrzasnął Gerlach. - Nie! Co wy wyprawiacie? - rzucił części swej zbroi, które upadły dzwoniąc na ziemię i rzucił się biegiem w ślad za odjeżdżającym koniem, potykając się w długiej trawie.

Nie miał najmniejszej szansy go dogonić.

Opadł bezsilnie na kolana.

- Wszystko w porządku. To wielki honor - odezwał się Borodyn, podchodząc do niego z tyłu. - Stepowy pogrzeb. Rota okazała wielki respekt twojemu towarzyszowi.

Gerlach spojrział na niego.

- To jakiś żart! - wypalił. - Kaus powinien zostać pochowany z całym ceremoniałem przez kapłana Morra! Co to do cholery jest?! Uwolniliście jego konia i zapomnieliście już o nim?!

Borodyn wzruszył ramionami.

- Był kawalerzystą, tak?

- Imperialnym rajtarem! - warknął Heileman.

- W takim razie pewnie chciałby jeździć na swym koniu. Jeździć po wieczne czasy. Uganiać się za ogniem Daża, gorejącym na niebiosach. Dlaczego pragniesz uwięzić go w glinie, tam gdzie nie będzie wolny przenigdy?

Gerlach po raz ostatni spojrział na oddalającego się konia. Prawie już zniknął w oddali, pośród niezmaconej niczym płaskości morza traw.

- Jesteście pogańskimi barbarzyńcami - rzucił do Borodyna. - Krwawymi pogańskimi barbarzyńcami!

Popędził z powrotem w górę łagodnego zbocza, pomiędzy stojącymi tam husarzami. Borodyn cierpliwie podążał za nim. Beledni właśnie dosiadał swego konia.

- Rotmistrzu! - zawołał Heileman - Nalegam byśmy jechali do Choiki albo jakiegoś innego brodu na Lynsk!

Beledni wyciągnął wzniesioną stopę ze strzemienia i odwrócił się by stanąć twarzą w twarz z chorążym.

- Niet - powiedział.

- Nie rzucaj mi tu jakichś swoich „niet” barbarzyńco! Jestem rajtarem! Chorążym Imperialnych rajtarów! Zaprzysięgłym by służyć Jego Przenajświętszej Wysokości Karlowi Franzowi! Nie będę ignorował swych przysięg i galopował radośnie na północ, czy też wschód! Wróg podąża na południe! Wróg! Północnyje!

Beledni tylko wzruszył ramionami.

- A co my zrobić, Webla?

- Przestań mnie tak nazywać! Będziesz się do mnie zwracał panie Heileman! A co z naszym obowiązkiem w stosunku do... do... Kislevu i Imperium!? Nadeszła godzina próby, potrzebują nas! Dlaczego uciekamy?!

Dłuższą chwilę zajęło Beledniemu przełożenie sobie w głowie tego potoku słów.

- Rota jedzie - odpowiedział w końcu wskazując step po wschodniej stronie. - Ty jechać.

- Jesteście pomocniczym oddziałem wojsk Imperium i waszym obowiązkiem jest...

Beledni uciął jego wypowiedź, jednym, niedbałym machnięciem ręki, odzianej w kawaleryjską rękawicę. Spojrzał na Borodyna, który prędko przetłumaczył wypowiedź Heilemana na język kislevicki.

Beledni skinął głową.

- Obowiązek. To śmieszna rzecz - powiedział.

- Bardzo prosta rzecz, ty durniu. Kimże ty jesteś, tchórzem?

Ponury Borodyn zaczął tłumaczyć, ale Beledni uciszył go. Rotmistrz miał w oczach nagane, gdy tak zezował na Gerlacha.

- Tchórz?

- Co?

- Nazwałeś mnie tchórz, Webla?

- Jeśli pojedziecie na wschód... to tak.

Od otaczającej ich rotę doszedł cichy pomruk, rozciągnięty w czasie, gdy kolejni husarze przekładali na swój język treść rozmowy.

Beledni ściągnął prawą rękawicę i przekazał ją Borodynowi. Potem uderzył Heilemana w twarz.

Gerlach padł na plecy, z nosa buchnęła mu krew. Przekręcił się i zaklął.

- Ty nie będziesz lżyć rotmistrza Beledniego - powiedział spokojnie Kislevita biorąc z powrotem rękawicę i nakładając ją na dłoń.

Gerlach podniósł się i rzucił na śmiałego husarza.

Przewrócili się obaj w trawę i potoczyli po zielonym stoku. Gerlach chwycił rotmistrza za kosmyk włosów na czubku głowy, ten w odpowiedzi wpił się w twarz chorążego. Włożył palec w usta i ciągnął jego głowę na bok. Heileman ugryzł go, a Beledni jęknął z bólu i szarpnął ręką do tyłu. Potem uderzył pięścią i cios doszedł policzka Kislevity. Mocując się zaciekle potoczyli się jeszcze dalej w dół. Beledni kopnął kolanem w żebra, ale rajtar odgryzł się, dźgając go w oko.

U podnóża pagórka, pomiędzy źdźbłami długiej trawy, rozłączyli się wreszcie i skoczyli na równe nogi. Husarze podążyli za nimi w dół, klaszcząc i wykrzykując nazwisko Beledniego.

Stali teraz twarzą w twarz. Oddawali cios za cios. Krążyli wyprowadzając ciosy i rzucając się co chwila na siebie. Za każdym celnym uderzeniem pryskała im z ust krew i ślina. Beledni

był niezwykle groźny, silny jak niedźwiedź, z nisko położonym środkiem ciężkości. Gerlach miał za to silnie rozbudowane górne partie ciała. Był chorąży. Miał praktykę, musiał przecież czasem godzinami dzierżyć ciężki sztandar kompanii.

Gerlach uderzył rotmistrza pięścią w usta, a po chwili poprawił pod zębra. Beledni otrząsnął się i odwdzięczył potężnym sierpowym, od którego, aż odskoczyła Gerlachowi głowa. Ludzie utworzyli dokoła nich krąg, wszyscy klaskali.

Heileman otrzymał mocne uderzenie w ramię, a potem w ucho. Sam dziabnął mocno rotmistrza w krtań, a potem wyprowadził koszmarny cios, który powalił go na ziemię. Rzucił się błyskawicznie na rozkrzyżowanego na ziemi Beledniego, prawą rękę położył płasko na jego twarzy. Następnie przycisnął ją mocno do ziemi.

Ręka rotmistrza zacisnęła się na jego gardle. Nie był to potężny uścisk, ale rajtar instynktownie zdał sobie sprawę, że jeśli Beledni zechce, jednym prostym skrętem dłoni może zmiażdżyć mu krtań. Usiadł obok leżącego Kislevity.

Beledni przyglądał mu się. Twarz miał poobijaną i krwawiącą w wielu miejscach. Obaj starali się złapać oddech.

- Jest człowiek z włócznią - wycharczał rotmistrz. - I drugi człowiek z włócznią. Walczą. Jedna włócznia złamać się.

- Co takiego? - wydyszał Gerlach.

- Opowieść, Webla. Jedna włócznia się złamać. Jeden człowiek ma teraz tylko czubek włócznia, ostrze. Drugi ma ciągle całą włócznia. Więc...

- Więc co?

- Więc... czy człowiek z samo ostrze powinien atakować tego z całą włócznia od przodu, czy od tyłu raczej?

Gerlach podniósł się znad ciała rozkrzyżowanego na ziemi rotmistrza. Chwiał się na nogach. Przechylił się na bok i splunął siarczyście flegmą i krwią. Obolała twarz pulsowała. Zdawało mu się, że jest dwa razy większa niżli normalnie. Pochylił się i podparł rękami o uda.

Jakiś husarz pomógł wstać Beledniemu. On też miał spuchniętą twarz. Ciemny siniak okalał jego lewe oko, a z ust ciekła krew.

- No jak? Odpowiedz? - zakaszłał Kislevita.

Gerlach wstrząsnął głową i wypluł jeszcze więcej zgęstniałej krwi.

- Tylko ostrze włócznia? Od przodu czy od tyłu?

Heileman wyprostował się i odwrócił do dyszącego, obitego rotmistrza.

- Od tyłu - odpowiedział.

Beledni uśmiechnął się szeroko ukazując dziurę w zębach i przytaknął mu skinieniem. - Rota wyrusza na wschód - ogłosił. Zbliżył się do Gerlacha kołysząc się jeszcze ze zmęczenia i ciągle się uśmiechając.

- Webla silny mąż - przyznał.

Rajtar wciąż dyszał i charczał. Wzruszył ramionami.

Beledni zamachnął się i wyprowadził potężny cios, który rozciągnął Gerlacha pośród trawy i sprawił, że jedyną rzeczą, jaką przez chwilę widział były migotające i wirujące dookoła gwiazdy.

- Webla nigdy już nie nazwie rotmistrza Beledni tchórz.

X

Waja i Witalij podnieśli Gerlacha i powlekli go za ramiona do Saksena. Koń był już osiodłany i gotowy do drogi. Z ust Heilemana ciekła krew i wypluł obłamany kawałek zęba. Próbowali przyoblec go w zbroję, ale odepchnął ich i usiadł, zebrali więc tylko poszczególne jej części, zawinęli w płaszcz i przytroczyli do siodła Saksena na kislevicką modłę. Waja zdjął obszarpane nakrycie i podał je Gerlachowi.

- To twoje - odpowiedział na gest chorąży, odmawiając przyjęcia płaszcza.

- Waja ma drugi - odpowiedział chłopak.

Gerlach owinął ramiona w śmierdzący materiał. Pojawił się Borodyn i kucnął obok. Chwycił bez słowa głowę Heilemana i obrócił tak, by mógł się dokładnie przyjrzeć twarzy. Otworzył usta rajtara i zajrzał do środka. Potem sprawdził palcami czy nie ruszają mu się zęby, tak jakby Gerlach był koniem na targu. Następnie szeroko rozwarł oczy rajtara i uważnie się im przyjrzał.

- Będziesz żył, Webla. - stwierdził.

Gerlach parsknął. Nawet to bolało.

Borodyn wyciągnął niewielki gliniany słoiczek wypełniony jakąś tłustą maścią.

- Rozsmaruj to na stłuczeniach i siniakach. Pomoże.

Gerlach przyjął naczynko i wstał.

- Beledni jest pod wrażeniem - powiedział mistrz koni.

- To dobrze - odparł Heileman - Ale ciągle jedziemy na wschód.

- Północny-wschód - poprawił go starszy mężczyzna. - Do Duszyki. Może tam.

- Może tam, co? - dopytywał się Gerlach.

Borodyn tylko wzruszył ramionami. Znów odezwał się róg i husarze wspięli się na siodła. Heileman też dosiadł Saksena, jednocześnie zapinając płaszcz Waji. Rota ruszyła w dół zbocza, nabierając tempa i zanurzyła się w ocean kołyszącej się trawy. Wjechali na step podążając za łopoczącym sztandarem.

XI

Po niedługim czasie, przemierzali bezkresną równinę galopem, pozostawiając za sobą równą linię stratowanej trawy. Wyglądało to jak cięcie na szemrzącym, zielonym dywanie. Im dalej jechali, tym bardziej zdawała się oddalać linia wzgórz na horyzoncie. Gerlach nigdy nie widział tak ogromnej równiny.

- Gdzie jest ta Duszyka?! - zakrzyknął w kierunku Borodyna, gdy ten się z nim zrównał stojąc w strzemionach.

- Trzy dni! - odkrzyknął Borodyn.

- Ale gdzie?!

- Tam! - wskazał husarz - W stepie!

Po raz pierwszy Heileman uświadomił sobie, że w Kislevie, pojęcia obszaru i odległości różnią się radykalnie od tych znanych w Imperium. Tu ludzie nie zastanawiali się nad odległościami tak ogromnymi, że nie widzieli celu podróży. Ufali swemu instynktowi i po prostu jechali w nieskończoną dal.

Saksen galopował rytmicznie i pewnie, nie kulał już ani trochę. Z przodu zagrzmiął róg, dla samej tylko przyjemności, głośno, pod wiatr. Członkowie oddziału krzyknęli jak jeden mąż.

- Co oni mówią!? - ryknął do Borodyna.

- To okrzyk wojenny roty!

- To znaczy?!

- To jest... Jeźdźcy Śmierci!

- Ale co on oznacza?

- Oznacza mnie i Beledniego i wszystkich tych ludzi, wszystkich nas. I ciebie! - huczał Borodyn. - My jesteśmy Jeczyczowski krug. My jesteśmy Jeźdźcy Śmierci!

Tchar

I

Nazywał się Skarkeetah. Akcent padał na pierwszą sylabę jego imienia. Skar-keetah. Kurhani okazywali mu wielką cześć, bali się go. Stał ponad tym całym motłochem i brudem. Był pewny siebie, postępował z konsekwencją. Był mistrzem niewolników.

Po raz pierwszy wyłonił się spośród snujących się dookoła Zedewki oparów. Bębny obwieściły jego przybycie, potem cymbały. Z dymu wyjechało trzynastu konnych wojowników, przybyłych wprost ze srogiej północy. Srebro na płytach ich pancerzy pokryte było jakby rozmytą różowością. Kopie z długimi ostrzami trzymali wysoko i prosto, a do siodeł mieli przytroczone bicze i zwinięte powrozy.

Potem pojawiły się dzieci - żadne z nich nie miało więcej niż dziesięć lat - tańczące i wyczyniające hołubce. Od stóp do głów pokryte były niebieską farbą i uderzały w szerokie, brązowe cymbały.

Za nimi podążała zasłonięta lektyka o masywnej konstrukcji, pomalowana na kolor ciemnej czerwieni, ze złotymi liśćmi i perłami przybitymi do nosideł. Czarna, jedwabna zasłona rozpięta na stelażu łopotała na lekkim wietrze. Lektykę niosło dwudziestu ogolonych i spoconych mężczyzn w futrzanych spodnicach. Po obu stronach jechali na białych osłach grający na bębnach, wybijający powolny rytm, na okazałych instrumentach zawieszonych przy siodłach.

Za lektyką jechał Hinn.

Był to towarzysz i ochroniarz mistrza niewolników. Największy człowiek, jakiego widział w swym życiu Karl Vollen. Miał mięśnie niczym dębowe pniaki, a bicepsy miały grubość uda przeciętnego człowieka. Nosił nogawice z szarej, wilczej skóry i gruby skórzany pas z wielkim złotym guzem na sprzączce. Od pasa w górę był nagi. Jego zadziwiające mięśnie natarte były olejem. Dookoła szyi miał opaskę z opadającymi w dół piórami. Pióra były turkusowe i każde miało długość męskiego przedramienia. Na głowie Hinn nosił pełny hełm wykuty tak, by przypominał łeb gigantycznej czapli, albo bociana. Jego wierzchołek był dziwnie wysoki i ostro zakończony. Wyrastały z niego olbrzymie, żelazne rogi baranie zawijające się tak daleko, że ich końce wskazywały dokładnie na ramiona olbrzyma. Hinn

uzbrojony był w parę bliźniaczych pałaszy, każdy zawieszony po jednej stronie siodła.

Więźniowie zostali wypędzeni ze swych zbudowanych z pik klatek na otwartą przestrzeń i stali teraz w gromadzie. W pewnej odległości, na polach, widzieli ofiarne stosy czaszek, które wcześniej wzniesli.

Hinn rzucił w powietrze jakieś słowo i niewolnicy ostrożnie ustawili lektykę na ziemi. Skarkeetah odciągnął czarną zasłonę i wyszedł na zewnątrz. Był pulchnym mężczyzną o wodnistych oczach i brodzie koloru słomy. Głowę miał starannie ogoloną, za wyjątkiem niewielkiego kawałka za prawym uchem, skąd opadał w dół gruby, mocno zapleciony warkocz. Ubrany był w długą i gładką koszulę, z niesamowicie czystego, białego płótna, spod której wystawały krótkie, równie białe spodnie. Jediną ozdobą, jaką miał na sobie, był ciężki złoty amulet na grubym złotym łańcuchu zawieszony na szyi. Kiedy Skarkeetah poruszał się, uderzał go lekko w pierś. Amulet był wielkości dłoni dojrzałego mężczyzny i składał się prawdopodobnie z większej ilości złota, niż miała go w sobie, niejedna Elektorska korona. Przedstawiał rozwarte i spoglądające uważnie oko, wyłaniające się spośród kręgu posplatanych węży. Oko zamiast źrenicy miało połyskujący, błękitny kamień.

Karla ogarnęło dziwne uczucie, gdy patrzył na amulet. Kiedy pojawił się Skarkeetah, wielu więźniów stojących wokół niego, wydało z siebie ciche jęki i stłumione okrzyki grozy.

Był piąty dzień po rzezi w Zedewce, ale zasłona z dymu spowijającego okolicę była tak gęsta i nieustępliwa, że do ziemi przedostawało się niewiele słonecznego blasku. Żaden z więźniów nic nie jadł, a jedyną wodę, jaką pili stanowił padający deszcz. Wielu umarło, zwłaszcza ostatniego dnia. Ciała leżące na dnie klatki zaczynały gnić, smród był nie do zniesienia.

Skarkeetah stanął naprzeciw tej nędznej, trzęsącej się masy więźniów i uniósł do góry pulchne ręce. Kiedy rozłożył grube palce odsłonił wytatuowane na każdej dłoni niebieskie, wpatrujące się oko.

- Tchar! - zakrzyknął. Słowo to sprawiło, że Karl zadrżał. Fala zrozumienia i odrazy przeszła przez tłum więźniów. Czekający dookoła Kurhani, wydali z siebie gromki wrzask poparcia i zaczęli uderzać mieczami i drzewcami broni w tarcze.

- Tchar! - wrzasnął ponownie Skarkeetah. Ręce miał wciąż wzniesione w górę. Gawrony i inne padlinożerne ptaki krążyły nad polem od czasu bitwy, a teraz, o zgrozo, przestały krakać i skrzeczeć i całe stado sfrunęło w dół sadowiąc się na lektyce, gliniastej ziemi dookoła niej i pod stopami mistrza niewolników. Jeden usiadł na lewym rogu złotego hełmu Hinna. Pół tuzina usadowiło się wygodnie na rozłożonych szeroko rękach Skarkeetaha. Trzepotały teraz skrzydłami i podskakiwały. Mistrz niewolników obejrzał się najpierw w jedną, a potem w

drugą stronę. Uśmiechał się i przemawiał do ptaków, ale musiał to być jakiś nieludzki język, bo Karl nie potrafił rozróżnić żadnego słowa.

- Sigmarze chroń nas wszystkich - wyszeptał do niego Brezzin. - Mamy przed sobą demona.

Skarkeetah opuścił ramiona, a ptaki zeskoczyły z nich na ziemię, z wyjątkiem jednego, starego kruka z obszarpanymi piórami i zamglonym, jedynym okiem, który pozostał na lewym ramieniu kłapiąc podobnym do sztyletu dziobem.

Mistrz niewolników rzucił rozkaz w kierunku swej obstawy. Zakuci w różowawe blachy wojownicy, zsiadli z koni i ruszyli z wolna w kierunku gromady więźniów, rozpychając ich i trzaskając batami. Widać, że byli zwyczajni do tej roboty, mieli opracowaną metodę. Gwardziści chwyтали każdego jeńca po kolei za brodę, by przyjrzeć się dokładnie twarzy i w zależności od tego, co tam ujrzeli wysyłali go to prawą, lub na lewą stronę. Większość ludzi szła na lewo, do Kurhanów, którzy spędzali ich w jedną kupę używając lin i włóczni. Mniej więcej jeden na dziesięciu szedł na prawo, tam gdzie czekał Skarkeetah. Ci byli ustawiani za pomocą ostrz włóczni w jedną, prostą linię przez Hinna i garstkę barbarzyńskich wojowników.

Bębniarze także zeszli ze swych wierzchowców. Zbliżyli się teraz do mistrza niewolników, niosąc ze sobą wiązki drewnianych kijów, zawiniętych w zwierzęce skóry. Ci, którzy nieśli lektykę, po złożeniu na ziemi swego ciężkiego brzemienia, zajęci byli rozstawianiem niewielkiego żelaznego paleniska i kowadła. Oba te przedmioty wyjęli ze skrzynki znajdującej się z przodu lektyki. Stamtąd też wydostali długie kawały żelaznego, czarnego łańcucha oraz kajdany i przytargali to wszystko do paleniska. Pomalowane na niebiesko dzieci odłożyły swoje cymbały i zaczęły baraszkować dookoła lektyki.

Bębniarze rozwinęli na ziemi skóry i rozłożyli wzdłuż nich, w równych rzędach kije. Były one wycięte z jakiegoś ciemnego drewna. Miały długość męskiego ramienia i z jednej strony były zupełnie płaskie. Każdy miał na końcu pęk piór, po to, by można je było od siebie odróżnić. Potem bębniarze wydobyli noże o szerokich klingach i zaczęli je ostrzyć przy pomocy wyciągniętych z kieszeni osełek.

Palenisko buzowało już w tej chwili ostro.

Gwardziści Skarkeetaha posuwali się przez tłum więźniów i byli coraz bliżej grupy, w której stali Karl, Brezzin i von Margur. Vollen czuł już ich zapach. Goździki, wonny olejek i jeszcze głębszy smród zepsucia. Różowy nalot na blachach był w rzeczywistości rozmytą, zakrzepłą krwią. Baty trzaskały, odzywały się ludzkie krzyki. Jeden z gwardzistów dosięgnął von Magura. Tak mocno i szybko schwycił go za szczękę, że ślepy rycerz aż krzyknął z

zaskoczenia. Wojownik przekręcił jego twarz w jedną stronę, potem obejrzał drugą i pchnął go, potykającego się, w kierunku Skarkeetaha. Barbarzyńca obejrzał jeszcze dwóch ludzi i obu skierował na lewo, w kierunku oczekującej gromady Kurhanów. Potem nadeszła kolej na Karla.

Coś strzeliło mu w kręgosłupie, z taką siłą schwycił go za podbródek barbarzyńca i zaczął nim kręcić w lewo i prawo. Dotyk dłoni zakutej w żelazną kolczugę był zimny i nieprzyjemny.

Gwardzista zamruczał coś za wizjerem swego hełmu i pchnął Vollena w kierunku mistrza niewolników. Karl obejrzał się. Teraz sprawdzał Brezzina. Po chwili odepchnął postawnego prochowego na lewo. Brezzin zaprotestował. Patrzył na Karla błagalnym wzrokiem, był kompletnie zagubiony.

- Chłopcze! - krzyknął - Chłopcze!

Wojownik z Północy pociągnął go do tyłu, przeklinając.

- Brezzin! - zawołał za nim Karl.

- Sigmar cię chroni, chłopcze! - wołał artylerzysta, gdy mocarne ręce wlekły go do tyłu - Pamiętaj o tym! Sigmar ma cię w swojej opiece!

Bicz oprawcy trzasnął niczym strzał z pistoletu i Brezzin zawył z bólu. Potem zniknął w niespokojnym tłumie.

Karl poczuł się szokująco samotny. Żelazne jęczory, ostrza włóczni groziły mu, więc ustawił się karnie w linii. Von Margur był dwa miejsca przed nim. Stał niespokojny, nie wiedział, co się naokoło dzieje. Karl uświadomił sobie, że każdy mężczyzna w kolejce miał na policzku znak po nakłuciu szpilką. Niektórzy nosili na sobie trzy zielone kropki niczym von Margur. Inni mieli dwie czarne lub trzy czerwone ustawione w linii, albo też trzy niebieskie w trójkącie. Każdego z nich napiętnował zar.

Skarkeetah szedł wzdłuż linii studiując po kolei znaki na twarzach pojmanyh. Przy każdym wykrzykiwał coś w stronę bębniarzy i wtedy jeden z nich robił nożem o szerokim ostrzu nacięcie na trzymanym przez siebie kiju.

- Zar Blayda!

Nacięcie.

- Zar Herfil!

Nacięcie.

- Zar Skolt!

Nacięcie.

- Zar Herfil.

Kolejne nacięcie.

Czasami pulchny mistrz niewolników przystawał przy którymś więźniu na dłużej i rozmawiał z nim swym przyciszonym, miękkim głosem, ale nie było słyhać, o czym mówią. Każdy, który został już przydzielony był pędzony do paleniska, przy którym uwijali się jak w ukropie niewolnicy noszący lektykę. Karl słyshał dźwięczne odgłosy bicia metalu o metal na kowadle i syk unoszącej się pary.

Skarkeetah podszedł wreszcie do von Magura.

- Zar Blayda! - ogłosił i jeden z bębniarzy zrobił następne nacięcie na odpowiednim kiju. Mistrz niewolników przechylił głowę i przyglądał się drżącemu rycerzowi, który patrzył gdzieś poza niego, w pustkę.

- Doskonały - zwrócił się do von Magura - Tchar już cię ogarnął. Kształtuje cię.

- Jestem rycerzem Karla Franza, niechaj jego majestat świeci na wieki, wspaniały w swym blasku. Jemu przysięgałem posłuszeństwo - wyrecytował von Margur drżącym głosem.

- Nie masz nade mną żadnej władzy demonie. Pomimo, że stąpam pod Cieniem Chaosu nie ma w moim sercu lęku, ponieważ...

- Bądź cicho - przerwał mu Skarkeetah - nie masz pojęcia gdzie jesteś i czym się właśnie stajesz. Tchar pokaże ci prawdziwy blask i majestat. Tchar rozplącze twe żyły i pozwoli ci widzieć. Zostałeś poświęcony i obdarowany, choć jeszcze o tym nie wiesz.

- Jestem rycerzem Karla Franza... - zaczął znowu von Margur, jękając się.

- Nie - odrzekł Skarkeetah - Jesteś własnością Zara Blayda i naczyniem dla cyklopowego pana węży. Czekają cię cuda, których nawet nie byłbyś w stanie sobie wyobrazić.

- Kłamiesz - cichym i słabym głosikiem powiedział von Margur.

- Niestety - stwierdził mistrz niewolników. - Jest to jedyna rzecz, której nie czynię nigdy. Zabrać go.

Kurhani poprowadzili rycerza w stronę paleniska.

- Zar Kreyya! - zawołał Skarkeetah obejrzawszy kolejnego mężczyznę. - Zar Logar! - zakomenderował przy następnym.

Podszedł do Karla.

Schwycił go za twarz krótkimi paluchami, a potem nagle się cofnął.

- Aaaach! - mruknął patrząc na Vollena. Obszarpany, jednooki kruk na jego ramieniu zatańczył i trzepotał skrzydłami. - Aaaaach! Czyż nie jesteś wspaniałą rzeczą? - w głosie mistrza niewolników słyhać było nieskrywany podziw. - Myślałem, że to ślepy rycerz będzie najlepszym kąskiem tego dnia, ale ty... ty przewyższasz nawet jego.

Karl nie odzywał się.

- Zar Uldin! - zakrzyknął Skarkeetah przez ramię. Potem raz jeszcze spojrzął na Vollena.

- Niebieskie oczy. Niezawodny znak. Tchar płynie w twoich żyłach.

Karl w dalszym ciągu pozostawał milczący, usta miał zaciśnięte.

- Jak się zwiesz, wybrańcze?

Karl zamknął oczy. Skarkeetah wybuchnął rechotliwym śmiechem. Śmiał się długo i gardłowo.

- Niebieskie. Jak niebo. Niebieskie jak zmienna prawda Tchar.

Karl otworzył oczy i zobaczył amulet mistrza niewolników. Skarkeetah trzymał go wysoko, tuż przed jego twarzą. Światło odbijało się w złotych, zakrzywionych powierzchniach skręconych węży i migotało w samym jego sercu - błękitnym kamieniu osadzonym w źrenicy oka. Kamień zadziwiał swym kolorem. Był błękitny, głęboko niebieski. Głęboki jak ocean. Jak otchłań.

Karl splunął na amulet. Kurhani stojący dookoła zasyczeli zawiedzeni. Skarkeetah uniósł amulet do góry i z rozwagą zlizął z niego plwocinę rajtara. Potem puścił go i pozwolił mu opaść, na śnieżnobiałe płótno swej szaty.

Jednooki kruk na ramieniu zakrakał i zaczął podskakiwać.

Skarkeetah wsunął dłonie za głowę Karla i splótł je na potylicy. Powoli zaczął przeginać ją w dół. Następnie mistrz niewolników złożył pocałunek na policzku Vollena. Trzymając go blisko, brew w brew niemalże, Skarkeetah wyszeptał - Tchar przeznaczył dla ciebie niezwykłą rolę. Na początku będziesz się opierał, ale potem będziesz go wielbił. Zazdroszczę ci tej bliskości.

Wypuścił Karla ze swego uścisku. Ten szarpnął do tyłu głową w niemym proteście.

Skarkeetah uśmiechnął się.

- Zabierzcie go! - zawołał do swoich ludzi.

Kurhani popędzili Karla wprost do paleniska. Jeden z niewolników noszących zwykle lektykę, wyciągał szczypcami spomiędzy płomieni rozżarzone do białości, żelazne bolce. Przemocą zmusili Vollena, by postawił nogę na kowadle i opasali mu kostkę obręczą kajdan. Kolejny śniady niewolnik zamknął obręcz, skuwając ją z obu stron, przy pomocy bolca wyciągniętego z paleniska. Karl był teraz połączony z mężczyzną stojącym przed nim, dwumetrowym kawałkiem łańcucha. Podobny łańcuch ciągnął się w tył i miał być zaraz do niego przykuty kolejny więzień.

- Zar Skolt! - rozległ się podniesiony głos Skarkeetaha. Kolejne nacięcie. Kolejne dźwięczne uderzenia młota w rozgrzane żelazo.

II

Grupa Kurhanów wyprowadziłaznaczonych i wybrańców z Zedewki. Więźniowie musieli poruszać się noga w nogę ze względu na łączące ich kostki, brzęczące łańcuchy. Kto wypadł z rytmu natychmiast potykał się i przewracał. Karl został zmuszony poddać się temu powolnemu, kołyszącemu krokowi, kajdany ciążyły mu na nogach.

Niebo było zabrudzone wciąż snującym się dymem i przez chwilę Vollen miał wrażenie, że Kurhani prowadzą ich na wschód. Jednak potem zbliżyli się do rzeki i wyrósł przed nimi szeroki most, zbudowany z drzewnych bali, wsparty na pięciu wynurzających się z wody, kamiennych podporach. Maszerując przez niego, słyhać było łomot stóp na drewnianych belkach. Niektórzy więźniowie pluli żeby odegnać i odwrócić zły los. Był to most nieopodal Choiki. Karl rozpoznał go od razu. Ostatnim razem, kiedy go przekraczał ślina chorego rozprysła się na jego kirysie.

Przez chwilę pomyślał, co też mogło się stać z tym młodym, aroganckim Gerlachem Heilemanem. Był bez wątpienia martwy, jego ciało leżało pewnie gdzieś, na dymiących polach nieopodal Zedewki.

Kawalkada szła dalej. Raz na jakiś czas musieli schodzić z traktu by dać przejście oddziałom z Północy. Rogatym, czarnym wojownikom pędzącym w pełnym galopie.

Doszli do pokrytego popiołem, kopącego wciąż miejsca, gdzie niewyraźne ruiny budynków stały w dymie i obmywanym je deszczu. Karl zobaczył znajomy kamienny zbiornik. Byli w Choice, a raczej tym, co z niej pozostało.

Kurhani spędzili ich i ustawili wzdłuż południowej drogi. Sitowie po obu stronach traktu kołysało się przyginane do ziemi przez wiatr dmący od strony województwa. Po obu stronach drogi stały krzyże. Wszyscy ludzie z miasteczka zostali ukrzyżowani. Kurhani nie pozostawiali na trasie swego przemarszu żadnych żywych ludzi. Karl przyglądał się błotu, które miał pod stopami. Błoto i łańcuch. Napięcie, rozluźnienie. Napięcie, rozluźnienie. Napięcie, rozluźnienie.

III

Wlekli się tak przez trzy dni, zatrzymując się każdej nocy na kilka zaledwie godzin. Szli

traktem poprzez liściastą puszcę i podmokłe lasy, tam gdzie jedynym znakiem jakiegokolwiek życia były maszerujące oddziały Kurhanów. Wyprzedzały ich wielkie gromady wojowników zbrojnych we włócznie, idących w nieładzie, bez szeregów i porządku. Rytm marszu wybijały bębny, w górę sterczały nikczemne i często obsceniczne chorągwie. Niektórzy Kurhani wiedli ze sobą wielkie bojowe psy lub ogary, całe ich stada. Inni jechali na wozach krytych naciągniętymi, pozszywanymi skórami, z mocnymi drewnianymi kołami. Ciągnęły je zaprzęgi wołów albo mułów.

Co jakiś czas, także na wschód podążał oddział wrogiej kawalerii. Czasami można było też zobaczyć jeźdźców, którzy wzgardzili zabloconym traktem, przedzierających się przez las. Raz wyprzedził ich oddział rydwanów ciągniętych przez szybkie zaprzęgi złożone z czterech koni. Za woźnicą chłuszczącym batem konie, stał brodaty strzelec, dzierżący w dłoniach zakrzywiony łuk.

Dni były szare i zachmurzone, przerywane często przez padający przez chwilę ostry deszcz. Noce były bezksiężycowe i niezwykle spokojne.

W maszerującej grupie znajdowały się trzy dwudziestki więźniów. Wszyscy byli naznaczeni po bitwie pod Zedewką. Szli w sześciu szeregach, tak jak byli skuci. Pilnowało ich dwudziestu Kurhanów z włóczniami i dodatkowo trzech jadących konno. Czwarty jeździec, jeden z członków gwardii mistrza niewolników w srebrzystej zbroi, był dowódcą.

Kiedy zapadała ciemność sprowadzali ich ze szlaku i gromadzili na jakiejś polanie wśród drzew. Łańcuchy przybijali do ziemi za pomocą żelaznych haków. Kurhani rozpalali dla siebie ognie, a potem jedli i pili przez całą noc. Jedynie dwie drewniane miski przynosili do każdego z sześciu łańcuchów. Jedna zawierała deszczówkę, a druga nędzne resztki gotowanego mięsa powybieranego z kociołków oprawców. Więźniowie przy każdym łańcuchu prędko pojęli jak ważny jest podział. Niektórzy wzbogacali swą dietę wszystkim tym co mogli znaleźć wśród leśnej ściółki: żukami, glistami, nawet liśćmi i trawą. Godzinami żuli kawałki kory, gałązki albo kawałki skóry z pasów albo butów, cokolwiek kto miał. Głód był nieludzki. Było to cierpienie większe niż jakiegokolwiek zaznał do tej pory Karl, albo potrafił nawet sobie wyobrazić. Brało górę nad wszystkim innym: zimnem, zmęczeniem, ranami, jęczącymi się obtarciami od kajdan, nawet ich rozpaczliwym położeniem jako pokonanych jeńców, niewolników najeźdźcy traktowanych niczym zwierzęta.

Karl trząsał się prawie cały czas. W jego wnętrznościach rozlewał się ból przypominający ranę od ostrza włóczni. Paznokcie mu popękały i zaszły czernią, skóra była szorstka i twarda, utraciła swą zwyczajną elastyczność. Dziaśła krwawiły bez przerwy. Został pozbawiony wszystkiego - również podstawowej ludzkiej godności. Ale z chęcią porzuciłby to wszystko,

w zamian za miskę rosółu i pajdę chleba.

Widział, że pozostali ludzie są w podobnym stanie. Uświadomił sobie, że osiągnęli już ten przedziwny moment. To była krańcowa desperacja. Wychylała już swą głowę. Do tej chwili, znosili wszelkie niedostatki i budzące grozę okoliczności, w nadziei, że wreszcie nadejdzie jakiś koniec, lub wyzwolenie, jeśli tylko będą cierpliwi.

Teraz, było to jasne, nie było już na to szans. Wcześniej czy później ktoś wreszcie stwierdzi, że niebezpieczeństwo przeciwstawienia się oprawcom lub też ucieczki jest niczym w porównaniu z okropnym głodem.

Trzeciej nocy, gdy byli przybici do ziemi w topolowym gaju, wydarzyły się dwie rzeczy, które przywiodły ich jeszcze bliżej granicy załamania. Noc była smoliście czarna, a Kurhani pili i śmiali się dookoła swoich ognisk. Spóźniali się z przyniesieniem więźniom nawet tych marnych resztek swej kolacji i niektórzy biedacy osłabieni osunęli się już na ziemię. Karl siedział z podciągniętymi wysoko kolanami. Zaplótł dookoła nich ręce starając się zatrzymać, choć odrobinę ciepła, gdy temperatura zaczynała spadać.

Trakt przez większą część popołudnia zajęty był przez masy śpieszących się wojów z Północy, płynące niczym rzeka na południe. Rozniosła się plotka, że szykuje się jakaś bitwa i więźniowie zastanawiali się, jaka miejscowość lub bród będzie jej miejscem. Wiele było sugestii, ale żaden z zakutych w kajdany biedaków nie miał zbytniego pojęcia o geografii tego regionu, nie mówiąc już o świadomości gdzie się w chwili obecnej znajdują.

Po zmierzchu czerwona poświata rozświetliła południowe niebo. Widzieli ją niewyraźnie, poprzez korony drzew. Strażnicy byli wyraźnie podnieceni jej widokiem. Była to obietnica bitwy. Jakieś miasto stało w płomieniach.

Jeden z więźniów przykuty do łańcucha nieopodal Karla nagle źle się poczuł. Zaczęły nim targać konwulsje. Wymiotował i krzyczał. Wyglądało na to, że spowodowały to jakieś grzyby albo jagody, które zebrał w lesie i zjadł w desperacji.

Kilku Kurhanów podeszło by sprawdzić, co się z nim dzieje, ale nie zrobili nic by jakoś mu pomóc. Nie zaoferowali mu żadnej pomocy, czy lekarstwa. Nie odpięli go nawet od łańcucha.

Po jakiejś godzinie mężczyzna ucichł. Karl nie potrafił rozpoznać czy umarł, czy po prostu zapadł w sen. Zaczął się zastanawiać nad możliwością ucieczki. Prawdopodobnie wszyscy jeszcze przytomni więźniowie, rozmyślali teraz o tym samym. Vollen wciąż miał przy sobie sztylet Drogo Henca, ukryty w uwalanym błotem ubraniu. Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans otworzyć nim kajdan, ani tym bardziej nie miał zamiaru odcinać sobie nogi, ale jeśli wszyscy przy jednym łańcuchu zebraliby się i wyciągnęli haki przybijające go do ziemi

to może udałoby się zaatakować śpiących Kurhanów. Sztylet dawał im jakąś szansę. Może zdołaliby chwycić jakąś inną broń. Mogli...

Dał sobie spokój z tym pomysłem. Strażnicy rozsiekliby ich na strzępy. Z tego co widział, przynajmniej dwóch ludzi przy jego łańcuchu, było zbyt słabych by walczyć, a trzech innych zbyt przerażonych. No i był jeszcze von Margur. Nawet, jeśli by chciał walczyć to jego ślepotą była zbyt wielką przeszkodą, która mogła zniweczyć cały plan.

Następnie Vollen całkiem poważnie rozważył raz jeszcze możliwość odcięcia sobie stopy. Paradoksalnie, tym co go od tego pomysłu odwiodło nie był wcale potencjalny ból, możliwość śmierci z powodu upływu krwi, ani też bezsens próby ucieczki podskakując na jednej tylko nodze. Nie, odwiodła go od tego myśl, że sztylet ma chyba zbyt krótkie ostrze, żeby poradzić sobie, z czymś tak grubym i twardym, jak kostka u nogi.

Na drodze widać było ruch. To rydwany i kawaleria pędziły traktem w świetle pochodni. Spieszyli się bardzo, bez wątpienia zdążali w kierunku pola bitwy, na południe.

Potem dało się słyszeć kolejny dźwięk. Karl w pierwszej chwili pomyślał, że to wiatr hulający w koronach drzew. Wielu zaciekawionych więźniów spojrzało w górę. W powietrzu rozległo się pohukiwanie i chłostanie, niczym końskiego ogona o bok. Karl był kiedyś w wielkim porcie w Marienburgu. Hałas brzmiał dla niego niczym szybki wiatr pędzący przy ujściu rzeki do morza, który sprawiał, że ogromne płachty płótna żaglowego, osadzone na trzeszczących masztach statków kupieckich i korsarskich, łopotały.

Kurhani też to usłyszeli. Skoczyli na równe nogi i natychmiast rozkopali ogniska. Potem zdeptali je dokładnie, tak, że wszystkie żarzące się węgle zgasty. Byli najwyraźniej przerażeni. Porozumiewali się jedynie szeptem i zbliżyli się, żeby mieć pewność, iż więźniowie również zachowają ciszę. Ten niemy nakaz, podkreślony został wyszeptanymi groźbami, razami i widokiem wyciągniętej z pochew broni.

Dochodzący z góry trzepot, trwał, poruszając się nad ich głowami z północy na południe. Wszyscy zastygli w bezruchu i kuląc się przy ziemi w ciemności patrzyli w górę. Karl miał nadzieję, modlił się o to do Sigmara, że odgłos nie należał do tego, co jak podpowiadała mu jego wyobraźnia, było właśnie w górze.

Skrzydła. Ogromne, skórzaste skrzydła nienazwanych istot latających ponad lasem, niewidzialnych w swej czerni na tle bezgwiazdznego nieboskłonu. Dzikie ohydztwa z najodleglejszej północy przyzwane przez czarowników, opadające w dół by przyłączyć się do bitwy.

Biedak, który najadł się trujących jagód przebudził się i zaczął głośno jęczeć. Zdążył wydać z siebie dwa okrzyki bólu zanim wpatrzony w noc Kurhan zdążył zareagować. Rzucił

się na niego i przybił go do leśnej ściółki swą włócznią, zamykając mu usta na zawsze. Znów zrobiło się cicho i tylko w górze, rozbrzmiewały głuche uderzenia wielkich, nietoperzych skrzydeł.

IV

Kurhani obudzili ich rankiem i zmusili do wymarszu. Znów padał deszcz, było szaro, zimno i nieprzyjemnie. Chory mężczyzna, którego zamordowano przez wzgląd na zachowanie ciszy, został odcięty od pętających mu nogi kajdan, a jego poćwiartowane zwłoki pozostawiono pod szumiącymi topolami. Kiedy tak szli na południe, kołysząc się ze zmęczenia, pozostała po nim pusta, żelazna obręcz klekotała i brzęczała, ciągnięta w środku szeregu po ziemi.

V

Karl obiecał sam sobie, że na pewno nie umrze w taki sposób. Nie pozwoli tym barbarzyńcom, zakończyć swego żywota, w tak hańbiący sposób, tylko dlatego, że sądzili, iż życie to, należy do nich. Nie widział możliwości ucieczki. Chyba, że zdarzyłby się jakiś cud. Miał sztylet. Niewielkie ostrze wykute w kuźniach Imperium, wystarczające by odebrać, choć jedno życie. Kiedy tylko nadarzy się okazja umrze w walce i zabierze ze sobą chociaż jednego barbarzyńcę z Północy o nikczemnej i ciemnej duszy.

Kiedy szedł utrudzony, dalej i dalej, bezwiednie pocierał zaognione miejsce na swoim policzku. Znak Zara Uldin. Chciał zerwać ten kawał skóry z ciała i nie być dłużej naznaczony jak czyjaś własność.

Deszcz wzmógł się jeszcze bardziej. Teraz były to prawdziwe strugi wody lecące z nieba, zamieniając w grzęzawisko trakt, którym podążali. Drzewa po obu stronach drogi rozmyły się, tak ostra była zasłona lecącej z nieba ulewy. Więźniowie, nie wyłączając Karla, szli z twarzami uniesionymi w górę i otwartymi szeroko ustami, napawając się napojem, dostarczonym przez niebiosa. Vollen modlitwą podziękował Tallowi, posiwiąlemu bogowi dzikich pustkowi i żywiołów, który właśnie tu przebywał, za okazaną przez niego litość.

Jadący obok kawalkady, zakuty w srebrzystą zbroję gwardzista, teraz rzeczywiście był

już srebrny. Ostry deszcz, zmył z jego pancerza, rytualne zacieki z krwi, które czyniły go wcześniej różowawym. To uczyniło go słabszym, pomyślał Karl, ponieważ został pozbawiony magicznej ochrony, którą dawała mu krew. Vollen zdecydował, że to właśnie gwardzista Skarkeetaha będzie jego celem. Jeżeli tylko zdoła, to odziany w srebrzystą zbroję poganin będzie tym, którego duszę weźmie ze sobą w zaświaty. Zdobiony, ćwiekowany pancerz znów spłynie czerwienią.

Czerwienią kurhańskiej krwi.

VI

Późnym przedpołudniem czwartego dnia, kawalkada dotarła do miasta. Deszcz ustał, a blade słońce, starało się przebić przez chmury i rozświetlić dzień. Miasto było wzniesione w szerokiej leśnej przecince. Chaty skupiały się dookoła porządnej, aczkolwiek podniszczonej, granitowej kapliczki. Otoczone były ścianami wzniesionymi z kamienia i drzewnych bali. Nigdy nie poznali nazwy tej osady.

Horda Kurhanów musiała podejść niczym wilki. Spalono większość starych, nędznych chat, a mieszkańców wycięto w pień. Potem zajęto osadę, by korzystać ze studni, złupić spiżarnie i spichrze. Stała się ona obozem najeźdźców, bazą zaopatrzenia dla armii dążących na południe, poprzez nadgraniczne ziemie Kislevu, wprost do ojczyzny Karla.

Miejsce śmierdziało zatechłym dymem i gnojem. Roilo się tu od Kurhanów. Porozstawiali swoje okrągłe, skórzane namioty i płócienne pawilony, na pastwiskach poza obrębem murów, a niektóre nawet wprost na ulicach osady. Całe stada koni zgromadzono w naprędce zrobionych, okolonych łańcuchami zagrodach, na zewnętrznych granicach tego tymczasowego miasta. Wszędzie wyrosły też przedziwne lasy, wbitych w iłowaty grunt, przechowywanych w ten sposób włóczni.

Kurhani przy pomocy batów sprowadzili więźniów z traktu i powiedli dalej przez pastwiska, pomiędzy namiotami i przez bramę do wnętrza osady. Za palisadą kręcili się łucznicy z cięciwami założonymi na krótkie, poskręcane łuki. Strażnicy z długimi, bawolimi rogami stali ponad bramą i czujnie rozglądali się w poszukiwaniu jakiegoś niebezpieczeństwa.

Wnętrze przedstawiało sobą obraz totalnego zniszczenia i grabieży. Wielkie, ciemne kałuże stały pośród błota. Odbijały się w nich płynące po niebie, ciemne chmury. Zabici

Kislevici leżeli zrzućeni na kupę pod otaczającą miasteczko ścianą. Wszędzie roiły się muchy.

Podążali główną ulicą, poprzez wybrukowany rynek, gdzie wypalone szczapy i popiół wskazywały na jakieś rytualne całopalenie, aż dotarli do kaplicy. Był to wielki granitowy budynek poświęćony kislevskiemu bóstwu, teraz splądrowany i ze zbezczeszczoneymi ołtarzami. Ciężkie drzwi i okna zostały zabite na głucho, za wyjątkiem głównego portyku. Jako, że została wzniesiona z kamienia, kaplica była najodpowiedniejszym, według Kurhanów, miejscem na więzienie.

Wewnątrz było sucho i mroczno, ciemność rozświetlał jedynie rozmigotany blask świec. Szeroki i długi środek kaplicy został oczyszczony, a na ziemi rozpościerały się narzuty i dywany. Pachniało starym drewnem, kurzem i kwaśnym winem. Strażnicy zmusili ich by zalegli na zawszonych narzutach. W żelaznych misach rozpalono ogień. Po chwili wyczuli jadło i żołądki skręćiły im się z głodu.

Karl skulił się na dywanie. Ogień oświetlał stojący nieopodal ołtarz. Jakieś przedmioty, prawdopodobnie poświęćone, leżały na ziemi, zrzuczone z ołtarza i roztrzaskane. Na szerokim, bazaltowym bloku stała żelazna skrzynia. Opierała się na czterech nogach, które wyrzeźbione były tak, aby przypominały ptasie pazury. Z boków wiodły długie uchwyty pozwalające nieść skrzynię na ramionach. Ze skrzyni patrzyło na nich wyrzeźbione na jej boku pojedyncze oko. Jego powieki uformowane były na kształt wijących się węży. Ogień płonący w skrzyni rzucał przez otwory w oku na zewnątrz bursztynowe, chybotliwe błyski. Zdawało się, że to upiorne oko mruga w ich kierunku.

Pozostawiono ich samych na jakiś czas. Potem do kaplicy wkroczył Hinn. Stąpienie jego stóp po kamiennej podłodze niosło się głośnym echem. Podążało za nim dziewięćciu krzepkich niewolników noszących lektykę. Przynieśli ze sobą kowadło.

Hinn skłonił się przed skrzynią, a potem wyprostował, by zdjąć z głowy ptasi hełm. Kiedy to uczynił, złożył go u stóp bazaltowego podwyższenia.

Jego twarz i głowa były szkaradne.

Twarz Hinna była mała i pucółowata, niczym twarz niemowlaka. Nie nosił brody, ale widać było wyraźnie, że się nie golił. Żaden włos nie skalał jeszcze delikatnej skóry na policzkach. Głowę miał ogoloną na łyso i natartą jakimś olejkiem. Była nienaturalnie wysoka, wznosiła się do góry groteskowa i była zaokrąglona, zwieńczoną ohydnie powykręcana kością. To dlatego właśnie, jego hełm był tak wysoki, by zmieścić w sobie ten nieludzki kształt.

Czaszka Hinna była kształtowana od samego dzieciństwa. Karl słyszał kiedyś o tym

zwyczaju kultywowanym pomiędzy członkami najbardziej dzikich szczepów z Północy. Obciskające opaski sprawiły, że miękka jeszcze czaszka wydłużyła się dziwnie i była teraz dwukrotnie wyższa, od czubka głowy do szczęki, niż czaszka normalnego człowieka. Kiedy się odwrócił okazało się, że jest za to o wiele węższa mierząc od czoła do karku. Naga czaszka przypominała swym wydłużonym kształtem wąskie i długie jajko z przylepioną z przodu twarzą niemowlaka.

Hinn odwrócił się do nich. Wyraz jego oblicza był pusty, przypominał z wyglądu idiotę.

- Tchar was uświęcił, o wy naznaczeni - powiedział wysokim i piskliwym głosem, który brzmiał zbyt słabo żeby wydawało go tak potężne ciało. Klasnął w dłonie i na ten znak Kurhani z włócznieami poprowadzili więźniów pojedynczo do kowadła. Niewolnicy noszący lektykę uwalniali ich po kolei za pomocą dłuta i młotka. Nie obeszło się przy tym bez wypadków i zanim wszyscy więźniowie byli wolni jeden miał złamany palec, a kilku innych pokaleczone łydki.

Nie była to jednak dla nich zbyt wygórowana cena za wolność.

Potem Kurhani przynieśli jedzenie.

VII

Jedzenie przyniesiono w kutyach, miedzianych kotłach. Były wypełnione po same brzegi, tak, że musiały być niesione na gnących się, skrzyżowanych tykach przez parę przygiętych do ziemi ludzi. Parujące i tłuste kawałki ryby gotowane w końskim mleku. Gorący brązowy rosół, aż gęsty od korzeni i warzyw, z tłustymi kawałkami baraniny. Bób i jakieś strąki ugotowane we wrzącym rosole.

Na drewnianych deskach leżały sterty, ledwo co odwinętego z liści, gorącego i pokrojonego chleba.

Niewolnicy złożyli to wszystko, dokładnie po środku gromady więźniów. Ci wpatrywali się w jedzenie bez słowa. Niektórzy szlochali inni ślinili się niczym psy. Nikt nie ośmielił się ruszyć.

Hinn uśmiechnął się. Nie był to zbyt przyjemny widok.

- Jedzcie - zwrócił się do pojmanych.

To... to była najwspanialsza rzecz jaką kiedykolwiek zrobił Kurhan i którą widział Karl.

Więźniowie rzucili się do kotłów przelękając ślinę. Łamali chleb i używali rąk by

zacerpnąć jedzenia, nie zważając na oparzenia od gorącej stawy. Jedli jak wygłodniałe wilki, w stadzie, parząc sobie usta, języki i palce. Niektórzy pochłonęli tak dużo, że padli osłabieni i odrętwiali na ziemię. Inni dławili się i kaszleli.

Było to najlepsze jadlo jakiego kiedykolwiek kosztował Karl Vollen.

Niewolnicy od lektyki pojawili się ponownie, tym razem niosąc bukłaki, w żrący bez opamiętania tłum. Były one wypełnione jakimś przypominającym wino alkoholem. Opróżnili je, trzymając ciężkie skórzane worki, po kolei wlewając słodki i mocny napój w usta współtowarzyszy. Śmiali się, twarze błyszcząły im od tłuszczu, w brodach mieli resztki jedzenia. Karl znalazł von Magura i pomógł ślepemu dostać się do jednego z kotłów.

Kiedy naznaczeni mężczyźni kontynuowali ucztę, Hinn i niewolnicy od lektyki rozeszli się po kaplicy wrzucając do ognia jakieś nasiona. Wkrótce całe wnętrze wypełniło się ostrym, suchym dymem. Więźniowie oddychali nim i po chwili niektórzy zaczęli wyć i rechotać ze śmiechu. Tańczyli wokół, z oczu płynęły im łzy, a usta mieli otwarte w jakimś ekstatycznym uniesieniu. Jeden śmiał się tak mocno, że wreszcie zaczął się krztusić.

Gorące opary narkotycznego dymu stały się gęste i wypełniły calutką kaplicę. Hinn i inni Kurhani wycofali się. Kaszłąc i zataczając się, więźniowie wymachiwali w oszołomieniu rękami. Niektórzy pełzali po podłodze, wciąż zarykując się śmiechem. Inni padli z przepełnionymi brzuchami na porozkładane narzuty i zapadli w sen. Dwóch mężczyzn poderwało się nagle i zaraz osunęli się ponownie na ziemię. Miedziane kotły, wyskrobane do czysta, potoczyły się po dywanach na boki.

Von Margur osunął się na zalegające podłogę narzuty. Zaczął jęczeć i płakać. Karl również ciężko usiadł. Głowa kołysała się mu na boki. Z oczu płynęły łzy, ale wciąż śmiał się histerycznie. Jeden z naznaczonych, żołnierz z Carrobergu, podszedł chwiejnie do ołtarza i włożył na głowę złoty, ptasi hełm Hinna. Zaczął w nim podskakiwać i tańczyć i wszysej, którzy byli wciąż przytomni, śmiali się jeszcze głośniejszym głosem niż wcześniej. Do tego stopnia, że kilku zaczęło się dusić.

Karl powstał rechocząc i chwiejąc się. Ścisnął w rękę sztylet, ukryty wciąż w fałdach brudnego ubrania. Ruszył w kierunku drzwi, ale chodzenie sprawiało mu ogromną trudność.

Czuł się tak wspaniale.

- Nie! - ryknął von Margur wyciągając rękę by złapać but Karla.

- Precz! Precz, panie! - chichotał Vollen.

- Nie! - rzucił rycerz, a potem zaniósł się śmiechem, słysząc swój własny pompatyczny głos.

- Puść mnie, panie... - prosił rajtar.

- Nie... nie Karl - odpowiedział von Margur wciąż rechocząc. Jego ręka ścisnęła goleń młodzieńca. - Proszę, nie. Co ja zrobię bez ciebie?

Karl zatrzymał się. Nie miał na to odpowiedzi. Opadł na kolana.

- Panie? Panie? Weź ten nóż i przytrzymaj, tak żebym mógł paść na ostrze i wydostać się stąd wreszcie. Proszę, panie. Proszę.

Von Margur spał. Na wpół strawiony pokarm, spływał mu z otwartych ust po brodzie.

Karl podniósł się znowu na nogi. Było to ciężkie zadanie i zajęło mu dłuższą chwilę, zanim zakończyło się sukcesem. Kiedy już stanął prosto, zaczął się chwiać i kołysać. Trzymał przed sobą prawdziwego zabójcę, niczym kielnię.

Coś bardzo zimnego i twardego spoczęło na jego lewym ramieniu. Karl spojrzał w dół. Twarda rzecz błyszczała. Było to bez wątpienia coś stalowego.

Ostrze pałasza.

Stał przed nim Hinn. Jeden z jego wielkich, szerokich mieczy spoczywał poziomo na torsie Vollena.

- Nie wiem jak udało ci się ukryć tę zabawkę - powiedział nieprawdopodobnie wysokim głosem. - Masz do wyboru. Albo oddasz mi to i będziesz żył, albo zatrzymasz i umrzesz.

Karl starał się skupić myśli. Chciał dźgnąć Hinna, ale był pewny, że gdyby tylko wykonał jakiś ruch padłby martwy na ziemię.

Hinn trzymał ostrze pałasza w niezmienionej pozycji, a drugą rękę wyciągnął w kierunku Vollena.

- Oddaj mi to człowieku z Imperium.

Karl zamrugał oczami.

- Twój głos jest śmieszny - zorientował się, że to on sam wypowiada te słowa.

- Śmieszny?

- Tak, śmieszny. Jakiś taki piskliwy.

Rozgniewany Hinn zdjął z ramienia Karla pałasz i już wznosił go do góry.

- Jest jeszcze jedna możliwość - rozległ się z tyłu delikatny głos.

Skarkeetah pojawił się u boku swego ochroniarza. Uśmiechał się w kierunku Karla.

- Ukrycie tego sztyletu było całkiem inteligentne, jesteś bystry. Odłóż go teraz, a pozwolę ci go zatrzymać.

To brzmiało całkiem logicznie i sprawiedliwie.

- W porządku - odpowiedział Vollen i włożył sztylet z powrotem za pazuchę, kryjąc go w fałdach swej szaty.

Potem usiadł i natychmiast zapadł w sen.

VIII

Karl przebudził się bardzo wcześnie. Paleniska wygasły i w kaplicy zrobiło się znów zimno. W chłodnym powietrzu wisiał delikatny zapach narkotycznego dymu i jedzenia. Wszyscy więźniowie leżeli pogrążeni we śnie. Jego sztylet zniknął. Musieli go zabrać gdy był nieprzytomny. Vollen zaklął szpetnie, ale był zbyt zmęczony by się tym teraz przejmować.

IX

Wszyscy spali przez większą część kolejnego dnia. O zmroku, gdy dzień zbliżał się już ku końcowi, niewolnicy przynieśli im kolejny posiłek i więcej bukłaków z winem. Więźniowie jedli tym razem wolniej. Byli zmęczeni i lekko oteźpiali.

Na zewnątrz panował głośny zgiełk, biły bębny i płonęły wielkie ognie.

W kaplicy pojawił się ponownie Hinn. Tym razem ścisnął w każdym ręku nagi pałasz. W nocy, odzyskał hełm. Teraz błyszczał na jego głowie. Ptasi dziób i baranie rogi.

Przez chwilę rozglądał się wokoło a potem wskazał długim ostrzem dzierzonym w prawej dłoni na dobrze zbudowanego pikiniera ze Stirlandu. Mężczyzna miał na policzku trzy zielone kropki - piętno Zara Blayda.

- Tchar wybrał ciebie - powiedział Hinn.

Potem podniósł również lewą rękę i skierował czubek ostrza w stronę Karla.

- I ciebie.

X

Mężczyzna ze Stirlandu nazywał się Wernoff. Karl dowiedział się tego kiedy wyprowadzono ich z kaplicy, wprost w chłodne powietrze wieczoru.

- Czegóż oni, na Sigmara, mogą od nas chcieć? - zapytał Wernoff.

- Nie mam pojęcia.

- Będziemy ofiarami, Vollen? Złożą nas w krwawej ofierze? - zgadywał zatrwożony

pikinier.

- Sigmar nas ochroni, niechaj świeci nam jego światłość - starał się go uspokoić Karl.

Jak tylko wydostali się z portyku prowadzącego do kaplicy otoczył ich gęsty tłum pijanych Kurhanów, intonujących jakieś pieśni. Ludzie Hinna odciągnęli Wernoffa i Karl stracił go z oczu. Sam ochroniarz poprowadził Vollena, przedzierając się, pomiędzy napierającymi ze wszystkich stron ciałami, śpiewających w podnieceniu barbarzyńców, wprost na miejsce gdzie kiedyś było targowisko. Cały ten wyłożony brukiem plac został oczyszczony i był teraz zupełnie pusty, ale huczał od śpiewów tysięcy wojów z Północy, otaczających go szczelnym kordonem. Na krańcach placu płonęły ognie. Rzucały na bruk długie, złociste odbłaski.

Hinn popchnął Karla, na krawędź wyjącego tłumu.

Spowita w czarną zbroję postać Zara Blayda, wyłoniła się spośród tłuszczy, po drugiej stronie placu i zatrzymała, mniej więcej na środku oświetlonej ogniem przestrzeni. Zar dobył miecza i uniósł ostrze w górę. Kiedy nim potrząsnął i wywinął młyńca tłum zawył i zaczął wiwatować.

Potem pojawił się na placu Zar Uldin w czarnych futrach i wilczym hełmie. Długimi krokami przemierzył dzielącą ich odległość i stanął przed Zarem Blayda. Uldin ze zgrzytem wy dobył z pochwy swój pałasz i potrząsnął nim, co wywołało kolejną falę ryków i aplauzu.

Zarowie stali przed sobą na środku placu, Blayda z pochylonym pod kątem mieczem, Uldin ze wzniesionym pionowo do góry pałaszem.

Karl wreszcie zrozumiał sens całej tej sytuacji. Walka jeden na jednego, honorowy pojedynek, zar naprzeciwko zara. Patrzył z wyczekiwaniem.

Blayda zamachnął się masywnym mieczem. Uldin zablokował uderzenie. Posypały się naokoło skry. Tłum zawył.

Potem obaj zaprzestali walki. Skłonili się sobie nawzajem i z powrotem zagłębili w tłuszcę, po obu stronach placu targowego. Karl zamrugął z niedowierzaniem, gdy Hinn wcisnął mu w dłoń pałasz. Potem wręczył mu jeszcze sztylet Drogo Henca.

- Możesz tego potrzebować - usłyszał cieniutki i wysoki głos zza osłony ptasiego hełmu. Karl wciąż jeszcze nie bardzo rozumiał, co się właściwie dzieje. Tłum ryczał i zawodził ogłuszająco. Vollen wetknął sztylet za pas i mocniej ścisnął wielki pałasz.

Hinn bez ostrzeżenia wypchnął go na otwartą przestrzeń. Zatoczył się ku środkowi pustego placu, trzymając w dłoni miecz. Płomienie tańczyły dookoła. Gromada Kurhanów ryknęła, gdy tylko zobaczyli go na placu.

Po drugiej stronie, z tłumu wypadł Wernoff. Potknął się i zatoczył, jakby ktoś pchnął go

mocno w plecy. W dłoni trzymał szeroki miecz Kurhanów. Karl poczuł jak zamarło mu serce. To wciąż był pojedynek. Zar Blayda przeciwko Zarowi Uldin. Ale pojedynek toczony dla sportu, przez zastępców. Przez napiętnowanych wcześniej ludzi.

Duszyka

I

Przez trzy dni pędzili po pustym stepie, zanim wreszcie z oddali zobaczyli zabudowania Duszyki.

Tak przynajmniej zdawało się Gerlachowi. Wyglądało na to, że jego umysł, człowieka z Imperium, niezbyt dobrze, radzi sobie z pojęciem odległości na otwartych przestrzeniach. Dookoła ciągnęła się we wszystkich kierunkach płaska równina, bez żadnych punktów, na których można by, choć oko zawiesić. Nieboskłon był niczym niezmierzona kopuła, pod którą Gerlach, czuł się niewiele więcej wart, niż szpilka. Nie było tu żadnych kierunków za wyjątkiem jednego - do przodu.

Jeśli ludzie z roty powiedzieliby mu, że było to cztery dni, albo nawet pięć, wcale nie byłby zaskoczony. Poruszali się w prawdziwej pustce, w której, on też stał się niczym.

Z biegiem czasu, w monotonnym kołysaniu konia, godzina po godzinie, doszedł do trzeźwego odkrycia.

Otwarte przestrzenie stepu wcale go nie umniejszały. Po prostu pokazały mu, czym tak naprawdę jest. W zetknięciu z gwarnym i tłoczonym krajobrazem księstw Imperium był wysoko urodzonym młodzieńcem, nie mniej, tylko chorążym rajtarów, z sięgającymi daleko ambicjami: by walczyć ku chwale Karla Franza, dokonać w bitwie wielkich czynów, stać się człowiekiem, który sprawi, że wielkie rzeczy staną się faktem. To dlatego ognie Zedewki pozostawiły w nim taką pustkę. Poczucie niepowodzenia raniło głęboko. Czemuż nie zawrócił armii z Północy w pojedynkę?

Tu na stepie ujrzał się w takim świetle, w jakim widział go los. Niewielka rzecz, jak pojedyncze źdźbło trawy.

Był jedynie małym człowiekiem, a tu objawiła się wielkość całego uniwersum... a tak właściwie to tylko jego części. Jego umysł mógł się plątać, skołowany uświadomieniem sobie tego ogromu.

Nie mógł zrobić kompletnie nic. Żaden człowiek nic by tu nie poradził. Północ była prymitywnym potokiem, przyobleczonego w ludzkie ciała. Mógł próbować go powstrzymać, zupełnie tak samo, jak wielkie chmury, wielkości galeonów, płynące po bezkresnym niebie.

Fatalizm okazywany przez Beledniego i wielu z jego ludzi, zdawał się być tu, jak najbardziej na miejscu. Lekkie, kończące temat zmarszczenie czoła, przedziwne skręcenie nadgarstka, jakby właśnie rozrzucał garść ziarna, te ich „bez znaczenia”. Tak typowo niedbałe, tak typowo kislevickie. Oni wszyscy się tu chowali, w tej pustce. I to właśnie ona, powodowała w nich taką, a nie inną życiową filozofię.

Bez znaczenia. Nic nie było ważne. Nic nie było na tyle wielkie, by coś znaczyć na przestrzeni dziejów, za wyjątkiem mijających stuleci i pustego stepu. Wszystko inne było po prostu pyłem, sypiącym się z opadającej dłoni i rozwiewanym przez wiatr, dmący poprzez stepy.

Stanica Duszyka. Osada Duszyka. Kupiecka miejscina na trakcie znikąd - donikąd. Wielka sala zbudowana z drewnianych bali, otoczona garstką chat i palisadą. Tak stara, że żywoły odbarwiły drewno do śnieżnej prawie białości. Pojawiła się nagle, spomiędzy bezkresnych traw, pod niebem, które zdawało się być jedynie niebieską stroną szarości. Zaskoczyło Gerlacha to, że dojechali do niej tak niespodziewanie. Nic za wyjątkiem trawy, a potem nagle osada. Linia wzgórz na północnym wschodzie sprawiała wrażenie równie odległej, jak na początku ich podróży.

Ludzie z roty zdawali się być w jakiś sposób świadomi tego, że dojeżdżają do osady, zanim jeszcze pojawiła się na horyzoncie. Zwolnili bieg wierzchowców, a jadący na przedzie zaczęli rozmawiać.

W osadzie nie było widać znaku życia, za wyjątkiem kóz i niewielkich koników z krótkimi szyjami, pasących się poza palisadą. Rota zatrzymała się w linii jakiejś pół ligi od osady i na znak dany przez Beledniego, Jewnij zadał w róg obwieszczając w ten sposób ich przybycie.

Dźwięk przetoczył się przez step i zamilkł w oddali. Czekali. Konie strzygły uszami i chłostały się ogonami po bokach.

Zza palisady dobiegła ich głośna i czysta odpowiedź. Gerlach zobaczył ruch, kiedy otworzyła się brama.

- Iha! - krzyknął Beledni i rota popędziła w kierunku Duszyki.

II

Życie pośród stepu - zdecydował Gerlach - przypominało styl życia ludzi mieszkających

na wyspach. Trawa była morzem, a rozrzucone z rzadka stacje niewielkimi wysepkami.

Powitanie w Duszyce, różniło się znacznie od tego, jakiego doznali rajtarzy w Choice. Mieszkańcy, choć nie było ich tu wielu, wylegli na ubitą ziemię przed chatami i hałasowali bijąc o siebie kociołkami i patelniami, witając w ten sposób husarzy. Dookoła krzyżowały się powitalne okrzyki i ludzie ruszyli, żeby uściskać dłonie każdego jeźdźca po kolei, gdy ci zaczęli zsiadać z koni. Jakiś tuzin nieznajomych potrząsnął dłonią Gerlacha. Witali go serdecznie, jak brata, albo kuzyna, który powrócił po krótkiej nieobecności do domu.

Jeźdźcy zdawali się znać mieszkańców osady i nawzajem, ale Gerlach i tak nie był tego pewien do końca. Może po prostu traktowali się jak współtowarzysze, synowie Kislevu. Może to wystarczało.

Z długiej sali wyłonił się ataman. Brodaty mężczyzna, ze zniszczoną wiatrem twarzą. Na głowie miał stary spiczasty hełm okolony szerokim futrem, bogato zdobioną tunikę i wełniany płaszcz, udrapowany na jednym ramieniu. Podążał za nim jego zastępca, niosący niedużą maczugę. Była to buława - symbol władzy.

Ataman wziął ją z rąk zastępcy i przekazał Beledniemu. Jednocześnie rotmistrz podał atamanowi drzewce sztandaru rotty. Każdy z nich dotknął czołem otrzymanej rzeczy i wypowiedział poważnym głosem jakąś przysięgę, albo też rytualną mowę. Potem buława i sztandar zostały przekazane z powrotem i trafiły do rąk zastępców. Beledni i ataman rozłożyli szeroko ramiona i padli sobie w objęcia śmiejąc się. Następnie Beledni, Maksym i Borodyn podążyli za atamanem i jego zastępcą do wnętrza budynku.

Na zewnątrz, jeźdźcy z rotty siadali na niewielkim placu, lub doglądali swych koni. Miejscowe kobiety przyniosły miski z marynowanymi śledziami i zsiadłym mlekiem, dzbany wypełnione świeżą wodą, kubki kumysu i kosze niewielkich, zbożowych placków.

Gerlach przyjął trochę wiktuałów od niewysokiej kobiety, której włosy, zawinięte były w kwiecistą chustę. Podczas jazdy jedli niewiele: skrawki wysuszonego, solonego mięsa i suchary wyciągnięte z sakw przy siodłach. Heileman starał się okazać jak bardzo jest wdzięczny. Waja i Witalij dołączyli do niego, chichocząc i dogadując sobie nawzajem, by nauczyć go jak powiedzieć dziękuję na kislevską modłę. Był to cały rytuał, który musiał obejrzeć, choć i tak nie zrozumiał zbyt dobrze jego znaczenia. Jak zwykle kłócili się, który lepiej potrafi mówić w Reikspielu.

Najpierw bierze się wodę. Łyk by opłukać usta z podróznego pyłu. Potem wypłuka się to na klepisko i pije ponownie. Następnie spora porcja ryby, musi zostać zjedzona ze smakiem. Potem placek zbożowy. Przelamany tak, żeby część można było zwrócić ofiarującemu. Idea tego była taka - doszedł do wniosku Gerlach - że ludzie ze stancy ofiarowywali z własnej

woli, swoje cenne zapasy gościom, a rytuał miał zaręczyć, że przyjezdni też mają ochotę się dzielić. Gdy już zostało to ustalone wypowiedziało się podziękowania i piło kumys.

Wyglądało na to, że w stancy nie było żadnych wojów, żadnych zbroi, za wyjątkiem pasa okrągłych tarcz z utwardzonego drewna wiszących po wewnętrznej stronie palisady. Większość mężczyzn nosiła ze sobą na wschodnią modłę, w kołczanach, krótkie, zakrzywione łuki z odpiętymi cięciwami. Dodatkowe cięciwy owinięte były dookoła kołczanów.

Z lepszym humorem, po zakończeniu jedzenia, Gerlach poszedł za przykładem innych jeźdźców i zajął się koniem i zbroją. Poluzował uprzęż i powycierał Saksena garścią słomy. Potem podprowadził go do wody, którą pompowali tutejsi chłopcy. Kobiety przynosiły naręcza siana i rozrzucały je jako karmę dla koni.

Młodszy chłopcy wykazywali ogromne zainteresowanie imperialnym, rajtarskim koniem. Gerlach zdał sobie sprawę, jak bardzo Saksen wyróżniał się pośród kudłatych i niskich kislevskich klaczy. Był największym wierzchowcem, z dłuższą szyją i potężnymi mięśniami. Jego siwy kolor i ściśle związany ogon sprawiały, że wyglądał obco w stadzie.

- Biełyj! - stwierdzali z powagą chłopcy. Saksen wyraźnie zrobił na nich ogromne wrażenie. - Biełyj!

Zainteresowali się teraz jeźdźcem, dosiadającym tego dziwnego konia. Wyglądało na to, że karnacja skóry Heilemana i jego jasne włosy są, co najmniej tak samo intrygujące. Ostrożnie podążali za chorążym, kiedy wracał do swoich rzeczy i zaczął wykladać narzędzia i pancerz na klepisko.

Gdzieniedzie powgniatany i podrapany, pancerz, był wciąż w całkiem dobrym stanie. Nie nosił go, tak jak i hełmu, od nocy, gdy popasali na zboczu wzgórza. Jego sukienne ubranie było w o wiele gorszym stanie, całe brudne i podarte. Prawie już zapomniał, że płaszcz, który miał na sobie, należy do Waji.

Miecz był wyszczerbiony i nie mógł sobie przypomnieć gdzie stracił kopię. Sztylet był w jak najlepszym porządku. Został mu jeden pistolet, ale miał bardzo niewiele, cennego prochu i kul.

Pogrzebał w jukach wiszących przy siodle. Okazało się, że nie ma tam zbyt wiele przedmiotów. Wozy z zaopatrzeniem kompanii, przewożyły większość z osobistych rzeczy. Poza butelką na wodę i zwiniętym pledem, był tam jeszcze grzebień ze skorupy żółwia, składana brzytwa, skrzyneczka z hubką i krzesiwem, osetka, szydło do butów, niewielka buteleczka oleju do polerowania, ścierka, świeca i odrobina pszczelego wosku w niewielkim słoiczku. Było też zgrzebło. Gerlach spojrział na ten szczególny przedmiot i zmarszczył brwi.

Zawsze był tak skrupulatny, jeśli chodzi o opiekowanie się swym wałachem, a teraz przecierał Saksena jedynie wiechciem słomy, na modłę kislevskich jeźdźców, nie pomyślawszy nawet o zgrzeble.

Na samym dnie worka, znalazł jeszcze, kilka kawałków powyginanego srebra i odpryski farby. To było wszystko, co pozostało z symbolu Sigmara, otrzymanego od ojca, w noc przed wymarszem jego oddziału. Na łańcuszku wokół szyi nosił mniejszą, złotą wersję, którą dała mu matka na dziesiąte urodziny. Prezent od ojca był zbyt duży, żeby nosić go na szyi, za wyjątkiem jakichś szczególnych okazji, czy ceremonii. Woził go więc ze sobą przy siodle, jako talizman. A teraz był zupełnie zniszczony. Prędkie oględziny, odkryły w torbie zawieszanej u siodła, osmaloną dziurę, średnicy środkowego palca Heilemana. Musiała ją przebić kula wystrzelona z broni palnej. Nie zauważył żeby którykolwiek z przeciwników posługiwał się takową, ale wszystko było tu możliwe. Z drugiej strony, było bardziej prawdopodobne, że uczynił to, jakiś fatalnie chybiony strzał z własnej strony. W Zedewce panował taki chaos... Święty symbol zatrzymał kulę i w rezultacie, został przez nią zniszczony. Pozostałe rzeczy w torbie były nienaruszone. Jeśli nic nie zatrzymałoby kuli, to Saksen, padłby pod Gerlachem, na polu bitwy.

Było to bardzo osobliwe uczucie. Gdy sobie to wszystko uświadomił, poczuł nagle wdzięczność i pokorę.

III

Gerlach przysiadł, zabrał się za oliwienie zbroi i ostrzenie miecza. Zaciekawieni chłopcy zebrali się wokół niego. Wskazywali sobie nawzajem niektóre szczegóły - kształt miecza, wygląd jego pancerza. Były one dla nich zupełnie obce lecz omawiali je pomiędzy sobą z zawodowym znawstwem.

Gerlach po chwili zajął się pistoletem. Zaczął go czyścić i chłopcy zamilkli nagle z podziwu.

Jeden odważył się wreszcie do niego odezwać. Heileman podniósł głowę. Chłopak niemający więcej niż osiem, dziewięć lat, z przenikliwymi, ciemnymi oczami i wzburzoną grzywą czarnych włosów na głowie, powtórzył prędko swoje pytanie. Żaden z nich nie miał nawet pojęcia o Reikspielu, a Gerlach znał zaledwie jakiś tuzin słów po Kislevsku.

- Nie rozumiem cię chłopcze - poddał się wreszcie. Dzieciak otworzył szeroko oczy. - Ja -

Gerlach wskazał na siebie - cię nie rozumiem - skinął w jego kierunku.

- Douko - powiedział chłopiec.

- Douko?

- Douko - powtórzył klepiąc się po piersi.

- Ty jesteś Douko? Nazywasz się Douko? - zapytał rajtar starając się wymówić poprawnie imię. To chyba zadowoliło chłopaka i jego przyjaciół.

- Heileman - powiedział Gerlach wskazując na siebie. Był taki czas, niezbyt nawet odległy, kiedy stwierdziłby, że takie daremne rozmawianie z dzieciakami pospólstwa jest dla niego uwłaczające. Jakiś wewnętrzny opór zelżał jednak, niczym rozwijająca się sprężyna w zegarze, i nie było dla niego nic przyjemniejszego, niż takie właśnie, tracenie czasu pod ogromnym, błękitnym nieboskłonem.

Chłopiec kilka razy spróbował powtórzyć jego imię, ale było to dla niego wyraźnie zbyt trudne. Zgraja dzieciaków prosiła go, by powtórzył je jeszcze raz, by mogli ponownie spróbować.

Zrobił to. Znów się pomylili i zaczęli się śmiać jeden z drugiego, w taki sposób, że się mimowolnie uśmiechnął. Spróbował czegoś innego.

- Webla - stwierdził i poklepał się po piersi.

Zanosili się śmiechem tak mocno, że opuściły ich siły. Powtórzyli to słowo i pomknęli poprzez dziedziniec, wciąż się przekrzykując.

Gerlach potrząsnął głową i powrócił do przerwanej pracy. Pistolet był już wyczyszczony, miecz naostrzony. Powrócił do pancerza i starał się wyklepać dość głębokie wgniecenie na prawym naramienniku. Zagłębienie powstało od uderzenia miecza, które wytrąciło mu z ręki smoczy sztandar. Przez chwilę, dawny opór powrócił, gdy przypomniał sobie, pełen dumy gniew, który przepelniał go podczas bitwy. Stary, arogancki Gerlach Heileman, który jechał na wojnę wierząc, że sam potrafi przegnać wroga, pojawił się znowu. Kark mu poczerwieniał.

Zgorzkniały, uderzał raz za razem głowicą sztyletu, tak jak robili to Kislevici, ale kiepski był z niego płatnerz. Takie naprawy wykonywał kowal, który jechał na jednym z wozów z zaopatrzeniem. Wykonywał.

- Pokaż mi to.

Gerlach zerknął w górę. Stał za nim Borodyn - mistrz od koni i metalu. Powrócił z wnętrza zali atamana i przechadzał się dookoła obozowiska, ze swym młotkiem, cęgami i niewielkim kowadłem, naprawiając na poczekaniu uprzęże i zbroje husarzy.

Wyciągnął teraz rękę.

- Daj to. Wyklepię to wgniecenie i nie będzie ci już zawadzać, ani obcierać ramienia.

Gerlach podał mu naramiennik. Borodyn ułożył go na kowadle i zaczął rozprostowywać zagięcie lekkimi, wprawnymi uderzeniami młotka.

- Ludzie zdają się nas tu witać z radością.
- Tak też jest w rzeczywistości.
- Co się teraz wydarzy?
- Co masz na myśli? - spytał Borodyn podnosząc wzrok znad kowadła.
- Straciliśmy trzy dni na dojazd tutaj. Co teraz zrobimy?
- Odpoczniemy. Napoimy konie. Dołączymy dziś w nocy do atamana i kruga Duszyki.
- Co to tak właściwie, jest ten „krug”?
- Dosłownie? Koło, krąg. Jakikolwiek zamknięte koło. Okrąg wojów dookoła ogniska.

Ludzie z osady, takiej jak ta właśnie, zebrani na ucztę. No i słowo to opisuje też oddział, tak jak i społeczność jako jedno ciało. Dziś w nocy, krug Duszyki zaprosi Jeczyczowski krug, czyli nas, by dołączył do nich i stworzył jeden krug

- Dość skomplikowane. Cały ten wasz język jest skomplikowany. Jedno słowo i tyle różnych znaczeń.

- Jedno znaczenie. Krąg. To proste. Każda podróż zawsze kończy się w miejscu z którego się rozpoczęła, jako że świat jest okrągły i gdybyś jechał wciąż przed siebie, dojedziesz wreszcie do swoich własnych śladów. Wszyscy silni ludzie to krąg. Każda rota to krąg. Krąg trzyma nas w środku i trzyma nas razem. Prawdziwe kręgi są niezwykle silne.

Borodyn podniósł naramiennik i pokazał jego końcówkę Gerlachowi. Sklepał wypukłość i patrząc na nią z góry, tworzyła teraz doskonałe koło.

Heileman uśmiechnął się.

- Jak zbroja? Doskonały przykład dla twego objaśnienia.

Borodyn zmarszczył czoło i zastanowił się przez moment.

- Och, rozumiem. Nie była to zamierzona z mojej strony symbolika.

Gerlacha przeszedł dreszcz. Mógłby przysiąc, że Kislevita zrobił to celowo. W jego postawie było coś z nauczyciela, a czasami nawet kapłana. Sugerował przeróżne rzeczy, nie zwracając na nie nawet uwagi.

Gerlach założył naramiennik i pokręcił zaciśniętą pięścią.

- Jest w porządku. Dziękuję.
- To żaden problem - stwierdził prawdziwie po kislevsku Borodyn.
- Gdzie nauczyłeś się tak dobrze mojego języka? - zapytał Gerlach.
- W twoim kraju - odparł Borodyn, jakby było to dość dziwne pytanie.
- Byłeś w Imperium?

Borodyn przytaknął.

- Wiele lat temu, kiedy byłem młody i głodny podróży. Zanim Jeczycz nie zawołała mnie z powrotem do domu, na stepy.

- Jeczycz. To twoja rodzinna wieś?

- Tak. Pochodzą z niej wszyscy ludzie z roty. Znajduje się na wschód i północ stąd. Na płaskowyżu, na otwartym stepie.

- A to tutaj to nie jest otwarty step?

Borodyn parsknął.

- Oczywiście, że nie.

- Tak więc jeżdżę w towarzystwie roty z Jeczyczowskiego kruga?

- Tak - uśmiechnął się Kislevita.

- Ponieważ, tak jak krug, rota oznacza więcej niż jedną rzecz? Sztandar i ludzi, którzy za nim podążają? Tych, którzy też mogą być nazywani krugiem?

- Dokładnie. Mówiłem ci, że to całkiem proste.

IV

Kiedy zaczął zapadać zmierzch, a był to powolny proces na otwartej przestrzeni stepu, wszyscy zebrali się w długiej, belkowanej sali. Od godziny płonął w środku ogień, który rozgrzał wnętrze. Przygotowywano strawę. Dookoła unosiły się aromatyczne zapachy.

Jeźdźcy z roty nałożyli zbroje, łącznie z wysokimi szyszakami, lamparcimi skórami i wysokimi grzebieniami piór, by wyglądać dla kruga z godnością i powagą. Spędzili sporo czasu na zewnątrz, by przy gasnącym już słonecznym świetle, poprawić części zbroi, wyprostować i wyrównać, sterczące na plecach skrzydła, wypolerować złote i srebrne ozdoby.

Wyglądali w rzeczy samej imponująco, o wiele okazalej niż ktokolwiek inny w tej dość ubogiej stаницy, to Gerlach musiał przyznać.

Sam ubrał się również w swój półpancerz i okazały hełm. Inni woje na jego widok wyrazili głośno swą aprobatę.

Przed zrzuceniem obszarpanych podróżnych ubrań i założeniem przewspaniałego ekwipunku, wszyscy mężczyźni z roty uczestniczyli w przedziwnym rytuale. Każdy zdjął z drzewca swej kopii długi grot, naostrzył go i dokładnie się z jego pomocą ogolił. Głowę,

policzki, podbródki, wszystko z bolesną wręcz dokładnością, za wyjątkiem kosmyka na czubku głowy i zwisających wąsisk. Beledni, dokładnie obejrzał każdego husarza, w poszukiwaniu źle ogolonych fragmentów skóry. Potem każdy z Kislevitów zawinął kosmyk dookoła łysej głowy, nałożył skórzaną wyściółkę i dopiero potem założył szyszak.

Beledni, wspominał wcześniej o goleniu, tak, jakby było to niezwykle ważne. Była to najwyraźniej, jedyna higieniczna czynność, o którą tak naprawdę dbali, ci zwykle, niezbyt czysti ludzie.

Uskrzydleni jeźdźcy przymocowali następnie na powrót ostrza włóczni do drzewc, a potem zostawili kopie i szable u drzwi prowadzących do zali.

Gerlach, z brodą zapuszczoną na modłę szlachty z Imperium, uporządkował ją po prostu nożem, tęskniąc za miską z gorącą wodą. Podszedł do wrót zali i zostawił w przedsionku swój rajtarski koncerz i pozostałą broń, którą miał przy sobie.

Wnętrze było zadymione i ciemne, wypełnione ludźmi. Byli tu wszyscy mieszkańcy osady, nawet dzieci. Nagą podłogę pokrywały materace, dywaniki i pikowane narzuty. Goście pochyłający się, by ich sterzące wysoko skrzydła nie zahaczyły o belki sufitu, siadali na nich po kolei zachęcani powitalnymi oklaskami gospodarzy. Jakiś mężczyzna z Duszyki grał na bębnie, inny przygrywał wesoło na skrzypkach.

Muzyka i oklaski wkrótce ucichły, tak aby stary ataman, wyglądający dostojnie w swych futrach i zarzuconym na ramiona płaszczu, mógł wygłosić powitalną przemowę. Beledni podniósł się sztywno i odpowiedział mu zwyczajowo. Wszyscy zaczęli klaskać.

Młodsze kobiety rozeszły się potem po zali, trzymając w rękach okrągłe tace, na których stały odwrócone kielichy o grubych nóżkach w towarzystwie niewielkich miseczek z solą. Gerlach był zaskoczony, widząc tak delikatne przedmioty jak kielichy, zwane tu stakanami, w tak odległym od cywilizacji miejscu. Najwyraźniej ataman podejmował swych gości wszystkim, co miał w domu najlepsze.

Każdy z husarzy wziął z tacy stakan, tak jak i ataman. Kiedy podsunięto jedną Heilemanowi, przyjął ją i obejrzał obracając w dłoni. Była stara i ciężka, uformowana na kształt dzwonu. Nóżka nie miała żadnej podstawy. Jedynym sposobem by ją odłożyć było najwyraźniej wypicie zawartości i odstawienie dnem do góry. Najwidoczniej było to naczynie do toastów.

- Druga z twoja ręka - syknął do niego Waja.

Trzymał szklanekę w prawej dłoni i zauważył, że wszyscy husarze trzymają swoje w lewej. Szybko naprawił swój błąd.

- Teraz... sol! - dodał Waja. Każdy wziął szczyptę soli w palce prawej dłoni. Zastępca

atamana przeszedł dookoła kręgu gości, napełniając szklanki jakimś przezroczystym płynem z wysokiej butli. Była to, według Waji, wódka.

Z pełną szklanicą, której nie mógł już odstawić, w lewej dłoni i szczyptą soli w prawej Gerlach czekał i patrzył na innych by dowiedzieć się co ma właściwie robić.

Ataman wznosił toast. Była to głośna i wściekła wypowiedź. Podniósł swój stakan. Husarze, a wraz z nimi Gerlach, podnieśli naczynia do góry.

- Zdarowie!

To słowo przynajmniej znał.

Gdy okrzyk wznosił się jeszcze ku powale Kislevici polizali sól trzymaną między palcami i opróżnili szklanki. Całą zawartość jednym haustem.

Nie chcąc nikogo obrazić Gerlach uczynił tak samo.

Ktoś chyba napełnił jego szklankę roztopionym ołowiem. Kiedy płyn spływał w dół gardła, palił niczym płonąca smoła. Nie był nawet pewny, czy w ogóle spływał w dół gardła. Czuł, że raczej po prostu wypala sobie drogę w dół, do trzewi. Zakrztusił się i rozkaszał, oczy mu łzawiły.

Wszyscy ludzie siedzący dookoła, śmieli się wyrozumiale.

Gerlach zachwiał się lekko. Fala gorąca przepływała mu przez kończyny, a krew nieprzyjemnie huczała w głowie. Starał się zaczerpnąć oddech i marzył by powstanie na nogi nie było aż tak trudne. Zastępca atamana pojawił się raz jeszcze i napełnił ponownie stakany, a młoda kobieta podsuwała wszystkim sól.

- Mnie już wystarczy - odezwał się do mężczyzny, gdy ten chciał napełnić jego szklankę. Ten uchylił się najwyraźniej przerażony.

- Szto?

- Webla! - przynaglił go Waja - Rotmistrz nie opowiedział jeszcze!

Gerlach westchnął i pozwolił żeby napełniono ponownie jego kielich. Wziął kolejną szczyptę soli. Wzniesli teraz naczynia do góry, a Beledni wypowiedział w odpowiedzi swój toast. Kolejny okrzyk - Zdarowie! - kolejny bolesny moment płynnej tortury.

Heileman starał się zapanować nad swoją postawą. Starał się stać prosto, bez żadnej podpory. Było to niezwykle ciężkie zadanie. Twarz miał całą czerwoną.

Waja trącił go łokciem

- Teraz kolejka zastępcy atamana - wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Do czasu, gdy protokół pozwolił mu wreszcie usiąść, wiele kolejek później, Gerlach chichotał już w najlepsze i nie był w stanie stać. Ponownie rozbrzmiała muzyka, a husarze zdjęli z głów szyszaki, ściągnęli rękawice i odpięli z pleców skrzydła. Jedzenie krążyło. Żytni chleb, marynowane ryby, zsiadłe mleko, gotowane jarzyny i mięso, pęta kielbasy, gołąbki zrobione z kaszy i koziego mięsa, zawinięte w liście kapusty. Nadziewany jagnięcy szaszłyk, obracał się nad ogniem, inny zdjęto już ze szprycy i dzielono na kawałki. Do picia podano kumys i na całe szczęście, wodę.

Gerlach jadł sporo, jako że żołądek wciąż palił go od wódki. Kiedy już jedzenie ukoilo ostre klucie napoju w trzewiach, rozejrzał się po zali. Była to niewątpliwie sala spotkań, ale służyła też jako kaplica. W niewielkiej alkowie naprzeciwko wejścia stała prostokątna, bogato zdobiona srebrna skrzynka, rzeźbiona w delikatne wzory. Gdzieniedzie u powały wisiały też kawałki suszonego mięsa i pęki ziół. Na płaskich deskach tworzących ściany pomieszczenia można było rozróżnić pokryte sadzą, stare płaskorzeźby. Przedstawiały one jeźdźców ze skrzydłami dosiadających niewielkich koników.

- Byli tu kiedyś husarze? - zapytał Witalija Gerlach.

- Nie są tu teraz, Webla.

- A co się z nimi stało?

Witalij wzruszył ramionami

- Oni w pułk - odparł.

Gerlach drażył temat. Jak zwykle zajęło mu dłuższą chwilę uchwycenie sensu w słowach Kislevity. Przynajmniej Waja, który rozmawiał teraz zaaferowany z Jewnijem, trębaczem roty, nie wtrącał się i nie komplikował konwersacji jeszcze bardziej.

Na ile Gerlach mógł stwierdzić, każda stanica pośród stepu wkładała wiele wysiłku by wystawić i utrzymać rotę skrzydlatych kopijników. Wielkość roty zależała od rozmiarów osady i ilości mężczyzn, którzy ją zamieszkiwali. Jeczycz musiała być sporą wsią skoro potrafiła wystawić rotę tak silną, jak ta Beledniego, zauważył Heileman. Witalij skinął przytakująco głową. Jeczycz to wspaniałe i cudowne miejsce. Samo wspomnienie sprawiło, że oczy husarza zamglily się. Rota z Duszyki miała zaledwie połowę jej liczebności.

Całe bogactwo wsi przekazywano na potrzeby roty. Kislevici pragnęli by ich żołnierze wyglądali najwspanialej na całym świecie. Każdy skrawek złota i drogich metali wędrował na ich zbroje, każdy zaoszczędzony pieniądz szedł na zakup najlepszych strojów, jedwabiu z Cathay, atłasu, płótna. Stanica często biedowała, byle tylko zaopatrzyć godnie swych wojów, jako że posłanie do boju obdartych żołnierzy, byłoby wielkim dyshonorem dla atamana i kruga.

Teraz Gerlach zrozumiał, czemu husarze nosili swoje przepiękne zbroje i najwspanialsze wyposażenie tylko w czasie bitwy. Były po prostu zbyt cenne by używać ich codziennie.

W czasach pokoju jedynym zadaniem roty była obrona wsi. Czasami oznaczało to połączenie się z innymi podobnymi oddziałami, by odegnąć jakieś większe zagrożenia, takie jak najazd kżazaków, czy inne podobne. W czasach gdy trwała wojna na wielką skalę, tak jak teraz, stanice wysyłały swe rotę by te połączyły się w pułki - armie całkiem pokaźnych rozmiarów, o hierarchii i zależnościach tak złożonych, że Gerlach nie mógł ich zrozumieć z entuzjastycznej i trochę bezładnej gadaniny Witalija.

Wszystko to wskazywało na kulturę o dużej złożoności i wielkości, jakiej nie spodziewał się Gerlach zastać na tutejszym terytorium. To, co swoimi oczami człowieka z południa, widział jako rozsypane luźno pośród pustki osady, było w rzeczywistości, zawikłaną siecią handlu i współpracy. Po raz wtóry, skarcił się w myśli za to, że brał wcześniej Kislevitów za barbarzyńskich wasali Imperium. Przypomniał sobie, że ci ludzie działają na zupełnie inną skalę, niż jego ukochana ojczyzna. To nie były odizolowane od siebie społeczności, bez względu na to, że tak właśnie o nich myślano. Jedli przecież tej nocy ryby i palili drewno. Jak daleko znajdował się najbliższy las? Najbliższe jezioro?

Witalij powiedział, że rota z Duszyki wyruszyła już ponad pięć tygodni temu by dołączyć do pułku przy rzece Lynsk, gotowa by stanąć ramię w ramię z armiami Imperium. On sam, wraz z innymi ludźmi z rotę Beledniego, opuścili Jeczycz dziesięć tygodni wcześniej, pozostawiając swą wieś, w samym środku zimy, wyruszając w drogę w tym samym celu. Jak na razie jeźdźcy z Duszyki nie powrócili do swej osady.

Gerlach upił łyk kumysu i życzył im wszystkiego najlepszego. Miał jednak dziwne i nieprzyjemne odczucie, że wie, dlaczego się jeszcze nie pojawili z powrotem.

Witalij zrobił swoją minę „bez znaczenia”.

- Taka kolej rzeczy jeźdźcom śmierci.
- Jeźdźcy śmierci? Tak nazwał nas Borodyn.
- Iha! Wszyscy woje z rota to jeźdźcy śmierci.

Gerlach z całego serca pragnął wiedzieć, co to oznacza, ale Witalij nie potrafił mu tego wyjaśnić.

VI

Noc była czysta niczym kryształ, a na nieboskłonie migąło więcej gwiazd niż Gerlach byłby kiedykolwiek w stanie zliczyć. Gwiazdy były duże, wyraźne i dzikie. Wyglądało to tak, jakby spowity czernią nieboskłon, dał im we władanie swoje niezmierzone przestrzenie. Daleko, w domu, były one jedynie niewielkimi kropeczkami na czarnym niebie.

Gerlach powędrował na plac gdzie odpoczywały ich konie. Napawał się słodkim, chłodnym powietrzem stepu. Za plecami, zala buzowała ciepłem, życiem, grzmiała muzyką i śpiewami. Oparł się o wbity w ziemię pień i potrząsnął głową. Przejadł się i o zbyt dużo wypił. Został wręcz zmuszony by tyle wypić.

W pewnym momencie, zupełnie przypadkiem, odkrył, że kumys jest przyrządzany ze sfermentowanego kobyłego mleka. Nie powstrzymało go to jednak od picia.

Dziwił się sam sobie i był zaskoczony własnym zachowaniem. Już nie był tym sztywnym chorążym, który wyjechał z koszar w Vatzlu i na którego ustach wciąż gościł ponury i dumny grymas.

Bramy w palisadzie były wciąż otwarte, był to symbol zżycia się tych ludzi z otaczających ich stepem. Tak, jakby zapraszali go do środka swej osady. Gerlach zauważył pod jedną z bram jakiś cień. Ruszył prosto ku niemu. Był to Beledni. W swej wielkiej łapie trzymał bukłak wypełniony kumysem.

- Webla - odezwał się gdy rozpoznał Heilemana - Ty nie chcesz walić rotmistrza Beledni znów? To nie czas.

- Nie - odparł Gerlach - Tak naprawdę to trochę mi głupio. Przepraszam za tego tchórza. Przepraszam.

- Dobra. Rotmistrz Beledni szczęśliwy. Napij się ze mną.

Gerlach wziął podany bukłak i pociągnął z niego spory łyk.

- Ty dobry człowiek, Webla. Silny... wojownik. Widziałem jak jedziesz by odbić sztandar. Odbić od wielu Północnyje. Wielu więcej Północnyje.

- To był mój sztandar rotmistrzu.

- Iha. Ja by zrobił tak samo. Dla rota. Widziałem jak jedziesz i ja... - Beledni zająknął się. Nie mógł dobrać słów. - Ja chceć. Niet! Ja pomyślał, że zrobić to. Nieważne. To dlatego rotmistrz Beledni poprowadził szarżę.

- Poprowadziłeś rotę żeby mnie uratować?

Beledni pokręcił głową.

- Niet, nie ratować. To słowo... pomóc. Widziałem ducha Webla. Odważny. Sam jeden. Chciałem i pragnę by inni ludzie zrobić tak samo jak Beledni robi jak ty.

Więc Beledni poprowadził szarżę do boju, dlatego, że był pod wrażeniem wysiłków

Gerlacha by odbić sztandar. Nadjechał mu z pomocą, bo chciałby, żeby inni zachowali się tak samo, kiedy zobaczą Beledniego, który podejmuje podobne ryzyko.

- Nic to nie dało - odezwał się po chwili Heileman.

- Szto?

- Straciłem sztandar. Mój sztandar.

- Ale ocaliłeś mój. Podniósł z ziemi, kiedy padł Mikael Russa, trup. Wielki honor dla nas ty zrobił.

- Może. Cieszę się, że to... miało jakieś znaczenie.

Przez kilka dobrych minut nie odzywali się do siebie. Beledni dał kilka razy buklak Gerlachowi, by ten mógł się napić.

- Mogę mieć jedną prośbę rotmistrzu? - przerwał wreszcie ciszę Heileman.

- Proś. Jestem to winien tobie.

- Daj mi nieść sztandar roty. Jestem chorążym. To moje zadanie. Straciłem swój sztandar, ale ocaliłem wasz, a wy straciliście swojego chorążego, Mikaela Russa. Jeżeli mam jechać dalej z wami pozwól mi robić to, do czego jestem zwyczajny.

- To nie być dobrze - odpowiedział rotmistrz.

Gerlach westchnął ciężko zrezygnowany.

- Jest kolej rzeczy - ciągnął Kislevita - Chorąży być wielki honor. Człowiek musi być weteran, by być chorążym. Rotmistrz Beledni nie chce znieważać ludzi z rota jak Maksim, jak Mitrij, jak Sorka, jak Iwan. Wszyscy ci czekać w linii na zaszczyt bycia chorążym.

- Rozumiem.

- Ale to szczególna sprawa. To w porządku. Webla powinien nieść sztandar. Ludzie z rota to rozumieją. Albo rotmistrz Beledni walnie ich w łby.

- Dziękuję rotmistrzu. Nie zawiodę, na mój honor jako... - Gerlach miał już na ustach słowa „rajtara jego wysokości Karla Franza". Zamiast tego powiedział - ...żołnierza.

- Rotmistrz Beledni wie to, Webla. Beledni nie być głupi człowiek.

- Oczywiście.

- Albo tchórz.

- Z pewnością.

Gerlach wziął buklak i łyknął potężnie unosząc do góry luźny, skórzany worek.

- Dokąd zmierzamy jutro?

- Nigdzie.

- A pojutrze?

- Także nigdzie.

- A potem?

- Jeżeli rota z Duszyki nie wróci w dwa razy dzień my pojechać na północ i zachód, do stacja Leblia. Tam pułk miał wracać, jeśli wróg zbyt mocny.

Na niebie stały obydwie księżycy jaśniejące pośród ciemnego nieba. Ich blask kładł głębokie cienie za mężczyznami stojącymi opodal bramy.

- Mogę jeszcze o coś zapytać rotmistrzu?

- Iha

- Co znaczy Webla?

- Aha! Zapytaj Borodyna. Mistrza od koni - Borodyna. Mistrza metali. On zna słowa! Teraz chodź Webla. Do zali. Trzeba wznieść toast za to, że ty być chorąży rota.

Gerlach westchnął raz jeszcze i podążył za potężnie zbudowanym cieniem do budynku.

VII

Świt rozlał się po wschodniej stronie horyzontu jak śmietana wlewana do zimnej wody. Światło pojawiło się nad ziemią i zaczęło rozpędzać mroczną pustkę.

- Przykro mi z powodu twego konia - zwrócił się do Gerlacha Borodyn, moment po tym jak ten się obudził. - Tutejsze dzieciaki popisały się przesadnym entuzjazmem.

Heileman wyszedł w rześki poranek i poszedł żeby obejrzyć Saksena. Koń zdawał się być bardzo wesoły i pełen energii. Koń był kredowobiały powyżej linii brzucha, a poniżej krwistoczerwony. Połączenie obu kolorów zaznaczono starannie wyrysowaną, prostą linią. Czerwień znaczyła też dolną część szyi Saksena.

- Twój koń jest dla nich czymś nadnaturalnym. Nigdy takiego wcześniej nie widzieli. - wyjaśnił mu Borodyn - Powinieneś być szczęśliwy. Tylko najwięksi bohaterowie Kislevu mieli tak pomalowane konie.

- Nazywają go białej. To znaczy te dzieciaki.

- Białej. Znaczą się białej. Nie kolorowy. Wiem, że Saksen jest szary, ale dla nich wygląda jak bład, białej koń. No tak, teraz to już z pewnością jest białej.

- Nie całkiem.

- Białej na górze, a na dole krwistoczerwony. Koń bohatera, pomalowany jak za dawnych dni. Święte Pismo Ursusa wspomina, że śmierć jeździ na takim właśnie białym koniu, rozpościerając nad światem swą niszczącą potęgę.

Gerlach uśmiechnął się. Głowa bolała go jeszcze od nocnej pijatyki.

- Podoba mi się. Odpowiada mi to.

- To dobrze - stwierdził Borodyn.

Mistrz od koni skierował się ku wrotom zali.

- Mistrzu! - zawołał Heileman spiesząc za nim.

- Co takiego?

- Mam pytanie.

Borodyn zatrzymał się.

- Pytaj.

- Dlaczego rota nazywa się jeźdźcami śmierci?

Borodyn wzruszył ramionami.

- Kiedy mężczyzna opuszcza swą rodzinną wioskę i jedzie na wojnę jest już martwy.

Pewnego dnia zginie na pewno, więc lepiej oplakać go po każdym wyjeździe, tak jakby już umarł. Nie było to pytanie, którego oczekiwałem.

- A jakiego oczekiwałeś?

- Oczekiwałem pytania, co znaczy Webla?

- Więc? Co to znaczy? - zawołał za nim Gerlach.

- Kiedyś zrozumiesz, Webla.

VIII

Trzeciego dnia w stancy, ataman i jego zastępca, przygotowali dla nich rytuał poświęcenia. Wszyscy zgromadzili się w zali, kiedy ataman wszedł do świętej alkowy i wyjął stamtąd srebrną skrzyneczkę. Był to ołtarzyk, oprawione srebrem pudło z drzwiczkami na zawiasach. Ikona. Okolona srebrem twarz Ursuna patrzyła na zewnątrz, wyrzeźbiona w wiekowym drewnie figowym i pomalowana twardą temperą. Była to najwyraźniej, część niebios, zamknięta w niewielkiej skrzynce z drogiego metalu.

Wszyscy skłonili głowy, kiedy otwarto przed nimi drzwiczki.

IX

Trzeciego dnia rano, rota Beledniego wyruszyła ku zachodowi. Gerlach trzymał sztandar z orlim skrzydłem wysoko nad głową i jechał, krzycząc z siodła swego pomalowanego wierzchowca, naprzeciw wiatrowi dmącemu z otchłani stepów.

Azytzeen

I

Wernoff poruszał się pieszo niezwykle szybko, ale jako pikinier nie był przyzwyczajony do walki mieczem. Karl, dla odmiany, był mistrzem fechtunku. Była to część szkolenia jakie przechodził każdy z rajtarów. Pałasz „pożyczony” od Hinna był jednak dłuższy, większy i prostszy niż ostrza, których używał do tej pory Vollen. By swobodnie nim władać, musiał go trzymać oburącz. Pomimo tego i tak miał przewagę.

Wcale nie chciał jej mieć. Nie chciał wymieniać ciosów ze swym towarzyszem z Reik.

Karl spodziewał się, że Stirlandczyk będzie walczył ostrożnie i sam zadał kilka prostych i przewidywalnych ciosów, tak żeby wyglądało, że walczą naprawdę. Ale Wernoff naparł na niego z pełną siłą, machając ciężkim mieczem Kurhanów, z jednej strony na drugą. Był szkolony, by dzierżyć w dłoniach pięciometrowy drag - trzęsące się drzewce piki. Miecz był w porównaniu z tym o wiele krótszy i lżejszy, nawet, jeśli pikinier nie bardzo potrafił nim władać.

Karl krążył. Miecz trzymał prosto i pewnie, w porównaniu do improwizowanych i niezdarnych cięć przeciwnika. Dookoła oświetlonego ogniem placu, tłum Kurhanów tupał i wył w uniesieniu.

Używanie takiego miecza było sztuką samą w sobie. Jest to dość nieporęczna broń, zbyt ciężka, ale za to doskonała w jednej, jedynej czynności. Tnie niesamowicie. Brakuje jej finezji rapiera czy też szabli, i to jest chyba główny powód, dla którego nie uczą już w Imperialnych szkołach wojskowych, sztuki posługiwania się nią. Długi i szeroki miecz, to podobno broń archaiczna, tak przynajmniej wykładano w obecnych podręcznikach, broń barbarzyńców i dzikich ludów. Nie można z jego pomocą robić wypadów, ani innych subtelnych kroków, których uczą mistrzowie fechtunku. Nie ma tu riposty, finty, parowania, czy pchnięcia. Pozostawały jedynie trzy możliwe akcje: cięcie, blok i utrzymanie się na nogach.

Pałasz był tak wielki i ciężki, że gdy wyprowadziło się już cięcie, człowiek był zmuszony podążyć za nim. Kiedy brało się zamach, skręcał się cały tułów. A gdy się nim blokowało, trzeba było porządnie zaprzeć się nogami, by siła uderzenia, nie wywróciła człowieka na

ziemię. Pojedynek na pałasze to nie była subtelna gra. Nie było tu miejsca na wysublimowane, krótkie pchnięcia ani drobienie nogami. Był to powolny wysilek, kolejnych potężnych uderzeń.

Karl, zmęczył się, dosłownie, w kilka sekund. Pałasz ciążył mu w rękach ołowiem. Starał się parować uderzenia Wernoffa i wreszcie udało mu się, odbić jedno z nich. Czubek miecza Stirlandczyka odbił się od kamieni brukowych.

- Przestań bić tak mocno! - syknął do pikiniera.
- Powiedzieli mi, że mnie uwolnią! - odparł Wernoff.
- Co ty mówisz?
- Powiedzieli, że jeśli cię zabiję, to puszcza mnie wolno!

Karl uchylił się przed kolejnym zamachem miecza.

- I ty w to wierzysz?
- To wszystko, co mi pozostało, rajtarze!

Wernoff w rzeczy samej starał się go zabić. Ta myśl wstrząsnęła Vollenem bardziej, niż cios długiego miecza.

- Przecież wiesz, że i tak cię nie puszcza - warknął. - Wierzysz im? Wierzysz w to co ci naopowiadali?

- W coś przecież muszę wierzyć! - wydyszał Wernoff i zamachnął się ponownie, tym razem odcinając kawałek ciała z prawego ramienia Karla.

Ten wrzasnął z bólu i poczuł jak spływa mu w dół, po rękę, ciepły strumień krwi. Tłum wpadł w jakiś szal, Kurhani wywrzaskiwali pieśni i wyli ogłuszająco. Karl cofnął się, kiedy Wernoff zaczął się do niego zbliżać, wyraźnie podniecony widokiem pierwszej krwi. Pozwól mu się zabić - usłyszał jakiś wewnętrzny głos w swej głowie. Po prostu pozwól mu zrobić swoje. To jest to, czego pragniesz i, na Sigmara, będzie to rzecz najbliższa ucieczce, na jaką możesz sobie jeszcze pozwolić. Pozwól mu się zabić.

Karl cofnął się jeszcze, chwiejnym krokiem. Końcówka ciągniętego po ziemi pałasza, dźwięczała na kamieniach. Ostrze Wernoffa furczało w powietrzu, starając się go dosięgnąć.

Ale Karl nie potrafił odpuścić. Nie chciał wcale umierać. Nie w ten sposób, jako przedstawienie na placu targowym, wymordowanej do ostatniego mieszkańca osady, dla zabawy tłumu rozwrzeszczanych barbarzyńców. Tak naprawdę, to w żaden inny sposób, też nie.

Chciał żyć. Tylko to miało rzeczywiste znaczenie. To miało sens. Dlaczegoż w przeciwnym razie, nie mógł odebrać sobie życia, w klatce z imperialnych pik? Jeżeli ma już oddać swe życie, to niech będzie ku temu, jakiś cholernie ważny powód. I z pewnością, nie da

tym ryczącym bękartom, przyjemności oglądania swojej śmierci.

- Wernoff... - odezwał się wreszcie. - Przykro mi. Może Sigmar mi to wybaczy.

- Co ma ci wybaczać? - zapytał pikinier wyprowadzając kolejne cięcie.

Karl uniósł pałasz i zablokował cios. Potem sam machnął na odlew z taką mocą, że Wernoff się cofnął i stracił równowagę, przeciążony masą wielkiego miecza.

Miecz tego typu zadawał rany długim ostrzem. Rajtarzy zaś byli szkoleni do walki koncerzami, do dźgania końcówką swej broni. I Karl właśnie to uczynił. Uderzył właśnie w taki nieodpowiedni dla broni, którą się posługiwał, sposób. Końcówka pałasha wbiła się w niebroniony mostek Wernoffa i gładko podążyła za nim reszta ostrza. Pikinierem wstrząsnął nagły spazm, został przebity niczym motyl szpilką. Fontanny krwi pod ciśnieniem bluznęły naokoło, na twarz i ręce Vollena.

- Tak mi przykro - powiedział Karl.

Z ust żołnierza pociekła krew i w jednej chwili, opadł on ciężko na ziemię, a impet i waga ciała, wyrwały pałasz z dłoni rajtara.

Vollen rozejrzał się wolno dookoła, spoglądając wyzywająco na gromadę Kurhanów. Barbarzyńcy wiwatowali i huczeli na jego cześć.

Życie było ostatnią rzeczą, którą jeszcze zachował i będzie się go trzymał, bez względu na to, co najeźdźcy z północy przygotowali jeszcze dla niego. To był jedyny sposób oporu, jaki mu pozostał.

Zar Uldin wyszedł z wrzeszczącej gromady i stanął na oświetlonym placu. W świetle płomieni, jego wilcza maska, zdawała się szczerzyć zęby w uśmiechu. Kucnął obok drgającego jeszcze ciała Wernoffa i zanurzył ręce w jego krwi. Potem namalował nią sobie, na nagiej piersi, symbol oka. Wstał i stanął naprzeciwko Karla. Ciężko było usłyszeć, co mówi ponad hałasem, rozlegającym się ponad podekscytowanym tłumem Kurhanów.

- Czynisz jak chce Tchar mały człowieku z południa - zwrócił się do Vollena.

- Nie - odparł Karl dobitnie.

- Ależ oczywiście, że tak. Tchar raduje się każdą zmianą, a drugą najświętszą zmianą na świecie, jest przejście od życia do śmierci. To właśnie uczyniłeś dla niego.

- Nie - powtórzył Karl.

Nadszedł Hinn i odebrał mu pałasz. Obaj poprowadzili Vollena z powrotem, przez ludzką tłuszczykę, wprost do kaplicy. Dookoła nich tańczył bez przerwy czarownik Zara Uldin, potrząsając grzechotkami z kości i sistrum. Z tyłu za ich plecami toczył się kolejny rytualny pojedynek.

U wejścia do kaplicy, Zar Uldin okręcił Karla tak, by ten spojrzał mu w twarz.

- Pod jakim imieniem jesteś znany? - zapytał głosem niedopuszczającym sprzeciwu.

- Nazywam się Karl Reiner Vollen - odpowiedział wbrew sobie rajtar.

Uldin wyciągnął rękę i zrobił w powietrzu dziwny gest - machnął nią jakby łapał właśnie natrętą muchę.

- Wyrwam to imię dla Tchar i oddaję je przemienione. Otworzył z powrotem dłoń i machnął nią jakby strzepywał jakąś natrętą pajęczynę.

- Teraz zwiesz się Azytzeen. Pod tym imieniem znany będziesz pośród Kurhanów. Azytzeen!

- Zatrzymaj dla siebie swe plugawe słowa i imiona - Karl splunął, dotykając jednocześnie żelaznej rękojeści sztyletu spoczywającego w kieszeni, by odegnać od siebie zły urok. Nigdy nie był przesadnym człowiekiem i był z siebie dumny, że wyśmiewał się, z takich prymitywnych zwyczajów. Ale teraz dotknął żelaza bez chwili wahania. Wyglądało na to, że magia jest jednak zupełnie realną rzeczą, a Kurhani wprost nią ociekają. Zdawało się, jakby słowa Zara Uldin, rzeczywiście odrywały od niego jego imię i zastąpiły je czymś bardzo ciężkim i jadowitym.

- Azytzeen! - powtórzył Uldin, a czarownik zaczął śpiewać to imię raz za razem, kiedy podskakiwał i kręcił się wokół nich.

II

Wszyscy naznaczeni mężczyźni pozostali w kaplicy przez następne osiem dni. Byli karmieni dobrze i regularnie. Musieli tylko wytrzymać ciągłą obecność czarowników, którzy przychodzili, żeby odprawiać nad nimi jakieś skomplikowane rytuały.

Wszyscy zarowie posyłali szamanów do kaplicy, by ci przeprowadzali obrzędy nad ich napiętnowaną własnością. Ons Olker był w środku pięć razy. Pomimo tego, że był zajęty naznaczonymi ludźmi Zara Blayda, między innymi von Margurem, jego wzrok bez przerwy szukał Karla. Kiedy tylko czarownik był w pobliżu, Vollen zaciskał rękę na rękojeści sztyletu.

Szaman Zara Uldin nazywał się Subotai i odwiedzał ich często. Wybierał pojedynczych ludzi ze znakiem zara na policzku i mazał na ich ciałach przedziwne rysunki za pomocą farb i popiołu. Bez przerwy grzechotał i śpiewał coś pod nosem. Kiedy zdjął rzeźbioną w węże barbutę, ukazała się więźniom przedziwna twarz. Była szeroka i płaska z bardzo wąskimi oczami. Karl widział kiedyś rysunek jakiegoś podróżnika, który opisywał ludzi żyjących

daleko, na najdalszym wschodzie, w krainie zwanej Cathay. Tak właśnie wyglądały ich twarze.

- On pochodzi z plemienia Man-Chu. Plemię to żyje na krańcach Okręgu, niedaleko terytoriów Przerazającego Wo - objaśnił Karlowi von Margur, który rzecz jasna nigdy nie widział twarzy czarownika. - Został wzięty do niewoli przez Zara Uldin lata temu, ale oszczędzono go, bo posiadał dar i nazaczył go zar.

Dopiero wtedy, Karl zauważył na twarzy szamana trzy niebieskie kropki, bardzo stare piętno, które przez lata prawie zniknęło. Wiedział, że taki sam znak ma na swoim policzku.

Następnego dnia po walce, rozeszła się wśród więźniów plotka, co zrobił Wernoffowi, pierwszej nocy ich pobytu w kaplicy i wielu z nich starało się go unikać. I tak nie było tu miejsca, na zawieranie nowych przyjaźni, ale Karl nagle poczuł się samotny. Jedyńymi ludźmi, nie sobie z tego nie robiącymi, byli von Margur, małomówny kusznik z Nordlandu zwany Etzel, który także nosił na twarzy znak Zara Uldin i Vinnes z Carronburgu z czerwonymi kropkami piętna Zara Herfil. Obydwaj także byli zmuszeni walczyć i zabić w pojedynku swego przeciwnika, zaraz po Karlu. Cała czwórka trzymała się razem. Oni zrozumieli.

Przez osiem dni, w kaplicy, inni mężczyźni, także byli wyciągani na zewnątrz i niektórzy z nich nie wracali. Powoli liczebność więźniów spadła o połowę, a wszyscy ci, którzy pozostali, zabili już kogoś w pojedynku. Karl z towarzyszami, nie byli już odrzucani przez resztę, ale atmosfera w grupie, zrobiła się bardzo nieprzyjemna i napięta. Przez większą część dnia, napiętnowani mężczyźni siedzieli w ponurej ciszy, zatopieni w nieprzyjemnych myślach.

Karl był wywoływany, na, oświetlony ogniem i otoczony ogarniętym żądzą krwi tłumem, plac, jeszcze dwukrotnie. Raz zabił swego przeciwnika. Był to kolejny mężczyzna ze Stirlandu, który poddał się i z radością powitał szybką śmierć, którą ofiarował mu Vollen.

W kolejnym pojedynku Karl miał zmierzyć się z młodzieńcem z Middenheim, który w ostatnim momencie załamał się i odmówił walki. Rzucił na kamienie swoją broń i starał się uciec, płacząc i błagając o litość. Hinn ściał go i Karl został zaprowadzony z powrotem do budynku.

Do siódmego dnia pozostawiono w spokoju von Magura. Vinnes i Etzel nie mogli zrozumieć, dlaczego Kurhani tak długo kłopotczą się ślepym rycerzem.

Karl wiedział, dlaczego. Za każdym razem, kiedy von Margur odzywał się - mówił rzeczy, których nie powinien, nie miał prawa wiedzieć.

Von Margur posiadał dar widzenia. Być może, to przez potworne obrażenia, jakich doznał

jego mózg. Był niezwykle i bardzo dla Kurhanów cenny.

III

Siódmego dnia w nocy, Hinn i kilku Kurhanów, przyszli po von Magura. W ciemnościach, na zewnątrz, zerwał się wiatr, który świszczwał i zawodził dookoła kamiennego budynku kaplicy. Powiew wdarł się do środka, zimny i jakiś straszny, wszystkie pochodnie przygasły stłumione, ogień zatańczył dziko.

- Pomóż mi Karl! - zawył rycerz kiedy prowadzili go do wyjścia. Kręcił głową w obie strony, oczy błędziły zwrócone gdzieś ku górze w rozpaczliwej próbie ujrzania czegokolwiek wokół. - Boję się! Boję się, że stanie się coś złego!

- Sigmar cię ochroni! - odkrzyknął mu Vollen.

Hinn uderzył go za to bluźnierstwo w twarz.

Razem z von Margurem poszedł też Vinnes, Etzel i mężczyzna pochodzący z Reiklandu nazywany Brandt.

Więźniowie czekali w milczeniu przez pół godziny. Na zewnątrz słychać było głośne okrzyki i porykiwania tłumu Kurhanów, zagłuszające nawet wycie wiatru. Karl podszedł do ołtarza, klęknął i zaczął się modlić, za duszę von Magura. Zgarnął na ziemię bezczeszczącą go kupę śmiecia, usypaną przez Kurhanów, a żelazną skrzynię z symbolem oka po prostu zignorował. Nie dbał też wcale o to, że świątynia była w rzeczywistości poświęcona jakiemuś kislevickiemu bóstwu, którego imienia ani obrzędów nie znał. Liczyło się, że było to święte miejsce. Łatwiej, mógł tu, usłyszeć go Sigmar.

Żelazna skrzynia, wpatrywała się w niego podczas modlitwy, swoim rzeźbionym okiem.

Potem Kurhani przywiedli z powrotem von Magura. Szedł bez pomocy, tak jakby doskonale znał drogę. Na nic nie wpadł, szedł po prostu ufnie poprzez główną salę kaplicy, kołysząc się lekko, aż dotarł do swojego miejsca i opadł na legowisko obok Karla. Ręce miał zbrukane krwią.

- Nie było to takie proste, co?

- Nie było - stwierdził rajtar. Nie miał pojęcia, w jaki sposób, ślepy rycerz, przeżył chociażby jedną chwilę na placu.

Von Margur, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem, gdzieś w przestrzeń.

- Przypuszczam, że będzie coraz łatwiej - stwierdził wreszcie i skulił się na swym

posłaniu ze szmat, niczym niemowlę.

- Do czego oni cię zmusili, panie? - zapytał Karl.

Ale von Margur nie odpowiedział. Zapadł już w sen.

Wkrótce powrócił do kaplicy Vinnes. Na nodze miał ciętą ranę. Z biodra też płynęła mu krew. Trząsał się cały i szlochał. Kurhani przemyli mu rany octem i puścili wolno. Vinnes odmówił podejścia choćby o krok, do von Magura.

Karl sam ruszył ku niemu.

- Co się stało? - spytał, podając mu bukłak wypełniony wodą.

- Zmusili mnie żebym zabił Brandta - pociągnął nosem. - Bogowie... zmusili mnie żebym wypruł mu flaki! Nie był zwyczajny do miecza. Nie miał ze mną żadnych szans, ale walczył jak sam diabeł i zostawił mi to. - Vinnes wskazał na swoje rany.

- Nie są głębokie, zagoją się wkrótce - stwierdził Karl.

- Wcale nie chcę by się goiły - wymamrotał żałośnie Vinnes.

- A co z von Margurem? Widziałeś go?

Vinnes przytaknął skinieniem.

- Do diabła, i co?

- Zarznął Etzela.

- Nie!

- Widziałem to Vollen. Stali naprzeciwko siebie. Na placu, tam gdzie zawsze. Obydwaj mieli po dwa sztylety, po jednym w każdej ręce. Von Margur nawet nie wiedział, w którą stronę się skierować. Ciągłe cię wołał. Krzyczał żebyś mu pomógł. Te sukinsyny śmiały się do rozpuku. A Etsel... Sigmarze, on wcale nie chciał z nim walczyć! Nie ze ślepym mężczyzną. Nie z cholernym ślepcem...

Vinnes odwrócił się do Karla. Rozmazał jakoś krew z rany na udzie po całej twarzy. Oczy miał teraz niesamowite, wręcz strach było w nie patrzeć. Można w nich było wyczytać strach, rozpacz, upodlenie, odrazę, wszystkiego po trochu.

- Zabiłem Brandta! - wykrzyknął ochryłym głosem.

- Wiem, wiem... Przyjacielu, powiedz mi co takiego zrobił von Margur.

Vinnes przełknął ślinę, a jego głos ucichł i stał się zaledwie niegłośnym szeptem. - Walczył. Nagle, zupełnie jak widzący człowiek. Blokował każdy cios, jaki zadawał Etsel. Widzący mężczyzna, który uczył się przez pół swego życia walki na noże, nie miałby szans go pokonać. Zdawał się wiedzieć, co chce zrobić Etsel, jaki cios zadać i wszystko parował. Wszystko to, kiedy... kiedy te jego cholerne oczy kręciły się bezwładnie i zwrócone były w zupełnie inną stronę! Sigmarze przebacz mi, to było przerażające. Nawet ci przekłęci Kurhani

zamknęli gęby i patrzyli z podziwem zdumieni.

- I co? I co było dalej?

- Sztylety migotały z niesamowitą prędkością. Klang, klang, klang! Etzel nagle zdał sobie sprawę, że walczy na poważnie, zaczął krzyczeć. Potem... potem von Margur, on... w jednym momencie wbił oba ostrza w pierś Etzela. Zagłębiły się prosto w serce. I to było już wszystko.

Karl westchnął i rozluźniwszy napięte mięśnie, usiadł ciężko na podłodze.

- Ja do niego teraz nie podejść, Vollen - ogłosił Vinnes.

- Co takiego? Dlaczego? Zrobił tylko to, do czego był zmuszony. To, co wszyscy tu robimy.

- Wiem to! Ale on jest ślepy! Ślepy! Jak mógłby tego wszystkiego dokonać, gdyby nie kierowała nim jakaś czarna magia?!

- Ja...

- Spójrz na niego, Vollen! Tylko spójrz!

Karl zerknął poprzez prawie całą długość sali na śpiącego rycerza. Tak jak zadowolony pies, von Margur we śnie szczyrzył zęby w uśmiechu.

IV

O świcie dziewiątego dnia do sali weszli zarowie i podzielili więźniów zgodnie z ich znakami. Zar Uldin, który przyszedł w towarzystwie czarownika Subotaia, zabrał Karla i jeszcze siedmiu innych mężczyzn z niebieskim piętnem na policzku i wyprowadził wszystkich na plac. Osada była teraz cicha i opuszczona. Horda barbarzyńców z Północy ruszyła dalej. Tam gdzie jeszcze niedawno stały ich namioty i wielkie pawilony, teraz pozostało tylko zmieszane nogami błocko.

Ośmiu ludzi naznaczonych przez Zara Uldin, zostało połączonych za pomocą sznura obwiązanego dookoła ich szyi. Karl widział na placu inne podobne grupki, które były teraz odprowadzane przez swoich zarów. Pośród tłumu zobaczył von Margura z Zarem Blayda i Onsem Olkerem.

Subotai wyprowadził ludzi z piętnem Zara Uldin z miasteczka i powiódł ich w stronę podmokłej zagrody dla koni, na zachód od głównej bramy. Ponad setka Kurhanów, przygotowywała tam swoje wielkie, czarne wierzchowce do odjazdu.

To była banda Zara Uldin. Wszyscy byli ubrani w kolczugi, zbroje łuskowe i pancerze

pociemnione dziegiem. Tarcze mieli okrągłe, pomalowane na niebiesko, ze znajomym już motywem otoczonego węzami oka. Jeden z największych Kurhanów, zwany Yuskel, dzierżył drzewce sztandaru. Była to długa tyka, której górna połowa, zasłonięta była klekoczącymi kośćmi ludzkich szczęk. Do poziomej tyczki przytwierdzone były trzy czaszki: dwie ludzkie i umieszczona pomiędzy nimi końska. Wszystkie były pozłacane. Pod spodem trzepotał kawał skóry, jego nieregularny kształt świadczył o tym, że była to skóra ściągnięta z człowieka. Widniał na niej namalowany wilczy łeb z pojedynczym, umieszczonym pośrodku okiem.

Yuskel dosiadał przedziwnego wierzchowca. Był to mocarny koń, którego skóra była pomalowana w pionowe, cieniutkie czarno-białe pasy. Znaczyły one nawet gęstą grzywę wierzchowca. Była to wściekła, parskająca wciąż bestia.

Zar Uldin podjechał na swoim wielkim ogierze. Jego ludzie wykrzyknęli coś na powitanie. Poprowadził konia pomiędzy Kurhanami, uderzając w dłonie i klepiąc plecy. Poszedł w ruch bukłak z winem. Potem, jednym, głośnym klaśnięciem mocarnych dłoni, Uldin dał rozkaz wymarszu. Jeden z jeźdźców z ogromnym rogiem, który zawijał się dookoła jego piersi niczym wąż, zadał weń i wydał w ten sposób ohydny, grzmiący rozkaz.

Zgraja ruszyła galopem wprost pomiędzy drzewa i wiejący tam wiatr. Podążyło za nimi, pięć ciągnionych przez woły wozów, na pełnych kołach. Połączeni ze sobą, napiętnowani jeńcy, wlekli się za ostatnim z wozów. Strzegł ich Subotai, w towarzystwie jeszcze sześciu innych jeźdźców.

Odwracając głowę tak bardzo jak pozwalały na to pętające ich sznury, Karl spojrzął po raz ostatni na tą bezimienną, martwą osadę, gdzie musiał odrzucić swe człowieczeństwo. Myślał o Wernoffie i tym drugim mężczyźnie ze Stirlandu. Miał nadzieję, że wiedzieli, bez względu na to gdzie teraz byli, że to Azytzeen ich zabił.

Azytzeen, nie Karl Reiner Vollen.

V

Przez dziesięć dni z mozołem podążali na południe i zachód. Oddział Zara Uldin zostawiał wozy wraz z jeńcami daleko w tyle, ale każdej nocy doganiali ich, siedzących przy obozowych ogniskach.

Okolice, przez które szli były zupełnie puste. Same wypalone lasy i zniszczone wsie. Kilometry ornej ziemi startowanej końskimi kopytami. Pastwiska zasłane truchłami

zarzniętego bydła. Na trakcie, pełno było ciał zabitych mieszkańców zdobytych miast, albo schwytych w drodze uchodźców, zabitych bez pardonu i litości.

Chłodne wiosenne powietrze pełne było bzyczących much i krążących kruków.

Z wyjątkiem jednego dnia, kiedy padał rzęsy deszcz pogoda wciąż się poprawiała. Wiosna zadomowiła się już na dobre i odganiała zimowe chłody. W jakiś sposób, lekki wietrzyk i błękitne, czyste niebo sprawiały, że obraz zniszczenia był jeszcze bardziej przerażający. W poprzednich latach, dla ludzi żyjących na południowych krańcach stepu i na północnych rubieżach Imperium, był to czas radości, czas, kiedy wszystko wokół zaczyna rosnać i żyć.

Ale nie tej wiosny. Był to przecież Rok, Którego Nikt Nie Zapomni.

Wiosenne kwiaty: białe, niebieskie i żółte rosły na polach popiołu i w wypalonych, zrujnowanych lasach. Pomiedzy osmalonymi, leżącymi wszędzie kośćmi niedawno zabitych ludzi, wypuszczały nieśmiało pierwsze zielone pędy przeróżne rośliny. Ciepły i świeży wiosenny wietrzyk, przesycony był zapachem zgnilizny i gazem dobywającym się z napuchłych trupów.

Karl nie wiedział gdzie się znajduje, ale zgadywał, że już całkiem niedaleko od ziem swojej ojczyzny. Jeżeli jeszcze nie byli w Ostermark, to już niebawem na pewno się tam znajdą.

Więźniowie poruszali się najwidoczniej, wraz z głównymi siłami, pracymi na południe. Jak daleko hordy barbarzyńców z Północy wdarły się w ich kraj? Które części Imperium pozostawały jeszcze wolne?

Karl tęsknił za domem, ale bardzo obawiał się tego, że nie zostanie tam już nic, gdy wreszcie do niego przybędzie.

VI

Przedzierali się właśnie, przez rzadki zagajnik wypalonych topoli. Mijał dziesiąty dzień, od momentu, gdy opuścili bezimienną osadę. Topole miały pnie obrane z kory przez żar i sterczało z nich bardzo niewiele, słabych i zwęglonych gałązek. Wyglądało to tak jakby wielki ogień spalił je od góry. Wprost z niebios.

Wlekli się za wozami, pilnowani z boków przez Subotaia, siedzącego na mlecznobiałym ośle i sześciu Kurhanów na koniach.

W tym momencie odnalazł ich wróg. Długo po tym wydarzeniu, Karl dziwił się sam sobie za to, że pomyślał o nich jako o wrogu.

Rozległ się grzmot kopyt, zatrzęsła się, wysuszona płomieniami ziemia. Kurhani zareagowali natychmiast i zaczęli coś pokrzykiwać.

Z półmroku wyjechało majestatycznie ośmiu templariuszy Reiksguardu. W okrytych pancernymi rękawicami dłoniach dzierżyli wzniesione do góry miecze i buzdygany. Dowódca wymachiwał bojowym młotem, owiniętym białymi wstążkami. Był to widok budzący grozę. Złote symbole, ich prześwietnego, rycerskiego zakonu ozdabiały wieńce laurowe. Wszyscy byli zakuci, w srebrzyste, pełne pancerze. Ich galopujące wierzchowce, były szlachetnej krwi rumakami bojowymi: potężnie zbudowanymi, odzianymi w misterne zbroje, z wzorzystymi czaprakami z kosztownych i bogatych materiałów.

Pierwszy z jeźdźców przemknął z boku kawalkady, kręcąc w powietrzu młotem. Potężnym uderzeniem zmiotł z ciemnego konia jednego z Kurhanów, a potem dał koniowi ostrogę - miały one wydłużone kolce, tak, aby mogły dosięgnąć końskich boków, schowanych bezpiecznie, pod segmentowym fartuchem blach. Uniósł się w strzemionach i zakręcił wokoło dzierzonym pewnie orężem. Powietrze było, na tyle chłodne, że widać było, parę wydobywającą się przy każdym oddechu, spod połyskującego hełmu - białe obłoczki kłębiące się naokoło głowy. Koń skoczył w kierunku Subotaia. Czarownik uderzał boki białego osła gołymi piętami i rzucał w stronę przewspaniałego rycerza jakieś przekleństwa.

Młot uderzył dokładnie w czoło barbuty szamana. Nakładany z góry żelazny hełm spłaszczył się i popękał. Siła uderzenia była tak duża, że spomiędzy wizjerów chlusnął krwisty rozbryzg. Subotai przechylił się do tyłu i stoczył po zadzie osła. Szkarłat krwi zbrukał mlecznobiałą skórę wierzchowca.

Karl chciał uciekać, ale sznur, którym związany był z innymi więźniami, tylko się naprężył i pociągnął go z powrotem w tył. Wszędzie dookoła, templariusze walczyli z konnymi Kurhanami. I wyglądało na to, że ci ostatni przegrywają.

- Chodź! - wrzasnął Karl, do mężczyzny przywiązanego z tyłu. Nazywał się on Maddeus.
- Teraz mamy szansę uciec! Nikt nie zwraca na nas, najmniejszej uwagi! Prędko!

Maddeus spróbował biegu, ale spętany liną upadł na ziemię. Mężczyzna za nim, właśnie został stratowany, przez odskakującego w bok, olbrzymiego wierzchowca bojowego jednego z rycerzy. Karl sięgnął po sztylet i zaczął ciąć linę łączącą go z Maddeusem. Po chwili był już wolny. Naprawdę wolny.

- W imię Sigmara, Karl! - wrzeszczał Maddeus, starając się rozluźnić pętlę na swej szyi. - Rozetnij też mnie!

Vollen podbiegł do niego i przeciął mu sztyletem sznur na karku.

Pobiegli razem prosto w las, między drzewa, z pochylonymi nisko głowami. Karl przewrócił się o jakiś wystający korzeń. Maddeus pomógł mu podnieść się na nogi.

Za ich plecami, templariusze właśnie wycinali ostatnich Kurhanów. Jeden z wozów płonął.

- Tędy! - zakomenderował Karl, gdy biegli, poprzez grube pokłady popiołu. W desperacji usiłowali się schować, opierając, o solidnie wyglądające pnie drzew. Przy dotknięciu rozpadały się jednak, jakby były zrobione z jakiegoś pyłu. Od strony wozów, zagrzmiały końskie kopyta. To ścigał ich dowódca rycerzy. Zobaczył ich i ruszył w ich kierunku.

- Panie! Panie, powstrzymaj swą rękę! Jesteśmy ludźmi z Imperium! Zostaliśmy uwięzieni! - wykrzyknął w jego kierunku Maddeus, odwracając się i unosząc do góry ręce. - Uwolnij nas, błagamy cię panie!

Karl był pewny, że rycerz usłyszał szalone okrzyki Maddeusa. Sam rzucił się na ziemię, kiedy zauważył, że rycerz szarżuje. Maddeus uskoczył w drugą stronę. Templariusz przejechał pomiędzy nimi. Jego wierzchowiec wyrzucał kopytami w powietrze grudy ziemi i obłoki popiołu. Rycerz obrócił konia i puścił się z powrotem w ich stronę.

Maddeus kwiknął tylko, kiedy młot bojowy złamał mu kręgosłup.

- Ty cholerny bękarcie! - zawył wściekły Vollen - Nie jesteśmy wrogami!

Templariusz znowu nawrócił i ruszył na Karla. - W imię Sigmara! - wołał rajtar, starając się umknąć, przed ścigającym go rycerzem, kręcąc się dookoła pnia drzewa. - W imię Sigmara, jesteśmy lojalni cesarskiemu tronowi! Lojalni mówię!

Rycerz nagle wyprostował się w siodle. Opierzona czarno strzała przebiła właśnie jego pierś.

Zar Uldin zbliżał się galopem, a tuż za nim jechała większa część jego oddziału. Cały czas wypuszczał strzały z niewielkiego, powyginanego łuku. Jechał, kierując wierzchowcem, jedynie kolanami, nie dotykając wodzy. Naciągał cięciwę aż za ucho i wypuszczał strzały z taką mocą, że żaden kirys, hełm czy kolczuga nie były w stanie ich powstrzymać. Rozlegał się brzęk, kiedy strzała wylatywała z łuku i głuchy trzask, kiedy przebijała swój cel. Najeżony strzałami rycerz powoli zwałił się z wierzchowca.

Karl skulił się za wypalonym pieńkiem, kiedy Kurhani śmigali obok niego. Huczeli i wrzeszczeli, a gęsty rój strzał wciąż szumiał w powietrzu. Każdy z nich miał sześć lub siedem strzał pomiędzy palcami dłoni, w której dzierżył łuk, tak, że jak tylko którąś wystrzelił, mógł od razu złapać kolejną, jednocześnie naciągając cięciwę. Prędkość wysyłania pocisków była niewiarygodna i przywodziła na myśl, jakieś mechaniczne ustrojstwo, skonstruowane przez

inżynierów z Nuln. Konie Kurhanów, dobrze wyszkolone i bystre nie potrzebowały wcale wodzy. Dzięki temu jeźdźcy zachowywali dużą swobodę, mogli obracać się w siodłach i strzelać z łuku, kiedy przejeżdżali obok swego celu, a nawet wtedy, gdy pozostał już w tyle. Karl patrzył jak jeden z barbarzyńców - Barlas - przebija w szarży strzałą jednego z templariuszy, a potem galopując obok posyła jeszcze dwie kolejne, które utkwily pomiędzy naramiennikami nieszczęśnika.

Dumni templariusze, wojskowa elita Imperium, zostali pokonani w niecałą minutę. Jeden osaczony rycerz, uzbrojony w miecz, walczył przeciwko jeźdźcom Kurhanów, którzy zacieśniali wokół niego coraz węższe koło i kłuli go włóczniami. Kolejny, pozbawiony konia, miał przed sobą samego Zara Uldin, który również zsiadł z wierzchowca i dobył pałasza.

Karl popędził do miejsca gdzie twarzą do ziemi leżał Maddeus. Okazało się jednak, że mężczyzna jest już martwy. Vollen uczynił ponad nim znak Sigmara, a potem rzucił się do szaleńczej ucieczki. Biegł tak szybko, jak szybko zdołały go nieść nogi. Prosto w cienie wymarłego lasu.

VII

Biegł pomiędzy poczerniałymi topolami, pod nogami kłębiły się wypalone resztki bluszczu. Zmierzał w kierunku światła i na południe. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Kiedy wydostał się wreszcie z martwego lasu, znalazł się na szczycie niewielkiego wzgórza. W szerokiej dolinie, poniżej i w dół płynącej nią w oddali rzeki, wrzała bitwa. Dziesięć tysięcy ludzi i koni, może nawet dwadzieścia. Z wysokości nachylonego ostro wzgórka, wyglądało to, jak wrząca masa ciemnych kształtów, jak krzątające się mrówki. Nad polem bitwy wznosił się pył i kłęby dymu, przesłaniając stojące nisko słońce. Nie można było rozeznać, kto jest kim, ani nawet która strona wygrywa.

Ale w głębi serca, Karl Reiner Vollen, miał niejasne przeczucie, że będzie to kolejny dzień, który będą później opłakiwać, ludzie w całym Imperium.

Zatrzymał się i cały stęzał. Mógł biec dalej, tak jak to przed chwilą zamierzał, ale zdał sobie sprawę, że nigdy nie przegoni tej fali śmierci. Oparł się ciężko o stare, powykręcane drzewo i objął ciało rękami.

Po chwili usłyszał nadbiegające z tyłu konie i odwrócił się. Trzech członków bandy Zara Uldin, powoli wyjechało spomiędzy drzew, wprost na niego. Przywódca, mający na głowie

hełm zwieńczony czaszką ogara, bawił się pętlą, na końcu długiego sznura. Kiedy ujrzał wyraz twarzy Vollena, odwiesił go z powrotem przy siodle i bez komentarza skinął na rajtara głową. Trzech Kurhanów odwróciło wierzchowce w stronę, z której nadjechali i ruszyło z powrotem. Karl poszedł za nimi ze zwieszoną głową.

VIII

Kurhani odkładali na bok trupy swych towarzyszy i obdzierali ze zbroi ciała templariuszy. Wspaniałe srebrzyste płyty pancerzy składali na wozie. Były tak okazałe i doskonałe, że z pewnością, miały być po pewnych zmianach, użyte ponownie, albo wymienione na inne przedmioty.

W walce zginęło siedmiu Kurhanów, wraz z nimi czarownik Subotai i trzech napiętnowanych więźniów.

Zar Uldin spostrzegł Karla i wstał. Pochylał się właśnie nad wykręconym ciałem Subotaia. Zdjął wilczy hełm i odsłonił ogoloną i błyszczącą czaszkę.

- Azytzeen. Próbowaleś uciekać.

Karl zaprzeczył potrząsając głową. Patrzył w górę, na pokrytą bliznami, niezwykle przystojną, w jakiś morderczy sposób, twarz wyższego mężczyzny.

- Nie. Biegłem by ocalić życie.

Uldin przymknął oczy.

- Zabijali wszystkich na swej drodze. Zamordowali Maddeusa. Postanowiłem uciekać.

Zar przemyślał chwilę, to co właśnie usłyszał. Potem lekko wzruszył ramionami. Uwierzył chyba w słowa Vollena.

- Ale ucieczka też była w moim zamyśle - mimo wszystko stwierdził Karl.

Zar Uldin zeszywniał.

- I co?

- Zmieniłem zdanie.

Zar uśmiechnął się.

- Zmieniłeś. Słyszysz to? Tchar cię przenika.

- Nie - stwierdził stanowczo Vollen. - Nie przenika.

Uldin, nie był jednak zainteresowany, kontynuowaniem tej rozmowy i powrócił do oględzin ciała czarownika. Włochaty Kurhan w hełmie z czaszką ogara, przywiązał go

znowu, do czterech pozostałych więźniów.

Członkowie zbierającego się oddziału zara byli posepni. Wyglądało na to, że śmierć czarownika była jakąś złą wróżbą, a banda pozbawiona jego wsparcia, została znacznie osłabiona.

- Czemu ci cholernicy są tacy przybici? - wyszeptał do Karła, mężczyzna spętany u jego boku.

- To przez to, że zginął ich szaman. Oznacza to dla nich nieszczęście.

- Skąd wiesz?

- Podśledzałem strzępki ich rozmów.

Mężczyzna popatrzył nerwowo w jego stronę.

- Rozumiesz ich słowa?

- A ty nie? - zapytał rajtar.

- Jasne, że nie - odpowiedział, a pozostali trzej więźniowie także potrząsnęli głowami na znak, że też nic nie pojmują.

Ale... - zaczął. Zamilkł jednak natychmiast, zaskoczony i przerażony myślą, co też to może oznaczać.

Yuskel - Kurhan dzierzący sztandar - podszedł do Zara Uldin i położył mu rękę na sercu. Powiedział coś o przygotowaniach. Uldin przytaknął i uniósł powykręcane, niewielkie ciało czarownika.

Kurhani powycinali wypalone pniaki wokół przecinki i wzniesli niewielką palisadę. Praca ta, zajęła im, większą część dnia. Niektórzy musieli odjechać na sporą odległość żeby znaleźć odpowiednie pniaki, w zagajnikach, które nie zostały wypalone przez ogień. Wszyscy polegli Kurhani zostali złożeni wewnątrz tej prowizorycznej palisady. Obok ułożono ich broń. Następnie zarżnięto konie martwych wojowników i otwarto im brzuchy, nie wyłączając białego osła Subotaia. Truchła pozostawiono, by wypłynęła z nich krew. Potem podniesiono je i osadzono na zaostrzonych palikach, umieszczonych dookoła palisady. Wycięto świeże kije i zamocowano na nich kołyszące się na boki głowy wierzchowców. Wyglądały teraz tak, jakby były żywe, uchwycone w pełnym galopie.

Obdarte ciała templariuszy i trzech naznaczonych więźniów pozostawiono tam gdzie leżały, by zgniły.

Kiedy zaczęła zapadać noc, cała grupa zebrała się wokół palisady. Bębniarze wybijali na swych instrumentach, powolny, pulsujący rytm, a trębacz zadał w owinięty wokół ciała, poskręcany róg. Ku czerniejącemu niebu wzniosła się długa, atonalna nuta.

Uldin, bez hełmu, przeszedł dookoła palisady i po kolei szeptał coś do ucha, każdego z

umieszczonych na palach koni, a potem całował je w nozdrza. Na końcu zrobił to samo z białym osłem Subotaia.

Następnie wziął z rąk Berlasa płonąca gałąź i podłożył ją pod palisadę.

Cała zgraja Kurhanów zaczęła wycić ku niebu niczym stado wilków, gdy płomienie ogarniały drewnianą konstrukcję i leżące wewnątrz ciała. Cały czas grzmiał róg, pulsując ponad dzikim wyciem. Potem zaczęły się zajmować ogniem, ponabijane na paliki końskie truchła.

Wiatr niósł ostry, gryzący dym, poprzez martwy zagajnik. Więźniowie odwrócili się kaszląc.

Karl wpatrywał się w to wszystko otepiały.

IX

Kurhani zerwali się o świcie i cała banda ruszyła w kierunku doliny, ciągnąc za sobą wozy i związanych jeńców pod strażą. Stos za palisadą wciąż jeszcze się tlił: ponury, czarny krąg, pod strażą kopcących szkieletów, ośmiu wiernych wierzchowców.

Poniżej, w dolinie, bitwa dobiegła już końca. Zimne, poranne powietrze przesycone było przenikliwymi zapachami tysięcy walczących ludzi. Czuć było odór krwi i fekaliiów, palonego drewna, rozgrzanego metalu oraz sproszkowanej kości. Nie można się było uwolnić, od tego przeraźliwego smrodu.

Ci, którzy przegrali batalię, zostali ukrzyżowani nago: żywi i umarli. Niczym ohydni strażnicy wpatrywali się w dymiące gdzieś tam, zasłane szczątkami pole bitwy. Rozmieszczeni byli co kilkanaście metrów, rozpięci na drzewcach włóczni, albo kołach od wozu. Czarno opierzone ptaki, trzepotały skrzydłami i podskakiwały po zasłanym trupami polu jak okiem sięgnąć. Wyglądały, jak opadające i podrygujące na wietrze, jesienne liście.

Posuwali się forsownym marszem, aż do południa. Wtedy dotarli do miasta. Imperialnego miasta. Sądząc po słupach dymu unoszących się z kamiennych budynków, zza wysokich murów, Kurhani już je zdobyli.

Ktoś powiedział Karlowi, że był to Brunmarl. Wiadomość ta sprawiła, że zadrżał. Brunmarl, znajdował się, głęboko pośród marchii Ostermark, na ziemiach Imperium. Miasto miało słynną katedrę, tyle wiedział na jego temat. Nie było widać żadnej wysokiej wieży, ale palił się jakiś ogromny budynek, który, być może, jeszcze jakiś czas temu, ją miał.

Uldin poprowadził ich przez potężną bramę. Wielu innych zarów, również wprowadzało swe oddziały, do wnętrza miejskich murów. Dzierżący chorągwie wykrzykiwali głośne wyzwania, w kierunku chorążych innych oddziałów, jak tylko ich spostrzegli. Yuskel był szczególnie dobry, w ciskaniu soczystych wiązanek obelg, w stronę Kurhanów, dzierżących sztandary innych band.

Karl kątem oka spostrzegł chorągiew Zara Blayda - krwawe ostrze miecza na czerwonym polu - w jednej z uliczek, a na rynku znak Zara Herfil - byczą głowę. Horda zbierała się tu na odpoczynek.

Uldin wraz ze swą bandą zostali zakwaterowani w starym budynku z piaskowca, który okazał się być miejską biblioteką. Karl spodziewał się zobaczyć Kurhanów, bezczeszczących drogocenne stronice książek i zdziwił się bardzo, gdy zobaczył, co robią.

Wojownicy wynosili na drewnianych deskach wielkie sterty prastarych tomów z wnętrza zrujnowanego budynku. Na zewnątrz zajmowali się nimi czarownicy - przeglądali książki, kartkowali je, rozprawiali pomiędzy sobą na temat tego, co znaleźli. Tak jak przyszli, by zdobyć ziemię, łupy i krew, dla swych mrocznych bóstw, przybyli też by skraść wiedzę.

Został wprowadzony do opustoszałych sal budynku biblioteki. Ktoś trącał go z tyłu czubkiem ostrza włóczni. Karl zatrzymał się i podniósł cienki tomik, który został niedbale rzucony, wprost w zalegający podłogę ceglany pył. Był to traktat dotyczący fortyfikacji, napisany w starożytnym tileańskim, który, był już w tym momencie, starożytnym językiem.

- Te pozostałe? - spytał czarownik przyglądający mu się z niedaleka - Potrafisz je przeczytać?

- Oczywiście - odparł Vollen i odrzucił trzymaną w rękach książkę na bok. Szaman, wysoki i mizernie zbudowany młodzieniec, z jelenimi rogami sterzącymi z futrzanej czapy, skoczył na nogi i rzucił się w jego kierunku.

- Możesz to odczytać? - powtórzył. Na jego chudej, cienkiej szyi pobrzękiwały muszle i kości nanizane na sznurki. U obu rąk brakowało mu środkowych palców, tak, że wyglądały jak niecierpliwe szpony grzebiące pośród starych tomów.

- Co to za słowo? - zażądał odpowiedzi.

- To... silny? - odpowiedział rajtar.

- A tamto?

- Eee... to gabion, kosz do budowy szańców. Określenie dotyczące umocnień.

Czarownik spojrział na niego. Oczy miał okolone czarnymi liniami, tak jak i usta, które przez to, zdawały się być dużo szersze. Cała twarz, szyja i ramiona były posypane białą kredą. Czarownik potrząsnął w kierunku Vollena swoją grzechotką i przeskoczył z nogi na nogę.

Yuskel pociągnął Karla w głąb budynku.

Naznaczeni więźniowie zostali wrzuceni do piwnicy i zamknięto nad nimi klapę. Czekali tak w ciemnościach przez kilka kolejnych godzin.

Potem klapa otworzyła się znowu i na dół, po surowych, drewnianych schodach, zszedł Zar Uldin. Rozejrzał się dookoła i wskazał na Karla. Zza jego pleców wyskoczyli wojownicy i ruszyli, by schwytać rajtara.

Na zewnątrz było już ciemno i dookoła paliły się pochodnie.

- Kolejna walka? - niechętnie zapytał Vollen.

- Tak, Azytzeen.

Karl westchnął.

- Ta walka jest bardzo ważna! - głos Zara Uldin zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia. - Musisz dowieść, że moja banda jest wciąż bardzo silna. Inni zarowie wiedzą już, że straciłem czarownika. Muszę wygrać dzisiejszy pojedynek, by przekonać wszystkich, że nie podąża za mną zła passa. Ani za moimi ludźmi.

- A jeśli przegram?

- Mój oddział rozpadnie się, ludzie zostaną rozdzieleni pomiędzy innych zarów. - odparł Uldin.

Na twarz Vollena wpłynął uśmiech. Była to chyba, zbyt wielka pokusa.

- A co stanie się, jeżeli jednak zwyciężę?

- Będzie to oznaczało, że los mi sprzyja i być może akt ten zwabi do mnie jakiegoś czarownika.

- Przyszłość twojej bandy zależy teraz wyłącznie ode mnie?

- Tak.

- Tak więc, wreszcie zyskałem nad tobą jakąś władzę - rzekł Karl, odwrócił się i odszedł.

- Azytzeen! Azytzeen! - zawołał Uldin i ruszył za nim biegiem.

- Jak ja się nazywam? No jak?

- Zapomniałem...

- Jak się nazywam?

- Mmm... Kerl?

- Karl.

- Seh! Karl!

- Nazywaj mnie tak właśnie, a będę dla ciebie walczył. Nazwij mnie jeszcze raz tym przeklętym imieniem, a nie zrobię nic i będę szukał jedynie szybkiej śmierci. Z kim mam dziś walczyć?

- Z jakimś psem napiętnowanym przez Zara Kreyya. Potem, jeśli uda ci się zwyciężyć, z jednym z niewolników Zara Herfil.

- Jakie jest moje imię?

- Twe imię brzmi Karl.

X

Kurhani z oddziału Zara Uldin, poprowadzili go, z pełnym ceremoniałem, do miejsca gdzie miała odbyć się walka. Yuskel niósł z przodu sztandar z trzema złożonymi czaszkami, a Hzaer eskortował go z tyłu, wydobywając z pokręconego rogu groźne buczenie, które odbijało się echem pośród oświetlonych ogniem ulic. Sześciu wojowników szło po bokach. W rękach dzierżyli obnażone miecze. Jednym z nich był Berlas - łucznik. Kolejnym Efgulf, włochaty Kurhan z czaszką ogara na hełmie. Pozostali nazywali się Fegul Jedna Ręka, Diormac, Lyr i Sakondor.

Wiedział jak się nazywają, ponieważ wszyscy mu się przedstawili. Jeden po drugim, zanim jeszcze zaczęli wędrówkę do areny, podawali mu swe imiona, skłaniali głowy i kładli ręce na sercu.

Nie był to, co prawda, wielki zaszczyt z ich strony. Wciąż był dla nich tylko napiętnowanym śmieciem. Mówiło to jednak dużo, na temat jego znaczenia w tym momencie i ważkiej roli, jaką miał odgrywać w przyszłości bandy. Przekazali mu swoje prawdziwe imiona i zdawał sobie sprawę, że była w tym zawarta jakaś magia. Dawali mu władzę nad sobą, właśnie, przez zdradzenie mu, jak się naprawdę nazywają i położenie ręki na sercu. Przekazywali mu moc i siłę.

Zawiedli go do opuszczonego budynku, który był kiedyś warsztatem, albo kuźnią. Stała tam długa, kamienna rynna, wypełniona podgrzaną lekko wodą i olejkami. W powietrzu unosiła się para i mocny zapach imbiru.

Yuskel i Efgulf pomogli mu się rozebrać i wejść do ciepłej wody. Zanurzyli go kilkakrotnie i przez chwilę trzymali pod powierzchnią. Kiedy wreszcie wynurzył się, kaszłąc, był czysty, jak nigdy przez ostatnie tygodnie. Skórę miał miękką i tłustą od olejków.

Gdy stał nagi, ociekając jeszcze wodą i schnąc, Berlas zajął się jego włosami. Związał je w ciasny koński ogon na karku. Lyr ogolił twarz Karla ostrzem swego przerażająco ostrego noża. Potem Hzaer obsypał go niebieskim proszkiem, który zabarwił głowę, szyję i pierś.

- Zamknij oczy - ostrzegł go i za pomocą słomki wydmuchnął mu w oba oczodoły czarną farbę. Karl miał teraz niebieską skórę, a białka oczu połyskiwały spomiędzy czarnych jak smoła kręgów.

Przynieśli mu krótkie spodnie z brązowej skóry i ciężkie, czarne buty, a potem przymocowali do ud żelazne płyty zbroi. Następna była przesywanica i kolczuga, mocno ściągnięta szerokim, skórzanym pasem, z okazałą miedzianą sprzączką, na której wyryto symbol węża. Hzaer i Berlas obwiązali ręce rajtara skórzanymi rzemieniami. Przeciagnęli je u nasady kciuka i oplekli nimi dłonie.

Yuskel przyniósł pojedynczy naramiennik z czarnego metalu i umocował go na lewym ramieniu Karla. Potem wojownicy odstepili do tyłu.

Z cienia wyłonili się Zar Uldin i Skarkeetah. Mistrz niewolników, zdawał się jaśnieć, w swoim futrze z białego niedźwiedzia. Niebiesko złoty amulet wciąż wisiał ciężko na jego grubej szyi, a jednooki kruk trzepotał skrzydłami, siedząc na uniesionym w górę lewym przedramieniu. Uldin miał ze sobą żelazną, poczernianą barbutę, z krótkimi i pokrzywionymi rogami.

Najwidoczniej zar poprosił o pomoc mistrza niewolników, który władał czarnoksięskimi mocami. Bał się, że strata czarownika przyniesie mu nieszczęście. Uldin musiał mu bez wątpienia zapłacić, jako że Skarkeetah nie był najwyraźniej związany z żadną z band.

Mistrz niewolników nie skakał i nie tańczył na podobieństwo szamanów. Nie machał w powietrzu grzechotką czy naszyjnikami. Popatrzył po prostu głęboko w oczy Karla i wymamrotał półgłosem jakąś mroczną i bluźnierczą modlitwę, której słów rajtar nie zrozumiał. Tak naprawdę nie musiał ich rozumieć. Każda wypowiedana przez Skarkeetaha sylaba sprawiała, że dostawał na ciele gęsiej skórki. Kruk kołysał głową, jakby przytakując i klekotał zakrzywionym, grubym dziobem. Potem mistrz niewolników, uniósł do góry amulet i Karl został zmuszony, by patrzeć na pałające niebieskie kamienie, tworzące źrenicę otoczonego wężami oka. Światło świec sprawiała, że klejnoty mieniły się skrami i migotały.

- Tchar posiadał cię już, bardziej niż chcesz się do tego przyznać, bardziej nawet, niżli zdajesz sobie z tego sprawę. Pozwól by prowadził twą rękę dziś w nocy.

Karl nic nie odpowiedział.

- Będiesz walczyć? - zapytał Zar Uldin.

- Będę - stwierdził Karl niedbale.

- Włóż w tą walkę całe serce, albo daj sobie spokój - odpowiedział Uldin.

Karl zawahał się. Potem podniósł prawicę - rękę, w której trzymał miecz - i położył ją sobie na sercu.

- Będę walczył.

Zadowolony, Uldin założył mu na głowę skórzaną wyściółkę, a potem opuścił na nią ciężką barbutę. W środku było duszno i bardzo niewiele widział.

- Nie - stwierdził i ściągnął ją z głowy.

- Będziesz jej potrzebował - ostrzegł go Skarkeetah.

- Nie jeżeli Tchar jest we mnie - zadrwił Karl, ale ta odpowiedź, zdawała się sprawiać rozkosz mistrzowi niewolników. Sięgnął ku twarzy rajtara i położył na lewym policzku swoje pulchne paluchy. Kciuk oparł na wargach.

- Bez wątplenia Tchar jest z tobą.

Poprzez leżące na zewnątrz miasto rozniósł się głos rogów, tak metalowych jak i kościanych. Głośny, odległy ryk obwieszczający zbliżające się święto i wesołość.

Kurhani powiedli go do drzwi. W samym przejściu Yuskel zatrzymał się na moment i podał mu jego „prawdziwego zabójcę”. Sztylet zabrano mu wcześniej, razem z łachmanami, w które był odziany. Karl wsunął go za pas.

Jakieś dwieście kroków od kuźni, wznosił się wysoki, okrągły budynek. Vollen domyślił się, że musiał to być kiedyś teatr, przeznaczony również na jakieś większe uroczystości i zabawy. Przypominał zbudowany z drewna i otwarty od góry amfiteatr. Jego galerie i przejścia, oświetlone były rzęście pochodniami i wypełnione tłumem rozradowanych, tupiących Kurhanów.

Karl ze strażnikami przeszli pod okapem wejścia dla aktorów. Szli dalej korytarzem, biegnącym pod siedzeniami, w ciemności, pod drewnianymi balami, ażurowymi podporami, na wprost w migotliwe, żółte światło.

Sceną teatru był krąg udeptanej ziemi, otoczony wysokimi drewnianymi deskami. Tej nocy miało się tu chyba odbyć przedstawienie, z największą jak do tej pory, ilością widzów.

Yuskel przytrzymał okrągłą tarczę. Karl mógł dzięki temu wsunąć lewą rękę na miejsce. Tarcza była niebieska, z symbolem oka, otoczonego wianuszkami węży. Z jej środka sterczał pęk czarnych włosów z końskiego ogona. Karl schwycił krzepko uchwyt. Sprawdził czy wygodnie leży i czy może poruszać swobodnie ręką. Potem Uldin podał mu własny pałasz - rękojęścią do przodu.

Zagrzmiał głos kolejnego rogu i zar przyjął od Lyra inny, szeroki miecz. Potem pognał na środek areny. Zar Kreyya, prawdziwy gigant w złotej zbroi nabitej kolcami, wyszedł mu naprzeciw. Wymienili kilka rytualnych uderzeń swych ostrzy.

Zarowie wycofali się i Karl wstąpił na ubitą ziemię areny.

Horda barbarzyńców podniosła w niebo przeraźliwy wrzask i wycia. Pięści wybijały rytm

na drewnianych balustradach teatru.

Na przeciwnym końcu placu pojawiła się druga postać. Podobnie jak Karl, mężczyzna był odziany w żelazo i skóry, a w rękach trzymał tarczę i miecz. Jego szczupła postać pomalowana była na zielono. Karl uniósł miecz i ruszył do szarży.

Dopiero, kiedy był kilka kroków od swojego przeciwnika, rozpoznał, kto to jest.

Naprzeciwko stał Johann Friedel.

XI

W oczodoły miał wtartą białą farbę, podobnie jak w policzki. Krótkie, białe linie znaczyły pionowo obie wargi. Wyglądał jak trup. Jego głowa przypominała czaszkę, a zielony kolor skóry potęgował jeszcze wrażenie, że jest po prostu gnijącym truchłem. Włosy przylegały mu gładko do głowy. Najwyraźniej posmarowano je jakimś lepem.

- Johann?

Postać zaryczała głucho.

- Johann? To ja. To ja, Karl.

Głęboko żłobiony miecz Friedela zmierzał w jego stronę. Karl uniósł tarczę i ostrze w nią właśnie uderzyło, wstrząsając ręką.

- Johann!

Kolejny cios w tarczę. I jeszcze jeden. Kawalki zabarwionego na niebiesko drewna posypały się naokoło.

- W imię Sigmara, Johann! To ja, Karl!

Friedel wyprowadził kolejne uderzenie z taką mocą, że zdołał odrzucić na bok jego tarczę. Karl ledwo zdążył unieść pałasz i odbić następne, szybkie cięcie.

Było to bez wątpienia ciało Joanna Friedela. Ale Johann Friedel już w nim nie mieszkał. Jego okolone bielą oczy były... puste. Karl, kiedy był jeszcze chłopcem, miał psa, który został ugryziony przez szczura i zaraził się wścieklizną. Jego ojciec, był zmuszony, zabić psa motyką, by skrócić jego cierpienie.

Wyraz oczu Friedela był identyczny jak ten, który widział u psa, przed samym końcem. Wzrok miał nieobecny, dziki i wściekły, wszystko to spotęgowane jeszcze przez ból, strach i cierpienie.

Krażyli wokół siebie wymieniając ciosy, uderzając po kolei w tarczę przeciwnika. Friedel

naparł do przodu, a Karl podniósł tarczę by zasłonić ramię i odepchnął go mocno. Zderzyli się ponownie, tym razem tarcza w tarczę. W ciele Friedela drzemała brutalna siła, której istnienia, Vollen nigdy by się nie spodziewał. Zastanowił się, kiedy ostatni raz widział tego chłopaka.

To było na zewnątrz zali, tuż przed tym, jak padła Zedewka. Johann wołał głośno jego imię i błagał by nie zostawiał go samego.

Karl był naprawdę zaskoczony bólem, jaki sprawiło mu to wspomnienie. Zaskoczony i rozdrażniony. Od czasu ucieczki przez las, stwardniał i poukładał sobie wszystko w głowie. Żal wypalił się w nim, nie potrafił go już odczuwać. Nie dbał też prawie wcale, o to co, lub kogo, utracił w rzezi pod Zedewką. Wyglądało na to, że jedynym sposobem by mógł poradzić sobie jakoś z tymi koszmarowymi wydarzeniami, było zaciśnięcie zębów i patrzenie w przód. Oplakał już w głębi duszy Joanna Friedela, sądząc, że tak jak wszyscy z jego oddziału, już dawno zginął.

Okazało się jednak, że wcale nie zginął. To, co się z nim stało, było o wiele gorsze niż śmierć. Był tylko gnijącym echem siebie samego. Echem, które pojawiło się nagle z otchłani przeszłości, by przypomnieć Karlowi o wielkiej stracie i na powrót rozpalić w nim żal. Echem sprawiającym, że ból powróci znowu i znowu.

Friedel cierpiał. Cierpiał tak, jak zarażony wściekłą pies.

Nie może tak być. Karl nie może pozwolić by powróciło do niego to, co było już zamkniętym rozdziałem życia. To drwiące z niego szaleństwo musi się wreszcie skończyć. Koniec. Koniec.

Tłum wrzeszczał i ryczał ogłuszająco. Hałas był tak ogromny, że Karl, był nim fizycznie osłabiony i oszołomiony. Na moment zapomniał nawet, gdzie się właściwie znajduje.

Obrócił się szukając przeciwnika. Uniósł miecz. Krew spływała mu spod naramiennika, wąskie strumyczki płynęły w dół ręki.

Friedel leżał na brudnej, ubitej ziemi areny, porąbany na kawałki. Był tak pocięty i wyopatroszony, że Karl nie mógł znieść jego widoku.

Uldin wpadł na arenę i uniósł w górę swe potężne ramiona. Napawał się wiewatami na swoją cześć. Efgulf pospieszył tuż za swym przywódcą i dopadł otepiałego Karla.

- Na esencję Khar! - wydyszał - Zaszlachtowałeś go. Walczyłeś jak demon, Azytzeen!

- Dosyc! Nie mogę... nie mogę... - ziajał ciężko. Całe ciało przeszywały mu drgawki.

Efgulf potrząsnął nim.

- Trzymaj się! To dopiero połowa twojej roboty!

- Nie mogę...

- Musisz się trzymać!

- Nic nie rozumiesz! To był mój przyjaciel!

- W takim razie dałeś mu najwspanialszy podarunek od Tchar! Dar zmiany! Życie przeszło w śmierć! Uwolniłeś go z niewoli!

- Bogowie pomóżcie...

- Posłuchaj mnie uważnie Azytzeen. Banda Zara Krayya nosi na sobie Piętno Zepsucia. Nuurk'hl, Nieczystego! Jeżeli ciało, które tu leży było kiedyś twoim przyjacielem, to zaoszczędziłeś mu Niewyobrażalnego Zepsucia, Które Pochłania!

Efgulf mówił prędko i z wielką powagą, jakby właśnie w tej chwili, obwieszczał jakąś ponurą prawdę. Dla Karla był to zupełny nonsens.

- Nic z tego nie rozumiem - stwierdził, patrząc na włochate oblicze Kurhana.

- Zrozumiesz, jeśli tylko uda ci się przeżyć.

Zagrzmiały rogi i Efgulf odciągnął Vollena na bok. Zar Uldin rzucał właśnie wyzwanie zakutemu w czarną jak smoła zbroję Zarowi Blayda. Jacyś wojownicy odciągali krwawe ochłapy ciała Joanna Friedela, zagarniając co mniejsze fragmenty palcami. Robili miejsce na kolejny pojedynek.

Potem wszyscy odeszli. Efgulf także zniknął zabierając ze sobą miecz, by zrobić z niego kolejny pierścień na ramię Zara Uldinn. Karl zwrócił się w kierunku wojownika Zara Blayda, który miał wziąć udział w rytualnej walce.

Był to wysoki mężczyzna, odziany w skórzaną kurtę i żelazne, segmentowe płyty na rękach i nogach. Skórę miał pomalowaną na czerwono. Nie miał tarczy. Zamiast tego trzymał oburącz długą rękojeść wielkiego miecza z Carrobergu.

Przez chwilę Karlowi wydawało się, że to Vinnes. On też miał na sobie piętno Zara Blayda.

Ale to nie był Vinnes.

A nawet, jeśli byłby to on, Karl już by się nie zawahał. Nie cofnął. Już nigdy więcej. Nie było już niczego, ani nikogo, na tym świecie, kogo nie odważyłby się zabić.

Kul

I

Jechali na północny zachód przez dwadzieścia dni i nocy. Gerlach Heileman sądził, że jego umysł przyzwyczał się już do nieskończonej pustki otwartego stepu, w czasie, kiedy jechali do Duszyki, ale ta podróż, przyćmiła poprzednią. Dwadzieścia dni jazdy jedynie pośród morza traw. Pustka we wszystkich kierunkach. Gerlach zaczął z radością witać wschodzący księżyc i krążące niekiedy na błękitnym niebie myszołowy. Oba zjawiska, były krótkimi i drogocennymi przerwami, w bezlitosnej monotonii trawy i błękitu.

Było tak, dopóki nie zaczął zauważać chmur. Zaczęło się to w piątym lub szóstym dniu jazdy. Zastanawiał się, czemu nie zauważył ich wcześniej. Nie dało się spostrzec dwóch takich samych. Ich kształty i forma, kolory i powierzchnia, nawet prędkość, z jaką sunęły po nieboskłonie. Niektóre przypominały jakieś obiekty: wieżę zamku, pasącego się konia, skrzydło orła.

Gerlach zaobserwował, że od czasu do czasu, husarze wskazują na niebo i zwracają uwagę reszty oddziału. Witano to najczęściej skinieniami głowy i odzywającymi się gdzieniegdzie chichotami. Teraz sam zrozumiał, o co chodziło. Widział to również.

- Baran! - zauważył ktoś kiedy jechali tak w milczeniu. Inni przytaknęli zgodnie. Niektórzy przedstawiali swoje kontrproponycje.

Niekiedy było to jeszcze bardziej abstrakcyjne. Husarz mógł wskazać do góry i zarechotać.

- Mitrij!

Chmura, niekształtna, ciemna bryła, nie była wcale podobna do postawnego Kislevity... za wyjątkiem tego, że jej masywna forma i ponury wygląd w jakiś sposób przywołały na myśl sposób bycia Mitrija. Niektóre chmury sugerowały pewne rzeczy tak jakby posiadały swoje wrodzone cechy.

Było to bardzo dziwne. Odkąd Gerlach zaczął obserwować płynące po niebie obłoki, step nagle przestał być taki pusty i monotony. Wciąż coś się zmieniało. W każdej chwili, było coś do obejrzenia, jakiś wzór do rozszyfrowania. Po prostu musiał upłynąć pewien czas, zanim jego południowy umysł, przyzwyczajony do złożonych krajobrazów, nauczył się tego

wszystkiego. Teraz widział świat tak samo jak Kislevici, tak przynajmniej przypuszczał. To, co według niego było jeszcze niedawno zupełną pustką posiadało jednak na swój sposób delikatną złożoność, jeżeli tylko potrafiło się ją docenić i zauważyć...

Kiedy Gerlach wskazał na niebo i powiedział.

- Jagnięta ssące matkę! - jeźdźcy zdawali się być bardzo z niego zadowoleni.

Każdej nocy zatrzymywali się na kilkugodzinny popas. Pośród bezkresnych traw nie było drewna, ale husarze wieźli paliwo ze sobą. W większości były to kości zwierzęce zachowane starannie z poprzednich posiłków. W tej ubogiej krainie wszystko znajdowało jakieś zastosowanie.

Zgromadzeni ponad wątlym, żółtym płomieniem mężczyźni rozmawiali leniwie i wspominali. Czasami nawet rozmawiali o rzeczach, które widzieli w chmurach, podczas dziennej jazdy. Ta rozmyślna oszczędność, to był ich sposób na życie. Wszelkie zasoby, w ich ciężkiej i srogiej egzystencji, były używane, po wielokroć, aż do kompletnego ich wyczerpania. Kości pozostałe z jednego posiłku stanowiły paliwo do przygotowania następnego. Kształty przepływających po niebie chmur sprawiały, że nie tracili zmysłów z powodu nudy podczas dziennej jazdy, a ich wspomnienie bawiło ich jeszcze przy obozowym ogniu. Było to sprytne i bardzo mądre podejście.

Przy ogniu, Borodyn opowiedział Heilemanowi, coś o mądrości nieba. Miało to, jak zgadywał rajtar, sporo wspólnego z okręgami. Nie było na świecie dwóch identycznych chmur i biegły one bez końca po nieboskłonie, wciąż powtarzając swoją wędrówkę, po kręgu nieba. Kiedy człowiek zobaczył chmurę, którą już raz w swym życiu widział, to znak, że niebo zatoczyło pełny krąg i jego czas dobiegł końca. Czasami, prawil dalej Borodyn, człowiek, który zobaczył chmurę po raz drugi w czasie swego żywota, wsiadał na konia i odjeżdżał ze stanic albo roty, prosto w objęcia przeznaczenia. Nikt nigdy go już później nie widział.

Każdego poranka, w chłodnym i prawie zielonym świetle dnia budzącego się nad stepem, Gerlach i husarze zrywali się i jechali dalej, w morze traw. Heileman zastanawiał się, czy oni sami nie są już straceni i czy jeszcze ich kiedyś ktoś zobaczy.

II

Stało się zupełnie jasne, że ze stepu można czerpać niewyobrażalne ilości użytecznych

informacji, więcej niżli kiedykolwiek by Gerlach uwierzył. Kiedy świat był tak koszmarnie jednostajny - bezkresna trawa, puste niebo - każda zmiana, nieważne nawet jak mała, stawała się uderzająco oczywista.

Urodzeni tu Kislevici bardzo szybko odczytywali znaki i wskazówki dawane im przez step. I kiedy Gerlach zaczął wyszukiwać w chmurach jakichś logicznych kształtów, zaczął również zauważać inne szczegóły. Trawy na ten przykład, nie były wcale wszędzie takie same, nieważne jak jednolite zdawały mu się być na początku. Gdzieś trawa była stara, w innych miejscach zupełnie młoda, były też oczywiście przeróżne jej odmiany, wysokie i splątane kępy ostu oraz paprocie. Jeden rzut oka na otaczający step, dawał jeźdźcowi informacje jak dawno padał tu ostatnio deszcz, jak głęboko musi kopać by zdobyć wodę, w którą stronę wieje wiatr i jaka właściwie jest w danym momencie pora dnia. Doświadczony człowiek nawet nie musiał patrzeć. Dźwięk końskich kopyt uderzających o podłoże mówił mu wszystko. Wyjaśniał czy grunt był twardy i suchy, czy miękki i wilgotny.

Z temperatury i wilgotności powietrza można było przewidzieć, jaka będzie w najbliższym czasie pogoda. Jeździec wiedział czy nadchodzi ulewa i z której ewentualnie strony. Potrafił rozpoznać zbliżającą się nawałnicę, zanim jeszcze na niebie, pojawiły się jakiegokolwiek ciemne chmury. Wzór i falowanie traw, zdradzały kierunek wiatru, a zmieniające się na horyzoncie światło, zapowiadało zmianę pogody.

Do czasu, gdy zbliżyli się do stacji Leblja, Gerlach nauczył się na tyle dużo, by rozumieć, skąd rota wie, że zbliżają się do ludzkiego osiedla, zanim to pojawiło się jeszcze na horyzoncie. Kislevici wyczuli dym i inne zapachy, takie jak odór zwierzęcych odchodów i kwaśny, octowy cuch. Nie było jeszcze nic widać, ale po tylu dniach na otwartym stepie, najlżejszy ślad dymu w powietrzu, był wystarczającym znakiem.

Maksym podniósł rękę i rota zwolniła. Jeźdźcy ustawili się w długą linię po obu jego stronach.

- Leblja - powiedział.

Kilku ludzi przytaknęło. Przed nimi kołysał się przeogromny dywan traw, prawie biały w promieniach popołudniowego słońca. Gerlach miał już na końcu języka, jakąś kąśliwą drwinę, ale w tym momencie i on poczuł to również. Odległy zapach spalenizny i spoconych zwierząt.

- Wielu luda - mruknął Beledni. Gerlach nie potrafił zgadnąć, czy to dobrze czy źle.

Z zwałym - Jazda! - na ustach, Beledni popędził swego konia i poderwał cały oddział. Ruszyli w kierunku niewidocznej jeszcze osady.

Z tego co mu powiedziano, Gerlach wiedział, że ta stacja - Leblja - została wybrana jako

odpowiednie miejsce do zebrania się kislevskiego pułku w przypadku ucieczki lub odwrotu. Każda rota i grupa, która uciekła z rzezi pod Zedewką zaprzysięgła, że dotrze w to miejsce by się przegrupować. Nadzieja rosła w sercu Gerlacha. Jeżeli rzeczywiście było tu „wielu luda” mogło to oznaczać, że pułk odzyskał siły i przygotowuje się właśnie do powrotu w smagane wojną okolice. Mogli zebrać się w Leblji i ruszyć na południe, do kontrataku.

Po kolejnej półgodzinnej jeździe, Beledni ponownie wstrzymał konia i zatrzymał oddział. Wdał się w rozmowę z Maksymem i trębaczem Jewnijem.

- Co się dzieje? - zapytał Heileman Witalija.

Ten potarł ręką swą wykrzywioną w nieprzyjemnym grymasie twarz.

- Krew - odparł.

- Czujesz jej zapach?

- Iha. Webla nie czuje?

Gerlach rzeczywiście nie czuł zapachu krwi. Tylko dym, coraz mocniejszy swąd dymu. Beledni obrócił się do swych ludzi i rzucił krótki rozkaz. Wszyscy jak jeden mąż zsiadli z koni i tak prędko jak tylko mogli, zaczęli nakładać na siebie zbroje. Gerlach uczynił to samo. Był to przedziwny widok. Prawie sześćdziesięciu półnagich mężczyzn stojących obok czekających koni, pośrodku bezkresnego dywanu traw, wciągających pospiesznie na głowę pilśniowe czapy i nakładających zdobione kirysy i inne części pancerza.

Jak tylko pokryte piórami skrzydła, lamparcie skóry i szyszaki były na swoim miejscu, husarze zawinęli swoje codzienne ubrania w rozłożone uprzednio na trawie płachty i przytwierdzili je mocno z tyłu siodła. Gerlach bardzo się spieszył by za nimi nadażyć.

Kiedy jeździec był już gotowy wykrzykiwał głośno swe imię i wskakiwał zręcznie na siodło ze stojącej pozycji. Były to tylko popisy, pomyślał Gerlach, cyrkowe sztuki. Ale ten pokaz wspaniałego opanowania sztuki konnej jazdy podnosił ducha całej roty. Heileman zastanowił się, czy nie spróbować samemu, ale doszedł do wniosku, że zrobiłby tylko z siebie głupca. Saksen był znacznie większym koniem od niewielkich wierzchowców Kislevitów, a on sam nie był równie zręczny i zwinny jak husarze. Zanim ktokolwiek na niego spojrział siedział już w siodle, poprawiał na głowie hełm oraz naciągał i poprawiał jeździeckie rękawice.

Gerlach uświadomił sobie w tej chwili, że powinien być gdzieś w pierwszym szeregu. Podniósł sztandar do góry i skierował Saksena do przodu, do miejsca gdzie zatrzymał się pomiędzy Maksymem i Belednim.

Rotmistrz przyjrzał mu się uważnie. Jego oczy połyskiwały zza opuszczonej na twarz osłony w kształcie serca.

- To ważne teraz, Webla - powiedział. - Ten czas teraz, tutaj. To ważne, ty nosić sztandar.

Gerlach skinął głową na znak, że zrozumiał. Saksen dreptał niespokojnie w miejscu. Jedno ucho położył po sobie a drugie wystawił do przodu. Gerlach poklepał go po szyi.

- Sława i chwała czekają na nas mój stary przyjacielu - starał się go uspokoić.

Wałach wciąż był rozdrażniony. Dalej wyglądał bardzo okazale, z ciałem pomalowanym na biało i czerwono.

Gerlach wzniosł sztandar wysoko do góry. Białe i czerwone węże z materiału załopotwały za tarczą z orlim skrzydłem. Załopotwały na stepowym wietrze.

Oddział ruszył w kierunku Leblji.

III

Leblja była znacznie większa niż Duszyka. Był tam wewnętrzny kopiec - stary, usypany jeszcze przez Scytów - na którym stała okazała ziała otoczona ciężkim i mocnym kamiennym murem. Sama osada - chaotycznie rozrzucone pobielone chaty i spichrze - mieściła się u podstawy kopca. Otaczała je naokoło jeszcze jedna, niższa palisada, w której widniała solidna drewniana brama.

Bezkresne niebo, z błękitnego, stało się teraz szaro-niebieskie, ponure. Nie płynęła po nim ani jedna chmurka, za wyjątkiem cieniutkiej linii na południu, wiszącej nad samym horyzontem. Morze traw również zmieniło swą barwę, a właściwie prawie ją utraciło, było szare i wypłowiałe.

Dookoła palisady kręciły się ciemne punkciki - gnający jeźdźcy. Było ich wielu. Setka, a może i więcej. Gerlach wiedział, kim są zanim jeszcze Maksym wypowiedział to słowo.

- Kjazaki!

Leblja była oblężona, przez tych konnych łupieżców. Kiedy podjechali bliżej, Heileman mógł rozpoznać, większą ilość szczegółów na sylwetkach atakujących. Byli to mężczyźni w czarnych łachmanach i smolistych zbrojach. Ich czarne hełmy zwieńczone były byczymi i jelenimi rogami. Za pomocą proc bombardowali palisadę płonącymi pociskami. Podnosiły się już z niej, długie wstęgi białego dymu.

Beledni zwolnił i rozciągnął rotę w linię. Byli jakieś dwieście końskich długości od osady. Kjazaki już ich zobaczyli. Poszczególni jeźdźcy odrywali się z krążącego dookoła Leblji koła i zbierali, by stawić czoła oddziałowi Beledniego. Nie był to akt wyrażający

agresję, a raczej ciekawość. Było ich zdecydowanie więcej niż husarzy z Jeczyczowskiego kruga. Zdawali się zdziwieni, że ta mała grupka konnych, po prostu nie odwróciła się i nie umknęła w step.

- Kule! - stwierdził Waja i splunął siarczyście.

- Kule?

Kul był to jeden ze szczepów, wysunięty najdalej na południe odłam Kurhanów. Zapuszczali się też najdalej we wschodnie stepy i bardzo obawiano się ich rajdów. Według Witalija i Waji byli oni szczególnie brutalni i bardzo rzadko przyłączali się do większych sił Kurhanów prących na południe. Byli zadowoleni łupiąc i zbierając wszystko to, co pozostawiała za sobą barbarzyńska horda. Byli szczególnie znani, z bestialskiej metody mordowania przeciwników pokonanych w bitwie. Waja próbował wytłumaczyć na czym ta metoda polegała. Miało to coś wspólnego z klatką piersiową człowieka, z jego żebrami. Nieznajomość języka była, dzięki bogu, zbyt duża i Kislevita wreszcie się poddał.

Kule zebrali się by ich powitać. Zsiadali z koni i klepali je po zadach by odbiegły na bezpieczną odległość. Powoli ustawili ścianę z tarcz. Wielu z wojowników dzierżyło długie maczugi i berdysze.

- Czemu nie walczą z nami konno? - zapytał zdziwiony Gerlach. Wiedział, że wszystkie szczepy Kurhanów, to urodzeni jeźdźcy.

- Znąją nas - odparł Beledni. - Widzieli husarskie skrzydła. Boją się naszych kopii i szarży.

- Dlatego tworzą tę ścianę z tarcz?

- Iha, Webla. Oni zdecydowali. Leblją ich. Nie chcą poddać. Umocnią się, wystoją i utrzymają ziemię.

- I?

- Ziemia niczyja. - powiedział Maksym - Ziemia należy do święty Ursun i Hospodarnyj żyje na niej i uprawia ją z jego przyzwolenia. Kule się nauczą również. Ziemia nie ma być ich.

- Będziemy teraz z nimi walczyć?

- Iha. - odpowiedział na pytanie Beledni.

- Będziemy... szarżować na ścianę tarcz?

- Iha, Webla - rzekł rotmistrz.

Pomysł ten zaniepokoił Gerlacha. Myśl o samej bitwie, była czymś normalnym, ale atakowanie takiej przeszkody? To było szaleństwo. Jedna z podstawowych zasad walki kawalerii, jak to zawsze przypominali jego nauczyciele, mówiła, że koń - nieważne jak

dobrze wyszkolony, nie odważy się szarżować, na tego typu przeszkody. Nie ścianę ustawioną z tarcz. Było to po prostu przeciwne końskiej naturze. Nieważne jak ostro będziesz wierzchowca prowadził, w pewnym momencie i tak skreśli, chcąc uniknąć nieuniknionego zderzenia. Dlatego właśnie ściana tarcz, choć przestarzała w kanonach sztuki wojennej, wciąż była w użyciu. W rzeczy samej kompanie imperialnych pikinierów, właśnie na niej bazowały. Jeżeli tylko stali karnie w czworoboku i pewnie dzierżyli w rękach piki, byli w stanie przeciwstawić się nawet najbardziej szaleńczej szarży kawalerii.

- Nie bądź taki zmartwiony, Webla - Beledni zaśmiał się w kułak - Ściana tarcz wygląda na bardzo mocną, ale Beledni zna Kuli. Beledni wie jak oni myśleć - postukał się wymownie wyprostowanym palcem w szyszak.

- Walczyliście już kiedyś z nimi?

- Iha! - odkrzyknął na to rotmistrz, lekko pochylił głowę i poklepał się po starej bliźnie na karku. Maksym ściągnął lewą rękawicę i odsłonił kolejną, głęboką i już zanikającą bliznę.

- Walczyliśmy z Kulami wiele już razy. Czasami wygramy.

Nie było to specjalnie budujące, ale Beledni przynajmniej żył, by wypowiedzieć to zdanie.

- Czas już - zdecydował rotmistrz. Wyprostował się w siodle. Spojrzał w lewo i w prawo, kontemplując szeregi jeźdźców. Wszyscy byli spięci i wyczekiwali.

Beledni wykrzyknął rozkaz i husarze dobyli długich kopii. Konie rżały nerwowo. Otwarta dłoń rotmistrza przez długą chwilę unosiła się nieruchomo w powietrzu.

Opuścił ją.

Jewnij dobył z kościanego rogu długą nutę.

Rota ruszyła do szarży.

IV

Popędzili pośród kołyszących się traw i paproci, tak prędko jak tylko zdołali. Kopyta łomotały po suchej ziemi. Gerlach jechał na przedzie, trzymając wysoko w górze sztandar. Beledni wysłał Waję i Witalija, by chronili boki chorążego.

Jakieś sto końskich długości przed nimi, ściana tarcz jeszcze bardziej się zespoliła i czekała na przyjęcie uderzenia. Wojownicy Kul, za linią połączonych tarcz, krzyczeli i machali rękami do nadbiegających maruderów, by dołączyli do zwartej masy. Zbitej, silnej

masy. Niewzruszonej.

Kolce sterczące z tarcz połyskiwały w wiosennym świetle. Wzniosły się do góry ostrza toporów. Róg Kuli zagrał ostrą, długą nutę. Ich sztandar - potężne jelenie rogi podtrzymujące wilczą czaszkę - stał wbity w ziemię mniej więcej na środku linii. Oczodoły wilczego czerepu zdawały przyglądać się im z nienawiścią, gdy zbliżali się galopem.

Dziesięć końskich długości. Pięć. Konie wyciągnięte w pełnym galopie, powiewające dziko grzywy, odsłonięte zęby.

Kule nie czekali jednak po prostu na przyjęcie szarży. Pędzili teraz ku nim, naprzeciw galopującym husarzom. Naprzeciw szarży! Tak jakby witali ją z radością. Jakby witali zbliżającą się śmierć. Ściana z tarcz i cała dyscyplina zostały zapomniane w jednej chwili, zastąpione przez nieprzewyciężone pragnienie walki.

To było właśnie to, czego oczekiwał Beledni.

Jedna długość konia. Głosy Kulów wzniosły się w jednolitym skowycie, zagradzającym husarzom, drogę potężną ścianą dźwięku. Podkute żelazem kopyta i zakończone nim kopie rozdarły tę zasłonę bez trudu. A potem, z potwornym impetem, uczyniły to samo ze znajdującą się tuż za nią ścianą kości i ciała.

Rota uderzyła w rozsypaną już i rozłazącą się coraz bardziej zasłonę z tarcz i zmiotła ją niemalże. Kopie dygotały i wibrowały, kiedy przebijały się przez drewno i ludzkie ciała. Gerlach poprowadził Saksena do przodu, poprzez tłuszczę wrzeszczących, machających rękami ludzi. Po obu stronach, jeźdźcy kruga zostawili już swoje kopie i teraz wycinali sobie drogę za pomocą szabli. Witalij i Waja trzymali się blisko chroniąc jego boki, ale kiedy przebijali się przez szczególnie gęste zawirowanie, ten drugi zniknął zupełnie.

Prawa flanką Gerlacha była teraz odkryta i narażona na ataki. Zagroził mu jakiś topór o szerokim ostrzu. Heileman puścił wodze i prawą ręką dobył swego ostatniego, nabitego wcześniej i przygotowanego do strzału pistoletu. Wypalił prawie z przystawienia. Kula roztrzaskała szczękę topornika i rzuciła go bezwładnego do tyłu, na prących do walki barbarzyńców.

Gerlach schował pistolet i dobył miecza. Dźgał i kłuł wszystko, co tylko pojawiło się w jego zasięgu. Lewą ręką trzymał uniesiony w górę sztandar. Ciężył mu teraz niezmiernie, zdawał się być o wiele cięższy niż bardziej okazały sztandar kompanii rajtarów. Witalij wciąż jechał u jego boku, siekąc i rąbiąc kjazaków, pojawiających się po przeciwnej stronie.

Poprzez szaleństwo bitwy, Gerlach ujrzał kątem oka Beledniego, roztrzaskującego rogatą hełmą przeciwników swoją szaszką. Widział też Maksyma wywijającego z ręcznie zakrzywioną szablą, kropelki krwi przyskały z niej w powietrze. Spozstrzegł, że Mitrij przebił

kopią dwóch Kulów za jednym zamachem. Borodyn rzucający kopię. Sorca wbijający końcówkę szabli w oko poprzez wizjer barbuty. Kwetłaj uwalany krwią i wnętrznościami, potrzęsający srebrzystym ostrzem, by oczyścić je choć trochę z krwi.

Waja pojawił się nagle z boku. Wyrąbał sobie drogę z gęstego tłumu, który spowolnił go na moment. Zawył w dzikim triumfie, gdy jeden z barbarzyńców wpadł pod grzmiące kopyta jego konia.

Gerlach przeciął hełm i żelazną płytę, a potem obrócił się, by odbić rękę dzierżącą sztylet. Z zewsząd napierały na niego natarczywe ciała. Smród krwi, potu i odchodów sprawiał, że ogarniały go mdłości.

Natarł na niego jakiś wojownik i Gerlach użył trzonka sztandaru, by odrzucić go na bok.

Potyczka była wypełniona zgrzytliwym hałasem, ciągłym ruchem i uderzeniami. Gerlach nie był już do końca pewien, w którym kierunku zmierza. Spadał na niego prawdziwy deszcz krwi, śliny i maleńkich odprysków metalu.

Ogromne, widmowe poroże jelenia, wznosiło się przed nim, ponad, kotłującym się dookoła niego tłumem. Przez moment Heileman wyobraził sobie, że to z dymu i kurzu, wyłoniła się wprost na nich, jakaś stepowa bestia, czart niosący śmierć.

Był to jednak jedynie sztandar Kulów.

Gerlach przynaglił Saksena krzykiem, jednocześnie siekąc mieczem na wszystkie strony, ścinając skalpy, tnąc ramiona i odcinając końcówki rogów przytwierdzonych do hełmów. Witalij odkrzyknął na jego zew, starając się dotrzymać rajtarowi tempa.

Choraży Kulów był niskim, grubokościstym mężczyzną w koszulce kolczudze z bardzo grubych ogniów. Spiżowy hełm miał wydłużone policzki i pojedynczy jeleni róg, sterczący z czoła. Kapłan-czarownik tańczył bez przerwy wokół niego. Potrzęsał sznurami z nanizanymi kośćmi, grzechotał muszelkami i dzwonił niewielkimi dzwoneczkami. Całe ciało pokryte miał karmazynowymi pasami, które imitowały kości.

Gerlach rzucił się w ich stronę, poprzez chaos panujący na polu bitwy. Kapłan-czarownik w ostatnim momencie spostrzegł, że nadjeżdża, obrócił się by wnieść do góry grzechotkę.

Heileman ciął potężnie z krzyżowego zamachu. Ściął głowę czarownikowi i odciął jednocześnie powykręcaną dłoń trzymającą instrument. Choraży wrzeszcząc, starał się związać walką rajtara - pchnął rogaty sztandar prosto na niego. Jedno z odgałęzień rogów wyłobilo w naramienniku solidny i głęboki rowek.

Gerlach zanurkował do przodu pod rozłożystym sztandarem i zarąbał, broniącego się desperacko chorążego, jak również dwóch wojów, którzy nadbiegali mu właśnie z pomocą. Witalij i Waja następowali mu na pięty i już po chwili stali u jego boku, odpierając wściekle

ataki.

Rogaty sztandar Kulów roztrzaskał się o ziemię.

Heileman przypuszczał, że opuści ich w tym momencie duch walki. Sprężył się w szoku gdy zobaczył, że ryknęli tylko i jeszcze mocniej na nich napaarli. Ogarnął ich bojowy szal.

W tym momencie usłyszeli łomotanie końskich kopyt. To zbliżały się posiłki Kulów. Pomimo swych desperackich wysiłków rota z Jeczyczowskiego kruga miała zostać wycięta w pień.

Druga grupa jeźdźców uderzyła w nierówną linię bitwy od strony osady. Ale nie była to wcale druga fala atakujących barbarzyńców. Byli to konni łucznicy wysypujący się z bramy w palisadzie. Trzydziestu pięciu jeźdźców. Może czterdziestu.

Brazowe, długogrzywe stepowe konie, poniosły ich wprost ku tyłowi luźnej formacji Kulów. Z zakrzywionych, krótkich łuków, spadał na plecy najeźdźców, prawdziwy deszcz, czerwono opierzonych strzał. Tylni szereg Kulów zaczął padać i kłaść się pokotem, niczym zboże ścięte kosą.

Konni łucznicy byli niezwykle zwrotni i mieli naprawdę imponującą szybkostrzelność. Niektórzy husarze - jak Gerlach, Waja czy Witalij - zagłębili się tak głęboko, w szeregi barbarzyńców że prawie przebili się przez nich na drugą stronę. Byli teraz otoczeni przez zbliżającą się gromadę. Zdarzyło się tak, że to Gerlach, jako jeden z pierwszych, ujrzał łuczników jeżdżących zakolami i zalewających tylne szeregi wroga, istnym gradem pocisków. Ta prawdziwa rzeź, spowodowała, że tyły oddziału odwracały się teraz w panice, by uchronić się od nowego niebezpieczeństwa i jakoś się bronić.

Łucznicy również byli Kislevitami. Odzianymi w brudnawe, lecz ozdobione haftami koszule, albo kaftany bez rękawów z jagnięcej skóry, zarzucone na pancerze z utwardzonej czerwonej skóry. Na ramiona opadały im luźno kolcze kaptury. Spiczaste hełmy okolone były na krawędziach grubą warstwą futra. Strzemiona mieli krótkie, jechali wychyleni do przodu, opierając cały swój ciężar na końskim kłębnie. Było to wygodniejsze dla zwierzęcia niż opieranie się na środku grzbietu.

Gerlach był pod ogromnym wrażeniem potęgi podwójnie zakrzywionych i ozdobionych chwostami łuków. Te które znał z Imperium były kształtowane z jednego kawałka drewna, miały ogromną siłę przebicia. Jednak były tak długie, że niemożliwością było używanie ich, siedząc na końskim siodle. Szczególnie w biegu - strzały z tych krótkich łuków, również potrafiły przebić, bez większego problemu, żelazne hełmy i spiżowe zbroje.

Nękami teraz z przodu i z tyłu Kule, zaczęli załamywać się i pierzchać. Gdy rzucali się do ucieczki, dościgały ich strzały i dziryty. Husarze odrywali się od zarzewia walki i ścigali ich

bez litości. Na polu pozostały jeszcze pojedyncze punkty oporu gdzie wciąż trwała walka. Tam najzuchwalsi Kule skupili się ciasno wokół siebie, ale Beledni i Jewnij przegrupowali sporą część roty i rozbili te skupiska motłochu za pomocą kopii i szabli.

Barbarzyńcy zaczęli teraz uciekać, upuszczając tarcze, a nawet broń kiedy tak pędzili do rozpiechłych koników. Tylko kilku zdołało do nich dotrzeć. Garstka ta, puściła się galopem w step, w różnych kierunkach, znikając po jakimś czasie pośród traw, pozostawiając po sobie jedynie grzmot łomoczących po suchej ziemi podków i dźwięczny odgłos obijających się o siebie, luźnych części zbroi i wyposażenia.

Beledni wznosił do góry szablę w triumfalnym geście, a Jewnij zagrał na rogu raz i jeszcze raz. Pokrzykując i śmiejąc się, husarze zsiadali z wierzchowców, łucznicy natomiast jadąc szerokimi kręgami, raz po raz, okrążali galopem pole niedawnej bitwy. Potyczka uniosła z ziemi duże ilości delikatnego pyłu. Dopiero teraz, dmący od stepu wiatr, zaczynał rozwiewać kłębiące się chmury. Pośród tych obłoków, Gerlach podniósł do góry sztandar roty, wysoko, tak wysoko jak pozwalały na to zmęczone ręce. Husarze powitali ten widok okrzykami radości, kiedy zabierali się za żmudną pracę oślepienia, porozrzucanych po polu trupów wojowników z Północy.

V

Dowódca łuczników konnych był przystojnym, zadziwiająco młodym, wysokim mężczyzną. Zeskoczył zręcznie ze swego krzepkiego konika i uścisnął szczerze i radośnie Beledniego.

Nazywał się Antal. On i pozostali woje z jego oddziału, pochodzili z Igerowa - niewielkiej osady na dalekim wschodzie południowego województwa. Beledni znał go bardzo dobrze. Ich kompanie walczyły ramię w ramię w jednym pułku, podczas kilku kampanii. Tak naprawdę, to rotmistrz był wielkim przyjacielem ojca Antala - Gaspara. Z opowieści jakie słyszał dookoła, Heileman dowiedział się, że Beledni i Gaspar byli przyjaciółmi i towarzyszami broni od czasów wczesnej młodości. Gaspar zginął dwa lata wcześniej, a jego ludzie rozeszli się do dwóch oddziałów - każdy z nich był dowodzony przez jednego z jego synów. To wyjaśniało, dlaczego Antal zdawał się być zbyt młody jak na dowódcę konnego oddziału. Beledniego traktował jak swego ulubionego wuja.

Jeźdźcy Antala wraz z kompanią jego brata Dmirowa, zebrali się wraz z pułkiem

nieopodal Zedewki i dali się złapać w tę nieszczęsną pułapkę, jaką okazał się być, nagły atak z zaskoczenia. Brali udział w kilku śmiałych i desperackich eskapadach, zanim udało im się wreszcie wydostać na otwarty step. Z początku uciekali na zachód, później skręcili na północny wschód. Antalowi pozostało jedynie czterdziestu ludzi z siedemdziesięciu. Tylu bowiem liczył jego oddział na początku. Od czasu bitwy pod Zedewką, nie wiedział co stało się z Dmirowem, ani kimkolwiek z jego kompanii.

Zauważywszy dziwnego jeźdźca i jeszcze dziwniejszego konia, który niósł sztandar roty, Antal podszedł by spotkać się z Gerlachem. Zsuł zakurzone rękawice i uściśnął jego ręce gdy przedstawił ich sobie Beledni.

- Webla - stwierdził Beledni.

Antal zaśmiał się.

- To twoje imię? - zapytał rajtara młody dowódca.

- Nazywam się Gerlach Heileman.

- Dobra! - zarechotał Antal tak jakby określenia „Webla” trzeba było raczej unikać.

- Jak długo tu już jesteście? Tu w Leblji? - chciał się dowiedzieć rajtar.

- Trzynaście dni - odpowiedział Antal. Jego oddział jechał tu tak prędko jak tylko mógł, mając nadzieję, że połączy się tu z innymi, którzy przeżyli starcie. - Przez osiem dni nie pojawił się nikt. Potem przyjechali husarze - rota Nowgo.

Gerlach wysiłał się by nadażyć za wymianą słów.

- Nowgo?

- Rotmistrz, nasz towarzysz - wyjaśnił mu Beledni - Z Dragnypierskiego kruga. Wielu dzielnych wojów wznosi skrzydła wraz z nim.

- Nie tak wielu. - wtrącił ponuro Antal - Tylko pięć razy pięciu jeźdźców przeżyło po Zedewce.

Od strony husarzy dobiegło ciche mamrotanie i wypowiedane szeptem zdania pełne grozy.

- A gdzie są teraz? - spytał Gerlach.

- Kjazaki nadjechali tego samego dnia co rota Nowgo. Niezwykle liczny zastęp. Więcej ich było niżli dziś pod słonecznym słońcem w czas bitwy.

Łupieżcy z plemienia Kul nadeszli bardzo liczną gromadą. Być może ścigali ocalałych z rzezi pod Zedewką, a może trafili do Leblji zupełnie przypadkiem, choć niezwykle nieszczęśliwy dla Kislevitów był to przypadek. Było ich tak wielu, że jak to powiedział Antal „pokryli step jak muchy gnijącego trupa i od razu stało się jasne, że osada nie wytrzyma oblężenia. Nowgo z typową dla siebie porywczą brawurą, zabrał ze sobą wszystkich ludzi,

którzy pozostali z jego roty i wyjechawszy z Leblji pospieszył na południe, po części by ostrzec kolejne zmierzające tu oddziały, że miejsce nie jest już bezpieczne, a po części by odciągnąć od osady, choć część wrogich jeźdźców.

Wielu kżajaków w rzeczy samej ruszyło w pogoń za rotą i odjechało w porośnięty trawą step. Ani husarze, ani też ścigający ich Kule nie pojawili się już z powrotem.

Pozostali barbarzyńcy zaczęli oblegać miasteczko i woje Antala zrobili wszystko, co tylko mogli by obronić to miejsce. Był to czas ciężkiej próby. Mieli bardzo ograniczone zapasy, szczególnie brakowało im strzał. Nie mogli też wykorzystać swojego największego atutu i stanąć twarzą w twarz z najeźdźcami, ponieważ ci byli wielokrotnie od nich liczniejsi. Kiedy dzisiejszego ranka pojawiła się silniejsza rota Beledniego i zaatakowała oblegających, Antal zwietrzył w tym szansę, postawił wszystko na jedną kartę i poprowadził swoich łuczników by wreszcie przerwać oblężenie.

Dało to pożądane rezultaty. Dzięki sile i szybkości koni, oraz niezwykłym umiejętnościom łuczniczym, oddziały Beledniego i Antala rozbiły bandę kżajaków, która była znacznie liczniejsza od nich.

By być dokładnym przestała ona w praktyce istnieć.

Kislevici byli przepelnieni radością i dumą z odniesionego właśnie zwycięstwa. Emocje wyzwolone podczas bitwy wciąż nimi targały. Jednak Gerlach nie mógł pozbyć się uczucia zawodu. Spodziewał się, marzył, że będzie na nich czekał w Leblji wielki kontyngent wojsk sprzymierzonych, czekający tylko by skierować się na południe i zebrać krwawe żniwo wojny, na postępujących hordach Kurhanów. Zamiast tego powitał ich tu oddział czterdziestu zmęczonych konnych łuczników, bez zaopatrzenia i opowiadka o zdziesiątkowanej drużynie husarzy, która jakiś czas temu zniknęła z horyzontu i nie pojawiła się ponownie. Gerlach trzymał jednak te przemyślenia dla siebie. Kislevici świętowali teraz zwycięstwo.

- Pomyślałem sobie, że dziś pewnie przyjedziesz - zwrócił się do Beledniego Antal. - Ujrzałem w chmurach kształt, który mi ciebie przypomniiał.

- Iha. Więc przybyłem Antalu Hasparicz! Więc przybyłem!

- Ale nie byłem pewny. Chmura wyglądała jak ty, ale jechałeś na jakimś dziwnym białym koniu. Wiedziałem, że to nie twój - uśmiechnął się do Gerlacha i wskazał na Saksena.

- Teraz, to ja wszystko rozumiem.

VI

Rota również nie wyszła z bitwy bez szwanku. Dwóch husarzy - Ptor i Czagin - było zabitych, a Sorca, jeden z weteranów Beledniego miał w biodrze głęboką, ciętą ranę od topora, która okazała się również śmiertelna. Oprócz tego, prawie wszyscy mieli zadrapania, stłuczenia i różnorakie rany. W większości były to jednak sińce i rozcięcia, o których nie warto było nawet wspominać. Najgorszą z ran była ta od cięcia mieczem - ciągnąca się przez bok dłoni i rękę młodego Kwetłaja. Pokazywał wszystkim z dumą krwawą szramę.

Kislevici ruszyli do miasta, a mieszkańcy witali ich rykiem, waleniem o patelnie, kotły i pełnymi radości okrzykami. Była to swoista kakofonia, na cześć odniesionego zwycięstwa i przybycia Beledniego z odsieczą. Łucznicy Antała, pozbiali z pola, wszystkie nadające się jeszcze do użytku strzały i należące do Kulów drzewca - drewno było teraz na wagę złota. Cały oddział jechał na przedzie, przed husarzami i pierwszy przejechał przez bramę. Ptor i Czagin zostali przewieszeni przez siodła własnych koni, a Beledni prowadził za uzdę wierzchowca, na którym kołysał się Sorca.

Wielu husarzy podniosło dłonie, na powitanie ogłuszających wiwatów i łomotów, dochodzących z tłumu mieszkańców Leblji. Jednak Beledni zdawał się tego wszystkiego nie zauważać. Cała jego uwaga, skupiona była na osobie umierającego przyjaciela i towarzysza broni, jadącego powoli u jego boku.

VII

Zwycięska uczta tego wieczoru nie była wystawna, ale i tak hojna biorąc pod uwagę to, w jakim stopniu oblężenie uszczupliło spiżarnie osady. Śpiewano smutne pieśni na cześć poległych w boju kamratów i ogólnie nastrój był nostalgiczny.

Jeszcze bardziej przygnębiające były rozmowy. Gerlach słyszał jak wielu husarzy i łuczników mówiło, że „podróż” jest już skończona, przynajmniej w tym roku. Pomimo, że pośród stepów, było dopiero bardzo wczesne lato i wojenna pora zaledwie co się rozpoczęła, Kislevici zdawali się zgadzać z opinią, że w tym roku nie pozostało już nic, co mogliby zdziałać. Lepiej powrócić do stanic na czas, by pomóc w żniwach i bronić ich przed atakami w zimie.

Heileman oddzielił się od grupy i siadł samotnie na boku. Na czas uczty, wszyscy zgromadzili się w wiekowej sali, na szczycie kopca. Była ona rzeczywiście bardzo, bardzo stara. Dach był już wymieniany wielokrotnie, a główna część budynku przedłużona, ale

wewnętrzne belkowanie i rusztowania były oryginalne, tu nic się nie zmieniło. Musiało mieć setki lat, może nawet tysiąc. W niektórych miejscach belki były czarne od ognia - nie były to gromadzące się ślady kopciucha i dymu z paleniska - raczej pamiątka po jakimś prawdziwym pożarze. Widać w nich też było, dziury po ćwiekach i starych karbowaniach.

Przejechał opuszkami palców po gładkiej, poznaczonej dziurami powierzchni, o którą się opierał. Blask ognia wydobywał z niej najdelikatniejsze ślady złota, już pozacierane na prastarym drewnie. Były tam też inne kawałki - niewielkie drobinki powbijane w drewno i puste dziury po gwoździach.

- Kiedyś te belki musiały być nim pokryte - stwierdził Gerlach. Obite były złotem, cienką jak opłatek złotą folią z wyrytymi na niej postaciami i symbolami świadczącymi o boskim pochodzeniu ich twórców. Podpory te musiały stać tu jeszcze za czasów Scytów, w erze, kiedy wzniesiono kopiec. Zala była niszczone i odbudowywana, palona i znów stawiana od nowa, dookoła solidnej podstawy, mocnego szkieletu. Belki nosiły każdą kolejną załę osiedlających się tu ludzi tak jak człowiek nosi koszulę, czy też długie drągi podtrzymują płócienny namiot. I były z pewnością o wiele starsze niż wspaniałe katedry, świątynie i twierdze z jego ojczyzny.

Tak właśnie nadchodzi i gaśnie wielka chwała. Po pewnym czasie, nikt już niczego, z dawnych dni nie pamięta. Kultury tak bogate i potężne, że bez trudu mogły zdominować te ziemie i pozwolić sobie by ozdabiać budynki najszlachetniejszym złotem. Ale zniknęły. Uciekły, pozostawiając po sobie jedynie kopce, milczące i ciche niczym groby.

W głębi serca, Heileman zdawał sobie również sprawę z tego, że Imperium też kiedyś przeminie. Dorastał w wierze, że jest to coś wiecznego i niezłomnego, oświeconego potęgą Sigmara, i zadedykował swe życie by bronić tej mrzonki. Było to zupełnie bezcelowe. Imperium musiało paść. Być może nawet już się to stało. A nawet, jeżeli zebrały się potężne armie jego ojczyzny i tym razem odparły z powrotem na północ ten najazd, to przecież będzie kolejny rok, i następny. Kiedyś wreszcie nadejdzie ten dzień.

Wszystko, na co mogli liczyć ludzie, to jak najdłużej odwlec to, co nieuniknione.

To był zew, na który powinien odpowiedzieć, coś, w co powinien wierzyć. Mógł wciąż walczyć, odpierać mrok tak długo, jak była jeszcze odrobina światła do obrony.

Podeszli do niego Witalij i Waja, zaniepokojeni tym, że odszedł z kruga. Przynieśli ze sobą kumys i gotowi byli świętować, swe dzisiejsze dokonania na polu bitwy.

- Dobrze dziś robić walka znów razem, Webla - odezwał się Witalij.

Gerlach przytaknął i wzniósł w ich kierunku toast sfermentowanym mlekiem. Obaj Kislevici byli przesadnie dumni z jego zachowania w bitewnej gorączce. Prowadził rotę

bezpiecznie, trzymał wysoko sztandar, walczył niesamowicie i zdobył jeszcze chorągiew przeciwnika.

Tak naprawdę to obydwaj działali więcej od niego. Osłaniali go przez cały czas, dbali by był bezpieczny od boków i każdy wysłał w zaświaty znacznie więcej kjazaków niż Heileman.

- Czemu Webla ma taki smutek na twarzy? - zapytał Waja.

- Słyszałem rozmowy - odparł Gerlach na pytanie młodego husarza. - Rozprawiacie cały czas o powrocie do domu. Tak jakbyście już zakończyli wojowanie.

- Webla wraz z nami, jak każdy z Jeczyczowskiego kruga! - zdecydował Waja.

Jak zawsze, to Witalij zdawał się zrozumieć dokładniej myśl Gerlacha.

- Nie chcesz iść z nami Webla? - zapytał.

Heileman pokręcił głową.

- Czy ktoś kiedykolwiek zaatakował waszą Jeczycz? Nie kjazaki, nie to mam na myśli. Jakaś potężna Kurhańska horda, prawdziwa inwazja?

Nie wydawało im się, żeby tak było, przynajmniej nie za ich życia. Jeczycz leżała daleko na pustkowiu i obawiała się tylko bandytów i łupieżców.

- Tak więc wróćcie do domu i Jeczycz będzie dokładnie taka sama jak ją zapamiętaliście. Przetrwacie tam zimę i nadchodzącą po niej wiosnę, a potem powrócicie tu, żeby sprawdzić czy jest jeszcze, z kim wojować, gdzie można okryć się chwałą?

- Iha! - rzucił Waja.

- Mój dom jest właśnie atakowany. W tej chwili. Moja wojna się jeszcze nie skończyła.

- Szto?

- Webla będzie walczył dalej.

VIII

Ich twarze spochmurniały, gdy zastanowili się nad jego słowami. Ciężko im było martwić się o miasta i wioski daleko na południu, których nigdy nie widzieli na oczy. Tak jak ciężko, było wcześniej Gerlachowi, walczyć za nieznane stepy. Dopóki nie zobaczył na własne oczy i nie odczuł na własnej skórze usposobienia tych ludzi i nie stwierdził, że w niczym nie ustępują ludności Imperium. Po raz pierwszy Witalij i Waja zdawali się mu współczuć. Polubili Gerlacha i znaleźli w nim dobrego kamrata, a teraz dzielili z nim jego nieszczęście.

Rzeczą, która dzieliła ludzi z Imperium od ich odpowiedników z Kislevu był fatalizm.

Witalij i Waja przytaknęli, że obecna sytuacja ojczyzny Heilemana, najazd hord z Północy, to bardzo smutna rzecz, ale nie potrafili nic z tym zrobić. Nie było to zwyczajowe „bez znaczenia”, nie byli tak okrutni, ale odległość jaka ich dzieliła od wojny sprawiała, że mężczyźni po prostu wzruszali ramionami i bezsilnie wzdychali. W Kislevie ludzie wierzyli, że to los kieruje całym ich życiem. W Imperium natomiast ludzie brali los w swoje ręce i sami starali się nim kierować.

Gerlach pozostawił ich z własnymi myślami i kumysem, a sam poszedł poszukać Beledniego. Rotmistrz trwał jednak na straży przy swym przyjacielu Sorce i nie należało mu teraz przeszkadzać. Rajtar szedł przez ziało i skinieniem głowy odpowiadał na skierowane w swoją stronę pozdrowienia. Ujrzał Kłetwaja. Chłopak wypił za dużo, pewnie po to, by zagłuszyć ból w dłoni i ręce i kiwał się na boki, siedząc przy ogniu. Nieopodal odnalazł Maksyma i Borodyna siedzących razem z Antalem i atamanem Leblji - masywnym, korpulentnym starcem o imieniu Sewhim.

Powitali go i poczęstowali kubkiem gorzałki i miską solonej ryby.

Antal był bystry i ciekawy, zadawał mnóstwo pytań dotyczących Imperium, kraju w którym nigdy nie był. Jego przemyślenia i pytania wykraczały daleko poza ramy jego łamanej znajomości Reikspielu. Borodyn musiał tłumaczyć.

- Rozumiem, że wszyscy teraz myślicie o wyruszeniu do domów? - Gerlach zapytał wreszcie, kiedy już sprzykrzył mu się potok pytań.

Maksym potaknął. Usiłował wydostać resztki jedzenia spomiędzy zębów i mielący w ustach język wybrzuszał co chwila jego chude policzki.

- Najlepiej dla nas to zrobić.

- Najlepiej?

Maksym wzruszył ramionami.

- Niewiele możemy zrobić Webla. - odpowiedział za niego Borodyn. - Zostaliśmy pokonani i zmuszeni do uciezki. Próbowaliśmy się... przegrupować i spróbować raz jeszcze, ale... - wskazał na salę dookoła, mając na myśli Leblję - nie ma tu nikogo.

- Nie zgadzam się - stwierdził Heileman.

- Jest to twój przywilej - zgodził się z nim Borodyn. - Rotmistrz Beledni zrobił wszystko, co było w jego mocy. Pojechaliśmy do Duszyki, do Leblji, szukając wciąż sprzymierzeńców, wypatrując innych oddziałów z naszego pułku. Nie znaleźliśmy nikogo z wyjątkiem Antala i jego śmiałych jeźdźców.

Antal uśmiechnął się i potwierdził te słowa skinieniem głowy.

- Teraz lepiej zakończyć i rozpocząć walkę od nowa, ze świeżymi siłami, niż dalej

ciągnąć naszą pechową podróż.

- Beledni tak właśnie uważa?

- Beledni pojechałby do domu prosto z Duszyki gdyby nie ty - wtrącił Maksym.

- Co? Co to znaczy?

- Ten czas jest stracony! Potwornie stracony! - ostro rzucił Maksym - Tylko Webla naciskał Beledniego by jechać do Leblja. Żeby sprawdzić.

- Co sprawdzić? - Gerlach domagał się odpowiedzi.

- Czy pułk tu się zebrał - powiedział Antal.

Borodyn upił łyk gorzałki.

- Rotmistrz Beledni wierzy, że ma według ciebie dług wdzięczności. Żeby być szczerym wszyscy go mamy. Podniosłeś nasz sztandar ze skrzydłem orła kiedy padł na ziemię i wywiołeś go w bezpieczne miejsce. Wszyscy cię za to szanujemy.

- To właśnie teraz dlatego go nosisz - warknął Maksym.

- Wszyscy mamy dla ciebie wielki szacunek - powtórzył Borodyn. - A żaden z nas bardziej niż Beledni. Większość rotmistrzów powiodłaby swe oddziały do domu, po takiej rzezi jak ta pod Zedewką. Ale Beledni rozkazał, byśmy jechali aż tutaj, do Leblji, ponieważ była chociaż niewielka szansa, że pułk się tutaj zbierze. Jeżeli byłyby tu jakieś poważne siły, dołączylibyśmy do nich i z radością popędzili na południe, by pomóc ci w twej zemście, której tak się domagasz. Ale teraz to tylko czcze gadanie. Beledni był dla ciebie więcej niż sprawiedliwy, ale nie będzie już więcej ryzykował życia swoich ludzi.

- Rozumiem. A co będzie w przyszłym roku? Kiedy Kurhani mocno obwarują się na południu, w Imperium? Co, jeśli nie będzie, do kogo się już przyłączyć? I nie będzie już sprawy, za którą warto byłoby walczyć?

- Przyszły rok to przyszły rok - stwierdził Maksym strącając z ręki drobinę niewidzialnego kurzu.

Gerlach poderwał się wściekle i odszedł. Jednak zatrzymał się i obejrzał do tyłu.

- Mam jeszcze dwa pytania - rzucił - Jesteście jeźdźcami śmierci, iha? Już oplakanymi i oddanymi przez swój krąg na stracenie?

Borodyn i Maksim przytaknęli na te słowa.

- W takim razie czyje życia ryzykujecie?

Borodyn uśmiechnął się i przetłumaczył. Maksim i Antal wybuchnęli śmiechem.

- Nie rozumiesz Webla.

- Nie, przypuszczam, że nie: Przypuszczam, że nie rozumiem także znaczenia kształtów, które Dazh umieszcza na niebie. Widziałeś Beledniego zmierzającego ci na pomoc na białym

koniu, tak? - patrzył teraz na Antala. Młodzieniec mógł jedynie przytaknąć.

- Co w takim razie chciał przekazać ci Dazh? Byś uciekał, czy uważał na to, co umieszcza na nieboskłonie, po to, byś za tymi znakami podążał?

- Dazh mówi nam, to co zawsze nam mówił - odpowiedział mu rozdrażniony Maksym. - Podążaj za Belednim. Podążaj za rotą. To jedyna droga.

IX

O świcie rota pogrzebała na stepie zabitych w walce towarzyszy.

Był to pierwszy naprawdę ciepły dzień lata i temperatura zdawała się rosnać od samego wschodu słońca.

Niebo było błękitne i czyste, widzieli na wiele lig wokoło. Skowronki śpiewały gdzieś w górze, tak wysoko, że nie sposób ich było spostrzec, a powietrze rozbrzmiewało bzyczeniem much, gzów i komarów.

Beledni z czerwonymi oczami i zapadłymi z braku snu i zbyt dużej ilości alkoholu policzkami, wykrzyczał ku wstającemu słońcu imiona Ptora, Czagina i Sorcy, tak jakby wierzył, że potrafi je w ten sposób powstrzymać.

Jewnij zadał w róg. Trzy konie popędziły przez bramę Leblji i pogalopowały ku otwartemu stepowi. Ptor i Czagin zostali owinięci w płótno i przewieszeni przez siodła. Sorca, dogasający powoli, siedział zgarbiony na koniu i ciągnął za sobą obu martwych już towarzyszy. Sorca zobaczył po raz drugi w swym życiu, ten sam kształt w chmurach. Cała trójka odjeżdżała w dal - tam gdzie wcześniej przepadł Demioter.

Husarze, łucznicy i ludzie oplakujący wojów, odwrócili się i jeden za drugim weszli z powrotem za palisadę, przez tę samą bramę, przez którą przed chwilą wyjechały konie.

Gerlach pozostał obok Beledniego, unosząc wysoko chorągiew. Stali tak, dopóki sylwetki koni nie zmieniły się w małe kropeczki na horyzoncie, a kropeczki nie rozmyły się w poblasku świtu i nie zniknęły zupełnie.

X

Kiedy powrócili do stancy, Gerlach próbował zagadnąć Beledniego, ale stary rotmistrz

zignorował go zupełnie i poszedł spać do chaty.

Heileman ostrożnie osadził drzewce sztandaru w ziemi, na wewnętrznym placu. Zsiadł z konia i udał się na poszukiwanie wody i jedzenia.

W wielkiej zali na szczycie kopca leżał chory Kwetłaj. W ranę wdało się zakażenie, była napuchnięta i poczerniała. Chłopak pocił się obficie i dygotał. Pozostali jeźdźcy z rot, zdawali się wcale o to nie dbać. Przynosili mu co jakiś czas trochę wody, a Borodyn posmarował ranę maścią i zawinał. Brak jednak było przekonania w tym co robili.

Zaraz po południu, w porze, gdy słońce stoi najwyżej i jest najgorętsze, Gerlach zobaczył jak Kwetłaj schodzi chwiejnie, na plac i z wysiłkiem dosiada konia. Nikt nie starał się mu przeszkodzić. Piętami kopnął bok klaczy i popędził przez bramę i dalej wprost na otwarty step.

- Czemu go nie zatrzymaliście? - spytał Gerlach Borodyna - Jego rana nie była śmiertelna, nie tak jak Sorcy.

- Trucizna przepęniała jego ciało. Miał gorączkę.

- Jeśli byście się nim zaopiekowali, na pewno by przeżył!

- Zaopiekuje się nim teraz Dazh. Zadba o niego Ursun. Sam step także. Chory jeździec jedzie dopóki choroba z niego nie wyjdzie. Kwetłaj powróci. Albo Dazh poprowadzi go, w jego ostatnią podróż.

Gerlach odwrócił się zdegustowany. Sposób życia Kislevitów, skazywał każdego człowieka, na dbanie wyłącznie o samego siebie. Tak jakby jazda była odpowiedzią na każde pytanie stanowiące o życiu czy śmierci. Umieramy... odjeżdżamy w step! Ktoś pokonuje nas w bitwie... odjeżdżamy w step! Zmogą nas choroba lub rany... odjeżdżamy w step i patrzymy, co też przyniesie nam los! Bez znaczenia.

Jedyną rzeczą, o jaką naprawdę się martwili i dbali był krąg, a podążali jedynie za rotą.

Wszystko inne pozostawało w rękach jakiegoś odległego boga, szerokich i pustych przestrzeni, który był cholernie daleko, zbyt daleko by cokolwiek usłyszeć.

XI

Jedyną rzeczą za jaką podążali była rota. Ich sztandar.

Gerlach przebudził się w spokojnych, zimnych godzinach przed świtem. Ognie płonące w zali dogasały. Cała Leblja pogrążona była we śnie.

Postanowił już, że odejdzie, rozstanie się z rotą i podąży na południe, choć nie miał złudzeń, że w pojedynkę ma szansę czegokolwiek dokonać.

Nauczyła go tego bitwa pod Zedewką.

Ale sen podsunął mu nowy pomysł.

Wyniósł zbroję i resztę rzeczy z ziali, ostrożnie, by nie obudzić pogrążonych we śnie husarzy i ubrał się na placu. Było zimno i z każdym oddechem z ust wydobywały mu się obłoczki pary. Na szaro-czarnym nieboskłonie wciąż jeszcze migotały gwiazdy, jasne i dumne. Na wschodzie pojawiały się już jednak pierwsze błyski nadchodzącego dnia.

Zakuty w półpancerz, przygotował do jazdy Saksena, uspokajając podekscytowanego wierzchowca spokojnymi słowami i położeniem ręki na nozdrzach. Wyprowadził go na ubitą ziemię pustego placu. Pierwsze długie cienie, zwiastujące pojawienie się słońca, zaczęły umykać na boki.

Gerlach wsiadł na konia i po raz ostatni spojrzął na ziałę, osadzoną niczym korona, na szczycie scytyjskiego kopca.

Wbity w ziemię sztandar roty, był tam, gdzie go pozostawił. Wydobył go lewą ręką. Kiedy przejeżdżał przez otwartą bramę w palisadzie musiał pochylić i głowę i sztandar.

Step mienił się delikatnym fioletem. Niebo również przybierało ten kolor, choć nad wschodnim horyzontem, było już rozświetlone żółcią. Robiło się coraz cieplej. Gwiazdy, jedna po drugiej, zaczęły znikać z nieboskłonu.

Gerlach skierował Saksena na południe, wzniosł w górę sztandar i pogalopował w dal.

Aachden

I

Nastało wczesne lato. Minęły trzy miesiące od rzezi pod Zedewką. Był Rok, Którego Nikt Nie Zapomni. Dymy z płonących lasów, miast i osad spowijały północne niebo, bez przerwy, od wczesnej wiosny.

Horda Kurhanów, zagonem wbiła się na południe, głębiej niżli kiedykolwiek przedtem. Najeźdźcy przełamali bez trudu granice Imperium, paląc po drodze dumne miasta, takie jak Erengard i skapali ostrza swych mieczy we krwi dobrego, pobożnego ludu. Niektórzy powiadali, że łupieżcy dotarli już, do samego Middenheim i cała cywilizacja chyli się ku upadkowi. Inni dowodzili, że Karl Franz sam jedzie na czele armii Imperium, modląc się do Sigmara, o szansę spotkania, oko w oko z Archaonem.

Archaon. To było imię uczynione z ciemności. Skąd tak naprawdę się wzięło nikt nie wiedział. Rozeszło się, przekazywane z ust do ust. Wywrzaskiwane ostatnim tchnieniem, przez bezradne, obłupywane ze skóry ofiary Kurhanów, wędrowało na południe, by siać tej wiosny terror i strach zamiast zbóż. Być może zostało zasłyszane w modlitwach śpiewanych przez maszerującą horde. Albo, nawiedziło królów i mędrców Starego świata, w dręczących ich koszmarach.

Archaon. Tak właśnie nazywał się ten, który przewodził prącom na południe armiom. Pan Końca Świata, potężniejszy nawet niż Morkar lub Asavar Kul. Człowiek? Być może. Demon? Całkiem możliwe. Czy był prawdziwy? No tak...

Wielu w tych dniach wierzyło, że Archaon nie był samoistną istotą, ale raczej przerażającym bytem, połączeniem pomieszanych tożsamości wielu przywódców Kurhanów. Z pewnością, cała ta horda nie była jednolita. Była połączeniem, unią wielu armii złożonych z poszczególnych plemion, lub religijnych wyznań. Każdej armii przewodził Wielki Zar. Archaon miał być mieszanką wszystkich zarów, jako, że używali oni jego autorytetu by umocnić swoją niemałą już potęgę. Wiele rzeczy robili w imię Archaona i swoje podboje przypisywali właśnie jemu.

Ale był on czymś więcej niżli tylko mitem, jako że był prawdziwy. Tylko kilkuset Kurhanów wiedziało o tym i tylko tyle samo mieszkańców Imperium mogło poszczycić się tą

wiedzą, ponieważ widzieli go na własne oczy. Jednak jedynie kilku przeżyło i było w stanie podzielić się swoimi doświadczeniami.

Inwazja Archaona, opierała swój sukces, na podążających za nim Wielkich Zarach i zarach, którzy pozostawali pod ich komendą. Z Północy ruszyła horda blisko dwóch milionów wojowników i żaden pojedynczy dowódca nie byłby w stanie kontrolować tak ogromnych sił. Nawet, gdyby to były zdyscyplinowane i doskonale zorganizowane wojska Imperium.

Archaon, imię jego przekłete, polegał na swych namiestnikach, oddanych Wielkich Zarach, którzy dowodzili poszczególnymi armiami. Zjednoczone armie, stały się, Ogromną Hordą.

Surtha Lenk był właśnie jednym z Wielkich Zarów.

Karl-Azytzeen spotkał się z nim twarzą w twarz, pewnego letniego poranka.

II

Kilka tygodni wstecz, w teatrze miasta Brunmarl, Karl osiągnął znacznie więcej, niżli na początku przypuszczał. Na początku wiedział jedynie tyle, że zabił dwóch przeciwników, będąc pod wpływem czerwonego szału. Poza tym oczywistym faktem, niczego nie był już pewien. Ludzie z bandy Zara Uldin, wynieśli go z areny i zamknęli w wilgotnym, kamiennym pokoju na noc.

Zdawało mu się, że spał potem przez całe lata. Kiedy się wreszcie przebudził kręcił się przy nim, młody czarownik, z głową ozdobioną jelenim porożem. Nisko pochylony mamrotał ohydne i niezrozumiałe słowa.

Był dzień. Przez porozbijany dach wpadało do środka słoneczne światło i strumyki deszczowej wody.

Rygiel odskoczył i do komnaty wkroczył Zar Uldin. Miał gołą głowę, woda spływała po zarzuconej na ramiona niedźwiedziej skórze i dierzonej w dłoniach krótkiej włóczni. Skinął głową w kierunku czarownika, ten pokłonił się i umknął.

- Skarkeetah mówi, że powinienem cię zabić - ogłosił Uldin.

- Zrób to więc - w ten sam sposób odpowiedział mu Karl.

Uldin nie poruszył się. Vollen uniósł się i oparł bolącymi plecami o wilgotne kamienne ściany.

- Sądziłem, że mistrz niewolników widzi we mnie coś niezwykle cennego. Podobno mam w sobie... - głos mu zamarł. Nie potrafił się zmusić by wypowiedzieć tą nazwę.

Uldin z zamyśleniu zagryzł zęby.

- Tak właśnie jest. I to dlatego tak właśnie mi poradził. Powiedział, że człowiek o takiej jak ja pozycji, powinien cię zabić, zanim staniesz się zbyt cenny. Zbyt... potężny.

Te słowa sprawiły, że uśmiech wypłynął na usta Karla. Był obolały, nieuzbrojony i półnagi. Leżał w wilgotnej celi, a potężny wódz Kurhanów uzbrojony we włócznię mówił mu właśnie, że ma w sobie wielką moc i stanowi dla niego zagrożenie.

- Tak niewiele masz rozsądku? - zadrwił z zara.

- Na tyle dużo by szacować wartość.

- Tylko dlatego, że wygrałem walki? Uratowałem twój honor i twój oddział? Masz też chyba nowego czarownika?

Uldin powoli przytaknął.

- Kiedy zobaczyli jak walczył niebieskooki niewolnik i w jaki sposób wygrał swe pojedynki, wielu nadeszło by przyłączyć się do mej wojennej kompanii i zająć miejsce Subotaia. Wybrałem Chegrume. Jest potężnym czarownikiem i widzi w tobie niespotykaną moc.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy - odparł Karl. - Wie, że potrafię czytać.

- Słowa są mocą - rzekł Uldin.

- Nie, Kurhanie. Wiedza jest mocą. Słowa to tylko sposób by ją osiągnąć.

Uldin zrobił kilka kroków i przykucnął przy Karlu. Opuścił włócznię tak, że jej ostry szpic naciskał boleśnie na pierś chłopaka.

- Pozostawiamy swoje piętno na tych, którzy zaimponują nam swoją siłą. Tacy ludzie są potem użyteczni podczas pojedynków i obrzędów.

- Lepiej zmarnować żywot niepotrzebnego niewolnika podczas pojedynku, lub składając go w krwawej ofierze, niżli jednego ze swoich podwładnych, tak? Rozumiem cały ten mechanizm. Zbieracie najlepszych i najbardziej krzepkich ze swych więźniów i marnotrawicie ich w swych obrzędach ponie...

Uldin uciął tą wypowiedz ostro, nie będąc nią nawet odrobinę zainteresowany.

- Stałaś naprzeciw mnie Karlu-Azytzeen, opodał ziali w Zedewce. Pozostawiłeś mi to - Uldin dotknął blizny na ramieniu gdzie zagłębił się miecz Vollena. - To pierwsza rana, jaką otrzymałem od wroga przez ostatnie osiem lat.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Ostrze włóczni naparło odrobinę mocniej.

- Potem pokonałem cię - stwierdził Uldin.

- W drzwiach. Pamiętam to.

- Mogłem cię wtedy zabić.

- Myślałem, że tak się wszystko zakończy. Teraz żałuję, że tak się nie stało.

- Tchar zatrzymał mą rękę. Sprawił, że uderzyłem mieczem na płask. Człowiek, który zranił zara, jest wart tego, by go napiętnować i zatrzymać jako niewolnika. Od tego momentu, twoje życie należało do mnie. Mogłem je w każdej chwili zgasić, ale postanowiłem tego nie czynić. Mogę to zrobić teraz...

Uldin jeszcze bardziej naparł na włócznię, a potem zabrał ją.

- Ale nie. Dopóki pamiętasz, jaką władzę mam nad tobą, nie możesz uczynić mi żadnej szkody. Nie stanowisz dla mnie zagrożenia.

Uldin ściągnął z ramienia jedną z obręczy i rzucił ją na podolek Karła. Była ciepła. Wykuto ją z ostrzy broni zabranych niewolnikom na arenie poprzedniej nocy.

- Włóż ją, a moje zdanie się nie zmieni.

Uldin podniósł się i wyszedł z pomieszczenia. Drzwi pozostawił szeroko otwarte.

Po chwili Karl włożył ciepłą metalową obręcz na prawe ramię i podążył w ślad za zarem w światło dnia.

III

Zarowie po kolei wyprowadzali swoje oddziały z Brunmarl. Kierowali się potem na zachód, by dołączyć do ogromnego zastępu, rosnącego nieopodal ruin Berdun. Tam, niezliczone sztandary, skupiały się dookoła wielkiej wojennej chorągwi, samego Wielkiego Zara - Surtha Lenk.

Ta horda była równie wielka jak ta, która zdobyła Zedewkę, a przecież była to tylko jedna z tych, które łupiły i paliły ziemie Imperium, w czasie, gdy wiosna przechodziła w lato. Zgraja dowodzona przez Wielkiego Zara Surtha Lynk, złupiła trzy miasta w Ostermark, potem przekroczyła Talabec i zapuściła się na zachód, w głąb Ostlandu. Tam kolejne miasta przestawały istnieć, zmiecione ich furją.

Wojenna kompania Zara Uldin nie doświadczyła zbytnio walki. Horda była tak wielka, że duża jej część dochodziła jeszcze do miasta, które zostało już w tym czasie złupione i spalone przez oddziały prące na przódzie. Uldin pragnął chwały. Marzył o bitwie, w której jego banda

zbierze tyle głów by starczyło ich na wzniesienie ofiarnego kopca z czaszek, co oznaczałoby dla niego kolejną zwycięską bliznę na policzku.

Zanim jeszcze dotarli do Aachden, miejscowości znajdującej się zaledwie osiem dni drogi od Wolfenburga i ujrzeli Góry Środkowe, Karl zdobył dwie kolejne obręcze.

IV

Ostatnim razem, kiedy Karl ujrzął swych towarzyszy niedoli, wciąż związanych i prowadzonych za wozami, ci nie rozpoznali go wcale. Bardzo prawdopodobne, że nawet jeśli by go poznali i tak nie powitaliby go z radością.

Ludzie Zara Uldin pozwolili Vollenowi zatrzymać strój i zbroję, w których walczył na arenie w Brunmarl. Dali mu mocną włócznię, z przypiętym za jej długiego ostrza ogonem czarnych, końskich włosów i starą brązową klacz bez siodła. Jechał wraz z innymi członkami oddziału, obserwowany czujnymi oczami Efgulfa i trębacza Hzaera. Za nimi podążył w ogień.

V

Pod Aachden zebrała się armia Imperium, by powstrzymać pochód hordy, której przywódcą był Surtha Lenk. Okupowali wysoko położone pola i pastwiska na północny wschód od miasta, mając od północy gęsty liściasty las, a na południu nisko położoną równinę, gdzie płynęła spokojnie rzeka Aach. W słonecznym świetle wyglądali jak niezmiernie duża, połyskująca masa, jak kawałek morza migocący od słońca, ozdobiony powiewającymi nad nim błękitnymi, złotymi, czerwonymi i białymi sztandarami. Znacząca siła profesjonalnych żołnierzy, wzmocnionych przez duży kontyngent milicji i najemników. Okopani i zdecydowani by uniemożliwić jakąkolwiek dalszą ofensywę. Mieli powstrzymać hordę zanim ta dotrze do miasta. Okolica nie dawała żadnej szansy obejścia oczekujących oddziałów, ale i tak, nie był to sposób walki praktykowany przez Kurhanów.

VI

Uldin, spragniony udziału w zwycięskim boju, poprowadził swą bandę ku przodowi formacji Kurhanów. Jechali w nocy by zająć odpowiednią pozycję, popędzali konie, jak tylko poszła plotka, że oddziały Imperium zebrały się pod Aachden i oczekują na nich z bronią w ręku. Karl zastanawiał się, czy jego stara klacz dotrzyma kroku wielkim, czarnym wierzchowcom Kurhanów, ale okazało się, że miała w sobie niewyczerpane zasoby sił i wytrzymałości.

Chegrume, nowy czarownik, jechał wraz z nimi na grzbiecie brzydkiego i złośliwego tarpana. Zwierzę miało brązową sierść, czarną grzywę i ogon oraz tak złośliwą naturę, że szaman z jelenim porożem na głowie, musiał się do swego wierzchowca przywiązać. Koń jechał dzikim galopem, wyjeżdżał z grupy i zagłębiał się między innych Kurhanów ponownie. Czarownik zaś bez przerwy mamrotał i intonował głośno zaklęcia dające wytrzymałość i odporność na ciosy zadane metalem.

Chegrume był dla Karla bardzo osobliwym towarzyszem. Inni czarownicy też byli dziwni i ciekawi, gdy już oddali się swemu powołaniu. Ale on był młody i srogi. Przypominał bardziej wojownika niż kapłana. Vollena martwił też jego wiek. Do tej pory przypuszczał, że czarownik potrzebuje czasu by zgłębić tajniki mądrości i wiedzę potrzebną by pełnić tę rolę. Subotai był już starszym człowiekiem, a szaman Zara Blayda, Ons Olker, też nie był młodzikiem. Żaden z czarowników, których widział do tej pory nie był młodszy niżli mężczyzna w średnim wieku.

Chegrume był jednak niewiele starszy niż chłopiec. Wyglądało na to, że urodził się z całą tajemną wiedzą, w głowie. Albo może zdobycie tej wiedzy w tak młodym wieku bardzo wiele go kosztowało. Być może środkowe palce u rąk.

Dzień był jasny i ciepły. Niebo błękitne. Pogoda nie zwraca uwagi na rzeź, która miała się wkrótce rozpocząć - pomyślał Karl.

Ich wojenna kompania przepychała się końmi do przodu, poprzez coraz większy ścisk zbierających się oddziałów, by zająć odpowiednie do ataku miejsce. Chorążowie, czarownicy i zarowie wykrzykiwali w ich kierunku wyzwania i obelgi, niezadowoleni z ich pochodu. Zar Uldin wybrał dla nich miejsce na łące przy samej rzece. Gromadziły się tam bandy piechoty uzbrojonej we włócznie i nikt nie myślał o przeciwstawianiu się setce jeźdźców na czarnych koniach bojowych.

Połyskująca w słońcu armia oczekiwała na nich jakąś ligę dalej za ledwie. Mieli przewagę wysokości, choć delikatnie skrzycone pola dawały ułudę prostego terenu.

Banda zajęła wreszcie pozycję. Konie dyszały spocone i dreptały niespokojnie. Ludzie zdejmowali z głów hełmy, łapczywie pili wodę z bukłaków albo nacierali twarze i torsy

farbami. Chegrume jeździł w różne strony pośród stłoczonych Kurhanów, zawodząc i rzucając zaklęcia. Karl miał niejasne wrażenie, że dziwaczne zachowanie szamana ma więcej wspólnego z harcami, jego niepotrafiącego spokojnie ustać konia, niż rzeczywistymi obrzędami magicznymi.

Vollen siedział na klaczy z włócznią leżącą na opancerzonych udach i patrzył na armię stojącą przed nimi. Byli tak blisko, że mógł rozróżnić kolory i detale ich sztandarów. Zastanawiał się, które to kompanie i który dowódca im przewodzi. Próbował zidentyfikować, tak dobrze sobie znane symbole.

Główny sztandar. Biała czaszka z okalającym ją wieńcem na karmazynowym polu. To był...

Po lewej postać śmierci uzbrojona w kopię i przekreśloną na czarno białą tarczę, siedząca na grzywiastym i pocętkowanym kocie, jadąca przez płomienie. Na turkusowym polu obok niej spadała w dół gwiazda ciągnąca za sobą dwa ogony. Ten herb znał na pewno. To był... To był...

Karl zadrżał mimo ciepłego i kojącego powietrza. Nie znał żadnego z tych herbów. Nie potrafił rozpoznać nawet jednego wzoru czy symbolu. Gdzie podziała się jego pamięć?

- Co się dzieje Karl-Azytzeen? - zapytał go Efgulf.

Karl rozejrzał się mrugając oczami jak rozbudzony nagle ze snu. Kudłaty Kurhan podawał mu właśnie bukłak z winem. Vollen wziął go i łyknął potężnie.

- Obawiasz się swojego Imperium? - dodał Efgulf.

Karl pokręcił głową.

- Ostatnimi czasy już z nim walczyłem. - odpowiedział i poklepał się po nowo wykutych obręczach zdobiących ramię.

- Ale nie z armią taką jak ta przed nami - warknął z drugiej strony Hzaer. - Nie możesz się wahać. Już do nich nie należysz.

- Jeżeli się zawahasz - dorzucił Efgulf - zar powiedział żebyśmy cię zabili.

- Nie obawiajcie się - Karl przekazał bukłak Hzaerowi, a ten przelożył swój ogromny, miedziany róg do tyłu, za ramię, by nie zsunął się, gdy będzie pił.

- Wcale się tego nie obawiam, seh - mruknął Efgulf przyglądając się Karlowi.

- Przebyłem długą drogę - stwierdził Vollen do obu mężczyzn, a przez to do żadnego w szczególności. - Długą i krwawą i mogę już teraz jedynie iść w przód, bo cofanie się byłoby zbyt ciężkie.

Efgulf potaknął i założył na głowę hełm ozdobiony czaszką ogara.

- Nie rozróżniam już tych symboli - przyznał się niespodziewanie i nagle Karl - Żadnego

z nich. Sztandarów mojej... Imperium. Myślałem, że znam je wszystkie, ale teraz nie potrafię już rozpoznać choćby jednego.

Hzaer wyszczerzył w uśmiechu zęby. Wielu z nich brakowało i uśmiech był jakiś pusty.

- To Tchar, Azytzeen - stwierdził.

- Co?

- Jesteś wybrańcem Tchar. Potężny Tchar zmienił twój umysł, by łatwiej było ci zapomnieć. Bądź mu wdzięczny za to, co dla ciebie uczynił.

Karl przypuszczał, że rzeczywiście jest mu wdzięczny. Pamięć o jego uprzednim życiu, uczyniłaby jego obecną egzystencję, o wiele cięższą do przetrwania.

W pobliżu zagrzemiał tętent końskich kopyt. Zbliżał się Uldin na swoim ogromnym, czarnym wierzchowcu. Jego wilczy hełm był wypolerowany, a w ręku trzymał obnażony pałasz.

- Słowa rozbrzmiały! - zakrzyknął do trębacza - Wielki Zar rozkazał byśmy czekali na atak wroga.

- Atak? - zaśmiał się Karl - Mają nad nami przewagę wysokości i są okopani. To oni czekają byśmy do nich przyszli.

Uldin patrzył na niego.

- To znaczy, że oni nie ruszą?

Karl parsknął. Potem widząc dookoła siebie karcące spojrzenia przyłożył do serca prawą rękę i odezwał się z większym szacunkiem.

- Oni nie zaatakują. Nie zrobią zupełnie nic jeśli będziemy tak tu siedzieć. Ich celem jest powstrzymanie naszego pochodu i patrzcie, czynią to właśnie nie kiwnąwszy nawet palcem!

Uldin przemyślał przez chwilę to, co właśnie usłyszał. Jego koń kręcił się dookoła.

W końcu wskazał na Karla i rzucił.

- Chodź!

VII

Tak więc stało się, że tego letniego poranka Karl-Azytzeen stanął twarzą w twarz z Wielkim Zarem Surtha Lenk. Jego pawilon stał poza szeregami zmasowanych sił Kurhanów. Zrobiony był z wyprawionych ludzkich skór, połączonych sznurami splecionymi ze ścięgien. Podtrzymujące go tyczki zostały zrobione z ludzkich kości i fragmentów kręgosłupów.

Śmierdział zgnilizną i jakimiś osobliwymi perfumami.

Zar Uldin zsiadł z konia i ściągnął Karla z jego klaczy. Ciągnięty w kierunku wejścia do namiotu, Karl potykał się i chwiał.

Ogromni topornicy z pojedynczymi rogami wyrastającymi z czół, zastąpili drogę Zara Uldin. Po długich rozmowach przepuścili ich wreszcie dalej. Dopiero kiedy Uldin wciągnął go do środka pawilonu, Karl zdał sobie sprawę, że topornicy nie mieli na głowach hełmów. Wielkie rogi, wyrastały bezpośrednio z kości, ich zniekształconych czaszek.

Zrobiło mu się słabo.

Ale prawdziwą odrazę miał dopiero poczuć, kiedy znalazł się we wnętrzu namiotu. Było ciemno. U góry wisiały podwieszane pod sufitem miedziane lampy. Wydobywały się z nich smugi ostrego dymu z palonego kadzidła. Coś delikatnie ocierało się o jego skórę i słyszał w ciemności skrzeczenie. Dotyk był lekki niczym muskanie piórkiem. Podłoga zdawała się być pokryta dywanem złożonym z węży. Gładkie, suche sploty prześlizgiwały się dookoła stóp Karla.

- Witaj Uldin - odezwał się cieniutki głosik.

Zar skłonił głowę.

- Mój panie.

- Czy to właśnie ten odmieniec, o którym mi wspominałeś?

- To on panie, seh.

Karl rozejrzał się. Wszędzie we wnętrzu pawilonu zalegały cienie, ale żaden z nich nie wyglądał jak ludzka postać. Wiedział, że musi trzymać głowę nisko pochyloną.

- Czuć w nim zapach przemiany. Podoba mi się to. Jak go nazwałeś?

- Azytzeen - odpowiedział Uldin.

- Karl-Azytzeen - poprawił go Vollen.

- Och! Niezwykły! - cieniutki głos przybliżył się. - I dlaczego go tu przywiodłeś Uldin?

- Stwierdził, że przeciwnik nie ruszy się z miejsca gdzie stoi panie, seh.

Przed Karlem stała teraz przeogromna postać, zakuta w zbroję złożoną z karmazynowych płyt, bardziej nawet masywna niż Hinn.

- Popatrz na mnie Azytzeen - powiedział Surtha Lenk.

Karl powoli podniósł zwieszoną w dół głowę. Lenk był gigantem mającym jakieś trzy metry wzrostu, zakutym w żelazo i miedź.

Albo i nie był. Powykręcana, zdeformowana istota, nie większa niżli niemowlak w powijkach umocowana była za pomocą uprząży z pasów na pancerzu okrywającym pierś olbrzyma. Zdawało się, że to sama spęczniała twarz z wyrastającymi z niej maleńkimi,

nieuformowanymi jeszcze rączkami i stópkami. To właśnie był Lenk. Ohydna, obwisła twarz poznaczona brodawkami i ropiejącymi wrzodami. Jedno oko miał bardzo ludzkie, brązowe. Drugie, zapadłe głębiej w pomarszczoną skórę policzka, było nabrzmiałe i połyskiwało mlecznym błękitem. Ogromny, rogaty hełm giganta, nie miał żadnych dziur czy wizjerów.

Karl nie zdołał powstrzymać westchnienia.

Surtha Lenk zaśmiał się. Jego niewielkie różowe usteczka zatrzęśły się i wydały z siebie dziecięcy chichot.

- Duch opuszcza śmiertelników na sam mój widok, jestem do tego przyzwyczajony. W zamian za wierną służbę Tchar był niezwykle łaskawy obdarzając mnie swymi darami. Czyż nie jestem piękny?

Karl skinął głową.

- Nic nie cieszy tak bardzo Oka Tzeena jak kompletnie przeobrażony człowiek. Teraz... dlaczegoż nasz wróg nie się nie ruszy?

- Po-ponieważ mają przewagę w terenie. Chcą nas powstrzymać ale niekoniecznie walczyć, tak więc nie pozbawią się swej przewagi, nie zejda na dół by samemu szukać bitwy. Podstawą potęgi Imperium jest kwadrat pikinierów. Ta siła najlepiej sprawdza się w obronie. Oni... oni nie przyjdą do nas i tak długo jak będziemy czekać, oni też będą stać w miejscu i zwycięstwo będzie po ich stronie, bez przelania choćby kropli krwi. Ich cel zostanie w ten sposób osiągnięty.

Głos Karla zamilkł. Czy powiedział zbyt wiele? Zbyt mało? Surtha Lenk zrobił jeszcze jeden krok w przód. Vollen czuł teraz oddech stwora przypominającego dziecko, na swojej twarzy. Rogaty olbrzym noszący go, ściągnął lewą rękawicę i wyciągnął dłoń, by dotknąć policzka Vollena gołymi palcami. Ręka, choć nienaturalnie duża, zdawała się być ludzką, ale poruszała się tak, jakby nie miała w środku żadnych kości. Nadgarstek i palce kręciły się i zwijały płynnie jak macające naokoło różki ślimaka.

Karl wiedział, że to Wielki Zar dotyka jego twarzy. Cała ta postać, olbrzym i pomarszczone dziecko razem tworzyły istotę zwaną Surtha Lenk.

- Brałem to też pod uwagę - wyszeptał Wieki Zar - walczyłem już uprzednio ze Starym Światem i wiem co nieco o tym, w jaki sposób walczą. Moi czarownicy wieszczili, że zwłoka może wystraszyć stojącą przed nami armię i tym sposobem zmusić ich do pochopnych działań.

Dłoń pozbawiona kości cofnęła się.

- Ale Tchar przemawia w tobie i jestem bardzo rad go słyszeć. Koniec z wyczekiwaniem, jestem już zbyt długo beczynny. Ponieście słowo. Sami w takim razie rozpoczniemy.

Audiencja była najwyraźniej zakończona. Uldin, wyraźnie zdenerwowany wyciągnął Karla z namiotu na światło słoneczne.

Vollen obejrzał się na wstrętny pawilon. Przysiągł sobie, że nigdy już z własnej woli do niego nie wejdzie. Zawsze wyobrażał sobie, że Wielki Zar jest człowiekiem mającym na swe rozkazy takie siły, które mogą zmieniać oblicze świata i zmienić bieg historii. Było to jednak błędne wyobrażenie. Wielki Zar w ogóle nie był człowiekiem.

VIII

Horda poruszyła się. Grzechocząca fala przebiegła przez ciemne szeregi, gdy wzniesiono do góry włócznie i uderzono nimi o tarcze. Gdzieś po lewej stronie zaczęły szaleńczo łomotać bębny, potem nagle ucichły. Zaczęły znowu i tym razem wciąż grały.

Karl i Uldin jechali z powrotem do swej bandy. Zar nie odzywał się.

Kiedy stali wyczekująco w szeregu Karl nagle poczuł ogarniające go zimno, a światło słońca momentalnie ściemniało. Niebo ponad Aachden i wrogą armią wciąż było błękitne i czyste, ale kiedy obejrzał się do tyłu, zobaczył szerokie pasma, nisko płynących ciemnych chmur, nadchodzących ze wschodu. Obłoki posuwały się z widoczną gołym okiem szybkością, jakby się ścigając, by spowić niebo smolistym całunem. Przebłyski piorunów migotały ponad lasem na wschodzie. W przeciągu kilku zaledwie minut światło znikło i nad całą doliną zapadł martwy zmierzch. Pierwsze krople deszczu zaczęły rozbryzgiwać się na żelazie zbroi i drewnianych tarczach. Opar niebędący chyba do końca mgłą ścielił się przy ziemi i przesłaniał widok.

U góry długiego zbocza armia Imperium została częściowo zasłonięta. Burzowe chmury wisiały już także nad ich głowami i nie było już widać błękitu nieba. Niespokojny pomruk przeszedł przez stalowo-srebrzyste oddziały z Reik. Karl słyszał jak zaczęły bić odległe bębny i zadzwoniły cymbały. W wilgotnym powietrzu czuł zapach prochu i gorącej smoły.

Nad głowami przetoczył się nagle grzmot, deszcz wzmógł się i zamienił, w prawdziwe potoki wody, lejące się z nieba. Opar wiszący w powietrzu zgęstniał. Karl zerknął w dół, na szeroką, przednią linię hordy Kurhanów i uświadomił sobie, że ta się porusza. Szeregi wojowników ruszyły powoli do przodu, tak jak rozlewająca się po podłodze oliwa.

Uldin wykrzyknął rozkaz i ponaglił konie. Berlas i pozostali łucznicy dobyli z pochw łuki i naciągnęli cięciwy. Bębny łomotały w oszalałym rytmie i sprawiały, że puls w żyłach

każdego mężczyzny przyspieszał. Potem wypuszczono wielkie, bojowe ogary.

Karl dokładnie widział jak wyłamały się z prącego naprzód szeregu i pognały w górę długiego zbocza. Były to ciemne i potworne stwory. Całe ich setki biegly, skacząc i wydając z gardzieli, mrozący krew w żyłach skowyt.

Prędkość ataku wzrosła tak, jakby wojownicy za wszelką cenę, chcieli dotrzymać tempa psom. Wszędzie pośród postępującej do przodu hordy odzywały się rogi, Hzaer również wydobyl ze swego instrumentu niski dźwięk. Jechali teraz wolnym galopem, włócznicy biegli przed nimi, pędzili pomiędzy końmi i zawadzili niczym spuszczone ze smyczy ogary. Ziemia trzęsła się od uderzeń stóp i kopyt, gdy horda, niczym morska fala parła w kierunku oczekującej na nich armii Imperium.

Najeżyły się przed nimi głębokie na trzech chłopa ściany z pik. Nawet dla dobrze wyszkolonych żołnierzy piki czy podobne bronie drzewcowe były ciężkie do utrzymania. Długość ich drzewc sprawiała, że kołysały się podczas marszu i były wtedy, bardzo niewygodne w użyciu. Były też zbyt długie, by z powodzeniem używać ich, w gęstym lesie i na wąskich ulicach miast. Czasami trudno też było znaleźć miejsce gdzie można by je było oprzeć w czasie nocnego postoju.

Jednak wszystkie niewygodności warto było znosić. Dobrze wyszkoleni pikinierzy potrafili postawić śmiertelną zasłonę, która potrafiła powstrzymać szarżę najcięższej nawet kawalerii. Młot mógł być symbolem Imperium, ale to właśnie pika była bronią na której kraj ten zbudował swoją potęgę.

Kiedy przynaglili konie do szybszego galopu, Karl zaczął zastanawiać się, kto ma większe szanse w nadchodzącej potyczce. Banda Zara Uldin była zaciekła w boju i nieustraszona, ale zderzenie konnicy z pikami mogło przynieść jeden tylko skutek. Oddziały pikinierów i halabardzistów ustawione były w karne czworoboki i czekały, nie tak jak ich biedni towarzysze pod Zedewką. Krew Kurhanów miała się tu polać strumieniami.

I rzeczywiście się polała. Rozległa się seria grzmotów, które nie były jednak odgłosami bijących w ziemię błyskawic. Imperialne działa, rozstawione w bateriach po obu stronach szyku wrogiej armii, wypuły swe pociski. Pośród szeregów nacierających Kurhanów wystrzeliły w górę pióropusze żółtego ognia, sypnęło grudami ziemi. Poleciały w górę ciała ludzkie i końskie. Strzaskane drewno i stal, pogruchothane kości. Ogromne i ciężkie pociski móżdżerzy, spadły na biegnącą hordę niczym gązdy rzucone z niebios. Skowyczące ładunki armat i organek śmigwały poziomo w dół zbocza i rozszarpały pierwsze szeregi atakujących.

Potem do głosu doszły długie łuki. Łucznicy strzelali spoza zasłony ściany stworzonej przez pikinierów. Fala biało opierzonych strzał wzniosła się łukiem w niebo i jak grad spadła

ze świstem na wroga. Kurhani potykali się i padali naokoło. Długie strzały dziurawiły z łatwością hełmy i naramienniki, przebijały ciała. Nie minęło jedno uderzenie serca i spadła kolejna świszcząca chmura strzał. Zaraz po niej nadeszła pierwsza zmasowana salwa klęczących pomiędzy pikinierami arkebuzerów i kuszników. Karl poczuł jak gorąca kula przemyka mu tuż obok ucha, a bełt z kuszy rozbija się w drzazgi na żelaznym obramowaniu jego tarczy. Po lewej stronie, jeden z jeźdźców z oddziału Zara Uldin, zwałił się na ziemię, człowiek i koń pospołu.

Przez moment Vollen poczuł ukłucie ludzkiej dumy dla kultury, która przecież go zrodziła. Była to najwspanialsza armia na całym świecie. Byłby szczęśliwy mogąc zginąć z ich rąk. Powinien poprowadzić swoją bezimienną kobyłę prosto na ścianę pik i tam odnaleźć śmierć.

W rzeczy samej nieruchoma ściana z pik była teraz przed nim. Pierwsze dotarły do niej psy. Nie zachowują się one jak konie, nie skręcają w ostatnim momencie z obawy przed zderzeniem. Ciężko stwierdzić czy oznacza to, że konie są mądrzejsze od ogarów, czy też ogary są odważniejsze od koni. Psy różnią się od koni czymś jeszcze - są od nich mniejsze, niższe i zwinniejsze, o wiele trudniej trafić je ostrzem na czterometrowym drzewcu. No i mają tak jak każdy mięsożerca potężne kły.

Część dużych, łowieckich ogarów została nadziana na piki. Inne rozstrzelano z rusznic i kusz, te pozostały skowycząc i kulejąc pośród błota. Jednak większość przebiegła pod uniesionymi pikami i wbiła się z furią w szeregi ludzi.

Równa linia została jednocześnie złamana w kilku miejscach. Ludzie wrzeszczeli i cofali się starając się jednocześnie unikać polujących na nich psów bojowych. Wpadli tak w kolejne szeregi. Piki padły na ziemię, wdeptywano je w błoto. Niektóre części szyku ogarnął chaos, gdy przerażeni żołnierze obrócili swój oręż zbyt daleko i zbyt prędko by przeciwstawić się morderczym ogarom.

Szarża Kurhanów uderzyła wtedy w pierwsze szeregi wojsk Imperium, wlewając się jak woda w dziury i szczeliny w linii. Ludzie w czerwieni i bieli padali, zmiażdżeni ciężarem koni, albo przebici włóczniami rogatych barbarzyńców. Kiedy wróg był już przy nich, pikinierzy zmuszeni byli porzucać swój główny oręż i dobywać innej broni, bardziej skutecznej w zwarcu. Nie mieli jednak tarcz ani impetu niosącego teraz zastępy Kurhanów.

Karl wbił się w przeciwnika u boku Efgulfa. Jego klacz parskiała i kwiczała. Bez siodła i strzemion nie mógł się zaprzeć by zaszarżować z wyciągnięta włócznią, kłuł nią więc wyciągając daleko ramię. Pierwsze pchnięcie przebiło czyjeś udo, drugie weszło gładko w bok hełmu. Wszędzie chlapało błotko, podrywane do góry kopytami koni i ludzkimi stopami.

Ogłuszający ryk czuć było prawie jak fizyczne uderzenia. Efgulf rąbał toporem, wbijając się głębiej w słabnący opór szeregu przeciwnika. Wszędzie wokół Karla, ludzie z jego bandy wspomagani jeszcze przez zastępy pieszych włóczników i toporników, siekli i zabijali. Jakiś berdysz rozciągnął na ziemi arkebuzera. Pałasz rozplątał pikiniera. Bęł z kuszy uderzył w woja z północy z taką siłą, że jego ciało zostało odrzucone do tyłu a okrągła tarcza poszybowała kręcąc się w powietrze. Jeden z ludzi Zara Uldin - Diormac - roztrzaskiwał ludzkie czerepy ciężkim korbaczem. Jego czarny koń kopał na wszystkie strony kopytami. W stłoczonej ciżbie nie było miejsca by się ruszyć, a widać było zaledwie na kilka metrów.

Gathek, kolejny członek ich bandy, uniósł się nagle do góry, ponad wzburzone ciała. Nabity był na pikę. Unosił się na niej, kopiąc w powietrze, wysadzony z siodła. Drzewce piki pękło nagle i trup spadł z łoskotem pomiędzy walczących.

Miecz uderzył w tarczę Karla. Obrócił się i zatopił ostrze swej włóczni w napierśniku żołnierza. Ta zahaczyła się mocno i szarpnięcie wyrwało mu ją z ręki. Był teraz zupełnie bezbronny i zmuszony przeciwstawić się natarciu imperialnej piechoty z samą tylko tarczą. Jedyłą jego bronią był koń, którego zmusił do parcia w przód, z pochyloną głową, tak by jego kopyta mogły swobodnie łamać kości i gruchotać kończyny.

Deszcz zdawał się być tak silny, że woda chlustała z góry, niczym wodospad. Błyskawice oświetlały pochmurne niebo i chłostały w dół na ziemię, eksplodując gdzieś, pomiędzy tylnymi szeregami wojsk Imperium. Burza, jak się zdawało, także włączyła się do walki po stronie Wielkiego Zara. Zwracała teraz z nawiązką szkody wyrządzone uprzednio przez imperialną artylerię.

Przez moment Karl dojrzał też poprzez strugi deszczu i opar, inne kształty. Wielkie cienie mającowały wyrastając ponad wysokość ludzi - potworne koszmary wyjące w lejącą się z nieba powódź i szarpiące żołnierzy Imperium swymi szponami i pazurami. Jeden zdawał się mieć skrzydła wyrastające mu z ramion niczym żagle. Inny, zbyt groteskowy by objąć go ludzkim pojmwaniem, posiadał ogromny ptasi dziób.

Tarcza Karla była już solidnie porozbijana, a boki klaczy pokryte były ranami. Jechał jednak dalej, tratując pod kopytami ludzi i wreszcie przebił się na otwartą przestrzeń za formacjami wroga. Razem z nim wydostali się z tłumu Efgulf, Yuskel i jeszcze ośmiu innych kompanów z bandy. Potem pojawili się Lyr, Berlas, a moment później sam Uldin.

Wojska Imperium uciekały. Pojedynczy ludzie i większe grupki biegły polami w stronę Aachden, gubiąc broń i części pancerza. Biegające luźno ogary goniły niektórych i szarpały tych których dopadły. Ludzie wrzeszczeli ze zgrozy.

- Zostawcie ich! - huknął potężnie Uldin. Zawrócił swój oddział, do którego dołączało

wciąż coraz więcej jeźdźców i powiódł ich wprost w tylne szeregi wroga.

- Azytzeen! - krzyknął Efgulf. Podjechał do Karla i dał mu miecz, który miał u siodła. Potężny miecz z drewnianą rękojeścią i ostrym szpicem. Karl wziął go i pognał konia w ślad za zarem. Zagrzmiął róg Hzaera. Banda pognała na północ, przecinając drogę uciekającym żołnierzom Imperium. Kiedy przejeżdżali obok, ścinali tych, którzy znaleźli się zbyt blisko. Karl wypróbował ostrze miecza Efgulfa na głowie uciekającego łucznika i zauważył, że nie wymagało ostrzenia.

Imperialna kawaleria napotkała bandę, zbliżając się z przeciwnej strony. Dowódca armii wysłał ich, by zatrzymali falę dezertersów odrywających się bez przerwy od tylnych szeregów szyku. Byli to rajtarzy. Ich półpancerze połyskiwały, a pióropusze podrygiwały, gdy zjeżdżali w dół zbocza, uniesieni w strzemionach. Większość straciła swe kopie, ale mieli przecież koncerze i broń palną.

Rajtarzy...

Karl-Azytzeen zawył kiedy rzucił się za Zarem Uldin do szarży. Ich banda i żołnierze Imperium zderzyli się w pełnym biegu, twarzą w twarz. Gdy przejeżdżali mimo poszły w ruch pałasze i topory, rajtarzy spadali strąceni ze swych wałachów. Z drugiej strony krwawe żniwo zbierały koncerze i huczące pistolety. Kurhani również spadali w galopie z siodeł.

Strzał z pistoletu roztrzaskał doszczętnie tarczę Karla. Wywijał więc na boki mieczem Efgulfa i rozplątał szyję wierzchowca jednego z rajtarów, a potem rozrąbał również klatkę piersiową żołnierza. Najechał na kolejnego rajtara, który usiłował go przechwycić, swoim uniesionym do przodu, na wysokość głowy mieczem. Karl odbił ostrze na bok. Zakręcili się dookoła ściągając gwałtownie wodze swych wierzchowców by dokonać kolejnej wymiany ciosów. Miecz pomknął w kierunku Karla i po raz drugi odbił go na bok. Potem sam uderzył bronią z zamachu. Stalowe ostrze opadło na naramiennik, przebiło go i zagłębiło się w ciele przecinając kręgosłup. Rajtar zadygotał wyjąc. Krew bluznęła i połączyła się z potokami deszczu. Azytzeen wyszarpnął miecz. Żołnierz zniknął, spadł wprost w pokryte kałużami błoto.

Rozejrzał się dookoła szukając walki. Konie i ludzie przemykali obok we wszystkich kierunkach. Natarł na niego kolejny rajtar, tym razem nadjeżdżając od tyłu. Ten dzierżył w lewej dłoni uniesiony, gotowy do strzału pistolet.

Karl zobaczył jak koło krzesa iskry, a panewka błyska ogniem i bucha białym dymem.

Strzał roztrzaskał jego głowę na kawałki.

Zamek Spayenya

I

Oceniając z perspektywy czasu to nie była dobra decyzja.

Po całym dniu galopady poprzez step, Gerlach zaczął czuć się nieswojo. W okolicy nie było nikogo. Ani żywej duszy. Dwie podróże z rotą, szczególnie jazda do Leblji, niesłusznie zwiększyła jego zaufanie we własne siły. Stwierdził, że w pojedynkę da sobie radę ze stepem i podoła ekstremalnym warunkom, oraz bolesnej samotności. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo polegał na husarzach i jak bardzo mu pomagali. Brak mu było ich doświadczenia.

Jechał prosto na południe. Kierował się według ruchów słońca na nieboskłonie. Po dwóch godzinach doszedł do wniosku, że może tylko przypuszczać, iż powinien się kierować właśnie na południe. Nie miał przecież najmniejszego pojęcia, gdzie tak naprawdę znajduje się Leblja. Jazda na południe, mogła go zawieść prosto do Imperium, ale też równie dobrze, wyprowadzić do dzikich ostępów otaczających Góry Krańca Świata. Nie miał ze sobą mapy, a jego wiedza o stepie, okazała się być raczej mizerna. Droga, jaką obrał mogła go wieść przez dni i tygodnie wprost w nicość. Mógł bezwiednie omijać stacje, znajdujące się tuż za horyzontem, tam, gdzie husarze z pewnością by je odnaleźli.

Miał jedynie nadzieję, że wyprzedzi rotę i miną dwa, trzy dni zanim go dościgną. Wtedy już na pewno, uda mu się ich przekonać, by jechali z nim dalej na południe. Jeżeli go wcześniej nie zabiją - oczywiście.

Przez cały pierwszy dzień, nie było jednak najmniejszego śladu jeźdźców na horyzoncie. Także drugiego dnia nikt nie pojawił się za jego plecami.

Sztandar wkrótce zaciążył mu tak, że nie mógł go dłużej utrzymać w górze. Położył go na kolanach i oparł o łęk siodła. Zaczynał się czuć jak złodziej, bez czci i honoru i szczerze pożałował swego czynu. Może jeśli by po prostu odjechał, podążyliby za nim i tak? Wiedział, że jego pomyślność nie była im obojętna. To jeszcze bardziej pogarszało sprawę jego występku. Byli przecież dla niego tacy dobrzy - pewni sprzymierzeńcy i szlachetni kamraci - a on wykradł najcenniejszą dla nich rzecz.

Nie raz pomyślał, by zawrócić. Rozważał też zostawienie gdzieś sztandaru - tak by mogli go odnaleźć i zabrać. Pałace, słoneczne dni, zmieniały się w nieprzyjemne noce. Słońce

spoglądało wzgardliwie, a gwiazdy, całe ich mnóstwo, drwiły sobie z niego.

Nadszedł i przeszedł czwarty dzień. Potem piąty. Jeszcze nigdy dotąd nie był sam, bez widoku innych ludzi, aż tak długo. Jedynymi jego towarzyszami były teraz przepływające po nieboskłonie chmury. Jednak nawet i one zdawały się mieć do niego pretensje i nie potrafił odnaleźć w nich żadnych kształtów.

Rankiem szóstego dnia, obolały i niespokojny, zatrzymał Saksena i stał tak przez długą chwilę, wpatrując się w północny horyzont, w poszukiwaniu znaków zwiastujących jakiś ruch. Z pewnością powinni już się do niego zbliżać. Wciąż miał nadzieję, że ich ujrzy. Wynurzających się, spośród morza traw na horyzoncie. Najpierw głowy, ramiona, potem konie, wszystko za drgającą zasłoną gorącego powietrza. Kilka razy wydawało mu się, że już ich widzi, ale były to tylko złudzenia wywołane przez światło i ogromne, puste przestrzenie. Umysł miał również zmęczony.

Zabrał ze sobą trochę jedzenia i wody, ale było to zbyt mało jak na tak długą podróż. Witalij - na Sigmara, jakże byłby szczęśliwy mogąc ujrzeć raz jeszcze jego roześmianą twarz! - pokazał mu jak kopać w poszukiwaniu wody i jak zbierać w nocy rosę w hełm i zagłębienie pancerza. Było to jednak niewystarczające zaopatrzenie i większość szła na zaspokojenie pragnienia wałacha. Saksen był silny, ale przyzwyczajony do regularnego i obfitego karmienia. Pochodził tak jak Gerlach z południa i nie był w żaden sposób przyzwyczajony do panujących w stepie warunków i oszczędności. Nie miał tej żywotności i odporności, jaką wykazywały niewielkie koniki Kislevitów. Zdawały się jeździć, bez konieczności częstego pojenia a wieczorem pasły się łączywie, zjadając twardą, łykowatą trawę. Saksen najwyraźniej stwierdził, że trawa jest niejadalna. Jednak, gdy pasł się razem z konikami husarzy szedł za ich przykładem i gryzł ją całkiem chętnie. Gerlach próbował przymusić go do jedzenia, ale ta sztuka nie udała mu się. Saksen cierpiał.

Tak samo jak Gerlach. Pragnienie i głód dolegały mu w sensie fizycznym. Dopadły go też i męczyły wyrzuty sumienia, czuł się bardzo samotny. Wyjechał z Leblji mając w głowie plan, że w ten sposób powiedzie rotę w kierunku toczącej się wojny. Wszystko to zdawało mu się teraz pozbawione sensu. Losy całego Imperium nie znaczyły już nic dla niego, zastanawiał się nawet, czemu było to kiedyś dla niego takie ważne. Dlaczego był tak szalony by angażować się w tak odległe walki? Czyż nie zdał sobie wreszcie sprawy, kim był i jak niewiele, tak naprawdę znaczył?

Późnym popołudniem szóstego dnia - albo siódmego, jako że nie był już tego do końca pewien - zobaczył coś pośród traw. Nie było to nic wielkiego, ale w tak jednostajnym krajobrazie każde odstępstwo od normy odznaczało się w dwójnasób.

Pośród trawy leżały kości. Nieregularna kupka rozrzuconych kości, starych i poźółkłych pod działaniem słońca i wiatru. Przez chwilę patrzył w ich stronę i doszedł do wniosku, że należą do człowieka i konia. Padli tu razem, zgnili i wyschli w słońcu, dopóki wreszcie ich gnaty nie rozpadły się na wszystkie strony jak jakaś makabryczna układanka. Jak długo już tu leżeli? Pewnie lata całe. Może nawet dziesięciolecia albo i dłużej. Prawdopodobnie był pierwszą osobą, która ich spostrzegła od chwili, gdy padli.

Po chwili zastanowienia Gerlach zdecydował, że nie były to kości zagubionego podróżnika zabitego przez step, a raczej pozostałości jeźdźca, który postanowił odjechać z wioski lub stancy, rzucił się w ostatni w swym życiu galop, wprost w objęcia losu. Albo też, były to szczątki wojownika, któremu sprawiono stepowy pogrzeb.

Kiedy pozostawiał za sobą bielejącą w słońcu kupkę kości wpadła mu do głowy szalona myśl. Może to był Sorca? Albo też Kwetłaj? Ptor lub Czagin? Jak szybko stepowe robactwo, muchy i mrówki potrafią objeść ciało z kości? Może były to pozostałości leżące tu zaledwie od kilku dni? I ile czasu jeszcze minie zanim on i Saksen utworzą pomiędzy źdźbłami traw podobną kupkę poźółkłych kości, gdzieś w odludnym zakątku?

Nikt nie ostrzegł go przed odgłosami na stepie. Jeżdżąc w towarzystwie innych ludzi z roty, nawet ich nie zauważał. Teraz jednak był zupełnie sam i przedziwne dźwięki dochodziły do niego ponad głuchym dudnieniem kopyt Saksena, jednostajnym podzwanianiem uprzęży i delikatnym grzechotaniem półpancerza.

Otwarta przestrzeń wydawała z siebie przedziwne zawodzenia i długie, odległe wycie. Wmówił sobie, że to wiatr. Coś niewidzialnego wydawało z siebie dziwaczne trzaski, podobne w głośności i brzmieniu, do odgłosów wydawanych przez kołowy zamek w pistolecie Gerlacha. Rozbrzmiało skądś gniewne bzyczenie i posuwało się z miejsca na miejsce, wciąż głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie przystanął, by się w nie wsłuchać i zdał sobie sprawę, że właśnie ustało. Co jakiś czas Heileman słyszał też odgłos kopyt, który jednak nigdy się do niego nie zbliżał i niewytłumaczalny w tej pustce dźwięk płynącej wody.

O zmierzchu każdego dnia rozchodziły się po stepie głuche łoskoty. Zatrzymywał się i uważnie się przysłuchiwał, usiłując zlokalizować ich źródło. Nigdzie nie było widać burzowych chmur, więc był pewny, że nie był to grzmot uderzającego w ziemię pioruna. Brzmiało to trochę tak, jak jakiś gigantyczny bęben, uderzany co kilka minut. Czekał i nasłuchiwał, dopóki nie kończyła mu się cierpliwość i wtedy, jak tylko znów ruszył do przodu, dochodził do niego kolejny grzmot.

Noc też skrywała swoje tajemnice. Ostrzejsze wycia i dziwne, głuche porykiwania, krążące dookoła w ciemności. Czasami słyszał głosy. Były tak wyraźne, że nawoływał tych,

którzy rozmawiali. W momencie, w którym się odzywał, głosy raptownie milkły. Czasami słyszał też śmiech.

Ale najgorsze były odgłosy w świetle dnia. Nocą potrafił sobie wyobrazić, trzęsąc się ze strachu, że naokoło znajdują się jakieś istoty, okryte zasłoną nocnej czerni. W dzień zaś, mógł się przekonać, że nikogo takiego nie było.

Raz, w gorączce pełnego dnia, uchwycił dźwięk skrzypiącego, metalowego zawiasu. Oprócz niego słyszał jeszcze cichszy odgłos uderzeń, jakby ktoś walił młotkiem w żelazną płytę.

Ściągnął wodze Saksena i zatrzymał się. Dźwięk nie ustawał. Nadchodził z całkiem bliska, z prawej strony. Saksen strzygł uszami do tyłu i do przodu. Wałach najwidoczniej też to słyszał.

Gerlach zsiadł z konia i ruszył poprzez trawy usiłując dokładniej namierzyć hałas. Dobył pistoletu i ścisnął go w dłoni. Z kawałkiem drewna i żelaza w ręku był przynajmniej chroniony przed złymi duchami. Dźwięk stał się jeszcze głośniejszy i bardziej przynaglający. Zdawał się dobiegać z kamienia wielkości ludzkiej głowy, leżącego w pyle, pomiędzy innymi kawałkami kwarcu.

Podszedł do niego i bardzo ostrożnie się pochylił. Skrzypiący zawias i młotek uderzający w żelazo były teraz tak głośne, że czuł się tak, jakby był w kuźni. Okrążył kamień. Źródło dźwięku pozostało nieruchome. Znajdowało się dokładnie pod kawałem kwarcu.

Gerlach sięgnął w dół i podniósł kamień.

Odgłos skrzypiącego zawiasu i młotka ustał raptownie. Z zagłębienia, w którym spoczywał kamień uniósł się do góry przerażający, przenikliwy gwizd. Uleciał wysoko w niebo i sprawił, że zszokowany Gerlach padł na ziemię. Hałas sprawił też, że Saksen wystraszył się i ruszył.

Hałas zgasł jednak po chwili i ponownie zapadła denerwująca i świdrująca w uszach cisza. Heileman odrzucił kamień. Trząśnięcie było całe.

Kiedy podniósł wzrok, Saksen, przestraszony i oszalały, galopował właśnie w step.

II

Pobiegł za koniem, wykrzykując jego imię tak głośno, jak tylko pozwalało mu na to jego wyschnięte gardło. Potem zatrzymał się i powrócił, by podnieść sztandar rot, który upadł na

ziemię, kiedy wystraszony Saksen wystrzelił nagle do przodu. Ciągnąc go za sobą, popędził w ślad za niknącym w oddali koniem. Wyglądał tak jakby pomieszały mu się zmysły.

- Saksen! Saksen! W imię Sigmara! Biełyj-Saksen!

Koń zniknął. Powróciło bzyczenie.

W tle usłyszał również odległy śmiech, brzmiący jak wiatr pośród listowia.

III

Wlekł się noga za nogą przez długi, nie dający się zmierzyć kawał czasu. W marszu podpierał się drzewcem ciężkiego sztandaru. Kiedy powróciło bzyczenie, ostre i drażniące uszy, obrócił się dookoła i wykrzyczał głośno wyzwanie.

- Czym jesteś? Gdzie jesteś?

Bzyczenie zdawało się spadać na niego. Krzyknął zaskoczony i wypalił z pistoletu.

Cisza. Biały obłok dymu z pistoletu kłębił się w powietrzu i utworzył niewielki obłoczek, który zaczął odpływać w dal w słonecznym powietrzu. Przez moment, obłok wyglądał jak maleńki koń wyciągnięty w pełnym galopie. Potem rozwiął się i zniknął zdmuchnięty stepowym wiatrem.

IV

Zapadł zmierzch. Niebo zmieniło kolor na głęboki Imperialny granat, jak przed burzą, a trawy zdawały się być białe. Szeroki krajobraz spowity był jasnością, kontrastującą z martwym i ponurym kolorem nieboskłonu.

Gerlach zauważył przed sobą, nieruchomy jasny punkt, odległy o jakiś kilometr.

Przyspieszył i potykając się pognał w jego kierunku.

Saksen stał bez ruchu z uniesioną do góry głową. Wodze opadały luźno po bokach. Boki miał poznaczone, wyschniętą już, wypoconą solą. Wałach wpatrywał się na południe.

Kiedy zbliżył się do niego, Saksen opuścił głowę, by spojrzeć na swojego pana, a potem powrócił do wypatrywania czegoś pośród bezmiaru stepu.

Gerlach rzucił na trawę sztandar i zużyty pistolet, a potem zaczął podchodzić ostrożnie do konia. Przemawiał do niego cicho i rozłożył szeroko ręce. Zerwał garść trawy, najzieleńszej,

jaką potrafił znaleźć, i wyciągnął w kierunku konia.

- Bielyj... Bielyj... Bielyj-Saksen. Spokojnie. Tylko spokojnie, stary przyjacielu...

Saksen pozwolił mu podejść i nawet powąchał trawę, ale nie wziął jej. Gerlach pogładził i poklepał szyję wałacha i schwycił luźne wodze.

- Bielyj... Bielyj-Saksen.

Heileman poprowadził konia do tyłu i podniósł z ziemi sztandar i pistolet. Saksen poszedł za nim bezwolnie, chcąc znów zwrócić się na południe.

Gerlach dosiadł wierzchowca. Kiedy zyskał przewagę wysokości ofiarowaną przez siodło, zobaczył co tak zainteresowało w oddali Saksena.

Kłęb kurzu wzniesiony kopytami koni.

Zaskoczony Gerlach włożył stopy w strzemiona i uderzył konia piętami.

- Jazda!

V

Z początku zdawało się, że na północny wschód podąża w gasnącym, szarym świetle jakieś pół tuzina jeźdźców. Jednak, kiedy się zbliżyli, Gerlach zauważył, że na przedzie pędzi jeden mężczyzna, ścigany przez pięciu innych. Zdał sobie też sprawę, że nie zdoła ich złapać. Jechali zbyt szybko i byli zbyt daleko.

Osadził w miejscu konia i wzniosł sztandar do góry, opierając jego drzewce na ziemi obok Saksena.

Ścigany zobaczył go i skręcił w stronę Heilemana.

Ten przygotował pistolet i wsunął go w olstro przy siodle. Potem dobył miecza.

Samotny jeździec zbliżał się, ciągnąc za sobą obłok kurzawy, uniesiony do góry kopytami galopującego konia. Stepowego konia. Mężczyzna przyodziany był w futra i skóry.

Był to Kwetłaj. Tuż za nim gnało pięciu Kulów.

Kiedy tylko Gerlach rozpoznał Kislevitę zaczął do niego machać. Nie podobał mu się stosunek sił, ale walka była już nieunikniona. Pięciu na jednego, albo też pięciu na dwóch, jeśli Kwetłaj będzie w stanie się bić. Heileman liczył jednak głównie na siebie.

Jeźdźcy zbliżali się.

Jak tylko zbliżyli się na tyle, że mogli rozpoznać Gerlacha, Kwetłaj zaczął krzyżeć - Webla! Webla! Iha!

Gerlach uśmiechnął się ponuro. Wskazał, żeby Kwetłaj przejechał obok niego i podniósł pistolet ściskając go w obu dłoniach. Za pomocą uścisku kolan zmusił Saksena by ten stał bez ruchu.

Kwetłaj przemknął obok podnosząc za sobą kurzawę i rozpryskując naokoło żwir i grudy ziemi. Konni Kulowie byli tuż za nim. Trzech jechało z dobytymi mieczami, jeden ściskał topór a na drugim ręku miał zawieszoną tarczę. Najbliższy, z głową zakutą w niską saladę, wywijał korbaczem.

Gerlach wycelował. Teraz on stał się celem. Kulowie szarżowali teraz wprost na niego, a Kwetłaj zniknął gdzieś z tyłu, za plecami.

Gdy przeciwnicy znaleźli się w odległości czterech końskich długości od niego, Gerlach wypalił. Kula ugodziła woja z korbaczem w szyję i zmiotła go z siodła. Ciało upadło w pył i koziółkowało, kręciło się jeszcze, kiedy pozbawiony jeźdźca koń, przemknął tuż obok.

Nie było czasu by naładować ponownie pistolet. Heileman wsunął go w olstro i wydobyl z pochwy koncerz. Przynaglił Saksena do biegu i uniósł ostrze, w pozycji do szarży. Pojechał galopem, by powitać najbliższego barbarzyńcę.

Ten dzierzył w dłoni miecz i wywijał nim dzikie pętle i koła, kiedy Gerlach zbliżał się do niego. W ostatnim momencie, Heileman skierował Saksena w drugą stronę, by uniknąć kręcącego się ostrza i kiedy przejeżdżał obok Kula pchnął mocno tuż ponad łękiem siodła. Wojownik wrzasnął z bólu gdy ostrze kawaleryjskiego miecza przeszło jego bok i wyszło z drugiej strony, skrwawione. Opadł na szyję klaczy, broń wypadła mu z dłoni na trawę.

Kolejnych dwóch przeciwników było już przy nim. Ten po lewej trzymał miecz, zaś ten jadący z prawej strony, uzbrojony był w topór. Gerlach popędził między nimi i uniknął jakoś obydwu cięć. Z nisko pochyloną głową przemknął obok nich i napotkał na swej drodze ostatniego jeźdźca. Miecze zetknęły się, posypały się skry, migocąc na tle zachmurzonego, granatowego nieboskłonu.

Obaj zawrócili by zetrzeć się ponownie.

Pozostała dwójka również zawracała. Ci wyli i wrzeszczeli.

Gerlach natarł na marudera i ponownie wymienili kilka ciosów. Stracili już cały swój impet. Rozdawali ciosy i blokowali uderzenia będąc siodło w siodło. Dwójka Kulów zdążyła już zawrócić i zbliżali się teraz szybko.

Gerlach rozplątał powietrze mieczem starając się odbić uderzenie przeciwnika. Chronił w ten sposób i siebie i Saksena jako, że barbarzyńca obu ich uważał za równorzędne cele.

Nagle pojawił się również piąty jeździec. Kwetłaj pędził jak oszalały w kierunku toczącej się walki. Nie miał na sobie zbroi, a większość uzbrojenia również pozostawił w stancy.

Dobyl teraz potężnego miecza, zawieszono go przy siodle i używanego do walki na piechotę. Był on zdecydowanie za duży, by używać go wygodnie i skutecznie w czasie jazdy i zbyt nieporęczny żeby się nim pojedynkować siedząc w siodle. Ale Kulowie byli zwrócenii do Kislevity tyłem i brzeszczot Kwetłaja rozpruł ciało i rozrąbał kręgosłup woja trzymającego topór.

Zwalił się na ziemię i stratował go w pędzie własny koń, zasypując jeszcze gradem kawałków suchej ziemi. Okrągła tarcza potoczyła się pośród pyłu.

Gerlach skrzyżował miecz z kolejnym przeciwnikiem i odbił jego ostrze tak mocno, że czubek broni wbił się w szyję konia. Rozległ się przeraźliwy kwik, koń zaczął kopać nogami i rzucać się szaleńczo. Zrzucił wreszcie jeźdźca i pogalopował w zapadającą noc.

Heileman podjechał do podnoszącego się z trawy i kurzu wroga i jednym ciosem pozbawił go głowy.

Ostatni Kul zatrzymał się nieopodal. Opuścił swe zbrukane, żelazne ostrze. Gerlach odwrócił się do niego. Krew kapłała z uniesionego w górę miecza. Kwetłaj zbliżał się od tyłu.

Z pełnym przestrachu okrzykiem, Kul zawrócił konia i odjechał na zachód.

Gerlach i Kwetłaj schowali do pochew miecze i niespiesznie ruszyli by się spotkać. Rajtar wyciągnął dłoń, ale młodzieniec zamiast tego, zamknął go w mocnym uścisku.

- Webla! - stwierdził. Powiedział oprócz tego jeszcze wiele innych słów, ale Gerlach nic z nich nie zrozumiał. Kwetłaj miał najmniejsze z całej rotty Beledniego, pojęcie o Reikspieli.

Potok niezrozumiałych słów sprawił, że Heileman się uśmiechnął. Wyglądniały jakiegokolwiek towarzystwa, spotkał się akurat z przyjacielem, z którym nie mógł się porozumieć.

Ujął jego ręce i uważnie przyjrzał się ranom. Długie rozcięcie na dłoni i rękę ropiało różowawo, ale zablizniało się. Borodyn jednak miał rację. Husarz po prostu musiał wierzyć w Dazh i jechać w dal, dopóki cała trucizna, nie wypoci się z ciała. Kwetłaj dosiadł konia i w ten właśnie sposób się wyleczył.

Jakie przygody spotkał na swej drodze, w czasie tej uzdrawiającej podróży, tego Gerlach nie wiedział. Podniósł sztandar i spróbował wskazać Kwetłajowi kierunek.

- Południe! - obwieścił wskazując w tamtą stronę - Musimy jechać na południe!

- Niet - zdecydowanie odparł młodzieniec i pokazał na zachód.

Gerlach chciał jeszcze przedyskutować ten problem, ale potem spojrzał na południe. Na horyzoncie płonęły ognie, wiele ognii. Pochodnie ściskane w dłoniach sześciu tuzinów konnych. Jeźdźców z plemienia Kul.

Gerlach spojrzał na Kwetłaja i pokiwał głową na znak zgody.

- Masz rację. Jedźmy na zachód.

VI

Ramię w ramię jechali ku zachodowi i w coraz ciemniejszy zmierzch. Ognie podążały za nimi migotając. Jak kołyszące się cętki, na tle czarnej ziemi, jak leżące pośród trawy i pyłu gwiazdy. Było ich teraz znacznie więcej niż sześć tuzinów. Błądziły po prawej stronie na tle południowo-wschodniej linii horyzontu.

Kwetłaj gadał bez przerwy podczas jazdy. Był podekscytowany i niezwykle gadatliwy. To, że i tak Gerlach nic nie rozumie z jego wywodów, zdawało mu się zupełnie nie przeszkadzać. Było to dla niego bez znaczenia. Dla Heilemana z drugiej strony, sam dźwięk ludzkiego głosu był niezwykle przyjemny. Rozpoznawał pojedyncze słowa opuszczające wciąż niezamykające się usta młodego husarza. W niezrozumiałym monologu kilkakrotnie przewinęło się wypowiedane dobitnie słowo „pułk”.

- Pułk? - starał się go dopytać Gerlach.

- Szto?

- Pułk? - powtórzył raz jeszcze marząc o tym by jego znajomość Kislevickiego była choć odrobinę większa. Kwetłaj powiedział coś jeszcze i Gerlach poddał się wreszcie.

Jechali przez ponad godzinę. W tym czasie dzień został pochłonięty przez noc. Zrobiło się ciemno, bardzo ciemno, wręcz czarno. Jedynym sposobem w jaki mogli odróżnić ziemię od nieba był fakt, że ponad wyimaginowaną linią znajdowały się gwiazdy. Za wyjątkiem strony od której właśnie jechali. Tam żółte ogniki płonęły nisko i poruszały się.

Coś ogromnego wyrastało przed nimi powoli i majestatycznie. Z początku Gerlach myślał, że to wstaje księżyc, albo też jest to jego kawałek, który upadł na step. W rzeczywistości była to ogromna płyta białego kamienia, świeżą upiornie w gwiazdnej iluminacji, mająca przynajmniej ligę szerokości. Pojedyncza, podłużna skała wyrastająca z płaskiego krajobrazu otwartego stepu.

Zbliżyli się do niej. Skała była niezwykle piękna. Oświetlała step, odbijającym się od niej światłem, lodowatej bieli księżycy i gwiazd. Była przeogromna.

- Zamak Spayenya - obwieścił Kwetłaj.

Wjechali na niższe zbocza grzechoczącego, kamiennego osypiska, klucząc pomiędzy płytami i blokami odłupanymi z głównej bryły stołowej góry, przez czas i pogodę. Głazy

miały ciepły i wilgotny zapach, tak, jakby wciąż promieniowały gorącym minionego dnia. Kwetłaj poprowadził Gerlacha dookoła północnej krawędzi skały. Najwyraźniej doskonale znał to miejsce. Nie było to zaskakujące. Skała - Zamak Spayenya - była chyba jedyna w swoim rodzaju i jako taka, powinna być znanym punktem wśród niekończącej się trawy.

Kwetłaj wciąż prowadził swój serdeczny monolog. Jednocześnie odnalazł wąski wąwóz w zboczu olbrzymiej skały i zjechali w dół stromego zbocza, zagłębiając się w chłodną ciemność zmaconą jedynie wąską wstążką gwiazd wysoko nad ich głowami. Kopyta koni grzechotały i stukały na nagim kamieniu.

Zbocze stało się jeszcze bardziej strome i wierzchowce zmuszone były zwolnić. Kwetłaj zeskoczył z konia i pokazał Gerlachowi, by ten uczynił to samo. Przez resztę drogi, poprowadzili zwierzęta, trzymając je za uzdę.

Wąwóz zmienił się wreszcie w wielką nieckę otoczoną skałami. Echo każdego ich kroku odbijało się i powracało ze wszystkich stron. Dno skalnej misy wypełnione było czarną wodą. Od tego niezmaconego zwierciadła odbijały się gwiazdy i księżyc.

Kwetłaj ściągnął uprząż z konia, zdjął bukłak i worek na prowiant, i puścił go wolno. Stepowy konik natychmiast potruchał w stronę wody i zaczął pić. Odbite w wodzie księżycy zakolysały się i rozmyły, gdy po spokojnym dotąd lustrze wody rozeszły się równomierne kręgi. Kwetłaj dołączył do wierzchowca chcąc napełnić ponownie bukłak.

Gerlach ściągnął siodło Saksena. Gdy tylko wypuścił z ręki wodze, koń pobiegł do wody by zaspokoić pragnienie.

Kwetłaj ochlapał twarz wodą z wielkiego zbiornika deszczówki i skoczył na nogi.

- Webla! - skinął na niego. Gerlach ruszył w ślad za nim. Najwyraźniej chłopak zdawał się być pewien, że koniom pozostawionym w skalnej misie nic nie grozi.

Kwetłaj wspinał się w górę skośnym zboczem, starając się dostać na górę. Zatrzymał się na chwilę, by pomóc taszczącemu siodło Gerlachowi, jednak z respektem odmówił dotknięcia sztandaru rot, który rajtar ciągnął ze sobą.

Zostawili daleko w tyle, naturalny basen wypełniony wodą. Wdrapali się na sam szczyt skały, po stromych ścieżkach, wiodących wśród rumowiska kamieni.

Gerlach rozejrzył się. Poniżej rozpościerał się step, niknący w oddali, wśród ciemności. Włosy zmierzwił mu chłodny wiatr. Nigdy w życiu nie był tak wysoko - wyżej jeszcze niż na dzwonnicy kościoła w Talabheim. Zabrał go tam jego brat, kiedy miał sześć, a może siedem lat. Widok z góry zaparł mu wtedy dech w piersi. Miał pod sobą szeroki krajobraz pocięty wąwozami ulic, pełen połyskujących dachów i maleńkich, z tej wysokości, ludzi. Za miastem rozpościerały się szachownice pól i lasów.

Teraz, pomimo tego, że było ciemno, widok był jeszcze bardziej niezwykły. Nieskończona pustka ziała na wszystkie strony i poczuł całym sobą ogromną głębię przestrzeni. Tu, z góry, step nie wydawał się wcale mniejszy. Wręcz przeciwnie - był jeszcze bardziej bezkresny, dopiero stąd widać to było wyraźnie.

Gerlach nie widział już ogni podążających za nimi Kulów.

Kwetłaj zabrał go do głębokiej jaskini znajdującej się wysoko w skale. Jej wejście sterczało ponad bezkresną pustką. W środku było sucho i chłodno. Młody Kislevita z radością usiadł pośród ciemności i zaczął grzebać w swej sakwie. Szybko rozpałił niewielkie ognisko i podsycał je kawałkami zwierzęcych kości, które zbierał, właśnie na taką okazję.

Ogień urósł, obmywając gładkie ściany jaskini, chybottliwym blaskiem. Gerlach pozbył się swego bagażu i cięższych części zbroi, a potem z niezwykłą dbałością oparł sztandar roty o skałę. Kiedy to uczynił usiadł po drugiej stronie ognia i zaczął grzać ręce nad płomieniem.

Kwetłaj znów rozpoczął swoją bezcelową, nie kończącą się gadaninę.

- Zamak Spayenya? - zapytał rajtar wskazując rękami dookoła.

- Iha, Webla! Iha!

Sakwy Kislevity w jakiś cudowny sposób, uraczyły ich paskami suszonej, solonej ryby, sucharami, kawałkami wieprzowiny i czterema jajami. Jajka ugotowane były na twardo w occie - miało to na celu przedłużenie ich trwałości. Kwetłaj pokazał mu, jak zgniata się skorupkę, miażdżąc jajo w dłoniach. Obaj mieli bukłaki z wodą, a chłopak ceremonialnie odkorkował niewielką skórzaną butelkę wypełnioną gorzałką.

Był to najlepszy i najbardziej satysfakcjonujący posiłek, jaki kiedykolwiek jadł Gerlach Heileman.

Kiedy wreszcie zaspokoili głód i rozparli się swobodniej, zaczęło się robić zimniej. Podawali sobie na przemian butelkę z gorzałką. Kwetłaj dorzucił do trzeszczącego ognia resztkę kości. Wrzucił tam też skorupki jajek. Wciąż mówił, a sądząc z tonu, w jakim przemawiał, Gerlach wywnioskował, że opowiada teraz jakąś historię, jakiś mit będący tradycją kruga. Co jakiś czas, siadał prosto i śmiał się głośnym, fałszywym śmiechem, niksącym wśród cieni spowijających jaskinię. Najwyraźniej, była to jakaś część tej niezrozumiałej zupełnie historii.

Kiedy wreszcie skończył spojrział wyczekująco na Gerlacha.

- Webla gawarit - powiedział.

- Co?

- Webla... Webla... ty. - rzucił kiwając zachęcająco głową.

Gerlach domyślił się, że teraz jego kolej. Pociągnął łyk wody z bukłaka i zaczął: - W

dawnych czasach było sobie plemię ludzkie zwane Unberogen i narodziło się pośród nich dziecko. Chłopcu nadano imię Sigmar, a tej nocy, kiedy się urodził poprzez czarne niebo przeleciała gwiazda ciągnąca za sobą podwójny ogon...

Gerlach spokojnie ciągnął swoją opowieść, a Kwetłaj słuchał w uniesieniu. Właśnie dochodził do słynnego i chlubnego momentu na temat Przełęczu Czarnego Ognia, kiedy coś zawyło w ciemności przerywając opowiadanie. Kwetłaj nie zwrócił na wycie najmniejszej uwagi. Heileman ciągnął dalej, ale po chwili znów przerwał, kiedy odezwało się obok piekielne bzyczenie i rechot, które nawiedzały go wcześniej na stepie.

Kislevita uniósł się, usiadł prosto i zaśmiał się swym głośnym, fałszywym śmiechem w stronę spowijających jaskinię cieni. Hałas ustał jak ręką odjął.

Potem pojawił się znowu, tym razem z wnętrza jaskini, a wraz z nim delikatne stukanie młota o blachę. Kwetłaj odwrócił się w tamtą stronę i zaśmiał się ponownie. Dźwięk ucichł.

Gerlach podjął znów swą historię, ale po raz kolejny zmuszony był ją przerwać, kiedy szepczące głosy, odezwały się spośród cieni skaczących na krawędzi blasku rzucanego przez ognisko. Kwetłaj pochylił się w tą stronę i roześmiał się w odpowiedzi, sprawiając, że szepty ścichły.

- Duchy... upiory nawiedzające step? - zapytał Gerlach.

Kwetłaj przytaknął nie wiedząc nawet, o co pytał rajtar.

- Ścięły mnie, szły za mną krok w krok. Obawiałem się ich obecności.

Syczące szepty przemykały się u wejścia do jaskini. Chłopak obrócił głowę i zarechotał szczerze, choć fałszywie, odpowiadając na ich zew.

- Cha, cha, cha, cha!

- Śmiech je odstrasza, kiedy ktoś się śmieje odchodzą... - Gerlach wziął głęboki oddech. Uśmiechnął się. Kiedy pod sklepieniem jaskini rozległ się dźwięk skrzypiących zawiasów, dokładnie w połowie opowieści o Johanie Helstrumie, obaj spojrzeli w górę i wydali z gardła przypominający ryk rechot.

- Cha, cha, cha, cha.

Kwetłaj usadowił się wygodniej.

- Johan - przynaglił - Johan...

Gerlach wyszczerzył się w uśmiechu.

- Jak już mówiłem Helstrum był, więc pierwszym z linii Wielkich Teogonistów...

Kwetłaj zapadł w sen zanim jeszcze opowieść o historii Imperium Sigmara dobiegła końca. Gerlach siedział przez chwilę w milczeniu, a potem wydobył z ognia płonące żeberko i powędrował z nim w głąb jaskini. Oczy go nie zwiodły. Na białej wapiennej ścianie wyraźnie widać było jakieś rysunki.

Bardzo prymitywne rysunki, zrobione z pomocą grafitu i ochry. Ludzie jadący na polowanie, ich uwiecznione węglem dziury raniące skaczącą łanię i łosia. Pomimo, że obrazek był prymitywny, konie były narysowane w ten sposób, że łatwo je było rozpoznać. Niskie, brązowe kształty niestrudzonych i twardych stepowych koników z potarganymi, czarnymi grzywami. Jeźdźcy byli oddani nago, narysowani nieskomplikowanymi, prostymi kreskami, ale z pleców sterczały im wspaniałe orle skrzydła.

Gerlach przesunął ogienek kruchej kości jeszcze bardziej w dół ściany. Tu były dziki i barany. Wielki kopiec otoczony końmi wyglądający jakby ustawiono je w pionie, na podtrzymujących martwe ciała drewnianych kołkach. Gwiazda z dwoma ciągnącymi się za nią ogonami. Konni rycerze spowici w złoto.

To złoto okazało się być prawdziwą folią zrobioną z cennego kruszcu wklepaną w ścianę jaskini. Gerlach przyjrzał się obrazkowi uważniej i spostrzegł, że nie patrzy wcale na konnych wojowników. Rozbrykane postacie były połączeniem człowieka i konia. Ciała należały do chyżych koni, natomiast tam gdzie powinien być łeb zwierzęcia wyrastał ludzki tors. Ramiona mieli szeroko rozpostarte, jakby w triumfie. Trzymali w nich powykrzywiane łuki i czarne dziury.

Bez wątplenia, były to, opiewane w mitach centaury. Ludzie będący jednocześnie końmi. Konie będące ludźmi. Albo też, pomyślał Gerlach, pradawni ludzie, których życie tak bardzo zależne było od koni, że nie można ich było oddzielić.

Pochodnia zrobiona z kości zgasła. Starożytne inskrypcje zniknęły w mroku, tak jakby odjechały w cień.

Gerlach powrócił do dogasającego ogienka i śpiącego Kwetłaja.

Chciał właśnie usiąść, gdy usłyszał niski, gromki jęk. Zaśmiał się w jego stronę, ale dźwięk nie ucichł. Zaśmiał się znowu, głośniejsze i bardziej żywiołowo, ale jęk rozbrzmiewał dalej, zrobił się głośniejszy i przeszedł w prowadzony szeptem monolog.

Dochodził od wejścia do jaskini.

Gerlach powędrował w tę stronę i rechotał dziko i głośno w ciemność. Słyszał jak widmowy rechot przenika noc i ze wzburzeniem gotował się, by ryknąć weń własnym śmiechem i uciszyć go raz na zawsze.

Dłoń nakryła mu usta powstrzymując go w ostatniej chwili. To był Kwetłaj.

Chłopak wskazał w dół na zbocze. Daleko w dole, przy krawędzi ogromnej skały poruszały się pochodnie Kulów.

VIII

Kwetłaj rozkopał szybko ognisko, a potem, trzymając w ręku miecz, zaczął wyglądać z jaskini na zewnątrz. Gerlach nakładał prędko na siebie kawałki zabranej ze sobą zbroi. Po chwili zaczął też nabijać swój kołowy pistolet, ale Kwetłaj powstrzymał go i poklepał ostrze miecza. Znaczenie tego gestu było oczywiste. Jeśli chcieli przeżyć byli zmuszeni działać cicho.

Heileman odłożył pistolet i resztę swojego ekwipunku na bok i ruszył za Kislevitą wprost w światło księżyca. W dłoni trzymał koncerz. Dobył jeszcze sztyletu i ścisnął go w drugiej ręce.

Pod nimi wciąż błyskały światła pochodni, ale widać też było inne ogniki pnące się w górę skalistego zbocza i wzdłuż przecinających stołową górę wąwozów.

Kulowie nie zmierzali bezpośrednio ku nim. Mieli dużą szansę, że kjazaki spędzą resztę nocy na poszukiwaniach pośród potężnego systemu jaskiń i przesmyków przecinających skałę.

Gerlach i Kwetłaj przysiedli w ciszy by poczekać na rozwój wypadków. W rękach ciągle ścisnęli miecze.

IX

Księżyc stanął w zenicie i zaszedł. Dochodziły do nich głosy i okazjonalny stukot toczących się w dół zbocza, grzechoczących kamieni. Czekali. Godziny wlekły się niemiłosiernie.

Poniżej, podrygujące ognie zebrały się u stóp skały. Gerlach obudził się nagle. Nie miał pojęcia jak długo spał, ale niebo zaczynało dopiero jaśnieć. Kwetłaj również spał wtulony w skałę, po drugiej stronie wejścia do jaskini.

Heileman miał właśnie wysyczyć jego imię, kiedy zorientował się, że nie są sami. Samotny wojownik z plemienia Kul cicho zbliżał się do krawędzi skały tuż za wejściem do

jaskini. Widział go jedynie jako czarniejszy, niż otaczające go ciemności, cień z połyskującymi oczami.

Gerlach czekał udając martwego. Przez półprzymknięte powieki obserwował jak Kul zbliża się. Był jeszcze jeden, szedł zaraz za pierwszym. Miecz Gerlachowi wysunął się z ręki podczas snu, ale w drugiej, wciąż dzierżył sztylet. Pozostał w bezruchu, gdy wróg podpełznął jeszcze bliżej. Kul miał przy sobie siekierkę na krótkim trzonku i kiedy się nad nim pochylił, usłyszał, że węższy niczym ogar.

Gerlach rzucił się w przód, schwycił Kula za włosy i wygiął w dół jednocześnie wbijając sztylet w pierś. Wojownik skrzeknął i starał się wyrwać, ale Heileman trzymał go mocno w uścisku. Drugi Kul na krawędzi skały wydał z siebie gardłowy krzyk i uniósł łuk. Gruba strzała zaświszczała w locie i roztrzaskała się na kamieniu tuż obok głowy Gerlacha. Ten walczył by utrzymać chwyt, na ciele pierwszego Kula, które stało się teraz dziwnie bezwładne i niesamowicie ciężkie. Musiał utrzymać je pomiędzy sobą i łucznikiem.

Kul wystrzelił ponownie biegnąc do przodu. Strzała posłana została z taką siłą, że przeszła przez trupa, przebiła naramiennik Gerlacha i zagłębiła się w ciało na głębokość kciuka. Heileman jęknął z bólu. Zanim łucznik zdążył wystrzelić po raz trzeci Kwetłaj poderwał się błyskawicznie i ciął go swym wielkim mieczem, przez żebra.

Dookoła rozpoczął się wielki ruch. Kulowie, ze wszystkich stron, starali się zbliżyć, do źródła hałasu i zamieszania. Blisko pojawiły się ognie kilku pochodni. Kwetłaj podbiegł do krawędzi skały i ściął kolejnego przeciwnika. Jego ciało zsunęło się w dół stromego zbocza wraz z odłamkami skał. Pojawił się czwarty Kul i Kislevita obrócił się by go odpędzić. Ich miecze szczękęły głośno, gdy zetknęły się ostrzami.

Walcząc uprzednio by utrzymać w rękach swą ludzką tarczę, Gerlach trudził się teraz by się jej wreszcie pozbyć. Ciężar trupa ciągnął ostro i napierał boleśnie na wbitą w ramię strzałę i sprawił, że jęknął ponownie.

Strzała wreszcie złamała się. W ramieniu Heilemana pozostał ułomek sterczący z ciała na długość palca. Truchło opadło na bok, z piersi wystawała rękojeść sztyletu.

Rajtar schwycił miecz, choć ból spływał w dół ramienia. Całą lewą rękę miał zalaną krwią, tak jak i kirys. Pobiegnął do przodu i zdążył akurat na czas by zająć się dwoma kolejnymi Kulami zjeżdżającymi w dół stoku, do krawędzi skały na lewo od jaskini. Jednego zabił od razu, zręcznym sztychem, a potem starł się z drugim. Ten zakołysał się na nogach i ciął w jego stronę krótkim mieczem, machnął skwierczącą pochodnią. Płomień opalił Gerlachowi twarz.

Kwetłaj rozprawił się z kolejnym oponentem i nadbiegł żądny walki. Stał ramię w

ramię z rajtarem. Ten wreszcie zdołał zahaczyć mieczem zagrażającą mu wciąż pochodnię i posłał ją łukiem, iskrzącą i kopcającą, w dół stoku. Następnie przełamał obronę niewprawnego wojownika trzema zręcznymi uderzeniami miecza i zakończył jego żywot pięknym pchnięciem w tors.

Udało im się, dzięki szalonemu wysiłkowi, zabić lub wykluczyć z walki czterech Kulów, którzy wspięli się na krawędź skały. Jednak zdążyło w ich stronę znacznie więcej przeciwników, z obu stron i z dołu.

Kwetłaj wrzasnął coś i przeszukał ciało pierwszego kjazaka, którego pokonał - łuczника, tego samego, który zranił Gerlacha. Znalazł wreszcie łuk i kołczan ze strzałami i zaczął raz za razem wysyłać je w ciemność. Gniewny poszum strzał nie pozostał bez odpowiedzi, kilkakrotnie rozległy się okrzyki bólu trafionych ludzi.

Świt zbliżał się bardzo prędko. Niebo zmieniło kolor i było teraz szarawe a skalna ściana zaczynała świecić rozmytym jeszcze światłem. Jedyne step poniżej pozostał czarny niczym smoła, ciągnął się do jaśniejszej już linii horyzontu, gdzie łączył się z zimnym, bladym niebem.

Kjazaki natarli na nich ponownie z dołu i od lewej strony. W odparcie ich włożyli wszystkie swe siły i umiejętności. Przeciwnicy odstąpili. Pewnie po to by przygotować łuki - pomyślał Gerlach.

Kwetłaj zawołał go w tej krótkiej chwili wytchnienia i wskazał w górę. Poczekawszy jedynie aż rajtar zabierze sztandar zaczęli piąć się w górę stromego, kamiennego zbocza ponad wejściem do jaskini, zmierzając w stronę najwyższej skały. Kilka niecelnych strzał zagrzecotało na kamieniach nieopodal. Co jakiś czas Kwetłaj przystawał, szeroko rozłożonymi nogami zapierał się pewnie w skałę i posyłał w dół jedną lub dwie strzały.

Gerlach skoncentrował się na wspinaczce. Starał się uniknąć obsunięcia w dół, gdzie spotkałaby go niechybna śmierć. Jego półpancerz nie był stworzony do takiej aktywności, a dodatkowo ciążył mu jeszcze niezmiernie wleczony sztandar. Nie mógł go jednak pozostawić by wpadł w brudne łapy łupieżców. Pełził w górę po twardej i suchej powierzchni skały, czasami używając drzewca sztandaru jak podpórki. Pot spływał mu po całym ciele. Pomknęło ku nim, jeszcze więcej strzał. Niektóre uderzały w kamień, opryskując ich odłamkami, lub przelatując im ponad głowami, bzyzcząc jak pszczoły.

Dotarli wreszcie do szczytu - niewielkiej platformy skalnej - najwyższej części góry Zamak Spayenya. Kredowa skała opadała w dół we wszystkie strony i aby się tu dostać, bandyci musieliby wspiąć się po otwartym zboczu, tak jak przed chwilą Gerlach i Kwetłaj.

Obaj uciekinierzy ciężko usiedli i wyrównali oddech. Budzący się dzień był już znacznie

jaśniejszy i światło padało na nich niosąc ze sobą srebrzystą poświatę. Wiał delikatny poranny wietrzyk. Roztaczał się przed nimi widok na wiele lig wokoło. Gerlach nie widział jednak żadnego znaku życia za wyjątkiem, unoszonego ciepłymi prądami powietrza, kołującego wysoko orła.

Obaj bardzo uważnie trzymali straż i często wychylali się poza krawędź półki. Kilku Kulów próbowało wspiąć się za nimi, ale zniechęcili ich szybko, rzucając w nich kamieniami i strzelając z łuku. Czas jednak działał na korzyść barbarzyńców. Wszystko, co musieli teraz zrobić to cierpliwie czekać. Już w tej chwili było bardzo ciepło. Letni skwar zamieni wkrótce odkrytą półkę w prawdziwą patelnię. Bez wody i odrobiny cienia, bez żadnej możliwości ucieczki, obaj mężczyźni nie powinni wytrzymać zbyt długo. Przez jedną krawędź platformy można było zobaczyć chłodny, ocieniony basen w samym sercu skały, tam gdzie pozostawili swoje konie. Patrzyli na lustro wody. Była to udręka, jako że połyskiwało obietnicą zakończenia ich męki pragnienia.

Srebrzysty świt zmienił się w jasny, oślepiająco biały poranek. Nasilający się południowy gorąc wyciskał z nich ostatnie poty. Byli już tak otępiali, że jedna próba osiągnięcia przez Kulów skalnej półki prawie się powiodła. Gerlach w ostatniej chwili zdołał strącić kjazaków w dół za pomocą drzewca sztandaru używając go jako improwizowanej włóczni.

Parzące powietrze wcale nie robiło się chłodniejsze, gdy długi dzień przechodził z wolna w popołudnie. Gerlach obserwował pasemka chmur żeglujące nad głową. Nie niosły one żadnego ukrytego znaczenia, nie kojarzyły się z niczym zupełnie. Powrócił natomiast, płynący wolno w przestworzach orzeł, teraz trochę bliższy, kołujący dokładnie nad nimi. Niedługo po nim pojawiła się chmura w kształcie pierścienia czy też kręgu.

- Krug - odezwał się Kwetłaj. Usta miał zupełnie wysuszone. Patrzył na płynącą powoli chmurę.

Gerlach zerwał się na nogi.

- Szto, Webla? - zapytał go Kwetłaj przypuszczając, że oto nadchodzi kolejny atak Kulów. Heileman powoli przepatrywał horyzont, obracając się dookoła. To musiało być... to musiało być...

Dazh nie wysyłał ludziom znaków bez powodu.

Maleńki błysk na północnym zachodzie. Na samym krańcu widzianego z góry świata.

- Kwetłaj! Spójrz tam! - wskazał rajtar gdy chłopak również się podniósł. Ich poruszenie na skalnej półce sprowokowało łuczników do działania i w górę pomknęło kilka strzał.

Kislevita zdawał się nic nie widzieć, ale Gerlach był pewien swego. Błysk słonecznego światła na srebrnej powierzchni. Ale niezwykle daleko i zdaje się odchodzący w dal.

Porwał ze skały sztandar i wznosił go tak wysoko jak tylko zdołał, trzymając w obu dłoniach końcówkę drzewca i kołysząc nim na boki tak, że tkanina łopotała i rozwijała się w powiewach wiejącego wysoko wiatru. Był to ogromny wysiłek i co chwila musiał opuszczać swe brzemię, żeby dać odpocząć ramionom i rękom. Za każdym razem jednak, wznosił sztandar z powrotem i wściekli Kulowie wysyłali w ich kierunku grad strzał i obrzucali przekleństwami i wyzwiskami. Kilku znów zaczęło wspinać się do góry by dotrzeć na skalną półkę. Gerlach powiewał sztandarem niczym rozbitek stojący na piaszczystym atolu i starający się zwrócić na siebie uwagę przepływającego obok statku. Wcześniejsze spostrzeżenie Gerlacha, że step przypomina morze traw i ludzie żyją tu jak wypiarze zdawało się być w obecnej sytuacji bardzo udatne.

Nie było już widać odległego błysku, tak jakby zniknął, albo nigdy go tu nie było. Jak ułuda wywołana światłem lub przywidzenie.

W tym momencie Kwetłaj zawołał coś po swojemu i wskazał podekscytowany. Kropka. W rzeczywistości to nawet kilka kropek. Linia kropek poruszająca się płynnie w ich stronę.

Gerlach wybuchnął radosnym śmiechem i z większym jeszcze wigorem jął wywijać w górze sztandarem roty.

Kropki przeistoczyły się w kształty. Kształty zmieniły w jeźdźców. Galopujący konni, ponad pięćdziesięciu, wszyscy zakuci w srebrzyste zbroje. Zza pleców sterczały im wysokie skrzydła.

W pewnym momencie, gdy husarze zbliżyli się już znacznie, napastnicy też ich dostrzegli. Z dołu, ze zboczy poniżej skalnej półki, dobiegły gorączkowe okrzyki, a potem głosy Kulów zaczęły oddalać się jeszcze niżej. Do czasu, gdy rota dotarła do skały Zamak Spayenya, banda łupieżców uciekła, poganiając swe niewielkie koniki na wschód, w otwarty step.

Gerlach i Kwetłaj zleźli ze skalnej platformy, przez większość drogi, po prostu zsuwając się po stromym zboczu. Pozbierali to, co pozostało z ich podróżnych sakw i przedmiotów pozostawionych uprzednio w jaskini i porzuconych w pośpiechu przez wojów z Północy. Potem zeszli w dół, w cień basenu wypełnionego deszczówką. Saksen i koń Kwetłaja, zniknęły, ale zanim tak naprawdę zaczęli się tym martwić, obaj mężczyźni rzucili się do sadzawki by ochłodzić swe spieczone, wysuszone ciała i zaspokoić pragnienie.

Wyłonili się z wąwozu w światło słońca. Ich konie pasły się spokojnie, wyskubując rosnącą pomiędzy głazami trawę u stóp skały. Musiały zostać wyprowadzone przez Kulów, albo też od nich uciekły i właśnie wróciły. Kiedy usłyszały łomotanie zbliżających się kopyt zaczęły strzyc uszami.

Pojawiła się rota, jadąca dookoła urwistej ściany Zamak Spayenya. Prowadził ich rotmistrz Beledni. Kwetłaj zaczął krzyzczeć i rzucił się na ich spotkanie, kiedy ściągnęli wodze i stanęli.

Gerlach wziął głęboki oddech, wzniósł do góry sztandar i ruszył za nim.

X

Wszyscy husarze z rotmy Beledniego milczeli. Kwetłaj był zdziwiony. Nie bardzo wiedział, o co właściwie chodzi i dlaczego rotmistrz Beledni, patrzy tak jadowitym wzrokiem, na przybysza zwanego Webla.

Rotmistrz zsiadł z konia i ruszył ku Gerlachowi. Podszedł do niego Kwetłaj i zaczął coś prędko mówić po kislevicku. Beledni zignorował go zupełnie i nie zatrzymując się podążał długimi krokami w stronę Gerlacha. W tym momencie chłopak powiedział coś co sprawiło, że rotmistrz zatrzymał się nagle, odwrócił i wyrzucił z siebie serię prędkich pytań.

Beledni w końcu uciszył uniesieniem ręki zapamiętałe odpowiedzi Kwetłaja i odwrócił się ponownie w stronę Heilemana. Stali teraz twarzą w twarz w jasnym świetle popołudnia. Słychać było bzyczące dookoła nich muchy i silny stepowy wiatr, szeleszczący w długiej trawie. Gerlach przekazał Beledniemu sztandar. Ten przyjął go i trzymał u swego boku, podtrzymując lewą ręką.

- Webla ukradł sztandar rotmy - powiedział wreszcie. Jego schowane za wizjerem szyszaka oczy były ciemne i niebezpieczne.

- Tak - odpowiedział Gerlach.

- Webla ukradł sztandar rotmy by rota pojechała za nim.

- Tak rotmistrze.

- Pojechała by odnalazła pułk. By odnalazła wojnę.

- Tak rotmistrze.

- Nawet, mimo że rotmistrz Beledni powiedział niet.

- Iha, rotmistrze.

Tak naprawdę nie były to wcale pytania. Zdawało się, że Beledni chciał by wszystko było zupełnie jasne. Zerknął przez moment w górę, na łopoczący sztandar, a potem zwrócił ponownie spojrzenie na twarz Gerlacha.

- Webla uratował Kwetłaja od kżajaków.

- Tak naprawdę, to obydwaj uratowaliśmy się nawzajem, rotmistrzu.

- Kwetłaj jechał, aby wygonić z ciała chorobę. Nie powróciłby nigdy, gdyby Webla nie pomógł z kjazakami.

Gerlach wzruszył ramionami.

- Kwetłaj znalazł pułk w Zojszenk.

- Co?

- Kwetłaj jechał nazad by powiedzieć to rotmistrzowi Beledni.

- Ja... ja nie miałem o tym pojęcia rotmistrzu.

Beledni przytaknął.

- Jeczyczowska rota pojedzie do Zojszenk - stwierdził pokrótce. Powolnym ruchem zwrócił sztandar Gerlachowi i powrócił do swojego konia.

XI

Po trzech dniach jazdy na południe dotarli wreszcie do targowej osady Zojszenk. Była ona większa od Leblji i Duszyki, większa od Zedewki i Choiki razem wziętych. Było tu wielkie targowisko inwentarza. Samo miasto spoczywało na krawędzi wielkiej trawiastej równiny na brzegach szerokiej i głębokiej rzeki zwanej Tobol. Tobol spływała z jakichś odległych gór wewnątrz stepu, a okolica Zojszenk była porozdzierana pasmami skalistych wzgórz i gęstymi lasami.

Jadąc po uzdrowienie, i wypacając z siebie truciznę i trawiącą ciało gorączkę, Kwetłaj trafił do osady przez przypadek i znalazł tu zgrupowanie Sanizańskiego pułku. Poprzez miesiące, które nastąpiły po rzezi pod Zedewką, rozbite fragmenty Kislevskiego pułku zbierały się w Zojszenk, a nie w Leblji, ze względu na zagrożenie jakie niosła ze sobą łupieżcza armia kjazaków, pałętająca się na północy.

Stanica była przepełniona żołnierzami. Zebrało się tu prawie siedmiuset wojów - trzy inne rotty husarzy, kilka zgrupowań łuczników konnych, kompanie pieszych toporników i pikinierów, wraz z prymitywną zbieraniną partyzantów i pospolitego ruszenia. Były tu także elementy z kilku Imperialnych kompanii pikinierów, które uciekły spod Zedewki i dotarły tu, by walczyć pod sztandarami pułku. Połączywszy swe siły, razem stworzyły jeden pełny regiment. Pułk Sanizański - armia złożona z rekrutów i oddziałów pochodzących z tej właśnie części województwa - dowodzony był przez Bojara Fjodora Kurkosk, kuzyna samej Carycy.

Posiłki i kolejne oddziały, takie właśnie jak rota Beledniego, wciąż przybywały. Wysyłano zwiadowców by ci odnajdywali kolejne rozrzucone po stepie fragmenty pułku i sprowadzili nowe oddziały z sąsiednich regionów. Plotka głosiła, że pułk Uskowicki, armia o znacznie większej sile, był już w drodze, by połączyć swe siły z pułkiem Sanizańskim. Z tak potężną potęgą Bojar powinien ruszyć na południe, być może nawet do samego Ostermark i zaatakować hordę Kurhanów. Do końca lata, a być może na początku jesieni, powinni zetknąć się z przeciwnikiem, a kto wie, może w tym czasie, będą wypędzać go już z Reiku?

Wreszcie po długiej przerwie Gerlach otrzymał kolejną szansę by bić się za swoją ojczyznę, szansę, za którą jeździł od wiosny.

Ale Sigmar - a może Dazh - miał w stosunku do niego inne plany. W momencie, gdy rota dotarła do Zojszenk, Gerlach był już bardzo chory.

XII

Nikt nie potrafił stwierdzić, jakie cholerstwo znajdowało się na grocie strzały Kula, a to, że pozostawał on w ramieniu Gerlacha przez ponad dzień, w jątrzącej się ranie, jeszcze pogorszyło sytuację. Borodyn zdołał go wydobyć z pomocą rozgrzanego w ogniu noża, ale rana była zanieczyszczona. Gerlacha zmogła gorączka, a przedramię napuchło tak bardzo, że nie był już w stanie, dłużej nosić zbroi na tej kończynie. Pomimo tego, że stawał się coraz słabszy, niósł sztandar roty do samego Zojszenk. Witalij i Waja byli zaniepokojeni tym, że może w każdej chwili zsunąć się z siodła Saksena i zasugerowali by Maksym przejął jego brzemię.

Kiedy tylko dotarli do osady, Heileman został przeniesiony do jednej z zamienionych na pułkowe koszary stodół. Ułożono go na wypchanym sianem sienniku. Ciało dookoła rany zaszło czernią. Rozchodził się stamtąd smród. Rajtar zapadł w niespokojny sen i nie odzyskał przytomności przez kilka kolejnych dni. Borodyn, Waja, Witalij i Kwetłaj czuwali przy jego pośłaniu na zmianę, wlewając mu za pomocą łyżeczki wodę i kleik w rozchylone usta, zmieniając opatrunki i smarując ranę balsamami z ziół odciągających truciznę.

Sny zrodzone gorączką, przepływały przez umysł Gerlacha, niczym chmury ponad stepem. W jednym z nich, przychodzili do niego starszy brat z ojcem, obaj odziani w pełne płytowe zbroje Zakonu Czerwonej Tarczy, ale żaden się do niego nie odzywał. W innym, leżał bezbronny pośród pętającej go i wiążącej do ziemi długiej trawy i patrzył na płonący

Talabheim. Potem biegł w otwartym stepie spowitym ciemnością nocy i starał się schwytać białego konia, który wciąż pozostawał poza jego zasięgiem. Z nocnych ciemności wynurzyła się gorejąca gwiazda ciągnąca za sobą dwa długie płomieniste ogony. Leciała prosto na niego. Z jej ognistego środka, patrzyło na niego niebieskie oko, otoczone pierścieniem wijących się węży.

W majakach zaczął się bać. Jego pogrążony we śnie umysł przypomniał, że on i Kwetłaj nie mieli czasu by oślepić wrogów zabitych na skale Zamak Spayenya. Upiory, dusze umarłych, wolne w ciemnościach poza granicami życia, widziały go i nadchodziły by zagarnąć jego duszę. Krzyczał tak głośno, z takim przestraszaniem, i tłukł dookoła rękami tak bardzo, że Waja i Witalij musieli go obezwładnić, bojąc się, że porani się jeszcze bardziej.

Po dziesięciu dniach śmiertelna gorączka zelżała. Gniewne drgawki opuściły ciało Gerlacha i obudził się raptownie, zupełnie przytomny. Zanim ponownie zapadł w drzemkę zdążył się napić wody i posiorbać trochę rosołu. Potem znów ogarnął go głęboki, lecz tym razem spokojny sen. Borodyn obwieścił, że Gerlach wyliże się z tego i jednak będzie żył.

I rzeczywiście przeżył ale jego powrót do zdrowia był niezwykle powolny. Minał kolejny tydzień zanim zupełnie odzyskał kontrolę nad ciałem i dwa następne zanim mógł wreszcie usiąść bez pomocy. Był jednak straszliwie słaby, wychudzone ciało przywarło mu do kości.

Po upływie miesiąca od kiedy przyjechali do Zojszenk, mógł już powoli i krótko spacerować. Przyszli do niego Maksym i Beledni. Obaj wyglądali na niezwykle poważnych i byli lekko speszeni.

- O co chodzi? - zapytał.

- Beledni potrzebuje twojego przyzwolenia, Webla. - odezwał się rotmistrz.

- Przyzwolenia? Do czego?

- Dla Maksyma. Żeby niósł sztandar rotty - odpowiedział Beledni.

Maksym skinął nieznacznie, z szacunkiem, głową.

- Czemu?

- Bojar wydał rozkaz. Pułk musi iść dalej.

- To wspaniale! Wspaniale! Pozbieram się prędko i...

- Niet, Webla. - Gerlach nawet nie zauważył, że w cieniu, za husarzami kryje się jeszcze Borodyn. - Jeszcze nie masz na tyle siły by chodzić swobodnie po tym pokoju nie mówiąc już o wsiadaniu na konia. Nie możesz jechać. Nie przeżyłbyś jednego dnia w siodle.

Gerlach wściekle potrząsnął głową.

- Jest tak, Webla. - cicho przytaknął Borodynowi rotmistrz. - Beledniemu przykro. Nie możesz jechać.

Gerlach odwrócił głowę okrutnie rozczarowany. Wiedział, że mają rację.

- Proszę, daj Beledniemu przyzwolenie dla Maksyma, by niósł sztandar roty - powiedział rotmistrz ściszym głosem.

- Daję mu przyzwolenie - odparł Gerlach.

XIII

Pułk wyruszył o świcie następnego dnia. Gerlach zdołał dotrzeć do drzwi stodoły, by móc przyjrzeć się, jak armia wymaszerowuje z miasteczka. Bębny i rogi grały, kiedy równe szeregi wojska wymaszerowywały idąc ulicami i można było je jeszcze dosłyszeć na długo po tym, jako echo niosące się po południowych dolinach.

XIV

Gerlach walczył by przywrócić swojemu ciału dawną kondycję. Pożerał wszystko, co tylko mógł, aby odbudować siłę i ćwiczył żeby przywrócić mięśniom i kończynom dawną ruchliwość. Trzy tygodnie po wymarszu pułku był już na tyle silny, by normalnie chodzić i jeździć na koniu. Zdawał sobie sprawę, że ma się to nijak, do jego wcześniejszej kondycji i wytrzymałości, ale to musiało na razie wystarczyć. Zebrał swoje rzeczy, wystarał się o zapasy na drogę i przygotował by podążyć na południe, śladem pułku.

Było już późne lato - gorące i leniwe. Dni ciągnęły się niemiłosiernie, a ziemia wyschła na wiór i pokryła pyłem. Pasterze z Zojszenk, zabierali teraz swe stada wyżej na wzgórza, w poszukiwaniu pastwisk pokrytych świeższą trawą. Zaczęli się też zjeżdżać rolnicy z gospodarstw położonych na południowym wschodzie wiozący ze sobą świeżo zebrane zboże i inne ziarna. Rzeka Tobol była tak wysuszona letnimi upałami, że jej koryto zmieniło się w suchy, szeroki trakt, na którego dnie lawirował słaby strumień. Wszędzie dookoła wysuszona słońcem trawa, rozbrzmiewała świergotaniem koników polnych.

Wtedy właśnie powrócił do Zojszenk pułk.

XV

Armia dowodzona przez Bojara zawędrowała tak daleko na południe, że dotarła do Predeszynji, dwa razy w trakcie podróży ścierając się z bandami najeźdźców. Przy Predeszynji spostrzegli ogromną horde najeźdźców, trzykrotnie, a może nawet czterokrotnie przewyższającą ich liczebnością. Bez wątplenia były to połączone siły kilku band, pod wodzą jakiegoś znacznego Wielkiego Zara. Pułk odszedł wzdłuż biegu rzeki Toboł by uniknąć całkowitego zniszczenia i czekał na przybycie posiłków w postaci pułku Uskowickiego. Te jednak nie nadeszły. Czy pułk został zniszczony, czy też coś zatrzymało go po drodze, ludzie z Sanizańskiego pułku tego wiedzieć nie mogli. Bojar postanowił by poczekać jeszcze dwa dni, ale w tym czasie przeciwnik wykonał swój ruch. Wiele band, znaczna część hordy Wielkiego Zara, zaatakowała pułk poprzez wyschnięte koryto rzeki. Mogło zakończyć się to prawdziwym nieszczęściem, ale pułk był doskonale przygotowany. Bitwa trwała przez jakieś pięć godzin i zakończyła się przed zmrokiem. Wtedy to Kurhani rzucili się do ucieczki, pobici i z wielkimi stratami zadaniymi przez wytrzymałych Kislevitów. Ucieczka dała Bojarowi chwilę czasu potrzebną na wycofanie się w niezmiernie przestrzeń stepu, zanim cała horda nie przegrupowała się i nie uderzyła na nich swą potęgą.

Przez pewien czas byli ścigani, ale dzięki większej ilości konnych oddziałów niż Kurhani, pułk pozostawił wreszcie prześladowców za sobą.

Fjodor Kurkosk po naradach ze swymi dowódcami został zmuszony podjąć ciężką decyzję. Lato zbliżało się ku końcowi i niezapowiedzianie nadejście nieprzyjemna pogoda jesieni i zimy. Pułk powinien się rozjechać, a kompanie i oddziały, z których się składał, wrócić do swoich wiosek i osad na zimę. To dawało im czas na uzupełnienie stanów i zaopatrzenie. W tym czasie można też było zebrać większą ilość pospolitego ruszenia i otrzymać posiłki z okolicznych regionów. Kurkosk nakazał, by Sanizański pułk zorganizował się ponownie w Zojszenk zaraz pod koniec zimy, najlepiej, jak tylko chwyci odwilż. Jeżeli wszystko się powiedzie powinien być dwa, a może nawet trzy razy liczniejszy niżli w obecnej chwili. Przy odrobinie szczęścia będzie to tylko jeden z pułków dowodzonych i zebranych razem w okresie zimowym przez Bojara i jego oficerów.

Husarze Beledniego zmierzali w step - do Jeczyczy. Do domu.

- Pojedziesz Webla, iha? - radośnie zapytał go Witalij.

Gerlach nie miał wielkiego wyboru. Raczej nie mógł skierować się na południe samemu, pełno było tam nieprzyjaciół. Nie uśmiechała mu się też wcale perspektywa pozostania w tej pasterskiej osadzie przez całą zimę. Jakby nie było Zojszenk było miejscem, w którym jego nadzieje padały w gruzach i miał go już serdecznie dość.

Pojedzie razem z rotą do Jeczyczy. Nawet, jeśli będzie miał nieprzyjemne uczucie, że

ucieka jak pies.

Chamon Dharek

I

- Daj mi zwierciadło - głos Karla zabrzmiał jak uderzenie bata.

- Zwier...?

- Odbijające szkło - wyjaśnił Karl - Wiem, że posiadasz jedno. Widziałem jak używasz go w czasie tych idiotycznych obrzędów.

Chegrume przez moment spoglądał na niego gniewnie. Potem sięgnął do swej czarodziejskiej sakwy, zszytej prymitywnie z kawałków skór i futer.

- Nie jest po to by się w nim przeglądać. Służy by przez nie widzieć. Tylko czarodzieje powinni... - szaman urwał i wzruszył ramionami. - Być może ktoś taki jak ty ma prawo też go używać.

Wyciągnął z sakwy cenne zwierciadło i wyciągnął do Karla, trzymając je w kościstych palcach o długich paznokciach.

Karl wziął je. Był to nieregularny kawałek posrebrzanego z jednej strony szkła, osadzonego w przypominającej łyżkę, rękojeści z drzewa figowego. Podniósł zwierciadło do góry i spojrzał.

Po raz pierwszy, od czasu wymarszu z garnizonu z Vatzl, widział swoje odbicie. Zdawało mu się, że od tej chwili, minęły już całe lata. Jednak z drugiej strony, nie patrzył już na niego Karl Reiner Vollen.

Kula z rajtarskiego pistoletu ugodziła go w zewnętrzną krawędź łuku brwiowego, tuż nad lewym okiem. Kość została strzaskana i cały fragment twarzy, od brwi w dół policzka, przemienił się w okropny i nierówny, pokryty strupami kawał mięsa. Był różowo białawy z czarnymi kropkami od strzelniczego prochu, ale teraz, tydzień po bitwie, opuchlizna zaczęła już schodzić.

Rana zniszczyła lewe oko. Ból wciąż pulsował w pustym i martwym oczodole. Czuł bolesne klucie w czaszce ponad okiem. Chegrume oczyścił ranę i zmasakrowany oczodół za pomocą gorącego żelaza i swoich ziołowych tynktur. Prawdopodobnie w ten sposób ocalił Karlowi życie, uchronił go od zakażenia krwi, ale jego oblicze nie nadawało się już do jakiegokolwiek naprawy.

Karl wpatrywał się w swoją twarz przez długi czas. Był nieogolony i miał brudne zęby. Jego czarne włosy były teraz tak długie, że cały czas, nosił je związane z tyłu. Trzy niebieskie kropki piętna Zara Uldin wyglądały jak bardzo stare, niewielkie siniaki na prawym policzku.

Był świadomy faktu, że wszyscy Kurhani, których napotykał na swej drodze od momentu zranienia, zdawali się obdarzać go odrobiną strachu, czy może zrozumienia i odwracali wzrok kiedy tylko znalazł się w pobliżu. Wydawało się to dość dziwne zważywszy na to, że byli przecież przyzwyczajeni do koszmarnych obrażeń i okaleczeń. Ale nie okazywali mu obrzydzenia.

Patrząc teraz w zwierciadło, doskonale zdał sobie sprawę, co tak bardzo ich przerażało.

Miał tylko jedno oko. Jedno niebieskie oko. Żeby jeszcze pogorszyć sprawę, niezacieralne oparzeliny od prochu upstrzyły jego twarz liniami, przechodzącymi dookoła i przez zdrowe oko. Linie były pokręcone i wyglądały jak węże.

Pojedyncze błękitne oko otoczone wijącymi się węzami. Nic dziwnego, że nikt nie chciał spojrzeć mu prosto w twarz.

Oddał zwierciadło Chegrume.

- Powinieneś być pozwolić mi umrzeć - powiedział mu na końcu.

II

Horda Wielkiego Zara Surtha Lenk zmiażdżyła armię Imperium broniącą Aachden. Było to zwycięstwo godne odnotowania. Miasto padło niedługo później i wiele setek jego mieszkańców, wraz z jeńcami pochwyconymi w czasie bitwy, przeszło w ręce mistrza niewolników Skarkeetaha. Uldin, Blayda, Herfil i jeszcze sześciu innych zarów zabili wystarczająco wielu wrogów by usypać kolejny kopiec z czaszek.

Chegrume wyrzył kolejny znak zwycięstwa na policzku Zara Uldin. Był to już czwarty po tej stronie.

Potem Uldin zebrał swój oddział na ucztę zwycięstwa - w rzeczy samej wszystkie bandy z hordy Wielkiego Zara świętowały wiktoryę. Później podzielią pomiędzy siebie łupy. Ukutych zostało wiele nowych obręczy.

Niedaleko leżał Wolfenburg. Uldin pragnął tam właśnie, zdobyć swą piątą bliznę na policzku, zanim jeszcze ostatnia, nie zdąży się zabliznić.

III

Lewą rękę Karla-Azytzeen opasały teraz obręcze od łokcia aż do nadgarstka i trzy kolejne lśniły już na prawym ręku. Kiedy wydobrzeł już na tyle by mógł chodzić, Uldin powiódł go na błotniste pole poza ruinami Aachden i zaproponował, by wybrał sobie jednego ze schwytanych po bitwie koni.

- Zatrzymam tego, którego miałem do tej pory.
 - Przecież on jest mizerny Karlu-Azytzeen. Stary i połamany.
 - Ale służy mi mimo to. Nic nie jest w stanie go powstrzymać. Nie chcę się go pozbywać.
- Uldin wzruszył ramionami. Nawet zar unikał patrzenia bezpośrednio w jego twarz.
- W takim razie powinienes nadać mu jakieś imię.

Kurhani pozbawieni byli sentymentów. Nadawali rzeczom i zwierzętom imiona dopiero wtedy, gdy okazały się przydatne i ważne. Większość koni pozostawała bez imienia dopóki nie poniosły swych właścicieli w jedną przynajmniej bitwę.

- Nie potrzebuje imienia. - odrzekł Karl - Jest już stary i przeżył tyle lat bez imienia. To po prostu mój koń.

Po tym szorstkim stwierdzeniu, ludzie z bandy, zaczęli zwać jego starego wierzchowca, Koniem Karla-Azytzeen.

- Należy ci się też część zdobycznego złota - poinformował go Uldin.
- Złoto nie ma dla mnie żadnej wartości. Dajcie mi porządne futro i siodło. Niech mnie piorun strzeli, jeśli jeszcze raz będę walczył z konia włócznie nie mając oparcia w strzemionach. I potrzebny jest mi porządny miecz.

Wszystkie rzeczy, których zażądał przyniesiono mu z rozkazu zara w ciągu godziny. Porządne siodło z mosiężną uprzężą, okrągłe ostrogi, które Karl niezwłocznie przytwierdził do ciężkich butów, mięsiste, brązowe futro z niedźwiedzia i sporą broszą służącą do jego zapięcia. Brosza wykonana została ze scytyjskiego złota i przedstawiała skaczącego konia o długim grzbiecie.

Sam Uldin ofiarował Karlowi miecz. Był to pałasz pięknej roboty, wykuty nie z żelaza, a ze stali. Miał prosty jelec i uchwyt pozwalający na posługiwanie się nim oburącz.

Karl wziął osełkę i ostrzył go do momentu, kiedy był już tak ostry, że można było nim odciąć gałąź z drzewa, dowolną krawędzią.

Było późne lato, okres roku, który kiedyś Karl lubił najbardziej. Pogoda była piękna, panowały upały, a kraina - przynajmniej tam gdzie nie dotknęła jej liczna horda Wielkiego

Zara - zieleńiła się i pokrywała ją bujna roślinność.

Tłumne zastępy pozostawiły Aachden by zgniło i ruszyły na Wolfenburg.

IV

Wolfenburg, wspaniałe miasto ulokowane na straży północnych marchii Ostlandu, leżało u podnóży Gór Środkowych, pomiędzy niezmiernymi ostępami leśnymi. Nawet w czasie letnich upałów góry były bardzo ponure a ich wierzchołki pokryte białymi czapami śniegu. Przeogromne granatowoczarne szczyty, spowite chmurami, zdominowały cały horyzont.

Samo miasto było fortecą prastarej konstrukcji. Spoczywało na wzgórzu ponad zakrętem rzeki. Było doskonale bronione przez pierścień zewnętrznych murów i wysokie, wewnętrzne ściany niezwyklej grubości. Bramy zostały zamknięte na głucho na wieść o zbliżających się zastępach nieprzyjaciela. Wielkie połacie lasu za murami zostały niedawno wycięte i oczyszczone by nie zapewniły atakującemu wrogowi ochrony i by uzupełnić zapasy drewna na opał w samym mieście.

Pierwsza banda, która dotarła do miasta rzuciła się do pospiesznego szturmu na bramę i południowy mur. Odparto ich bez większego trudu. Atakujący ponieśli przy tym bardzo dotkliwe straty od gradu strzał, armatnich kul i wrzącego oleju lanego przez otwory znajdujące się w murze ponad bramą.

Główna część hordy dotarła niebawem i rozłożyła się obozem dookoła miasta. Wycinano coraz więcej drzew, ogromne ich ilości, tym razem za pomocą toporów. Drewno było paliwem dla obozowych ognisk i zostało też użyte do budowy dużych, ruchomych tarcz pchanych przed nacierającymi. Pozwalały one łucznikom Kurhanów nękać obrońców i zasypywać blanki i machikuły, strzałami z krótkich, zakrzywionych łuków. Kiedy na miejsce dotarły wozy z zaopatrzeniem, wypróbowano stare, lecz wciąż mocne balisty, trebuszety i katapulty należące do hordy. Balisty - będące ogromnymi kuszami - miały w stronę murów, wielkie, mające dwa metry bełty, z zakończonego żelaznym grotem drewna. Trebuszety i katapulty ciskały głazami, dociążonymi kulami płonącego siana, butlami gotującej się oliwy i przegniłymi ludzkimi głowami zebranymi z pola bitwy pod Aachden właśnie w tym celu.

Oblężenie rozpoczęło się. Była to z pewnością najnudniejsza forma wojny, z jaką zetknął się do tej pory Karl. Rządziła tu rutyna. Brak było natomiast żywiołowości. Maszyny oblężnicze miały pociski w stronę murów, a z drugiej strony odpowiadały im wystrzały z

dział i samopałów miasta. Strzelały do nich także katapulty, które czasami rzucały w stronę Kurhanów, ich własne pociski. Ciągnęło się to dzień za dniem. Co kilka minut rozlegało się ostre skrzypnięcie, głucho uderzenie albo jęk metalu gdy jedna z maszyn oblężniczych wyrzucała w powietrze swój ładunek. Ciągłe łomotały też bębny.

Wszystkie oddziały musiały cierpliwie znosić, to niekończące się oczekiwanie. Jako konnica odgrywali w oblężeniu mało ważną rolę. To była powolna i metodyczna wojna na wyniszczenie.

Karl często łapał się na tym, że spogląda godzinami w las, na południowy zachód. Nie dalej niż piętnaście dni ostrej jazdy stąd, leżał Talabheim. Dom, do którego nie miał już powrócić, chyba, tylko po to, by zaatakować jego szlachetne mury i podłożyć ogień, mający strawić wieże miasta.

V

Oblężenie zatrzymało się w martwym punkcie i ciągnęło się przez kolejnych dwanaście tygodni. Zdarzyło się w tym czasie kilka niezwykle cennych wybuchów aktywności. Rycerze z Zakonu Srebrnej Góry wraz z piechotą z miejskiego garnizonu dzierżącą dwuręczne miecze wyprawiali się kilkakrotnie poza mury by niepokoić wroga. Jeźdźcy ruszali im na spotkanie. Karl zdobył dwa nowe pierścienie na rękę. Jeden za pieszego żołnierza z dwuręcznym mieczem, który prawie wypatroszył jego konia, drugi za rycerza, którego srebrzysta zbroja posłużyła jako dowód, że nowy pałasz Karla jest bez wątpienia niezwykle ostry.

Kompania Zara Uldin wzięła też udział w większości pieszych szturmów na godnej podziwu wytrzymałości miejskie mury Wolfenburga. Ataki te miały zazwyczaj miejsce o zmierzchu lub o świcie. Osłaniani syczącymi strugami strzał słanych w górę przez łuczników kryjących się za wielkimi, drewnianymi tarczami, wojownicy Kurhanów niosąc ze sobą drabiny, szarżowali na mury. Grupy wojów toczyły ze sobą masywny taran z drewnianego bala. Osłaniały ich rozciągnięte ponad nim na ramach zwierzęce skóry.

Piesze szturmy były bardzo kosztowne. Nawet jeśli taran docierał do bramy zanim obrońcom udało się go podpalić to i tak nie udawało się zrobić wyłomu w grubych i wytrzymałych wrotach. Drużyny wspinające się po drabinach były strącane w dół przez deszcz strzał, głązy i płynną smołę. Ludzie łamali sobie kończyny i kręgosłupy albo ginęli, gdy ich drabiny odpychano od krawędzi muru. Karl został trafiony w lewe ramię beltem z

kuszy, a lewą dłoń poparzył mu, lany z góry wrzący olej. Były to typowe obrażenia i inni członkowie bandy cierpieli od podobnych ran. Diormac stracił ucho. Imperialna strzała przebiła nogę Lyra. Kamień zmiądzzył szczękę Utza. Żył jeszcze przez dwa dni, wrzeszcząc i wyjąc z bólu. Wreszcie Uldin, nie mogąc już tego znieść, podciął mu gardło. Uldin był wyraźnie rozdrażniony zaistniałą sytuacją i otwarcie obwiniał Wielkiego Zara za haniebną śmierć jaką zmuszony był zadać jednemu ze swych jeźdźców. Śmierć poza końskim siodłem. Surtha Lenk nie robił wszystkiego, co było w jego mocy by wreszcie zakończyć to oblężenie, takie przynajmniej krążyło po obozie zdanie. W hordzie zapanowała niezgoda.

Karl wypełniał sobie czas, pomiędzy krótkimi momentami aktywności, pomagając Berlasowi i innym łucznikom z oddziału, w budowie łuków. Był to bardzo skomplikowany proces, jako, że łuki robiono z trzech części. Środkowe łuczysko z drewna klonu lub morwy, które bardzo dobrze przyjmowało klej, laminowano od tyłu zwierzęcymi ścięgami, a od przodu wzmocniano rogiem by wytrzymało naprężenia i duży nacisk. Dla niektórych specjalnych łuków, Berlas używał ludzkich ścięgien i kości. Do środkowej części mocowano potem po obu stronach ramiona łuku i wzmocniano je jeszcze przyklejając wzdłuż nich kości długorogiego wołu. Mocowano potem jeszcze do niego kościane wzmocnienia a cały łuk mocno wyginano w pożądaną kształt i mocowano w takiej pozycji do wyschnięcia. Pozostawiano go tak na całe tygodnie, a jeżeli była taka możliwość, miesiące.

Po tym okresie do ramion doklejało kolejne warstwy rozbitych za pomocą młotka i tworzących włókna ścięgien. Łuk napinano ponownie i pozostawiano by dalej schnął.

Kiedy łuk był już suchy, ostrożnie go podgrzewano i nakładano nań cięciwę. Potem rozpoczynał się proces lekkich poprawek i delikatnego opiłowywania, który miał w końcu doprowadzić do tego, że ramiona łuku zginały się równomiernie nawet przy pełnym naciągnięciu cięciwy.

Karl nie był zbyt dobry w żadnej z powyższych czynności, ale Berlas i tak był bardzo szczęśliwy z jego pomocy. Podawał mu do potrzymania wszystkie części łuku, na każdym etapie produkcji, wierząc, że sam jego dotyk, w jakiś sposób sprawia, iż broń jest poświęcona. Łuki były niezwykle cenne, między innymi dlatego, że tak wiele czasu zabierało ich wytworzenie i była to niezwykle skomplikowana praca. Berlas powiedział mu też, że nie palono ich, ani nie grzebano wraz z poległymi właścicielami tak jak to czyniono z mieczami, zbroją i końmi. Chyba, że były złamane. W innym wypadku byłoby to zbyt wielkie marnotrawstwo.

Kiedy po obozie rozeszła się wieść, że Karl poświęca łuki zaczęli przychodzić do niego inni mężczyźni - czasem z rywalizujących z nimi band - i prosili by dotknął ich broni, grotów

strzał a nawet osełek. Był raczej niezadowolony z uwagi jaką wywoływała jego osoba i z tego co ona dla nich oznaczała, ale nie odmawiał nikomu.

Nauczył się też strzelać z łuku. Podstawowe tajniki opanował będąc jeszcze dzieckiem i bawiąc się zrobionymi przez siebie łukami. Te zakrzywione, używane przez Kurhanów były jednak dla niego prawdziwym objawieniem. Każdy z nich posiadał naciąg, odpowiadający wadze dorosłego mężczyzny, ale był przy tym delikatny i nie cierpiał z powodu szarpnięć przy zwolnieniu cięciwy, tak jak się to działo w przypadku długich łuków robionych z jednego kawałka drewna. Bardzo szybko okazało się, że jest o wiele celniejszy, gdy używa takiego łuku, niż kiedy był chłopcem i strzelał ze zwykłego.

Berlas dopomógł mu jeszcze udoskonalić umiejętności strzeleckie. Poradził Karlowi, by ten zapomniał o pochodzącym z południa sposobie naciągania cięciwy trzema palcami. Zamiast tego Kurhani naciągali ją kciukiem i trzema palcami, które się o niego opierały. Kciuk chroniony był pierścieniem z kości lub miedzi. W związku z tym, Kurhani wypuszczali strzały z prawej strony łuku, a nie z lewej, tak jak było to w zwyczaju w Imperium. Taki zakrzywiony łuk potrafił posłać strzałę na odległość ponad trzystu metrów, ale był tak naprawdę skuteczny w odległości jakichś czterdziestu metrów. Strzelanie do celu bardziej odległego, było według doświadczonego Berlasa, tylko marnowaniem strzał. Co prawda łucznik mógł też strzelać pionowym torem. Musiał jedynie naciągnąć łuk i strzelić do góry, tak, że pocisk spadał na cel z góry, prawie pionowo. W przeciwieństwie do łuczników z Imperium, którzy będąc piechotą mogli swobodnie posługiwać się długimi równymi ich wzrostowi łukami, Kurhani potrzebowali broni, z której mogliby strzelać swobodnie siedząc w siodle. W tym przypadku sprawdzały się jedynie ich zakrzywione łuki o potężnej sile naciągu.

Karl właśnie ćwiczył dosyć akrobatyczne strzelanie z siodła na leśnym trakcie z dala od głównych sił, kiedy nadjechali poszukujący go jeźdźcy. Był czwarty miesiąc oblężenia i rozeszła się plotka, że Wielki Zar strapiony niepokojami i niesnaskami w swych wojskach, miał zamiar wezwać na pomoc potęgę Mrocznych Bóstw by je wreszcie zakończyć.

Jeźdźców było dwudziestu, wszyscy należeli do gwardii Wielkiego Zara. Prowadził ich jeden z olbrzymów z byczymi rogami, wyrastającymi mu obscenicznie wprost z głowy. Podjechał do Karla i podał mu ludzką czaszkę wypolerowaną tak dokładnie, że sprawiała wrażenia jakby zrobiona była z masy perłowej. Azytzeen potrzymał ją przez moment, a potem przywódca orszaku zabrał mu ją z powrotem. Jeźdźcy odjechali za nim szybkim galopem.

Karl zaśmiał się na głos. Teraz nawet Surtha Lenk szukał go, by pobłogosławił jego oręż.

VI

Tej nocy nad Wolfenburgiem pełgało fosforyzujące, widmowe światło zorzy polarnej. Potem nadeszła sroga zimowa burza, wyjąc pośród letniej nocy. Nawałnica była rzeczywiście okrutna. Grube pokłady szronu pokryły okolice, a ciężki lód przyginał do ziemi smagane wiatrem drzewa. Błyskawice uderzały w mury z regularnością kowalskiego młota. Były tak dzikie i nieugięte, że wreszcie pod ich uderzeniami zawaliła się w gruzy baszta bramna.

Kurhani wkroczyli do Wolfenburga drwiąc i wrzeszcząc w niebogłosość, przełamali resztki obrony i wycięli wszystkich ludzi wewnątrz murów w pień.

VII

O świcie, kiedy miasto już płonęło, Uldin wznosił kolejny kopiec czaszek. Jego ludzie spisali się bardzo dobrze i spadła na nich łaska Wielkiego Zara. Kiedy tylko Uldin zrosił kopiec czaszek krwią pojmanego w mieście jeńca, zażądał wyrzucia kolejnego znaku zwycięstwa na policzku. Podszedł do niego Chegrume z krzemiennym nożem, ale zar odesłał go i wywołał Karla-Azytzeen.

Karl wystąpił naprzód i kierując się wskazówkami czarownika przeciął policzek zara. Był to już piąty znak zwycięstwa z tej strony twarzy. W ostatniej chwili odrzucił jednak krzemienny nóż i użył sztyletu Drogo Hanca by rytualnie rozplatać policzek.

VIII

- Idziemy na północ - obwieścił im Uldin. Prawda była jednak odrobinę bardziej skomplikowana. Zaczynała się już jesień i z drzew zaczynały opadać pierwsze liście. Zwiadowcy donosili o pokaźnych koncentracjach wrogich żołnierzy na północy, na granicy kislevskiego stepu. Archaon chciał, by się z nimi rozprawić, a horda Wielkiego Zara Surtha Lenk była najbliżej.

Surtha Lenk wezwał do siebie Zara Uldin i uczynił go Hetzarem, stawiając go na czele

sześciu wojennych band: jego własnej, Zara Blayda, Zara Herfil, Zara Kreyya, Zara Skolt i Zara Tzagz. Jako Hetzar Uldin miał za zadanie ruszyć na północ i wyciąć do nogi dokuczliwego wroga. Był to wielki honor, ale było jasne, że ich grupa została wybrana jedynie z powodu Karla-Azytzeen. Blayda i Herfil byli szczególnie tym faktem rozdrażnieni i nie ukrywali pretensji.

Już po raz drugi tego roku, Karl znalazł się w konnym oddziale podążającym na północ, ku granicom kislevskiego województwa. W mijanej okolicy można już było wyczuć dotyk jesienno-rozkładu, a wszystkie miejscowości, przez które przejeżdżali były albo opuszczone, albo zniszczone przez wojnę.

Powietrze robiło się coraz chłodniejsze i czuć było delikatny zapach dymu i opadłych liści. Poranki niosły ze sobą pierwszy szron, a przez większość czasu dmuchały wilgotne wiatry. Przez ponad dwa tygodnie nie spostrzegli ani żywej duszy w mijanych lasach, pastwiskach, polach i na otwartych łąkach.

Wieczorem, tego samego dnia, gdy przekroczyli rzekę Lynsk, przechodząc w miejscu, gdzie była szeroka i płytka, spostrzegli jakichś konnych, na równinie rozciągającej się poniżej porośniętych lasami wyżyn. Zostawili za sobą, pozbawione liści puszcze południa, a tutejsze lasy były wciąż zielone, pomimo pory roku. Sosny, świerki i inne niezrzucające na zimę liści drzewa, stanowiły tło dla szeregu jeźdźców widzianych w znacznej odległości.

Z początku sądzili, że odnaleźli właśnie pierwsze ślady kislevskiej armii, której szukali i zamierzali rozgnieść. Ludzie prędko szykowali się do bitwy.

Ale jeźdźcy w oddali wcale nie byli Kislevitami. Byli to kozacy, konni bandyci, prawdopodobnie Kule lub Tahmaki, sądząc po wyglądzie. Efgulf wydał pogardliwie wargi w stronę Karla. Jego zdaniem kozacy, a Kule w szczególności, byli szkodnikami i tchórzami.

- To my mamy przewagę liczebną, Karl-Azytzeen - powiedział. - Zapamiętaj me słowa, uciekną na sam nasz widok.

Jednak okazało się, że w tym przypadku włochaty Kurhan pomylił się i to dwukrotnie. Kozacy wcale nie umknęli na widok ich małej armii. I to oni mieli przewagę liczebną.

- Chyba cię właśnie oszwabili, seh, Efgulf - odezwał się jadący z drugiej strony Karla Hzaer.

Konni rabusie zawrócili i jechali z rosnącą szybkością wprost ku oddziałom Kurhanów. Uldin miał pod swoim dowództwem sześć grup, razem prawie czterystu ludzi. Kozacy, choć z początku zdawało się, że jest ich jedynie czterdziestu, szybko przekroczyli setkę, potem zrobiło się ich dwustu, pięciuset... Wylewali się falami spomiędzy drzew i dołączali do stojących już w otwartym terenie kompanów.

Uldin ryknął rozkaz. Hzaer i inni trębacze dobyli ze swych instrumentów niski ton zwiastujący bitwę. Sześciu chorążych wzniosło w górę sztandary. Yuskel dzierżył największy ze wszystkich, sztandar bandy Zara Uldin, składający się z połączonych ludzkich czerepów i jednookiego wilczego łba, został wzbogacony o ogromne poroże łosia z zawieszonymi na nim sznurami ludzkich zębów by zaznaczyć nowe stanowisko Hetzara.

Gromady wojowników natychmiast rzuciły się do ostrego galopu. Ludzie dobywali broni i wznosili okrzyki. Jedni i drudzy łaknęli krwi.

Dwa duże konne oddziały zderzyły się w szalonym pędzie i przemieszały. W górę wzbił się przeraźliwy łoskot, tak jakby przeciwne armie były dwoma zderzającymi się rogami górskimi kozłami. Kozły splątały się teraz swym porożem. Gdy linie szarżujących mas zderzyły się i przemieszały, Karl został otoczony oszalamiającą serią głośnych trzasków, uderzeń i zadawanych ciosów. Cały świat trząsał się i łomotał ogłuszająco. Łamały się drzewce włóczni, kruszyły tarcze, pękały kości. Ludzie byli zmiotani z siodła. Ręka, w której Karl dzierżył miecz, bolała go już od sześciu lub siedmiu uderzeń, które zdążył do tej pory zadać.

Wszystko dookoła wypełniło się ciągłym grzechotem kawałków drewna, odłamków metalu, odgłosem chlapiącego na wszystkie strony błota, kroplami potu spływającymi po ciele i rozbryzgami krwi. Stracili cały swój impet i pęd przy zderzeniu i teraz walka toczyła się w miejscu. Każdy mężczyzna walczył jak rozwścieczony demon, wymieniając ciosy z wrogami, których miał w zasięgu. Karl wiedział, że jego pałasz zabrał życie przynajmniej czterech kozaków, ale cała ta walka była jednym wielkim szaleństwem, przeładowanym, dochodzącymi zewsząd doznaniem i stracił w pewnym momencie rachubę.

Obydwie strony podtrzymywały bitewną furję przez kwadrans, ale po tym czasie kozacy, którzy ponieśli znacznie większe straty, stracili ducha do walki. W ciągu następnych kilku minut wszyscy ci, którzy zdołali się wydostać umykali z równiny w bezpieczne schronienie użyczone przez las. Oddziały Zarów Blayda i Herfil oderwały się od walki i ścigały bez litości uciekających wrogów, zagłębiając się za nimi w las. Pozostała część armii Hetzara przegrupowała się. Ludzie dyszeli ciężko i trzęśli się. Niesamowity wysiłek, jaki włożyli w tę krótką aczkolwiek bardzo zaciętą bitwę sprawił, że wielu wojowników było skrajnie wyczerpanych.

Wielu też było martwych. Zar Uldin stracił czterdziestu jeźdźców ze swej armii, a tuzin kolejnych było poważnie rannych. Kozacy opłacili swą klęskę ponad trzystoma trupami zaścielającymi teraz ziemię.

Kurhani pokrzykiwali i intonowali swe pieśni oznaczające zwycięstwo. Karl podjechał i dołączył do szeregu. Efgulf, krwawiąc z głębokiego cięcia przechodzącego przez pierś,

krzyczał i potrzasał w górze masywnymi pięściami. Hzaer dobył ze swego rogu długie, nieharmonijne dźwięki na znak odniesionego triumfu, pomimo tego, że miecz kozaka pozbawił go małego palca od prawej dłoni. Z każdym jego ruchem z kikuta tryskała krew. Karl-Azytzeen oprócz znaczących go krwi i wnętrzości przeciwników, sam był nienaruszony.

Po dwóch godzinach Blayda i Herfil przywieźli z powrotem swoje grupy pościgowe i dołączyli do świętowania zwycięstwa. Przywieźli ze sobą skalpy i broń do przekucia na obręcze, a oprócz tego wieści. Ponieśli je do Hetzara z wyraźną satysfakcją.

W lesie napotkali oprócz ściganych również innych jeźdźców, zbliżające się oddziały kolejnej hordy Kurhanów. Hordy pod wodzą Wielkiego Zara Okkodaia Tarsusa. Zdradzili im, że na północ od tego lasu, ich zastępy stłumiły wszelkie oznaki oporu i teraz horda zmierzała na południe, by zasilić wielką armię Archaona. Pędzili przed sobą zgrupowanie kozaków, co wyjaśniało, dlaczego konni łupieżcy zaatakowali z taką desperacją. Zaszarżowanie czterystu wojów z północy dosiadających koni, było o niebo lepszym rozwiązaniem, niż danie się zgnieść armii Wielkiego Zara liczącej dziesięć tysięcy ludzi.

Było też coś jeszcze. Okkodai Tarsus pokonał już zastępy Kislevitów, które miał znaleźć i zniszczyć Zar Uldin. Bitwa miała miejsce tydzień temu, na słonych błotach wyschniętej rzeki Tobol, dalej na północ. Nie zakończyła się ona jednoznacznie, ale zażegnała z pewnością, zagrożenie ze strony oddziałów Kislevu. Armia Gospodarów rozsypała się i umknęła w otwarte przestrzenie stepu, zmuszona do odstąpienia, przez samą liczebność wojsk wielkiej hordy Okkodaia Tarsusa.

Przyszła chwala wyrwała mu się z rąk i Uldin wpadł w prawdziwą wściekłość. Nie uśmiechała mu się wcale, wizja powrotu do Wielkiego Zara Surtha Lenka, bez odniesionego zwycięstwa. Ku niezadowoleniu Blaydy i innych zarów zdecydował, że pozostaną na północy i pociągną jeszcze dalej by przekonać się naocznie, czy niebezpieczeństwo rzeczywiście minęło i historie opowiadane przez ludzi Okkodaia Tarsusa są prawdziwe.

Chłodna jesień zmieniała się w tym czasie w zimę, raptownie, w ciągu jednej nocy zaledwie. W powietrzu od jakiegoś już czasu pachniało śniegiem i zaczynały dąć srogie wiatry z północy. Nawet jeśli teraz zawrócili i tak nie było większych szans na to, by udało im się zdążyć przed zimą dotrzeć do Ostlandu i dołączyć do swej hordy.

Jeszcze tydzień zmierzali na północ i potwierdzili na tyle na ile mogli, iż rzeczywiście nie kryła się już w tych stronach żadna Kislevicka armia. Nie napotkali też żadnych śladów hordy Okkodaia Tarsusa, która odeszła na południowy wschód, dokładnie w kierunku stolicy Kislevu.

Kiedy zaczęły się pierwsze opady śniegu, Uldin poprowadził ich na zachód, w dziką, pokrytą wzgórzami krainę, na północ i wschód od Erengradu. Jechali do Chamon Dharek by tam spędzić zimę.

IX

Chamon Dharek było odludnym miejscem, świętym dla Kurhanów. Leżało wysoko w niegościnnym pagórkowatym terenie. Było celem pielgrzymek synów Północy, miejscem gdzie ich dusze mogły zostać namaszczone przez bogów. Tam też horda mogła uzyskać schronienie na zimę i złożyć hołd Wielkiemu Cieniowi z Północy. Tak jak to zwykle bywa, w przypadku świętych miejsc, granica pomiędzy światem śmiertelnych i zaświatami była w Chamon Dharek bardzo cieniutka. Nazwa ta oznaczała ciemność i złoto.

Ich czarownik, Chegrume, był szczególnie podniecony świadomością, że tam właśnie zdążają. Odwiedził już w swoim życiu wiele świątyń, ale nigdy nie był w tym świętym i wspaniałym miejscu na zachodzie. - Siedzicie cudów i tajemnic! - jak sam je nazwał nie mogąc się doczekać kiedy je zobaczy.

Dotarcie na miejsce zajęło im trzy tygodnie. Pod koniec wlekli się ciężko poprzez syjący śnieg, wprost w paszczę zimowych zamieci, które nawiedzały akurat poszarpane wzgórza, do których zmierzali.

W dniu kiedy wreszcie przybyli na miejsce, zamiecie ustały i ponad okrywającym świat białym płaszczem wzniosło się na niebo czerwonawe zimowe słońce. Chamon Dharek leżało w ukrytej dolinie, odcięte od reszty świata. Można się było tam dostać jedynie przechodząc przez wąską gardziel przełęczy. Kiedy przeszli przez bramę strzegącą jej wylotu wielu ludzi zatrzymało się i spoglądało w wielkim zdziwieniu, na rozpościerające się przed nimi święte miejsce.

Jednym z nich był Karl-Azytzeen.

Był to największy Kurhan jaki do tej pory widział w swym życiu Vollen. Przeogromny kopiec usypany z ziemi, górujący nad okolicą, spowity świeżym, białym śniegiem. U jego stóp stała wielka hala zbudowana z kamieni i drzewnych bali, dwa spichlerze i drewniane stodoły, w których stały rydwany i trzymano konie. Mniejsze kształty, prawdopodobnie stojące kamienie, ciągnęły się kręgiem dookoła kopca, ale były zasypane śniegiem do tego stopnia, że nie można było stwierdzić z całą pewnością, czym tak naprawdę są.

Na szczycie prastarego kurhanu paliło się wielkie ognisko nie zważając na padający śnieg i zimny wiatr. Płomienie trzepotały na wysokości przekraczającej wzrost przeciętnego człowieka i zdawały się lizać niebo. Były niebiesko-białe, zdawały się być uczynione z lodu.

Na niebie ponad ogniem stała zorza polarna, trzeszcząca i migocąca, znacząca nieboskłon przedziwnymi wzorami i kolorami.

X

Nie byli pierwszymi, którzy tu przybyli. Dwie inne grupy, mniejsze niż armia Hetzara Uldina, także postanowiły przetrzymać zimowe miesiące właśnie tutaj, uczując i modląc się, w czasie kiedy ziemia skuta była lodem. Jedna składała się z Aeslingów z Norski na zachodzie - wyjątkowo wysokich mężów w nogawicach, kraciastych narzutach i z długimi zakrzywionymi toporami. Druga była złożona z Dolganów - nomadów-wojowników ze wschodnich stepów. Dolani byli spokrewnieni z Kurhanami. W rzeczy samej, w oczach ludzi z północy sami byli Kurhanami. Były pomiędzy nimi różnice, które Karl mógł łatwo spostrzec na pierwszy rzut oka. Ich zbroje i uprząże były lżejsze, głównie koloru wypolerowanej miedzi i złota, tam gdzie Kurhani preferowali poczerniony mosiądz i żelazo. Ich dialekt też się różnił. Nie był niezrozumiały, ale posiadał, tak jak w przypadku Aeslingów z Norski, bardzo mocny akcent.

Ludzie Uldina odprowadzili konie do długich, służących za stajnie stodół i poszli do ogromnej hali. W wielkim budynku, pod niezwykle wysokim, belkowanym sufitem, mieszkali wspólnie wszyscy ci, którzy odwiedzili Chamon Dharek na czas zimy. Nawet pomimo dodatkowych trzystupięćdziesięciu ludzi z armii Hetzara było tu i tak jeszcze nad wyraz dużo miejsca. Ciepłe powietrze gęste było od dymu, zapachu ciał, słomy i wina. Wymizerowane ogary truchtały pomiędzy ławami i porozwijanymi na podłodze posłaniami.

Chamon Dharek miało też oczywiście swoich stałych mieszkańców - sektę kapłanów, która dbała o świątynię przez okrągły rok w imieniu wszystkich plemion z Północy i zajmowała się przyjezdnymi. Ci wojownicy-kapłani bronili świętego miejsca przed atakami, zapelniali spichrze i spiżarnie, brali czynny udział we wszystkich obrzędach i ceremoniach mających tu miejsce. W zamian za ich troskę i gościnność każdy przebywający tu oddział pozostawiał jako daninę część swych wojennych łupów.

Sekta składała się z dość dziwnych ludzi. Wojownicy-kapłani byli potężnie zbudowanymi

mężczyznami, ale resztę stanowiły kobiety i młode dziewczynki. Wszyscy mieli na sobie szaty dorównujące biały, tej noszonej przez Skarkeetaha, a głowy zakryte były wydłużonymi i ostro zakończonymi złotymi hełmami. Spojrzawszy na ich kształt Karl wywnioskował, że wszyscy muszą mieć uformowane przez ucisk, zmienione czaszki, podobnie jak wielkolud Hinn. Hełmy posiadały zrobione z najszczerzego złota przyłbice zakrywające twarze.

Uldin i jego zarowie przedstawili się kapłanom i zapłacili ofiarę z kurhańskiego złota i rzeczy złupionych kozakom. Potem Hetzar spotkał się z przywódcami Aeslingów i Dolganów i wziął udział w zwyczajowym, rytualnym toaście, który miał ich upewnić, że pomiędzy ich kompaniami panuje na czas zimy pokój.

Od chwili, kiedy wkroczył do hali, Karl czuł nieznośne mrowienie. Ostrzegało go ono, że powietrze w budynku całe przesycone jest potężną magiczną aurą. Od tego momentu od razu znalazł się w centrum zainteresowania przebywających wewnątrz ludzi. Wszędzie ściagały go ciekawskie i pełne zrozumienia spojrzenia. Aeslingowie noszący na szyjach grube, nabijane ćwiekami obroże, na znak ich związku z bogiem śmierci Kjornem, byli w stosunku do niego niezwykle ostrożni i chyba trochę nieufni. Zaś Dolgani, którzy zdawali się wiedzieć o wiele więcej o potędze Tchar, traktowali go z wielkim szacunkiem i bojaźnią.

Nawet zwykli kapłani służący w świątyni, którzy rzadko się odzywali i w milczeniu wypełniali swoje obowiązki, zdawali się być uderzeni jego wyglądem.

Pierwszej nocy wszyscy ucztowali, wypełniając halę aż po sufit głośnym hałasem, śpiewami, toastami i śmiechem. Brakowało tylko Chegrume. Czarownik prędko pospieszył do świętej kaplicy i od tamtej chwili nie pojawił się z powrotem. Uldin i inni członkowie bandy również odwiedzili świątynię, a wielu chodziło tam regularnie, co kilka dni.

Pomysł ten nie podobał się Karlowi zupełnie. Był już od dawna przesycony tą dziwną obcą magią i wcale nie chciał poznawać bliżej tradycji i obyczajów, których stał się mimowolnie częścią. Zresztą i tak wolał pozostawać w ciepłej hali, gdyż ostry zimowy mróz mocno dokuczał poranionej części jego głowy.

Uczta była hojna i bogata. W czarach zrobionych z pustych, odwróconych ludzkich czaszek podawano samogon i zaprawione miodem wino. Wnętrza tych makabrycznych naczyń wyłożone były złotem.

- To z wielkiego kopca - wyjaśnił mu Berlas widząc, że Karl przygląda się uważnie czarze. - To naczynia zrobione jeszcze przez Scytów i ukryte pod ziemią w tym kurhanie.

Karl podniósł czaszkę w górę. Należała do człowieka, który był martwy dwa razy dłużej niż istniało wspaniałe Imperium Sigmara.

Przy jednym z biesiadnych stołów niedaleko od niego widział przez gwarną salę Zara

Blayda w jego czarnej, pokrytej ornamentami zbroi, pijącego i śmiejącego się z wodzem Aeslingów. Tam gdzie Uldin i jego ludzie podążali za Tchar, Blayda i jego banda obdarzyli swym zaufaniem boga o skrwawionych rękach zwanego Khar. Kjorn Aeslingów był innym aspektem tego samego demonicznego bóstwa. Obie grupy wojów miały ze sobą wiele wspólnego. Ons Olker, trójrogi czarownik, siedział obok swojego zara. Był to pierwszy raz od momentu, kiedy został członkiem bandy Uldina, kiedy widział go tak dokładnie. Tak jak kiedyś Ons Olker, wykorzystywał każdą okazję, by wpatrywać się w niego nieprzyjawnym wzrokiem, teraz konsekwentnie nie patrzył na niego wcale i odwracał twarz. Tak jak inni obawiał się wyglądu Karla i nie ośmielał się na niego spoglądać. Chociaż Vollen był zupełnie pewien, że z pewnością tego pragnął.

- Jest tu taki jeden, na którego trzeba patrzeć z dłonią na rękojeści miecza - mruknął Efgulf obgryzając baranie mięso z kości.

- Czarownik? - spytał Karl.

Efgulf beknął i grzbietem dłoni przetarł usta, rozcierając tłuszcz po swej okazałej brodzie i wąsach.

- Dokładnie on Karlu-Azytzeen. Ale nie tylko. Jest jeszcze jego przeklęty pan.

- Blayda.

- Blayda. Tak jest, Karl, seh. Blayda. - Efgulf pociągnął łyk samogonu i wyciągnął do tyłu pustą, złoconą czaszkę. Trzymał ją tak, dopóki nie została ponownie napełniona przez jedną z kapłanek w złotej masce.

- Blayda jest bardzo ambitny - włączył się do rozmowy Hzaer.

- A kto nie jest? - zarechotał Berlas.

- On chce pewnego dnia stać się Wielkim Zarem - ryknął swym gardłowym głosem Fegul Jednoręki. - Efgulf, seh, ma rację. Blayda pogardza naszym wodzem pomimo tego, a może właśnie dlatego, że został Hetzarem. Uldin jest teraz przeszkodą na jego drodze.

- On jest niczym - stwierdził Yuskel, chorąży oddziału. - Uldin zabiłby go, poza tym nigdy nie będzie tak dobrym wojownikiem, by wyzwąć do walki naszego Wielkiego Zara.

- Uldin rzeczywiście zabiłby Blaydę w pojedynku - powiedział cicho Karl. - Ale Blayda będzie, seh, walczył wszystkimi możliwymi sposobami.

Ludzie dookoła umilkli i patrzyli na niego, dopóki nie uświadomili sobie, że nie powinni tego czynić i w pośpiechu powrócili z powrotem do jedzenia.

- Mówisz tak, jakbyś go znał lepiej od nas Karl, seh. - odezwał się pierwszy Yuskel.

- Bo tak jest w pewnym sensie. Nasz zar... Hetzar teraz... jest wspaniałym mężem. Wielkim wojownikiem.

Wszyscy wydali z siebie pełen werwy okrzyk i zabębnił pięściami w stół.

- Jest prawdziwym mężczyzną. - kontynuował Karl kiedy hałas ucichł odrobinę. - Blayda jest tylko... jest... słaby. I ten czarownik. Nazaczył mnie swą krwią, gdyż mu przewiniłem.

- Jak przewiniłeś? - zapytał Diormac z pełnymi ustami.

- Stuknąłem go w głowę i przewróciłem tak, że wylądował na dupie - rzucił Karl.

Mężczyźni wybuchli gromkim śmiechem.

- Teraz już cię nie ruszy, Karl-Azytzeen, z pewnością - powiedział Yuskel. - Nie teraz kiedy...

- Yuskel, seh, miał na myśli - wyjaśnił Efgulf - że Ons Olker musiałby na ciebie patrzeć by cię zaatakować, a żaden bękart, szczególnie taki jak on, się teraz już na to nie poważy.

Kompani znów ryknęli śmiechem i załomotali w stół.

- Ons Olker może się na poważyć. Ma wiele do zyskania. Kto z was zastanawiał się kiedyś nad tym, że nasz wspaniały zar został wywyższony, ponieważ jego oddział zawierał człowieka dotkniętego w ten sposób przez sam Tchar? - położył rękę na swym zdrowym oku i powiódł palcami po wypalonych na skórze, kręcących się wężach. Nikt nie zaryzykował spojrzenia na jego oblicze.

- I czym może się stać w przyszłości nasz wspaniały zar z Karlem-Azytzeen u swego boku? To ja jestem realnym zagrożeniem dla Blaydy. Beze mnie Uldin może być z łatwością zastąpiony, na swym miejscu, protegowanego Wielkiego Zara. Ale ze mną żywym i lojalnym Uldinowi, seh...

Karl wznosił swój puchar i łyknął z niego tego.

- A jestem mu lojalny, niech każdy z was się o tym teraz przekona. Dopóki będę żyw, Blayda nigdy nie dostanie swej szansy, by urosnąć w siłę i zwiększyć swe wpływy.

Mężczyźni przytaknęli. Żaden nie miał powodu by zanegować naga prawdę wyzierającą z wywodów Karla.

- Tak więc pomimo tego, że może go to kosztować jego duszę, Ons Olker spróbuje. Zanim przeminie zima. Spróbuje bo wierzy, że jest to winien swemu zarowi i tak właśnie powinien się zachować. Zawsze też może wyjaśnić moją śmierć piętnem krwi, jestem ponoć jego dłużnikiem.

- Będziemy nad tobą czuwać Karlu-Azytzeen - powiedział nagle Efgulf, kładąc rękę na sercu.

- Będziemy - przytaknął mu Berlas i Fegul Jednoręki, czyniąc ten sam gest.

- Czarownik Ons Olker, nie będzie miał szansy, nawet się do ciebie zbliżyć, kiedy będziemy dookoła - zadeklarował Yuskel i wszyscy podnieśli w hołdzie swe czary do góry i

wypili tego, a potem położyli dłonie na sercu.

XI

Później, jeszcze w trakcie tej samej uczty, kiedy ogólna wesołość opadła i zastąpiło ją pijackie odrętwienie, Lyr i Sakondor przywieźli do Karla jakiegoś Dolgana.

- Nazywa się Broka - powiedział Lyr. - Bardzo pragnie odnaleźć ponownie łaskę Tchar, jako, że szczęście ostatnio mu nie sprzyja. Pragnie łaski od Karla-Azytzeen.

Dolga był wielkim mężczyzną, spowitym w złoto i brąz znacznego wojownika. Opadł przed Karlem na kolana. Był bardzo pijany, ale w jego tonie słychać było przerażającą, śmiertelną powagę.

- Przekaż mi łaskę sprzyjającej fortuny, błagam cię Karlu-Azytzeen - powiedział swym ostrym wschodnim akcentem. - Przekaż mi błogosławieństwo Tzeentcha.

- Kogo? - zapytał Karl.

- To imię, pod jakim oni znają Tchar, seh. - szepnął mu Sakondor.

Wszystko to było zbyt osobliwe i dziwne. Karl będąc w centrum uwagi, nagle poczuł się nieswojo. Już miał odmówić i odesłać mężczyznę, ale zmienił zdanie, gdy ten zrobił coś, czego nikt inny, od czasów Aachden, nie ośmielił się uczynić.

Spojrzał bezpośrednio w twarz Karla.

Azytzeen patrzył na niego i po chwili powiedział.

- Sądzę, że Tzeentch będzie teraz dla ciebie bardziej przychylny.

Łzy zebrały się w brązowych oczach Broki. Pochylił się i ucałował z nabożną czcią ciężkie buty Karla, a potem pospiesznie się oddalił.

Kapłanki wciąż jeszcze dolewały wina i przynosiły jedzenie tym, którzy się tego domagali. Większość wojowników-kapłanów gdzieś zniknęła, pozostały tylko kobiety... najmłodsze i najurodziwsze.

- Czy one starają się nas kusić? - rzekł wreszcie Karl.

- Oczywiście - wymamrotał niewyraźnie Efgulf - One nie parzą się tu z własnym ludem. To też jest swego rodzaju świętość. Utrzymują swą populację, rodząc dzieci najwspanialszych wojów, którzy przybywają do Chamon Dharek.

- Rzeczywiście.

- To kolejna rozkosz i błogosławieństwo tego świętego miejsca - zachichotał Berlas.

- Mam zamiar zostać ojcem najwspanialszego wojownika-kapłana! - oznajmił Efgulf - Co wy wszyscy o tym sądzicie?!

- Sądzę, że będzie to z pewnością najbardziej kudłaty kapłan-wojownik, jakiego kiedykolwiek widziało to miejsce Efgulf, seh. - odparł Diormac.

Wszyscy zawyli z radości.

- Myślę, że czas przejść do konkretów, jeśli o to chodzi - zdecydował Efgulf pijąc.

- Najpierw musisz otrzymać swą szansę, seh, Efgulf - zauważył chytrze Yuskel. - One wybierają tylko najlepszych i tych którzy dobrze rokują. Widzę, że upodobały sobie w szczególności jednego z naszej kompanii.

Karl zrozumiał, że Yuskel bez wątpienia to jego ma na myśli.

Odszedł od stołu. Nie dlatego, że nie spodobał mu się omawiany przed chwilą pomysł. Był pijany i w tym stanie wszystko zdawało mu się zbyt odległe. Poszedł dookoła hali, przez dym, przestępując przez leżących, którzy stracili już przytomność. Miał zamiar wydostać się na zewnątrz i trochę oprzytomnieć. Grała muzyka i kilku wojów tańczyło z dziewczynami, podczas gdy ich kompani klaskali i śpiewali.

Idąc tak przez zatłoczoną salę zauważył nagle jakiegoś Kurhana, jednego z ludzi Blaydy, siedzącego samotnie i opartego plecami o kolumnę. Całe wyposażenie miał pocernione dziegiem, ozdobione zawijasami i spiralami, podobnie jak zbroja zara, ale Karl nagle zdał sobie sprawę, że go zna.

- Panie? Panie? To ja!

- Wiem, że to ty Karlu Rainerze Vollen - odparł mu von Margur. - Obserwowałem cię.

Azytzeen usiadł obok rycerza. Von Margur wyglądał na znacznie zdrowszego i był w lepszej kondycji niż ostatnim razem kiedy się widzieli. Wciąż był bez wątpienia ślepy, jego martwe oczy wpatrywały się gdzieś w przestrzeń. Rycerz uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że obaj zmieniliśmy swój los i staliśmy się kimś zupełnie innym.

- Podążasz teraz z kompanią Blaydy, von Margur, seh? - zapytał Karl.

- Widzi we mnie swe błogosławieństwo tak jak Uldin w tobie. Zaoferował mi szansę na ponowne zaznajomienie się ze znaczeniem słów odwaga i lojalność. Miałem wybór: to, albo śmierć. Spostrzegłem, że Tchar czyni niektóre wybory niezwykle prostymi.

- Cieszę się, że cię znów widzę von Margur, seh. - odezwał się Karl.

- W rzeczy samej. Proszę Karl, nie używaj tej mowy psów, tych „seh”, kiedy rozmawiamy między sobą. Jesteśmy ludźmi z Imperium i powinniśmy rozmawiać tak jak na cywilizowanych ludzi przystało.

- Przepraszam...

- Cha, cha - zaśmiał się von Margur - Powinieneś usłyszeć swój głos Karl. Szorstki, wypełniony gardłowymi głoskami i zmięczonymi samogłoskami języka Kurhanów. Mówisz już ich językiem jakbyś się między nimi urodził.

Karl zamarł.

- Mówię przecież językiem naszego ukochanego Reiku... - zaczął.

Von Margur potrząsnął przecząco głową i zahuczał śmiechem.

Gąbki oczne kręciły się bez żadnej kontroli w oczodołach.

- Nie Karl. To ja wysławiam się w Reikspielu. Obawiam się, że ty mówisz perfekcyjnie dialektem Kurhanów.

Karl przysiadł rozluźniony obok rycerza. Był oszołomiony.

- Myślałeś kiedyś o ucieczce? - spytał niewidomy.

- Ja... - Karl pochylił się do przodu, obawiając się, że ktoś może podsłuchać ich rozmowę.

- Oczywiście, że nie. To było głupie pytanie z mojej strony. - ciągnął von Margur - Tchar naznaczył cię zbyt głęboko. To oko. To naprawdę jest coś.

- Jak m... - zaczął Azytzeen. - Tchar odmienił także ciebie panie, tak sędzę - zakończył.

- O tak. Odmienił mnie również - westchnął ślepy rycerz. - Z pewnością odmienił.

Karl wstał i pożegnał się. Musiał wyjść na zewnątrz w chłodne powietrze.

- Dobrze cię znowu widzieć Karl - powiedział na odchodnym von Margur.

XII

Zima mijała bardzo powoli. Wojownicy wypełniali krótkie dni snaniem, siłowaniem się i wizytami w świątyni. Nocami ucztowali i bawili się.

Prawie wcale nie było widać Chegrume. Wyglądało na to, że młodemu szamanowi spodobało się życie we wnętrzu świątyni.

Karl spędzał czas na rozmowach z kompanami i doskonaleniu swych umiejętności w posługiwaniu się łukiem, na śniegu w pogodne dni. Berlas podarował mu wspaniały łuk, jeden z tych, które wykonał podczas oblężenia Wolfenburga. Był on teraz gotowy i mocno napięty. Kiedy zapadała noc dołączał do reszty bandy by ucztować i słuchać snutych przez nich opowieści. Zdarzyło się raz, że Uldin porwał swą historią wszystkich ludzi siedzących w hali. Wpatrywali się w niego w uniesieniu, gdy opowiadał epicką historię o pradawnej bitwie Kurhanów. Kiedy skończył, jego słowa nagrodzone zostały gromkim aplauzem i biciem

pięściami w stoły. Aeslingowie wyśpiewywali smutne, przejmujące sagi. Dolgani tańczyli pełen niebezpiecznych figur, taniec z mieczami.

Od czasu do czasu, kiedy jego umysł zaćmiewała zbyt duża ilość wypitego samogonu, Karl poddawał się zabiegom milczących kapłanek. Nigdy nie widział ich twarzy, ani nie znał imion. Komnaty, do których go prowadziły były ciemne i gęste od odurzającego dymu płonących nasion. Tych samych, których wcześniej używał Hinn, dawno temu, w zrujnowanym mieście, którego nazwy Vollen nigdy się nie dowiedział. Karl budził się potem samotny, w zimnym, pachnącym piżmem, powietrzu poranka. Głowę miał wypełnioną zapamiętanymi momentami ekstazy i pasji.

Niekiedy ucztował też z dolmanami. Przyjmowali go jak brata... nawet więcej niż brata. Traktowali go z niezwykłym szacunkiem i respektem. Opowiadali o swym bogu, Tzeentchu, i o tym, jak rządził poprzez wieczne zmiany. Karl starał się im objaśnić, że jest to dla niego niezrozumiałe i dziwaczne, przez wzgląd na świat, w jakim się urodził i wychował. Żaden z nich, nie wyglądał na przerażonego odkryciem, że jest on, tak naprawdę, synem ich wrogów.

- Wszystko wcześniej czy później się zmienia - powiedział mu kiedyś Broka. - Wszystko bez wyjątku Karlu-Azytzeen. Sposób w jaki odbieramy prawdę zależny jest od naszego punktu widzenia. Nigdy nie powinniśmy trzymać się zbyt mocno prawdy lub wartości, bo to może przesłonić nasz widok prawdy Tzeentcha. Wszystko to, co się zmienia, staje się na tym świecie, jeszcze potężniejsze. To, co kurczowo trzyma się, niezmienione marnieje i usycha, jako, że nie może trwać wiecznie w jednym stanie.

Zdawało się to, dla szczepu nomadów, pędzących z miejsca na miejsce i nigdy nie zakładających żadnego stałego schronienia, być całkiem zrozumiałą filozofią życia. Karl lubił Brokę i towarzystwo dolganów, za ich szlachetność i wolność wyrażania się. Był jednak zaniepokojony, gdy zobaczył po pewnym czasie, a był wtedy mniej więcej środek zimy, że oczy Broki stały się niebieskie.

Kiedy wychodził na zewnątrz, by poćwiczyć strzelanie z łuku, ruszał za nim, co najmniej jeden członek bandy Uldina. Najczęściej był to Efgulf, mający zawsze przy sobie flaszkę samogonu, albo Berlas lub Hzaer. Wyglądało na to, że bardzo poważnie potraktowali swą przysięgę, by strzec go bez przerwy.

Ze strony Onsa Olkera nie było żadnego znaku potencjalnego zagrożenia, ale ludzie Uldina, umyślnie nie mieli z kompanią Blaydy, zbyt dużo kontaktów. Od czasu pierwszej spędzonej w hali nocy, Karl nawet nie rozmawiał z von Margurem. Gdy przy kilku okazjach obserwował ślepego rycerza, ten zawsze siedział w samotności na uboczu.

Uldin skarcił Karla za to, że ten nie poszedł ani razu do świątyni. Hetzar zdawał się być

niezwykle nieugięty w tej sprawie, tak jakby odmowa Vollena, miała oznaczać dla jego kompanii jakieś nieszczęście. Vollen przyrzekł odwiedzić świątynię, zanim nadejdą pierwsze roztopy i trzeba będzie wyruszyć.

Koniec jednego roku zmieniał się w początek następnego. Kiedy mijały długie noce i krótkie dni, tężowe światła zorzy migotały i trzeszczały na niebie ponad wiecznym, błękitnym ogniem płonącym na szczycie kopca. W okrytych śniegiem lasach otaczających Chamon Dharek wyły wilki.

Karl wiedział, że będzie musiał udać się do świątyni, zanim opuszczą to błogosławione miejsce. Kobieta wyszeptała mu to do ucha, kiedy zapadał w sen.

XIII

Po raz kolejny ucztowali. Rozkosze niczym nieograniczonego jedzenia i picia zaczynały już blednąć. Karl natomiast, zaczynał tęsknić, za prostym i ciężkim życiem w siodle. Przy wypełnionym jedzeniem stole, Hzaer i Lyr zastanawiali się głośno, ile czasu jeszcze minie, zanim opuszczą wreszcie Chamon Dharek.

- Jakiś tydzień - przekonywał Lyr.

- Dwa tygodnie - nie zgadzał się z nim Hzaer.

Yuskel i Efgulf wtręcali się do rozmowy mówiąc, że przynajmniej jeszcze jeden księżyc napuchnie i schudnie zanim roztopy pozwolą na normalną jazdę.

- Karl-Azytzeen! - zasyczał jakiś głos zza ich pleców. Był to Chegrume. Chudy i niezwykle blade czarownik. Odwracał starannie oczy od twarzy Karla.

- Co?

- Będzie najlepiej jak teraz za mną pójdziesz - powiedział Chegrume.

- Właśnie jem czarownika-kapłanie. Może to poczekać?

Chegrume potrząsnął głową.

- Musisz iść teraz. Taka jest wola Tchar.

- Lepiej zrób jak ona każe, Karl, seh. - zagrzemiał Uldin ze swego miejsca u szczytu stołu.

- Nauczyłem się ufać instynktowi szamanów.

Karl podniósł się.

- Może powinienem iść razem z tobą Karl, seh? - zapytał Efgulf.

Karl potrząsnął w odpowiedzi głową. Przypasał sobie do boku pałasz.

- Wszystko będzie w porządku Efgulf, seh. Najedz się dobrze.

- I skorzystaj wreszcie z jego nieobecności, by przekonać do siebie, jedną z kobiet! - ryknął Fegul. - Trzymał je tylko dla siebie przez całą zimę!

Karl, odprowadzany śmiechem kompanów, podążył za szamanem. Wyszedł w zimną noc na zewnątrz hali. Naciągnął szczelniej na ramiona niedźwiedzią skórę i umocował ją za pomocą złotej broszy.

Niedawno przestało śnieżyć. Powietrze było czyste i rześkie. Gwiazdy i falujące, niewyraźne światło zorzy, płonęły pośród zamykającej się ponad nimi czerni.

- Dokąd właściwie idziemy? - zapytał Azytzeen. Przy każdym oddechu z ust wydobywały się kłęby pary.

- Świątynia - odparł Chegrume przynaglając go gestem.

- Nie - stwierdził prosto Karl odwracając się.

- Musisz! Musisz tam iść teraz! Tchar jest blisko, och jakże blisko. Powiedział mi, że nadchodzi by właśnie ciebie pobłogosławić.

- Do diabła z Tchar! Wcale tego nie chcę.

- Spraw, że znów będziesz cały Karlu Rainerze Vollen. - powiedział czarownik.

Karl wziął płonąca żagiew z żelaznej obręczy ustawionej przy drzwiach i ruszył za szamanem dookoła ogromnej hali, w kierunku ciemnej bryły wielkiego kurhanu. Chegrume drżał z zimna i cały się trząsał. Szedł skulony. Zwierzęce skóry ciasno owijały jego wąskie ramiona. Nagie stopy zagłębiały się w głębokim śniegu.

Brnęli powoli przez ciemność. Karl przypuszczał, że będą się wspinać na szczyt kopca, do samego, rozświetlającego noc, widmowego ognia. Zamiast tego, szaman poprowadził go do szeregu pokrytych śniegiem kształtów, które wiodły do podnóża kurhanu.

Były to te same kształty, które stały kręgiem dookoła usypanego rękami człowieka wzgórza. Kiedy przechodzili obok nich, Karl wznosił do góry pochodnię i okazało się, że są to konie. Martwe konie, nawoskowane i zmumifikowane, podparte na grubych kołkach by do końca świata broniły grobowca. Na ich uschniętych truchłach, spoczywały ciężkie kożuchy śniegu, a z obnażonych zębów zwisały szkliste sople lodu.

W taki sam sposób, Uldin nabijał konie na pale, dookoła mogiły Subotaia.

Na końcu tej kolumnady, złożonej z zamrożonych końskich mumii, dotarli do szerokiego wejścia osadzonego bezpośrednio w zboczu kurhanu, zabezpieczonego kamiennym nadprożem. Wewnątrz skwierczały płonące pochodnie.

- Co ty tutaj właściwie robiłeś przez cały czas? - zapytał szamana Karl. Od panującego na dworze mrozu zimowej nocy, zeszywniały mu usta. Z oczu płynęły łzy. Spływające krople

zamarzały mu na czubku nosa.

- Uczylem się, marzyłem, śniłem - odparł Chegrume. Pochylił głowę ustrojoną jelenimi rogami, by nie zahaczyć nimi o wejście i wszedł do środka. - Przybyłem do świątyni w Chamon Dharek by się uczyć i powiększyć swą moc. Głosy z zaświatów były mi przyjazne i pobłogosławiły mnie na wiele różnych sposobów. Zaakceptowałem potęgę, Karlu-Azytzeen. Moje wysiłki i próby, jakim mnie poddano na tym mrozie, zostały nagrodzone. Stałem się człowiekiem obdarowanym przez Tchar.

Karl wszedł za czarownikiem w tunel ciągnący się za wejściem. Było tu znacznie cieplej niż na zewnątrz. Nie wiał przenikający zimnem wiatr. Ściany i podłogę tunelu stanowiła sucha, ubita ziemia, a światło zapewniały płonące, kopcące pochodnie. Prowadził on wprost do wnętrza kopca.

- Bardzo jestem rad, wiedząc, że dostałeś to, czego tak bardzo pragnąłeś - zawołał za Chegrume, Karl. Czarownik szedł prędko w dół suchego przejścia. Jego stopy klaskały na ubitej ziemi. - Ale powiedz mi, dlaczego właśnie ja?

Chegrume odwrócił się i przynaglił go gestem.

- Dlatego, że pożąda cię Tchar. Odłożył wszystko na bok by spotkać się z tobą.

- Wcale nie jestem przekonany czy ja chcę się z nim spotykać - odparł.

- Przestań! - uciął Chegrume.

Mówił to z pasją, która przestraszyła Karla.

- Nie pozwól, by teraz zmienił zdanie.

Karl podążył za wymizerowaną postacią z jelenimi rogami w głąb tunelu, prosto w trzewia prastarego kurhanu. Powietrze było tu gorące i oblepiające, żar buchający od pochodni, prawie go dusił. Po czterdziestu pięciu metrach, tunel skończył się i rozszerzył w wielką grobową komnatę. Ściany, tak jak i podłoga, zrobione z ubitej ziemi, pochylały się i tworzyły zaokrąglony, kopulasty sufit.

Karl, nigdy wcześniej w swoim życiu, nie widział naraz tyle złota. Złoto Scytów, jasne i białawe, leżało porozsypywane po całym pomieszczeniu. Skrzynie, szkatuły, trony, wspaniałe kołczany, hełmy, uzdy, zbroje - dla koni i dla ludzi. Wszystko to było wykonane i ozdobione z niezwykłą dbałością. Wszędzie wyryto lub narysowano symbole Scytów: konni wojownicy w siodle szarżujący ze wzniesionymi kopiami, kozy i kozły, kruki i orły, miecze i łuki, a oprócz tego konie. Ich było najwięcej. Nieprzebrane skarby starożytnego grobowca połyskiwały i migotały w świetle pochodni. W tym jednym prastarym kopcu kryły się bogactwa wielu narodów. Najbardziej zdziwiło Karla, że nigdy nie zostały one złupione przez przybywających do świątyni Kurhanów czy też Norsów.

Widzieli je, przebywali pomiędzy nimi, ale pozostawiali je nietknięte. Ten fakt uświadomił mu wreszcie szacunek, a może nawet przestach, jakim wszyscy darzyli to miejsce.

Miało ono swoich strażników. Wojownicy i sługi siedzieli, leżeli lub stali wszędzie dookoła komnaty. Wszyscy podtrzymywani drewnianymi kołkami. Wszyscy uduszeni, a potem zmumifikowani, tak jak stojące na zewnątrz konie. Wysznięci na wiór woje siedzieli w złotych siodłach. Mieli na sobie złote zbroje. Jeden, którego trupia pięść wyciągnięta była w bok i wzmocniona drewnianym kołkiem, trzymał na ręku zmumifikowanego sokoła z pozłacanym kapturkiem na wysuszonych oczach. Wysznięci służący, zostali z pomocą ćwieków i podpórek, ustawieni w pokornych pozach na kolanach. Ich wzmocnione drewnem, wyciągnięte ręce podtrzymywały złote tace, na których pradawne dary już dawno zmieniły się w pył i złoczone puchary z czaszek, których zawartość wyparowała na długo przed nadejściem Sigmara. Wychudzone, kościste konkubiny leżały na łożach zdobionych złotem, gotowe i niezmiennie od wieków chętne. Ich ciała okryte były zakurzonymi i przegniłymi nakryciami z przetykanego złotymi nićmi jedwabiu. Jeden z węzlastych, wysuszonych wojów, dzierżył długi i zakręcony, złoty róg, gotowy, by zadać weń, swymi wyszczerzonymi, bezwargimi ustami. Pomarszczeni wojownicy, zbrojni byli w miecze i okrągłe tarcze, z których środka zwieszały się ozdoby z końskiego włosia. Wpatrywali się niewidzącym wzrokiem w ciemność. Niemi strażnicy bram prowadzących w zaświaty.

Karl szedł powoli, przypatrując się uważnie temu niezwykle widokowi. Pochodnię trzymał wysoko ponad głową.

Chegrume pospieszył do środka ogromnej komnaty, gdzie na ziemistym podwyższeniu stał wspaniały, pozłocisty ołtarz. W jego wnętrzu buzował niezwykle jasny ogień. Z ołtarza wydobywały się błękitne, zielone i białe płomienie, które hucząc umykały w górę przez otwór w środku sufitu. Wieczny ogień na szczycie kopca pochodził tak naprawdę z jego wnętrza - uświadomił sobie w tym momencie Karl.

- Pospiesz się! Pospiesz się, Karlu-Azytzeen! - wołał za nim Chegrume. - Tchar jest bardzo blisko i bardzo pragnie cię tu odnaleźć.

Karl wreszcie dołączył do czarownika u stóp ołtarza. Płomienie nie były wcale gorące. Czuł więcej ciepła od strony ściskanej w ręku pochodni.

- Spójrz w płomienie - poinstruował go Chegrume. - Patrz, a wreszcie zobaczysz.

- Zobaczę co?

- Zobaczysz! - nalegał szaman. Wskazywał na płomienie buzujące w środku złotej skrzyni ołtarza.

Karl po raz pierwszy zwrócił uwagę na ręce Chegrume. Czarownik w dzieciństwie utracił środkowe palce i jego dłonie przypominały przez to pazury.

Teraz naprawdę się w nie zmieniły. Przeobraziły w szpony jakiegoś wielkiego ptaka. Zewnętrzne palce każdej ręki stopiły się razem i przemieniły się w chude, ruchliwe pazury. To samo stało się z palcami wskazującymi i kciukami. Skóra na rękach stała się twarda, jakby spękana i łuskowata, zupełnie jak skóra jastrzębia, a paznokcie zostały zastąpione pociemniałymi, zakrzywionymi pazurami. To właśnie była jedna z nagród, jakie Chegrume otrzymał od Tchar. Po tym jak dłonie zmieniły się w szpony drapieżnego ptaka, z nadgarstków i przedramion zaczynały też wyrastać, blade jeszcze i delikatne, brązowe pióra.

Karl spojrzął w huczące płomienie. Nie miał najmniejszego pojęcia, czego powinien się spodziewać i dlatego wcale się nie rozczarował. Nie przybyło do niego żadne niesamowite poselstwo, nie było tam pośpiechu jakiejś nieziemskiej potęgi. Żadnych odgłosów kłapania ogromnych ptasich dziobów i trzepotu kolosalnych skrzydeł. Nawet pojedynczego wpatrującego się weń oka.

Nie słychać też było syczącego głosu Tchar.

Odwrócił się od płomieni i spojrzął na wyczekującego szamana. Ten wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

- Co powinienem tam ujrzeć... - zaczął. I natychmiast zamilkł. Widział. Widział obydwojema oczami.

Karl sięgnął ręką do twarzy i przesunął nią po szorstkiej powierzchni blizn okalających zmasakrowany oczodół. Ciało było tam wciąż zwięzłe i nierówne, ale pomimo tego mógł widzieć. Nawet wtedy, gdy zamknął swe zdrowe oko. Nawet, kiedy zasłonił drugie oko dłonią.

Był w stanie widzieć nawet bez swoich oczu.

- Twoje zwierciadło - zażądał przerażony. - Daj mi odbijające szkło.

Chegrume sięgnął niezgrabnymi ptasimi dłońmi do sakwy i wyciągnął stamtąd zwierciadło. Karl nie odważył się dotknąć zakrzywionych pazurów czarownika, kiedy je od niego odbierał.

Potem spojrzął w lustro.

Jego twarz była cały czas koszmarną maską zmasakrowanego ciała. Wyglądała dokładnie tak jak ją pamiętał. Lewy oczodół okalały pociemniałe już fałdy i zgrubienia zagojonego ciała. Ale pod jego cienką pokrywą, pulsowało w martwym oczodole i pałało ostre błękitne światło. Przeświecało przez naciągniętą skórę tak mocno, że mógł zobaczyć cieniutką siateczkę żyłek. Dokładnie tak, jak człowiek patrzący przez zamknięte powieki, wprost na

pałające, letnie słońce.

- Co ty mi zrobiłeś? - powiedział, odstepując od stojącego na podwyższeniu ołtarza i wypuszczając z rąk zwierciadło.

- Nic. Ja nic nie uczyniłem.

- Co Tchar ze mną zrobił? - syknął Karl.

- Obdarował cię ponownie zdolnością widzenia, przywrócił ci wzrok - odparł Chegrume.

Karl miał właśnie odpowiedzieć, ale nagle zamarł i spojrzał w kierunku wejścia do komnaty grobowej.

Płomienie pałały i trzepotały nerwowo.

- Co? - zapytał go szaman. - Co tam zobaczyłeś?

- Ty cholerny głupcze! - Karl splunął i dobył pałasza - Cały czas byłeś jedynie marionetką w ich rękach.

- Co takiego? O co ci chodzi Karlu-Azytzeen?

- Zwabiłeś mnie tu samego, szamanie. Oni właśnie tylko na to czekali.

- Kto? - błagalnie zapytał Chegrume.

- Blayda i jego czarownik.

- Ale przecież... oni nawet nie ośmielą się na ciebie spojrzeć, Karlu-Azytzeen, wybrańcu Tchar! Jak mogliby się ludzić, że...

Do komnaty wkroczyła samotna postać, spowita w czarną, bogato zdobioną zbroję. W jej ręku błyszczało ostrze dobytego miecza.

Był to von Margur.

- Tylko ci, którzy nie widzą ośmielą się podnieść na mnie rękę. - wyjaśnił szamanowi Vollen - Nie potrzeba błogosławieństwa Tchar by to zrozumieć.

XIV

- Nie musimy tego robić, panie - powiedział Karl idąc od ołtarza w stronę ślepego rycerza. Pałasz niósł uniesiony w górę.

- Obawiam się, Karl, że niestety musimy - odparł von Margur.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś zbyt niebezpieczny by żyć. Zmieniłeś się w nieludzką szkaradę.

- Rozumiem. W niewolniczych klatkach nieopodal Zedewki, powiedziałeś mi kiedyś, że

cię zabiję. Czy to nie rozstrzyga tej walki, zanim jeszcze się ona rozpocznie?

- Powiedziałem też, że to ty wryjesz na twarzy Uldina piąty znak - wtrącił von Margur.

- Tak właśnie się stało.

- A potem go zabijesz.

- A on wciąż żyje.

- Tak więc widzisz, że nasze przepowiednie mogą zostać zmienione. Część z nich okazuje się prawdą, a inne zmieniają się. Wszystko to, dzięki przypluwom i odpływom woli Tchar. Dlatego właśnie teraz cię pokonam i zabiorę twe życie.

- Dlaczego, panie?

- Dlatego, że jestem oddanym rycerzem świętego zakonu, wyszkolonym mistrzowsko w walce na miecze, a ty jesteś niczym więcej niż tylko zwykłym rajtarem.

- Nie to miałem na myśli pytając.

- Ponieważ jesteś ohydą, nie pasującą do tego świata, a ja jako wierny i oddany rycerz Imperium, muszę być wierny zasadom i przysięgom które ongiś składałem. Muszę uwolnić od ciebie ludzkość. Jesteś już tylko bezwolnym pionkiem Chaosu.

- Obaj jesteśmy jego pionkami. - stwierdził ponuro Karl. - Ja po prostu poznałem Chaos o wiele lepiej niż ty. Nie zmuszaj mnie bym sprawił, że twoja przepowiednia spod Zedewki stanie się faktem. Odstąp, a nie będziemy walczyć.

Von Margur wznosił głowę. Gałki oczne obróciły się, źrenice pomknęły gdzieś w tył głowy, kiedy kręcił nią przecząco. Zakręcił mieczem dookoła siebie, kreśląc w powietrzu doskonałą ósemkę. Rzeczywiście, był ekspertem w walce na miecze.

- Tracisz tylko czas Karl - powiedział. - Potrafię rozpoznać bękarta Chaosu gdy tylko rzucę nań okiem.

- Zupełnie tak jak i ja - odparł na to Karl-Azytzeen, zamykając zdrowe oko.

Von Margur runął na niego, kręcąc w powietrzu mieczem. Starli się gwałtownie i ostrza ich broni zadzwoniły raz za razem. Obydwaj mężczyźni dokładnie badali się swym ponadnaturalnym widzeniem, szukając najmniejszej luki w obronie przeciwnika. Von Margur odepchnął Karla i zamachnąwszy się potężnie wyprowadził okrutny cios z góry, mający rozplatać go od naramiennika aż po same biodra. Ale Karl doskonale widział jak ostrze rycerza opada i zablokował je pałaszem. Dookoła posypały się skry, istny deszcz migających punkcików. W odpowiedzi, sam chlasnął ciężkim mieczem od boku, starając się trafić w głowę przeciwnika.

Rycerz umknął przed uderzeniem i zawirował, jednocześnie unosząc miecz by zastawić kolejne krzyżowe cięcie Karla.

Parując, von Margur zatańczył lekko do tyłu i zamachnął się swym mieczem by przeciąć brzuch Vollena. Ten zablokował nisko i odbił ostrze rycerza, tak, że poleciało wprost na niego, a potem poszedł za ciosem i wyprowadził kolejne uderzenie w głowę.

Von Margur zauważył, co Karl chce zrobić, zanim ten jeszcze rozpoczął ruch rękami. Natychmiast wyprowadził kontruderzenie, które zostało odbite przez pierścienie spowijające prawą rękę Vollena. Wtedy też, Karl zauważył, że obie masywne ręce rycerza, od bicepsu aż po nadgarstek, były zakryte niezliczonymi pierścieniami.

Vollen krążył. Nagle pchnął chcąc przebić przeciwnika czubkiem miecza. Von Margur pewnie zbił ostrze Karla i runął na niego. Jego szeroki miecz opadał w dół z zamiarem rozplątania czaszki rajtara.

Ten zatrzymał ostrze w miejscu. Sypnął kolejny deszcz iskier. Karl parował raz za razem, kiedy von Margur zadawał kolejne zabójcze ciosy z siłą i regularnością kowalskiego młota.

Vollen cofał się, by dać sobie więcej wolnej przestrzeni, a potem sam zaatakował. Jego ciężki obosieczny miecz migotał, uderzał od góry i od dołu w prawdziwej nawałnicy stali.

Von Margur sparował wszystkie uderzenia. Był znacznie lepszym szermierzem niż jakikolwiek posiadający wzrok mistrz ciężkiego miecza. O wyniku tej walki miał zdecydować kaprys Tchar. Karl zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Które ze swoich narzędzi, okaże się dla Tchar cenniejsze?

Von Margur znów wyprowadził cios - koszarne cięcie, mające przeciąć na dwoje czaszkę Vollena. Ale ten cofnął się i zamachnął pałaszem, zagłębiając jego ostrze w ciało przeciwnika.

Pałasz wbił się w pachę von Margura i wyszedł po drugiej stronie, przez ramię. Było w tym cięciu tyle mocy i energii, że miecz rycerza wyleciał mu z dłoni i poszybował łukiem poprzez grobową komnatę, gdzie uderzył we wzniesioną na kołkach, złotą końską zbroję. Potem spadł na ubitą ziemię. Obydwie części von Margura opadły również na podłogę komnaty i natychmiast utworzyła się przy nich pokaźna kałuża krwi buchającej z ciała.

Karl przez długi czas stał i wpatrywał się w von Margura z Altdorfu.

- Karl-Azytzeen? - odezwał się miękko Chegrume, zbliżając się do niego.

Karl zupełnie go zlekceważył i pomknął nagle ku hałdom skarbów usypanym po jednej stronie komnaty. Odrzucał na bok złote krzesła, połączone tarcze, które padały z trzaskiem na ziemię i kolczugi. Musiał dostać się za nie, wprost w zalegające tam cienie. Dźgnął raz swym pałaszem. Potem jeszcze raz. Tak jakby starał się przebić szczura. Potem wynurzył się z powrotem z nagim, drgającym ciałem Onsa Olkera nabitym na ostrze swego oręża. Na podłogę posypały się kawałki kości i muszli z naszyjników, które czarownik rozerwał

szarpiąc się niekontrolowanie. Zza szczeliny w jego trójrogim hełmie wydobywało się ohydne, przenikliwe gardłowe zawodzenia. Kolejne zgromadzone tu scytyjskie skarby przewracały się i połamaly, kiedy Karl wyciągał Onsa Olkera z jego kryjówki.

Potem uniósł miecz i pozwolił ciału czarownika zsunąć się pod własnym ciężarem wzdłuż ostrej krawędzi pałasza. Ogarnięty konwulsjami Ons Olker z pluskiem opadł wprost we wciąż rosnące jezioro krwi von Margura.

- Uczyniłem to co powinienem był zrobić w Zedewce, Ons Olker - powiedział Karl. - A teraz spłoń w piekle.

- Proszę. P... proszę Azytzeen - błagał czarownik. Jego ciało podrygiwało podrzucane śmiertelnymi spazmami. Wnętrznosci wylewały się przez rozpruty brzuch, jelita skręcały, niczym węże. Uderzające regularnie w podłogę stopy wyrzucały w powietrze kropelki krwi.

- P... proszę... ulituj się i przekaz Tchar, choć jedno dobre słowo na mój temat.

- Bądź przeklęty - wycodził przez zęby.

Ons Olker wykręcał się i opętańczo wrzeszczał przez cały czas, gdy umierał bolesną śmiercią. Aż do samego końca. Kiedy wreszcie umilkł, Karl popatrzył na wejście do ukrytej w kurhanie komnaty. Chegrume podążył za jego wzrokiem, ale nie zobaczył tam niczego. Azytzeen podniósł rękę i wskazał.

- Zar Blayda! Widzę cię nędzny robaku! Widzę cię tam, kulącego się ze strachu pomiędzy cieniami!

Blayda powolutku wyszedł w światło rzucane przez pochodnie. Całe jego ciało okrywała czarna zbroja z wyrytymi na niej inskrypcjami i wzorami. Spojrzał na rozprute ciała von Margura i Onsa Olkera leżące w kałuży cuchnącej krwi i z jękiem śmiertelnego przerażenia opadł na kolana.

- Oddaję ci hołd Karlu-Azytzeen - powiedział chyląc nisko głowę - Oddaję hołd.

- Blayda... - ryknął Karl - Spójrz na mnie. Spójrz w moją twarz. Niechętnie, ogarnięty grozą Blayda podniósł wzrok i spojrzał na Vollena. Zaskowyczał przerażony widokiem tego, co zobaczył.

- Patrz na mnie. Patrz na Tchar. Pozwól by to, co widzisz oślepiło cię już na zawsze. Będziesz podążał za mną do końca naszych dni.

- Tak... tak! Pójdę za tobą gdzie tylko zechcesz! - wykrzyczał zar z lewą ręką opartą na sercu. Z oczu strumieniami płynęły mu łzy. Mówił prawdę.

Strzały uderzyły w jego plecy, jedna za drugą. Groty przebiły się przez pierś Blaydy. Jeden przygwoździł mu rękę do serca. Zar opadł przed siebie. Upadł na twarz, zastygł nagle w bezruchu i wciąż klęczący.

Do komory pogrzebowej wpadli Berlas, Diormac i Efgulf. W dłoniach trzymali zakrzywione łuki. Ich cięciwy były napięte, strzały przygotowane do wypuszczenia. Tuż za nimi biegli Hzaer, Fegul jednoręki, Lyr, Sakondor, Yuskel i wielu, wielu innych. Z ostrzy ich mieczy spływała krwawa posoka. Była to bez wątpienia krew siepaczy Zara Blaydy, których musieli pozabijać by dostać się do wnętrza kurhanu.

Jego kompani przybyli by go uratować, tak jak wcześniej przysięgali. Karl-Azytzeen uśmiechnął się.

- Na bok! Na bok mówię, psy! - rozległ się ryk w tunelu - Yuskel! Gdzie jesteś?!

Do komnaty wbiegł Uldin przepychając się brutalnie pomiędzy swymi ludźmi. Wpadł prosto w szeroko rozlane jeziorko czerwieni. Przyjrzał się leżącym na ziemi ciałom i porzrzuconym złotym przedmiotom.

- O co tu chodzi Berlas? Co to za przekłete przewinienie? Co zrobiłeś Diormac? Zamordowany zar, pomimo zapewnień o pokoju... i to jeszcze na świętej ziemi....

Uldin uchylił się w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył wyraźnie Karla. Uczynił ochronny gest i tak jak Blayda opadł na kolana. Karl widział wyraźnie przepełnione strachem oczy Hetzara połyskujące przez wizjery jego wilczego hełmu.

- Hetzar, taki jak ty, nie powinien padać na kolana przed kimś takim jak ja - zauważył Azytzeen. - Moje życie od czasu bitwy pod Zedewką należało do ciebie. Mogłeś w każdej chwili mi je odebrać, a jednak nie uczyniłeś tego. Powiedziałeś mi, że dopóki pamiętam władzę jaką miałeś nad moim żywotem, dopóty nie stanowią dla ciebie żadnego zagrożenia. Wstań, Hetzarze Uldin.

Uldin podniósł się posłusznie na nogi.

- Nie należę już dłużej do ciebie, Uldin. Teraz należę wyłącznie do Tchar.

- Widzę to - odparł Hetzar. Głos lekko mu się załamywał.

- Powinieneś być posłuchać rady mistrza niewolników Skarkeetaha. - Karl machnął swoim „prawdziwym zabójcą” i wąskie ostrze sztyletu Drogo Hanca weszło prosto w wizjer w wilczym hełmie, przebiło oko i zagłębiło się w mózg.

Karl wyszarpnął oręż i ciało Uldina opadło na plecy. Kolejna krwawa ofiara dla ołtarza w Chamon Dharek zastygła nieruchomo na podłodze.

Azytzeen rozglądał się po zszokowanych obliczach ludzi z jego oddziału.

- I co teraz?

- Karl-Azytzeen! - ryknął wreszcie Efgulf.

- Karl! Karl, seh! - zawtórowali mu Hzaer i Yuskel.

- Zar! - Azytzeen odkrzyknął w ich stronę. Swoje okolone pierścieniami ręce wznosił do

góry w geście triumfu.

- Zar Azytzeen! Zar Azytzeen! - krzyczeli jego ludzie. - Zar Azytzeen!

Webła

I

Ledwo zdążyli dotrzeć do Jeczyczy, zima ustanowiła swe prawo raspotitsa. Słowo to znaczyło w wolnym tłumaczeniu „czas, kiedy nie ma dróg" i odnosiło się do pory, kiedy step przykryty jest taką ilością śniegu, że nawet najprostsze ścieżki i trakty są nieprzejezdne i trudne do odnalezienia.

Przez cały ostatni tydzień ich podróży - najdłuższej i najcięższej z tych, jakie dotychczas Gerlach przebył - padał śnieg. Padał i padał, aż wreszcie niezmierny ocean traw skrył się pod płaskim i nieskazitelnie białym kozuchem. Już samo patrzenie na ten bezkres bieli raziło oczy.

Teraz byli wreszcie w otwartym stepie, jak nazywał go Borodyn. Ten przeogromny obszar, pokrytych trawą równin, rozciągał się w północno wschodniej części województwa Kislevskiego. Leżał wyżej niż inne części stepu i był jeszcze bardziej płaski i bezgraniczny. Gerlach zdumiał się już wcześniej, widząc zupełnie pustą i płaską przestrzeń porośniętą trawą, tam gdzie kryły się Duszyka, Leblja i Zamak Spayenya. Nie wyobrażał sobie, by mogło istnieć coś, o jeszcze większej skali pustki. Płaski teren i okalający go horyzont z pewnością nie mogły sięgnąć jeszcze dalej.

Ale otwarty step okazał się być prawdziwym arcydziełem tego dzikiego kraju. Nawet husarze, zdawali się być przytłoczeni, jego kompletną pustką. Słońce i księżycy gdy wędrowały po nieboskłonie, były jakby mniejsze i przez porównanie, krajobraz był dzięki temu znacznie większy.

Szli poprzez lodowate poranki i wypełnione śnieżycami dnie, dopóki głęboki śnieg nie spowolnił ich podróży. Wlekli się noga za nogą. Zbroje stały się zbyt zimne by je nosić, lub nawet dotykać, z obawy, że ciało przymarznie do zmrożonego metalu. Ludzie opatuleni w warstwy futer, trzęśli się, wystawieni na lodowate podmuchy wiatru. Zanim wyruszyli z Zojszenk, Beledni wystarał się o dwa odpowiednie stroje dla Gerlacha: płaszcz z baranicy, nogawice i wełniany płaszcz z kapturem okolonym futrem. Zakupy te zdawały się być zupełnie niepraktyczne w leniwym, letnim upale nad rzeką Tobol. Beledni zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co oczekuje ich na północy.

Pod sam koniec wędrówki przez padający śnieg, zobaczyć przed sobą mogli, pokryte bielą wzgórza i migające od czasu do czasu zielone drzewa. Było to terytorium Blindt - pagórkowata kraina na pograniczu regionu Sanizańskiego - porośnięte lasami wyżyny gdzie leżała Jeczycz.

Ponury i jakby zmrożony nastrój, panujący wśród husarzy, zaczął się roztopiać, gdy wreszcie wjechali pomiędzy rozległe sosnowe lasy. Zaczęli wtedy śpiewać chrapliwymi głosami, pieśni pochodzące z Jeczyczowskiego krugu. Otaczały ich ogromne drzewa o czarnych pniach. Gałęzie miały oproszone śniegiem. Delikatne płatki wirowały w powietrzu i powoli opadały w dół. Zauważyli kilka łosi i polarnych lisów. Czujne zwierzęta stawiały sztywno uszy, nasłuchiwały przez chwilę głosów ludzi i tubalnych śpiewów, a potem prędko umykały.

Gerlach wyczuwał wyraźnie, że ludzie z rotą radują się z powodu bliskości domu. Pozwolił żeby Waja i Witalij nauczyli go słów jednej z pieśni, by mógł przyłączyć się do śpiewania. Ich wysiłki były jednak chaotyczne. Przeszkadzały mu zmarznięte wargi oraz okalające je futro. Wreszcie wszyscy wybuchli niekontrolowanym śmiechem, który poniósł się echem między drzewami.

Ivan pierwszy spostrzegł światła Jeczyczy i natychmiast wydał z siebie triumfalny okrzyk. Jewnij starannie rozgrzał ustnik swego rogu i zagrał na nim długą nutę. Dźwięk niczym grzmot przetoczył się przez okolicę. Od strony stancy zaśpiewał w odpowiedzi inny róg.

Jeczycz była osadą w tej wielkości, co Duszyka. Drewniane chaty tłoczyły się dookoła długiej ziali, której gontowy dach pokrywała gruba warstwa śniegu, za wyjątkiem dziury wytopionej dookoła komina. Stanica nie posiadała obronnej palisady. Otaczał ją za to wysoki płot z solidnych sosnowych desek, który stanowił barierę dla pędzonego wiatrem śniegu. Wprowadzili swe konie przez bramę w płocie i wkroczyli na główny plac.

Ludność Jeczyczy wyległa na dwór by ich powitać. Mieszkańcy osady okutani byli w grube ubrania. Nie było tu uderzania w kotły i oklasków, nie było rytualnego dzielenia się jedzeniem i napojami. Zamiast tego były mocne i gorące uściski, ludzi witających swych oplakanych już synów. Rodzice i przyjaciele, kuzyni, a w niektórych przypadkach również dzieci, pędzili poprzez śnieg by objąć uściskiem ludzi, których kochają.

Przez jedną koszmarną chwilę osamotnienia, Gerlach siedział sam na Saksonie, zupełnie ignorowany, obserwując rozgrywającą się przed nim w milczeniu scenę, przepelnioną radością i ulgą.

Młodzi chłopcy ochoczo odprowadzili konie rot, a pozostali mieszkańcy, poprowadzili

zmęczonych i przemarzniętych wojów, wprost w ciepło ziali. Jakiś młodzian zakutany w futra, z zaczątkami zarostu pojawiającymi się nad górną wargą, podszedł do Gerlacha i powitał go głębokim ukłonem, w momencie gdy rajtar zsiadał z wierzchowca. Inni ludzie zebrali się dookoła, zdziwieni faktem, że jakiś obcy mężczyzna dzierży w dłoniach sztandar roty.

Młodzian wyciągnął rękę by uchwycić wodze Saksena.

- Jak się nazywa? - zapytał.

- On zwać Bielyj-Saksen - odpowiedział Heileman łamanym kislewickim. - Opiekować się ty nim dobrze.

Młodzian przytaknął skinieniem i odprowadził zmęczonego wierzchowca razem z innymi końmi.

Mieszkańcy Jeczyczy otoczyli Gerlacha.

Jakaś bardzo szczupła i starsza już kobieta spojrzała mu prosto w oczy.

- Czemu Mikael Roussa nie niesie sztandaru?

- Nieżywy on został - powiedział Heileman.

Kobieta wzruszyła ramionami jakby to nie była odpowiedź, której oczekiwała.

- Wiem, że on nie żyje. Ale gdzie jest?

- Blisko Zedewka zabity - odparł, marząc w duchu by jego znajomość języka wykraczała, choć odrobinę, poza podstawy.

Kobieta przytaknęła skinieniem głowy i odwróciła się z bardzo poważną miną. Inni stojący obok zaczęli ją pocieszać, obejmować uściskiem przygarbioną postać.

Pojawił się Beledni. Złapał Gerlacha za rękaw i powiodł go pomiędzy tłumkiem gapiów wprost do ziali.

Ciepło panujące w środku odczuł jak fizyczne uderzenie. Przez chwilę myślał, że straci przytomność. Cała sala była wypełniona mieszkańcami osady. Wielu z nich śmiało się i żartowało z husarzami, albo też karmili ich gorącym rosołem, podczas gdy woje ściągali z siebie niewygodne i ciężkie podróżne ubrania.

Beledni zabrał Gerlacha na sam koniec ziali i wprowadził na drewnianą platformę ponad płonącym ogniem. Było to miejsce, z którego przemawiał zwykle do swojego ludu ataman Jeczyczy. On sam - mężczyzna w średnim wieku z potarganymi włosami i potężnie rozbudowaną górną częścią ciała drzeworytnika - również wstąpił na podwyższenie. Tuż za nim kroczył jego esaul niosąc w dłoniach buławę - niewielką maczugę będącą oznaką władzy atamana.

Ataman przyjrzał się Gerlachowi z zaciekawieniem. Zmarszczył przy tym brwi. Beledni

zwrócił się do zebranych ludzi i uniósł w górę umięśnione ręce by uciszyć gwar.

- To jest Gerlach Heileman z Talabheim! - obwieścił tubalnym głosem w języku Kislevu.

- Rota dokonała wielu dzielnych czynów w tym ponurym roku. Straciliśmy też wielu z naszych kamratów i towarzyszy. Kiedy Mikael Roussa padł na polu spotkawszy swą śmierć, ten oto odważny mąż uratował nasz sztandar i właśnie za ten czyn, rotmistrz Beledni uhonorował go i mianował chorążym naszej roty!

Ludzie wzniesli pełne aprobaty okrzyki.

Beledni uciszył ich odrobinę i ciągnął dalej.

- Teraz jest on jednym z nas. Należy już do Jeczyczowskiego kruga. Przyjmijcie go tu jak brata. Nadaliśmy mu imię Webla!

Ludzie znów uczynili wielki tumult. Tym razem aplauz mieszał się z wybuchami szczerego śmiechu.

Gerlach spojrzał na rotmistrza.

- Ty prawić słowa dobrze rotmistrz - powiedział, najlepiej jak umiał.

- Webla zasłużył sobie na to - odparł Beledni przechodząc na swój chropawy Reikspiel. - Webli należy się wdzięczność kruga. Teraz... Webla odda sztandar rota do atamana.

Gerlach odwrócił się do starszego mężczyzny i przekazał mu trzymane w ręku drzewce. W ostatnim momencie cofnął dłoń i złożył na drzewcu sztandaru pocałunek. Ataman przyjął chorągiew i ostrożnie wsunął ją w dziurę w drewnianym podeście. Sztandar roty stał teraz pionowo opierając się o podłogę. Widać go było przez całą długość ziali. Potem ataman zmiażdżył Gerlacha w prawdziwie niedźwiedzim uścisku.

Ludzie zakrzyknęli raz jeszcze.

Dzięki przynagleniom esaula przyniesiono zaraz gorzałkę i sól by wzniesć zwyczajowy toast. Gerlach zanim jeszcze wypił, upewnił się, że wie dobrze gdzie znajduje się najbliższe siedzisko.

II

Ucztowali zdrowo, kładli się spać, a potem znów ucztowali. Spizarnie Jeczycy wypełnione były po brzegi solonym i wędzonym mięsem z jesiennego uboju i zdawały się być niewyczerpanym źródłem jedzenia. Oprócz tego, nie brakowało też w osadzie dobrej gorzałki i kumysu.

Przez długie, wypełnione jedzeniem noce, ludzie wymieniali się opowieściami. Husarze przypominali szczegóły swych przygód, martwych i straconych towarzyszy, udane ucieczki i zwycięstwa. Miejscowi ludzie odwzajemniali się historiami dotyczącymi żniw, padłych i chorych zwierząt, nowo narodzonych dzieci, starców, którzy odeszli, a także zaślubin. W tle grała muzyka, wygrywana na bębnach i skrzypcach.

Witalij, z dumą przedstawił Gerlacha, swojej wiekowej już matce. Waja pochwalił się dwójką maluchów, które spłodził pomimo tego, że z wyglądu był jeszcze bardzo młody. Mitrij zapoznał Heilemana ze swą pulchną, aczkolwiek bardzo urodziwą żoną.

Kwetłaj, dość nerwowy i niepewny, zabrał rajtara na spotkanie z młodą dziewczyną, z którą miał się ożenić. Była oszałamiająca i jednocześnie nieśmiała. Tak jak Kwetłaj dopiero niedawno ukończyła wiek dziecięcy. Na imię było jej Lusza.

Lusza miała trzy siostry i zasugerowała, że wszystkie, są o wiele ładniejsze niż ona. Jej jedyny brat, starszy niż dziewczęta, był jednym z husarzy roty. Nazywał się Sorca.

Kiedy dziewczyna ujrzała wyraz bolesnego zaskoczenia na twarzy Gerlacha, powiedziała mu.

- Już dawno go opłakałam. Wtedy, kiedy pierwszy raz ruszył z rotą na wojnę.

Żona Mitrija - Daria - koniecznie chciała dowiedzieć się, dlaczego Gerlach nie podgala włosów na głowie, tak jak czynią to inni woje.

- Wąsy i kosmyk na czubku głowy czynią mężczyznę o wiele przystojniejszym - zasugerowała.

- Mężczyźni stanica nie golić się także - odparł na to Gerlach wskazując atamana i kilku innych mieszkańców osady.

- Ale przecież oni nie są wojami! - stwierdziła stanowczo, po kobiecemu.

III

Zima powoli przemijała. Maksym wyruszył z Jeczyczy na czele niewielkiej grupy husarzy, by zwerbować wojów z okolicznych wiosek. Wszyscy mieli nadzieję, że roty z innych stanic, do rozpoczęcia roztopów, także będą w pełnych stanach, gotowe do walki.

Pięciu młodzieńców z Jeczyczowskiego kruga osiągnęło wiek, który pozwalał im dołączyć do oddziału. Husarze i inni mieszkańcy osady, spędzili pełną hulanki noc, na piciu i zabawach. Była to dla młodzików, swego rodzaju inicjacja. Brali udział w rozpustnych

pijackich konkursach, a na końcu odbyła się ceremonia obrzędowego ogolenia ich głów. Pozostawiono im jedynie kosmyki włosów na czubku głowy.

Golił ich sam Beledni. Użył do tego celu naostrzonego ostrza husarskiej kopii.

- Webla nie rozumi - rzucił Gerlach w stronę Witalija, gdy obaj stali i przyglądali się całej ceremonii.

- Golimy się zawsze przed bitwą. My wszyscy. - odparł Witalij.

- Wiedzieć Webla to. Niet Webla zrozumieć.

Witalij wyszczerzył w uśmiechu swe niewielkie zęby.

- Przed bitwą ostrzemy miecze i ostrza włóczy. Musimy być ich pewni i mieć do nich zaufanie. Potem golimy głowy, policzki i brody. Jeżeli rotmistrz spostrzeże u kogoś nieogoloną szczecinę wie, że broń tych ludzi nie jest jeszcze gotowa do bitwy. Nie jest wystarczająco ostra.

Gerlach aż westchnął gdy dotarła do niego prostota tej czynności.

Drżący i jakby lekko zmieszani suplikanci, stali w szeregu przed Belednim. Ich głowy były prawie zupełnie łyse i bardzo blade. W niektórych miejscach czerwieniła się też krew. Rotmistrz obejrzał ich dokładnie. Potem pozwolił każdemu po kolei, dotknąć brzegu jednej ze wstęg, ciągnących się za sztandarem roty, i wypowiedzieć zwyczajową przysięgę. Wszystko to odbywało się na drewnianym podwyższeniu. Matki, dumne ze swych synów, ronily ukradkiem łzy.

Imiona młodzików brzmiały: Gienadij, Bodo, Ksawery, Kuba i Walentin. Kuba to był ten chłopak, który przywitał Gerlacha i odprowadził Saksena. Jak Gerlach się dowiedział, był to syn samego Beledniego. Teraz mógł się o tym przekonać na własne oczy. Od razu można było u nich spostrzec rodzinne podobieństwo. Wystarczyłoby dodać kilka kilogramów wagi, parę lat i wybić młodzikowi przednie zęby...

Potem Beledni wyjaśnił im filozofię ostatniej bitwy. Każda bitwa - mówił chłopcom - jest tą ostatnią. Każda może odebrać z łatwością wasze życie. Jeżeli nie będziecie każdej potyczki czy walki traktować z powagą z pewnością umrzecie. Każdy husarz z roty walczy zawsze tak, jakby to miała być jego ostatnia bitwa.

Potem pojawił się Borodyn niosący husarskie skrzydła. Ozdobione były piórami ptaków zabitymi przez młodzieńców. Były tam pióra kruków, srok, pustulek. Inne, bardziej paradne i przynoszące większą dumę nadejdą później, kiedy młodzi potwierdzą swe umiejętności wojackie. Te skrzydła są potrzebne jeźdźcom by zanosły ich wysoko w niebo, gdzie mogą spotkać się z Daż.

Śmiech zamilkł. Wszyscy wyszli na zewnątrz, wprost w zimową mroźną noc, nakładając

na siebie cieplejsze ubrania i futra. Udali się na oświetlony lampami placyk za ziałą. Śnieg został tu odgarnięty na bok, a w ziemi ziało pięć otwartych, świeżo wykopanych mogił. Ich czerń kontrastowała z zalegającą dookoła bielą.

Ludzie ustawili się kręgiem. Recytowano pogrzebowe modlitwy za dusze pięciu chłopaków. Ich matki i siostry sypały do grobów suszone letnie kwiaty i ścięte włosy młodzików. Zawodziły przy tym i szlochały jakby poniosły ogromną stratę. Chłopcy byli teraz martwi. Umarli i wydostali się poza łono rodziny. Pogrzebano ich już teraz, żeby odłożyć na bok żal i smutek. Nikt już nie będzie czekał przez cały rok, na to, by usłyszeć jakieś nowiny o losie swych chłopców. Byli teraz martwi i ich los połączył się z losem roty.

Na zawsze stali się jeźdźcami śmierci.

IV

Później, w samym środku zimy, Gerlach miał bardzo realistyczny sen, który momentalnie go obudził. Leżał w ziali przykryty futrami. Całe jego ciało zlane było potem. Wszyscy husarze z roty spali teraz w ziali. W ich rodzinnych chatach, nie było już dla nich łózek.

Odnalazł Borodyna siedzącego nieopodal, wpatrującego się w trzaskający i huczący na wielkim kominku ogień.

- Webla miał sen - Obwieścił Gerlach siadając obok niego.

- Spodziewałem się tego. Wszyscy mieliśmy sen. Widziałem to także w gwiazdach. Co było w twoim śnie?

- Webla widział...

- Mów w swoim języku, Webla. I tak zrozumiem.

Gerlach uśmiechnął się.

- Widziałem bitwę. Wielkie pole wypełnione wojami. Kurhanów i kislewskie chorągwie naprzeciw siebie. Musiałem jechać i pokonać ich przywódcę.

Borodyn przytaknął.

- To i ja widziałem, wszyscy to widzieliśmy. Daż wypisał to w krugu niebios - spojrzał na Gerlacha. W błyszczących oczach migotały mu skry z ogniska.

- Z początku myślałem, że przybyłeś do nas by ocalić nasz sztandar. Sztandar roty. Myślałem, że to właśnie dlatego zesłali cię nam Daż i Ursun. Ale to tak naprawdę, był dopiero początek. Punkt spotkania się Jeczyczowskiej roty i Gerlacha, który jest także Webla.

- A teraz co myślisz?

- Jeżeli bogowie są z tobą, będziesz walczył, by pokonać przywódcę hord Khaosu.

- Archaona? Będę walczył z Archaonem? Czy to jest właśnie moje przeznaczenie?

Borodyn wzruszył ramionami.

- Sny, które śnimy nie okłamują nas, czasami jedynie wprowadzają w nasze umysły zamęt. Wszystko co wiem to to, że ty właśnie jesteś wybrańcem, który zmierzy się z wielką bestią Khaosu. Jeżeli zwyciężysz, cała ta ziemia i twoje ukochane Imperium, będzie trwać dalej. Jeżeli ci się nie uda i potwór cię pokona, cały Stary Świat powoli odejdzie w przeszłość spowity morzem krwi. Tak sędzę. Myślę, że jesteś tym wojem który zmierzy się z Archaonem, jako że nie ma na tym świecie zła większego niżli on.

- Czy wygram tę konfrontację? - zapytał Gerlach.

- Gwiazdy nie dają odpowiedzi na takie pytania. Sny zresztą też nie.

- Ale czy wygram? - naciskał dalej Heileman.

- Oczywiście. Przecież będziesz miał u swego boku rotę z Jeczyczowskiego kruga.

V

Okolica przykryta była grubym, ciężkim kozuchem śniegu, ale niebo było czyste i błękitne. Minęło już zimowe przesilenie i temperatura przestała wreszcie opadać. Było wciąż mroźno.

Gerlach wyszedł na główny plac osady i patrzył jak chłopcy ze stancy, prowadzą za uzdy niewielkie kuce. Nowi husarze w pewnym oddaleniu, jako że nie byli już chłopcami, trenowali właśnie konie na których w przyszłości mieli jeździć w rocie Beledniego. Prowadzili je dookoła, nie używając wodzy i rytmicznie bili w bębny, najpierw po jednej stronie głowy wierzchowca, później po drugiej.

Gerlach stał obok płotu otaczającego Jeczycz i patrzył na krążących jeźdźców. Jednocześnie ostrzył czubek nowej kopii, którą właśnie dostał od Beledniego. Kuba prowadził swego konia starając się jednocześnie, wystraszyć go biciem w bęben. Był tak jak i jego ojciec wspaniałym jeźdźcem.

Nazajutrz miał się odbyć ślub Kwetłaja i Luszy. Z tej okazji Gerlach postanowił się ogolić. Wszedł z powrotem do ziali i zaczerpnął głębokim czerpakiem gorącej wody z kotła zawieszzonego nad ogniem. Potem ostrożnie zaczął się golić, używając do tego, zaostzonej

krawędzi ostrza swej kopii. Ogolił brodę, policzki a potem włosy na głowie. Zgolił wszystko za wyjątkiem wąsów i długiego kosmyka na czubku głowy.

VI

Na bardzo hucznej uczcie weselnej, wszyscy zdrowo sobie popili. Panna młoda, jej biała suknia ustrojona była piórami, zaproponowała, by Gerlach powiedział kilka słów. Propozycja ta uzyskała bardzo głośny aplauz Witalija i Waji. Kilka słów to było właśnie tyle ile mógł wypowiedzieć w kislevickim języku rajtar. Opowiadał niewyraźnie o Zamak Spayenya i odwadze Kwetłaja, a potem rozwodził się nad pięknem młodej panny. Zebrani nagrodzili jego na wpeł zrozumiałą wypowiedź oklaskami i wivatami.

Kiedy opadł z powrotem na siedzisko, żona Mitrija przesunęła dłonią po jego gładkiej czaszce.

- Tak jest o wiele lepiej - stwierdziła ze zdecydowaniem.

Wokoło rozbrzmiała muzyka i biesiada zmieniła się płynnie i niedostrzegalnie w tańce. Gerlach został pociągnięty za rękę w tłum wirujących ciał. Powiodła go tam Aleksandra - jedna z sióstr panny młodej. Była to z pewnością jedna z najpiękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek dane było widzieć Gerlachowi. Kiedy tak tańczyli mocno objęci dziewczyna nagle zachichotała.

- Ty jesteś Webla.

- A ty Aleksandra.

- Ale to nie jest śmieszne. A Webla tak.

- A co tak właściwie znaczy Webla? Wy tłumacz mi proszę. Nikt nie chciał mi tego powiedzieć.

- Jest owca.

- Owca?

- Owca. Ma małe jagnięta. Niektóre są silne i duże, inne niewielkie. Najmniejsze ze wszystkich walczy ze wszystkimi innymi, by napić się mleka. Jest... jest dokuczliwą małą bestyjką. Zawsze kręci się pod nogami, zawsze wchodzi w drogę, wciąż prosi o więcej i potrzebuje nieustannej opieki. Jest natarczywe i wciąż czegoś żąda.

- I to właśnie jest Webla?

- Mniej więcej - odpowiedziała i zaśmiała się głośno i szczerze.

Zakręcił nią wokoło w rytm bijących bębenków. Jej pełen szczęścia śmiech, miał go nawiedzać już do końca życia.

VII

Tydzień po zaślubinach. Husarze z roty Beledniego budzą się na przeraźliwy dźwięk metalowej warząchwi objijającej się o ściany wielkiego spiżowego kotła. To Maksym potrząsa nim ostro.

Ignoruje jednak wszystkie sugestie i prześmiewcze uwagi na temat tego, co może sobie z tym kotłem zrobić.

- Pierwsza odwilż - padają słowa.

VIII

Przyjawszy od atamana sztandar roty, Gerlach odwrócił się na pięcie, przemaszerował przez ziałę i wyszedł na plac. Grunt wciąż pokryty był warstwą śniegu, ubitą i chrupiącą przy każdym kroku, ale w powietrzu czuć było wilgoć. Niebo ponad wierzchołkami wysokich sosen było zielonkawo-niebieskie.

Mieszkańcy Jeczyczy zaczęli klaskać i wznosić okrzyki, jak tylko Gerlach wynurzył się z budynku. Przez całą zimę Borodyn wytrwale pracował nad powgniatanym półpancerzem Heilemana. Przyozdobił go złotymi i srebrnymi ornamentami. Pióropusz na hełmie zastąpił pojedynczy metalowy kolec, a tam gdzie kiedyś chroniły kark płytki stali, teraz spływała kolcza zasłona. Pokrywająca kirys lamelkowa zbroja sięgała do łądźwi. Dookoła ramion Gerlacha udrapowano futra. Specjalne wsporniki na napleczniku podtrzymywały wysoko sterzącą ramę husarskiego skrzydła, ozdobioną orlimi piórami. Dłuższą chwilę zajęło też Gerlachowi przyzwyczajenie się do nowego wizjera w kształcie serca, który Borodyn przymocował do jego starego hełmu. Trzeba się teraz było bardzo uważnie przyjrzeć, żeby zorientować się, że za podstawę tej osłony głowy, posłużył rajtarski burgonet, a nie był to po prostu, zwykły kislevski szyszak.

Podbiegła do niego Aleksandra. Dała mu najpierw zwyczajowy łyk kumysu, a potem siarczystego całusa, który spowodował prawdziwy ryk w tłumie. Gerlach przygarnął ją mocno

do siebie. Potem przekazał sztandar oczekującemu Kubie, który prezentował się wspaniale w swym husarskim odzieniu i rynsztunku.

Wskoczył na siodło z pozycji stojącej, czym wywołał jeszcze większe owacje. Bielyj-Saksen, dobrze utrzymany i odżywiony, znów był pomalowany na biało-czerwono, dokładnie tak jak po raz pierwszy zrobili to chłopcy ze stancy Duszyka. Grzywę i ogon miał przycięte i zaplecione.

Kuba podał mu z powrotem sztandar roty. Heileman wzniosł go wysoko w górę, a Jewnij zagrał na swym rogu sygnał do wymarszu.

Pięćdziesięciu trzech husarzy z roty Beledniego, wszyscy jak jeden mąż jeźdźcy śmierci, zawróciło konie i wyjechało ze stancy. Po niedługim czasie skryli się w lesie.

Ludzie z Jeczyczowskiego kruga stali i machali jeszcze długo, po tym, jak oddział zniknął im z oczu.

Mazhorod

I

W języku Kislevu miejsce to zwało się Mazhorod, jednak Kurhani znali je jako Khar'phak Aqshyek. Dawno temu, odbyła się tutaj bitwa, która miała dla nich przeogromne znaczenie. Latem można było chodzić po okolicy i znaleźć stare groty strzał, pordzewiałe szpice tarcz, pierścienie z uzd końskich i inne przedmioty, które pozostały w ziemi. Tutaj właśnie znajdował się przyzwoity bród na rzece Urskoi - szeroka mielizna grubego żwiru na zakręcie, która zwalniała bieg wody i dzięki której, była tu płycizna.

Po obu stronach przeprawy rozciągały się otwarte zaczątki wielkiej równiny, rzadko porośnięte drzewami, paprociami i stepowymi ostami. Wysoka i poszarpana linia młodych gór leżała na zachodzie, a na południowym wschodzie ciągnął się obwód niższych, kamienistych pagórków.

Ledwo co zaczęła się wiosna. Śnieg wciąż leżał ciężkim, grubym kozuchem na ziemi i miało być tak jeszcze, przynajmniej przez sześć najbliższych tygodni. Niebo było czyste, błękitno-białe. Powietrze rześkie i świeże. Zasilana przez roztopy rzeka Urskoi grzmiała wściekle w tym czasie, gdy poziom wody był najwyższy. Po powierzchni płynęły wielkie kawały popękane lodu.

Nowy rok był jeszcze bardzo, bardzo młody, ale czas wojny już się rozpoczął.

Podróż roty poprzez stepy, z powrotem do Zojszenk zabrała im trzy tygodnie dłużej niż to sobie na początku planowali, pomimo tego, że wyczulony nos Maksyma sprawił, iż wsiedli na konie i wyruszyli z Jeczyczy bardzo wcześnie. Śnieg, który przewalał się w czasie zimy przez step w lodowatych zamieciach, utworzył teraz wielkie zasy. Step wyglądał dzięki temu, jak bezkresna biała pustynia ze śnieżnymi wydmami. Jeźdźcy zmuszeni byli pokonywać całe kilometry na własnych nogach, brnąć mozolnie w zimnym, głębokim do kolan śniegu i prowadząc za sobą konie.

Kiedy dotarli wreszcie do Zojszenk okazało się, że pułk zdążył się już sformować i wyruszył na południe. Fiodor Kurkosk, bojar dowodzący armią, z powodzeniem wykorzystał okres zimy by zebrać siły czterokrotnie przewyższające swą liczebnością nędzne niedobitki, które pod koniec lata ubiegłego roku zebrały się nad rzeką Tobol. Teraz dołączył do nich

jeszcze pułk Uskowicki. Nie chcąc zwlekać ani chwili dłużej i przez to zaprzepaścić dobrego początku, jaki uzyskał dzięki tak wczesnemu zebraniu oddziałów, bojar poprowadził całą swą armię na południe.

W województwie, które leżało kilkaset lig na zachód od właściwego Kislevu i najbardziej ucierpiało pod ciosami najeźdźców z Północy, armia bojara napotkała na swej drodze włóczącą się po okolicy horde Okkodaia Tarsusa. Zmarznięte i głodne oddziały Wielkiego Zara podążały na zachód, przynaglone jak się zdawało rozkazem samego Archaona, by wspomóc najważniejszą kampanię zbliżającą się wielkimi krokami. Kampanię mającą mieć miejsce po drugiej stronie Gór Środkowych.

Horda Wielkiego Zara, prawie dwukrotnie przewyższając liczebnością połączone pułki dowodzone przez bojara. Obie armie spotkały się pod lasem nieopodal Krasieczyna. Przez chwilę zdawało się, że ucieczka pułku przed Okkkodaie Tarsusem, która dokonała się pod koniec lata ubiegłego roku, była tylko odwleczeniem tego, co nieuniknione i teraz nic nie powstrzyma już rzezi i całkowitego unicestwienia wojsk Kislevu.

Teraz sytuacja była odmienna. Z południa nadeszła im w sukurs inna armia. Imperialna armia ze Stirlandu. Naparła z drugiej strony, deptając najeźdźcom po piętach. Horda Okkodaia Tarsusa została ujęta w kleszcze pomiędzy armiami Kislevu i Imperium. Okrążona i zmiażdżona, zmuszona do ucieczki po bitwie, która trwała dwa dni bez mała.

Duża część sił Kurhanów, włączając w to samego Wielkiego Zara, przeżyła i umknęła z pola bitwy, ale nie stanowiła już żadnego zagrożenia, z którym należałoby się liczyć.

Triumfujące armie zwróciły się na zachód. Były one pierwszą pokaźną siłą z Kislevu i wschodnich prowincji, nadciągającą z odsieczą oblężonemu sercu Imperium. Czas był ku temu najwyższy. Inne, po części dowodzone przez samą carycę, parły z Kislevu tuż za nimi.

Rota Beledniego dołączyła do armii Fiodora Kurkoska właśnie pod Mazhorod, wiodąc ze sobą także innych maruderów, których zastali w Zojszenk. Nastroje były radosne. Ludzie byli pełni wiary we własne siły.

Gerlach nie podzielał ich opinii, on nie był tak ufny. Sam ten fakt drażnił go niezmiernie. Wreszcie... wreszcie! Kontratakowali i nieśli zemstę za wszystkie te okropne rany, jakie zostały zadane uprzedniego lata. Wszystko, czego pragnął, do czego chciał zeszłego roku doprowadzić, właśnie się ziszczało.

Ale teraz stało na jego drodze wspomnienie snu, który śnił zimą i jego zawoalowane znaczenie.

- Ty Webla być wesół? - upomniał go Witalij kiedy jechali ramię w ramię.

- Iha - zgodził się z nim Waja - My wojować jechać. To być to co Webla chcieć zawsze

czas. Wy wojować jechać, rota, Webla skazał. Czemu wy nie jechać wojna ze mną? Jak echo jaskinia. Teraz my wojować jechać z tobą i... hej! Webla wygląda jak człowiek, który znaleźć w kubku szczyny zamiast wina.

- Ja być zadowolony - odpowiedział im w ich własnym języku. - Ja być zadowolony my jechać na wojna. Webla po prostu...

- Co Webla po prostu? - zapytał Waja.

- To ten sen, który miałeś, tak? - stwierdził raczej niż zapytał po kislewicku Witalij. - Ten, który mieliśmy wszyscy.

Gerlach przytaknął.

- To nadejdzie wtedy, gdy będzie na to pora - obwieścił uczenie Waja. Odwrócił dłoń jakby pozwalał wysypywać się z niej drobinom kurzu. - To bez znaczenia.

- Ja uważam - odparł na to Gerlach - że to może mieć kluczowe znaczenie.

II

W Mazhorod, tuż przed samą przeprawą przybyli konni zwiadowcy. Przywieźli ze sobą wieści. Widzieli wielkie zbiorowisko wrogich wojsk zmierzające tutaj od zachodu. Mazhorod miał być miejscem, gdzie dwie potęgi spotkają się, miał być ich polem bitwy.

Na rozkaz bojara, wielki pułk rozłożył się obozem na kamienistych wzgórzach, na południowy wschód od przeprawy. Stąd mogli obserwować całą równinę i zakola rzeki. Kiedy zapadła noc widzieli ogienki pochodni niesionych przez gromadę Kurhanów po drugiej stronie Urskoi.

- Jutro czeka nas bój - odezwał się Beledni, gdy wszyscy husarze z jego rotę zebrali się dookoła trzeszczącego ognia Jeczyczowskiego kruga. Tak jak i inni dowódcy oddziałów, został wezwany na spotkanie z bojarem i teraz właśnie dzielił się wiadomościami, jakie otrzymał, ze swymi ludźmi.

- Będą próbować się przeprować. Prawdopodobnie wszystko zacznie się o świcie. Bojar rozkazał byśmy dorwali ich, kiedy będą jeszcze w wodzie. Tam jest dość głęboko i będą mniej odporni na nasze ataki.

Husarze przytaknęli z entuzjazmem na ten pomysł. Bukłaki pełne kumysu przeszły w kole z rąk do rąk. Ludzie wznosili toasty za zwycięstwo. Po chwili Beledni wydał rozkaz by się ogolili.

Gerlach opuścił krąg i wspiął się na sterczącą kupę kamieni. Dookoła niego, w śnieżnym półmroku, migotały wszędzie ognie wielkiego pułku bojara.

Kilka lig dalej, na drugim brzegu, niewidzialnej w nocnych ciemnościach rzeki Urskoi, płonęły podobne ognie obozowiska nieprzyjaciela.

- Nie golisz się tak jak przykazałem - rzekł Beledni wyłaniając się z ciemności za plecami Heilemana.

- Ogołę się rotmistrzu, zgodnie z rozkazem. Zanim jeszcze udam się na spoczynek.

- Kłopotujesz się. Coś siedzi w twojej głowie.

Gerlach odwrócił się i spojrzał na potężnego, starego Kislevitę.

- Wiesz o moich snach?

- Sam śnię podobne, również je miewam.

- Jest to dla mnie bardzo frustrujące, nie wiem, co o tym myśleć - gestem ręki ogarnął migoczące płomyki odległego obozu Kurhanów. - Daż powiedział mi, że mam walczyć z wielką bestią Khaosu i przyszłość wielkich narodów spoczywa w moich rękach.

- Iha.

- Archaon, niech przeklęte będzie jego imię, jest taką wielką bestią, prawda?

- Rotmistrz Beledni sądzi, że jest w twych słowach zawarta prawda.

- Tak... ale jego tu przecież nie ma, nieprawdaż? Musimy rozbić tę hordę z północy jutro z rana. I nawet jeśli wygramy...

- My zwyciężymy, Webla.

- Oczywiście. Ale nawet wtedy, ten wielki wysiłek, dla mnie będzie jednym małym kroczkiem, prowadzącym do celu. Ile jeszcze armii będziemy musieli pokonać, zanim wreszcie stanę twarzą w twarz z bestią? Jak silny muszę być?

- Wystarczająco silny.

Gerlach przejechał dłońmi po gładkiej, łysej czaszce i mocniej zacisnął rzemień opasujący jedyny kosmyk włosów jaki mu jeszcze pozostał.

- Mam taką nadzieję. Po prostu wygląda na to, że wcale nie powinno mnie tu być. Powinienem znajdować się teraz w zupełnie innym miejscu, tam gdzie miałyby to jakieś znaczenie.

- To co robisz teraz, również jest ważne, Webla. Też ma znaczenie. To i następna rzecz i następna. To jest jak podróż. A podróż jest...

- Kręgiem. Wiem o tym. Ale jak to możliwe, by moja podróż kiedykolwiek zatoczyła pełen krąg i skończyła się w tym miejscu, gdzie powinienem być? Tam gdzie Daż chce bym był? Nigdy nie spotkałem Archaona. Nigdy nie spotkałem żadnej bestii Khaosu. Zastanawiam

się, czy cała ma podróż nie jest linią prostą, pomimo tego, co mówi filozofia Kislevitów. I ta walka, do której się właśnie przygotowujemy nie jest przeszkodą na mojej drodze.

- Ty jesteś Webla - stwierdził Beledni przechodząc na swój łamany Reikspiel - wciąż dokuczasz i drażnisz. Ty przejmujesz się różne rzeczy. Nie poddawać się. Wreszcie ty znaleźć droga by twój krug dopełnić.

Gerlach uśmiechnął się.

- Mogę ci coś powiedzieć rotmistrzu? - zapytał.

Beledni przytaknął skinieniem głowy.

- Kiedy byłem jeszcze młodym mężczyzną... - zaczął Gerlach. - Jakiś rok temu by być dokładnym - dodał po chwili, a Beledni zaśmiał się szczerze. - Sądziłem, że w pojedynkę mogę zmienić cały świat. Przyjechałem tu z Talabheim, napuszony i dumny z zamiarem wzięcia się za bary z ciemnością i pokonania jej. Miałem to zrobić zupełnie sam. Zatrzymać i zawrócić wszystkie hordy z Północy, jednym machnięciem mojego koncerza.

Gerlach przez chwilę zapatrzył się w migające wysoko gwiazdy.

- Ten czas który z wami spędziłem, z rotą i z tobą na stepie, ten czas odmienił mnie zupełnie. Bezkrzesne województwo sprawiło, że uświadomiłem sobie jak mały w rzeczywistości jestem. Jak nieważny. Po prostu, samotny malutki człowieczek, pośród ogromnego świata. To było... upokarzające.

- Step potrafi nauczyć pokory każdego - zgodził się Beledni.

- Iha. I była to spóźniona lekcja, dla takiego ignoranta jak ja. Poznałem gdzie jest moje miejsce w szeregu. Straciłem całą swą arogancję.

- W takim razie, ten cały ostatni rok, nie był jednak stracony? - zaśmiał się rotmistrz.

Gerlach zawtórował mu.

- Ale teraz Daż mówi mi, że wcale nie jestem takim maluczkim nic nieznaczącym ludzikiem. I wszystko to, co o sobie wcześniej sądziłem, jest tak naprawdę czymś realnym. Tak mówi Daż.

- Daż. Pokazuje nam rzeczy, które są ważne i znaczące - potwierdził skinieniem Beledni.

- Tak. Ale to przeznaczenie spadło na mnie tak nagle. To właśnie to wszystko, co jakiś czas temu odrzuciłem, ponieważ uważałem to za głupotę. Być człowiekiem, który w pojedynkę ocali świat. Być człowiekiem, który stawi czoła bestii Khaosu. Znaczyć, naprawdę coś znaczyć w losach świata. I wszystko to przyszło zbyt późno. Wtedy, kiedy właśnie uświadomiłem sobie, że tak naprawdę, nie znaczę zupełnie nic.

Beledni przysiadł na skale.

- Daż rzeczywiście potrafi być czasami takim cholernikiem - zgodził się.

Gerlach ponownie zaniósł się szczerym śmiechem.

- Każdy człowiek jest ważny - stwierdził z powagą rotmistrz. - To jak żyje, jak umiera, co robi. Sposób, w jaki przeżywa swe życie, jak przez nie przechodzi. Krug się obraca i przyjmujemy każdy dzień, takim jaki do nas przychodzi. Jeżeli Daż powiada, że znajdziesz kiedyś swoją bestię Khaosu, bądź pewien, że tak się właśnie stanie. On potrafi przymusić cały wszechświat i sprawić by wydarzyło się to naprawdę.

- Czy rzeczywiście potrafi? Czy to zrobi?

- Twój sen nie był przepowiednią i nie należy tak go odbierać. To Daż po prostu przestrzegał cię przed tym, co się kiedyś stanie.

III

Kiedy nadszedł świt, bandy wielkiej hordy Surtha Lenka wyroiły się na zachodnim brzegu rzeki Urskoi. Od północy, w ich obozie panowało wrzenie i zamieszanie. Szamani poświęcali wojowników, obdarzali ich łaską ponurych bóstw i skrzeczeli wojenne modlitwy pomiędzy gromadami podekscytowanych Kurhanów.

W słabym i chłodnym świetle wczesnego świtu, bród zdawał się być nieprzekraczalny. Wody rzeki Urskoi pędziły z hałasem, pośród kipieli przewalały się kawały połamanego lodu. Konie bały się i nie chciały się nawet zbliżyć.

Rogi zabrzmiały głośno w półświatle. Pomimo tego, że wojownicy w poszczególnych oddziałach byli niechętni, zarówno i Hetzarowie nie mieli wątpliwości, że muszą przekroczyć kipieli. Ten rozkaz pochodził od samego Archaona. Pan Końca Świata przysłał go do Surthy Lenka, kierując jego hordę na wschód, by zajęła się armiami nadchodzącymi ze stepu. Wschodnia flanką głównych sił Archaona była niechroniona i odsłonięta. Horda Lenka stanowiła naprędce obmyślaną obronę i dawała dowód, jak bardzo wrażliwa na ataki od tej strony była wielka horda Archaona.

Zarowie, których Surtha Lenk wybrał, by poprowadzili atak, zebrali się już na samym brzegu rzeki i spędzali teraz jeźdźców, ustawiając ich w szyku. Byli to Zar Herfil, Zar Skolt, Zar Bellicuz, Zar Narrhos. Wraz z nimi około dziewięciuset konnych wojów. Za nimi podążali piesi - było ich jakieś dwa tysiące. W słabym świetle wszyscy widzieli doskonale Kislevitów i imperialnych żołnierzy Sigmara zbierających się by powitać ich na drugim brzegu rzeki.

Zar Azytzeen poprowadził swoich konnych wojów, poprzez zbity tłum przygotowanych do walki Kurhanów, stojących na zachodnim brzegu. Wszyscy rozstępowali się przed nim, gdy zbliżał się na czele swojej bandy. Sam jego widok wywoływał przerażenie. Wyprostowana sztywno postać z ramionami owiniętymi metalowymi obręczami, z głową skrytą pod kolczastym, złotym hełmem bojowym, który, jak mówiono, zabrał z kurhanu w Chamon Dharek. Inna plotka głosiła, że był on specjalnie dla niego wykuty przez kapłanów-kowali w tym uświęconym i zakazanym miejscu. Bez względu na to, jak było w rzeczywistości, hełm był koszmarny. Wykuty z białego scytyjskiego złota, posiadał tylko jeden wizjer po prawej stronie. Cały przód hełmu był bogato rzeźbiony i pokryty ornamentami. Przedstawiał on pojedyncze oko otoczone węzowymi splotami. Oko to, miało błękitny szlachetny kamień, w miejscu, gdzie normalnie powinna być źrenica.

- Dzisiejszego dnia przelejemy wiele krwi, Zarze Azytzeen, seh - stwierdził Yuskel przymuszając swego pokrytego biało-czarnymi pasami konia do tego by szedł naprzód. Chorągiew bandy Azytzeena łopotała, wzniesiona wysoko mocarną ręką chorążego.

- Tak właśnie będzie Yuskel, seh - odparł na to zar.

IV

Zagrzmiały rogi. Horda Lenka ruszyła do przodu, wpadła w wodę i z trudem, potykając się i walcząc z rwącym nurtem parła do przodu. W pierwszym rzucie przeprawiali się piesi woje wznoszący ponad głowami swe berdysze i tarcze. Za nimi nieśmiało wchodzili do szybko płynącej wody pierwsi konni.

Wielki pułk czekał na nich. Ludzie byli gotowi na przyjęcie nieprzyjaciela.

Kurhani byli zmywani przez ostry nurt zasilanej roztopami rzeki, ich ciała wyłaniały się okazjonalnie z kipieli w dole rzeki. Niektóre konie też dawały się porwać zziębnięte i zeszywniałe, ciągnąc za sobą w odmęty jeźdźców. Ich splątane ciała kotłowały się w spienionej wodzie.

Ale siły Surtha Lenka przewyciężyły rwący nurt rzeki samą tylko masą i liczebnością. Pierwsi piesi woje wypęzli z wody na wschodni brzeg rzeki i rzucili się biegiem w kierunku cierpliwie czekających na nich Kislevitów. Niedługo później dołączyli do nich pierwsi konni. Kompania zara Herfila. Zara Skolta.

Pułk czekał dopóki nie przedostały się na jego stronę, bardziej znaczące ilości wrogich

wojowników. Przeciwnik mający teraz za plecami rzekę i nie miał już drogi odwrotu.

Zagrzmiały rogi i wysokie dźwięki trąbek sygnalistów. Pułk ruszył do przodu. Stirlandczycy utworzyli ścianę z pik by przywitać szarżującego wroga. Imperialni łucznicy znajdujący się po obu stronach zakola rzeki zasypywali tych, którzy zdołali się przedostać przez bród prawdziwą ulewą strzał. Wielu przeciwników poprzebijanych grotami strzał padało na ziemię.

W tym samym czasie, ogromna kompania łuczników konnych nadjechała wzdłuż brzegu od południa i zaczęła nękać Kurhanów walczących z rwącym nurtem Urskoi. Efekt był godny odnotowania. Setki Kurhanów umarło w środku przeprawy pod gradem zabójczych strzał. Krótkie kislevskie łuki zbierały krwawe żniwo. Sam zar Herfil padł z przebitą czaszką, a zar Skolt zmuszony był zeskoczyć, ze swego kwiczącego z bólu wierzchowca. Z piersi zwierzęcia sterczały dwie długie końcówki strzał.

Od strony sił sprzymierzonych wzniósł się w niebo ogłuszający ryk triumfu. Rzeka i pułk zadały Kurhanom ogromne straty.

Na zachodnim brzegu Zar Azytzeen głośno przeklinał imiona bogów sprzyjających wrogowi i ganił własnych, za brak jakiegokolwiek wsparcia. Nawet jego najwierniejsi towarzysze, pobledli na dźwięk bluźnierstw, jakie padały z jego ust.

- Tchar! O ty, który sprawiasz, że wszystko się zmienia! Dlaczego opuściłeś nas właśnie w takiej chwili!? - ryknął w górę, do porannego nieba, które było błękitne jak otoczone węzami oko. Zdjął z głowy złoty hełm, tak by jego poblźnione, martwe oko mogło spojrzeć w górę, wprost w twarz boga.

Być może Tchar rzeczywiście wysłuchał prośb swego umiłowanego syna, albo może potężny Surtha Lenk także błagał właśnie swego boga o wsparcie, wspomagając się w tym, swoimi czarnoksięskimi mocami. Bez względu na przyczynę, niebo nagle zaciągnęło się mrokiem. Skłębione chmury zwiastujące burzową pogodę, pędziły po nieboskłonie i zasłaniały dostęp słonecznym promieniom. Zaczął padać śnieg. Potem w dół runął grad i zaczął dzwonić odbijając się od rynsztunku wojowników z obu armii. Temperatura spadła gwałtownie i wszystkich ścisnęła dziki mróz.

Rzeka Urskoi przy brodzie Mazhorod pokryła się w oka mgnieniu grubą pokrywą lodu.

Kurhani stojący wciąż na zachodnim brzegu zawahali się onieśmieleni i zaskoczeni. Woda zamarzała tak prędko, tak nienaturalnie, że wszyscy ci, którzy się w niej znajdowali, czy to na piechotę czy też konno, zostali teraz uwięzieni. Niektórych masa lodu po prostu zmiażdżyła. Inni wrzeszczeli zatopieni w lodzie, nie mogąc się z niego w żaden sposób wydostać. Zwycięski duch wielkiego pułku opadł i ulotnił się w obliczu takiego

nienaturalnego przedstawienia.

- Teraz! Teraz! - ryknął na całe gardło Zar Azytzeen, zakładając z powrotem na głowę hełm. - Teraz w imię Archaona i Tchar!

Hzaer zadał w wielki pokręcony róg. Odgłos został ochoczo podchwycony i wzmocniony przez trębaczy innych band. Główna część konnicy Kurhanów z grzmotem ruszyła do przodu, przejeżdżając na drugą stronę rzeki po grubej warstwie lodu. Kopyta koni wyrzucały w powietrze małe lśniące fragmenty podobne do niewielkich szafirów. Tuż za nimi podążali piesi wojownicy uzbrojeni w berdysze i włócznie, parli do przodu jak morska fala obmywająca brzeg.

Kompania Azytzeena była pierwsza na drugim brzegu. Od razu ruszyła do szarży wymijając po drodze niedobitki pierwszej fali natarcia. Na sam jego widok pierwszy szereg pikinierów ze Stirlandu załamał się w panice. Oddział konnych łuczników dowodzonych przez Dmirowa, syna Gaspara i brata Antala był najbliższej szarżującej kawalerii Kurhanów. Łucznicy wciąż ostrzeliwali najeźdźców z Północy, którzy wydostali się na drugi brzeg. Dmirow zawrócił swój oddział i pełnym galopem ruszył naprzeciw zbliżającym się barbarzyńcom.

Zagrały kislevskie łuki, strzały zaświszczały w powietrzu i pomknęły w kierunku przeciwnika. Kurhani spadali z siodła, albo padali na ziemię wraz z zabitymi końmi. Po chwili jednak sięgnęli po własne łuki. Berlas, Lyr, Diormac... każdy z nich, nie wyłączając samego zara, naciągnął cięciwę i wystrzelił. Strzelali raz za razem, dobywając za każdym razem strzałę spomiędzy palców ręki trzymającej łuk. Czarno opierzone pociski mknęły w stronę najeżdżających Kislevitów, chmura za chmurą.

W ciągu kilku sekund zginęło kilkudziesięciu lekko odzianych konnych łuczników. Ciała koziółkowały po trawie, toczyły się w pędzie, ciągnęły je konie. W momencie, kiedy oba oddziały wreszcie wpadły na siebie, więcej ludzi Dmirowa leżało martwych lub rannych na ziemi niż jechało konno.

Gdy wyczerpali już prawie wszystkie strzały, Kurhani dobyli broni i wpadli pomiędzy galopujących Kislevitów. Wojownicy przemykali w pędzie obok siebie, ale potężniejsi, lepiej opancerzeni wojownicy z Północy mieli w takim starciu przewagę. Efgulf odrąbał głowę Dmirowa nawet nie zwalniając biegu konia. Sakondor zabił chorążego łuczników.

Potem pomknęli zataczając koło i zajeżdżając oddziały wielkiego pułku od flanki. Nie byli już sami. Inni zarowie powiedli swoich ludzi do szarży i wbili się w stojące naprzeciwko i po prawej ręce linie Kislevitów. Rozdarli je, a przebijający impet został jeszcze wzmoczony pracymi z tyłu oddziałami piechoty Kurhanów.

Bitwa, która w pierwszych chwilach została prawie wygrana, teraz wyrównała się i obie strony związały się w morderczej walce.

I koło fortuny zaczęło obracać się w sposób jaki sprawiał niewysłowioną radość oku Tchar.

V

Rota Jeczyczowskiego kruga ustawiona była z prawej strony pułku była gotowa by w każdej chwili pocwałować dookoła stojącej przed nimi ściany z pik. Kiedy nagle wody rzeki Urskoi zamarzyły, sytuacja poczęła się zmieniać.

Beledni uniósł się w strzemionach i odwrócił do swoich ludzi.

- To jest ostatnia bitwa, pamiętajcie o tym! Jedyna bitwa! Walczcie tak, jakby to była ostatnia rzecz, jaką robicie w swoim życiu, a może się tak nie stanie!

Na głośny rozkaz Beledniego, Jewnij zatrąbił sygnał do szarzy i rota zawróciła. Jechali szybko z kopiami w wytokach. Wraz z nimi ruszyły także dwie inne rotty. To był piękny i bardzo chwalebny widok. Woje zakuci w złoto i srebro, z furkoczącymi w pędzie husarskimi skrzydłami, przebili się przez śnieżne zasy. Na ostrzach ich kopii łopotały wąskie chorągiewki.

Część kislevskiego pospolitego ruszenia, zebranego w pośpiechu po stanicach, została rozbita. Klinem wbiła się w nich kompania Zara Kreyya i klin toporników z Północy. Galopujący husarze pomknęli ku nim, niczym przelewająca się złota fala.

Żaden z ludzi Zara Kreyya, uzbrojonych w topory i pałasze, nie był w stanie, sprostać w jakikolwiek sposób, kislevskim kopiom. Ten niezmiernie długi oręż kołysał się w rękach, a gdy wreszcie wbili się w nieprzyjacielskie szeregi, husarze musieli zaprzeć się mocno w strzemionach i siodłach by nie spaść z koni od impetu uderzenia. Kopie skruszyły się i popękały. Żadna z nich nie zawiodła i znalazła swój cel, zabijając lub ciężko raniąc jakiegoś Kurhana.

W tym jednym, krótkim momencie, zderzenia się dwóch oddziałów, pięciu nowych husarzy przeszło swój chrzest bojowy i zdobyło prawo poszczycenia się pierwszym zabitym wrogiem.

Niedobitki bandy zara, starały się oderwać od przeciwnika, ale przeszkodzili im w tym, kłębiący się dookoła w panice piesi topornicy. Kurhani zaczęli zabijać Kurhanów, z początku

niechcący, gdy spanikowane konie tratowały znajdujących się zbyt blisko ludzi. Kreyya, usiłując wydostać się na wolną przestrzeń, ściał zagradzającego mu drogę topornika. Stojący obok, piesi Kurhani, w przerażeniu zwrócili swój oręż przeciwko niemu, starając się w szalonej desperacji, ocalić swe życie.

Większość kopii roty była teraz połamana lub upuszczona na ziemię. Niektórzy husarze zdołali jednak je utrzymać i teraz parli nimi w głąb kłębowiska przeciwnika. Mitrij pozostawił w końcu swoją, wbitą w pierś trębacza Kurhanów.

Dobyli teraz dziirytów i zaczęli ciskać nimi w zbitych w kupę wrogów. Waja, jadący tuż przed Gerlachem, rzucił swój pierwszy dziiryt z taką mocą, że ten przebił na wylot naramiennik umykającego zara. Kreyya wrzasnął z bólu i starał się utrzymać w ryzach swojego konia. Zdołał jakoś wykręcić, dokładnie na czas, by przyjąć kolejny pocisk ciśnięty przez Waję z wielką precyzją między oczy.

Trzy roty, wspólnie wycięły w pień, bandę konnicy i pieszych toporników. Jewnij znów zadał w róg, by po raz kolejny zwiększyć tempo jazdy, a Beledni powiódł swoją rotę dookoła. Przed nimi znajdowała się teraz, kolejna banda Kurhanów na koniach, pędzących w ich stronę.

Ta banda znajdowała się już w pełnej szarzy.

VI

Yuskel spostrzegł miejsce w szeregach nieprzyjaciela, gdzie znajdował się kislevski bojar i wykrzyczał tę wiadomość w kierunku swojego zara. Rycząc wściekle, Azytzeen przynaglił ich, do jeszcze większego pośpiechu. Zabicie bojara było sprawą pierwszorzędnej wagi. To właśnie jego śmierci pragnął najbardziej. Czaszka bojara znajdzie się potem, na samym szczycie, jego pierwszej piramidy. Wypalone oczy kislevskiego dowódcy będą się wpatrywać jak Chegrume naznacza Zara Azytzeena pierwszą blizną na policzku. Potem oprawią ją w złoto i stanie się ona ozdobą sztandaru kompanii.

A przede wszystkim, zabicie bojara sprawi, że zdobędzie on łaskę i przychyłność Wielkiego Zara. Bez wątplenia stanie się wybrańcem i nowym ulubieńcem Surthy Lenka. Będzie Hetzarem Azytzeenem, wodzem wozdów.

Pomiędzy nim i drabantami bojara stała tylko pojedyncza linia kislevskich husarzy. Uskrzydleni jeźdźcy wydostali się właśnie z ostrej potyczki. Ich kopie i dziiryty w ogromnej

większości były już zużyte. Zmiażdży ich, weźmie ich głowy, a strzepy piór z tych ich śmiesznych skrzydeł rzuci wprost w burzową zawieruchę.

VII

Rota Jeczyczowskiego kruga i kompania Zara Azytzeena bez wahania ruszyły ku sobie wyciągnięte w pełnym galopie. Bardzo szybko, pokonały dzielącą ich odległość i zderzyły się z ogromnym impetem.

VIII

- Wielki Daż i Sigmar niech mają nas w swej opiece... - westchnął Gerlach widząc bestię jadącą na czele konnego oddziału przeciwnika. Już sam jego rzeźbiony, złoty hełm o jednym tylko wizjerze był wystarczająco ohydny. Zdawał się pałać jakimś błękitnym, widmowym światłem, które przeświecało przez złoto na zewnątrz, w miejscu, gdzie powinno być drugie oko. Istny demon, pomiot zaświatów wypuszczony na wolność. Gerlach, nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jakie piekielne czeluście, mogły spłodzić coś takiego.

Ale Daż ukazał mu złoto i błękit w jego snach i z całą pewnością, zdał sobie wreszcie sprawę, że jednak znajduje się tam, gdzie powinien być.

IX

Cały świat załamał się jak pod uderzeniem ciężkiego kowalskiego młota. Wielkie bojowe konie Kurhanów i kislewskie koniki przemknęły obok siebie. Dookoła rozpętało się prawdziwe szaleństwo.

Szaleństwo i śmierć.

Berlas wypuścił w biegu ostatnią ze swych strzał. Mitrij zwałił się ciężko w śnieg, ręce miał rozrzucone szeroko, z piersi sterczała mu czarno opierzona strzała. Rotmistrz Beledni pozostawił za sobą martwego Diormaca, z hełmem i czaszką rozrąbaną jednym mocarnym

cięciem. Maksym otrzymał ranę w udo od topora Efgulfa, kiedy obaj mężczyźni przejeżdżali obok siebie, a potem napotkał Sakondora. Pałasz tego ostatniego, ściał kilka piór ze skrzydła Kislevity. Miecz Maksyma ściał gładko głowę Sakondora.

Gienadij, najmłodszy z nowych husarzy, rzucił ostatni dziryt, ale nie trafił celu. Krzyknął krótko kiedy miecz Lyra powalił go wraz z koniem na śnieg.

Fegul Jednoreki ściał się z Ifanem i obaj zaczęli wymieniać ciosy. Konie wojów kręciły się dookoła. Obaj w tym samym momencie zranili przeciwnika, ale to cios Fegula Jednorekiego, dzięki jego sile barbarzyńcy z Północy, przełamał zasłonę Ifana i rozrąbał mu pierś. Fegul wykrzykiwał właśnie swe zwycięstwo, kiedy Kwetłaj, ze łzami wściekłości w oczach, przejechał mimo i uciszył go już na zawsze swoją szaszką.

Waja i Witalij, jak zawsze w parze, chronili flanki Gerlacha, kiedy przejeżdżali przez najgęstsza część szarżującej linii Kurhanów. Ich miecze strącały wrogów z wierzchowców. W zwartym szyku zbliżali się do koszmarnego sztandaru wrogiego oddziału i dzierżącego go wielkoluda na przedziwnym wierzchowcu w czarno-białe pasy. Jewnij i Kuba pędzili tuż za nimi.

Yuskel dostrzegł, że się zbliżają i wzniosł do góry swój szeroki miecz. Hzaer i Lyr wysunęli się do przodu, chcąc go obronić. Hzaer wysforował się na czoło, chcąc dosięgnąć sztandaru roty i zabić niosącego go mężczyznę, ale Witalij związał go walką i wywiązał się ostry pojedynek bok w bok, na tańczących koniach.

- Jedź! - wykrzyknął Waja - Jedź, Webla.

Odpierał właśnie wściekłe ataki zakończonego ostrym kolcem miecza Lyra. Jego koń był ranny i krwawił obficie. Gerlach przynaglił Saksena do szybszego biegu, starając się uniknąć kotłujących się dookoła walczących postaci. Jewnij i Kuba przemknęli obok Gerlacha i pomknęli do przodu, wprost w kierunku wrogiego chorążego. Miecz Kuby rozrąbał szyję Yuskela, gdy razem z Jewnijem przegalopowali po obu jego stronach. Pasiasta bestia, której dosiadał Kurhan zaczęła kwiczeć i wściekle kopać dookoła, gdy zsuwał się z jej grzbietu, a potem, uwolniona nagle od ciężaru, pogalopowała w dal. Sztandar kompanii upadł na ziemię.

Jewnij wstrzymał konia i zawrócił. Kopyta jego wierzchowca ślizgały się w białoczerwonej, krwistej brei, kiedy starał się podnieść chorągiew przeciwnika, by unieść ją jako bitewne trofeum i ostatecznie złamać jego morale.

Hzaer, ogarnięty nienawistnym szałem, zranił Witalija i oderwał się od niego. Niewielki dystans dzielący go od leżącego sztandaru pokonał galopem. Pierwszym ciosem strącił Jewnija z siodła, a potem zaczął wściekle rąbać go po głowie i rękach, gdy ten próbował podnieść się na nogi. W tym czasie pojawił się Efgulf, wziął sztandar i wy dostał się na wolne

pole.

Waja widział to, gdy przebił mieczem serce walczącego z nim Lyrą.

X

Zar Azytzeen widział łopocący sztandar i dzierżące go husarza dosiadającego pomalowanego na biało-czerwono wałacha. Koń Karla Azytzeena zakwicział przeraźliwie, gdy w jego boki wbiły się mocno ostrogi. Wyprysnął niczym strzała wypuszczona z łuku do przodu. To był właśnie ten - Azytzeen to wiedział. Nawet gdyby nie niósł sztandaru, to był właśnie ten. Nadnaturalny wewnętrzny wzrok, którym obdarzył go Tchar wskazywał mu to wyraźnie.

Gerlach kątem oka dostrzegł błysk złota i usłyszał jak ktoś, może Waja lub Witalij, wykrzykuje jego imię chcąc go ostrzec. Bestia. Bestia Khaosu, którą stracił z oczu w bitewnym zamieszaniu, pojawiła się teraz ponownie i zmierzała prosto w jego stronę.

Błękitny ogień. Już sam jego widok, zmroził krew w żyłach Heilemana. Tak błękitny, jak pojedyncze niebieskie oko, które widział w swych wywołanych gorączką majakach. Nie były one przepowiednią. To po prostu Daż, ostrzegał go przed tym, co nieuniknione.

W rękę trzymał kawaleryjski koncerz, swój stary rajtarski koncerz. Nie wyglądał on na broń, która zdołałaby powalić, zbliżającą się bestię.

Nagle, pojawili się jeźdźcy w połyskujących pancerzach i odgradzili chorążego roty od zbliżającego się demona Khaosu. Beledni i Borodyn, rotmistrz i mistrz koni, bok w bok, starli się z szarżującym zarem. Żaden z nich, nie zdawał się zbytnio, obawiać swego przeciwnika.

Aczkolwiek powinni byli się jednak bać.

Miecz Zara Azytzeena zranił klacz Borodyna tak głęboko, że sprężona do skoku, zdechła w jednej chwili i padła na ziemię, zrzucając siedzącego na niej Kislevitę. Upadek, pomimo zalegającego ziemię śniegu, był tak mocny, że Borodyn już nie wstał.

Szaszka Beledniego z dźwięcznym brzękiem zderzyła się z pałaszem zara. Obydwaj byli mistrzami fechtunku i wymieniali potężne ciosy, wypatrując jakiegokolwiek znaku słabości w obronie przeciwnika.

Pierwszy znalazł go Beledni i uderzył. Jego szaszka przedarła się przez zasłonę i brzęknęła na pierścieniach okrywających prawe ramię zara.

Zar Azytzeen w odpowiedzi machnął swoim mieczem.

- Beledni! - wrzasnął Heileman.

Rotmistrz jeszcze przez chwilę kołysał się w siodle, a potem delikatnie i powoli osunął się na ziemię.

Gerlach przymusił Saksena do biegu. Wrzeszczał bez przerwy imię Beledniego. Potrzebował teraz swojego koncerza, ale musiał jednocześnie kierować koniem, trzymać wodze, z taką szybkością jechał. Bez wahania odrzucił sztandar roty w śnieg i pomknął w stronę morderczego zara.

Azytzeen rzucił na niego okiem. Zobaczył wojownika uzbrojonego jedynie w kawaleryjski koncerz, zbyt oszalałego z gniewu i żalu by spokojnie i jasno oceniać sytuację. Z pewnością nie będzie dla niego żadnym problemem, powstrzymać go i zabić. I jeszcze ten żenująco mały mieczyk...

Rajtarski koncerz.

Karl-Azytzeen wpatrywał się w nadjeżdżającego husarza i skupił na nim, swój wewnętrzny wzrok, dany mu przez Tchar.

Zobaczył go wtedy naprawdę i rozpoznał.

Gerlach Heileman. Dlaczego ze wszystkich wizji, które objawił mu Tchar, ta ostatnia spłynęła na niego tak późno?

Jego ogromny skrwawiony pałasz wznosił się w górę by z łatwością zabić. Ale zawahał się na moment.

Koncerz Gerlacha, trzymany do szarży na wysokości twarzy szpicem do przodu, przedarł się w dół i przebił kręgosłup zara tak głęboko i z takim trzaskiem, że oręż został wyszarpięty z ręki Heilemana.

Gerlach nawrócił konia szykując się do kolejnego najazdu. Dobył sztyletu na wypadek gdyby bestia Khaosu dawała jeszcze jakieś znaki życia i chciała dalej walczyć.

Zar leżał na plecach pośród śniegu. Umierał w rozlewającej się plamie czerwieni. Jego złoty hełm odturlał się na bok.

Błękitne światło zgasło.

Był martwy.

Gerlach zatrzymał się i popatrzył w dół. Powykręcana, zniszczona i pokryta bliznami twarz zara, była mu w jakiś sposób znajoma.

Gerlach poczuł się tak, jakby cała ta sytuacja nie miała miejsca w rzeczywistości, a była tylko kolejnym sennym majakiem. Była to twarz Karla Reinera Vollena. Ale nie do końca. To było coś, co kiedyś nazywał tym imieniem. Czym stał się teraz? A w co by się przeistoczył w przyszłości, gdyby Gerlach nie zakończył teraz jego żywota?

Heilemanem wstrząsnął dreszcz, był zupełnie otepiały. Jeżeli znałby wcześniej tożsamość swego przeciwnika, być może zawahałby się w ostatnim momencie...

Niebo przejaśniło się równie nagle, jak wcześniej zasnuło czarnymi chmurami. Na przeogromnej łące, wielki pułk, z nowymi siłami niszczył horde Surthy Lenka i pędził niedobitków z powrotem do rzeki, której wody stały się na powrót rwące i wzburzone.

Gerlach ignorował to, co działo się naokoło. Nie dbał wcale, kto wygrywa, a kto przegrywa tę batalię. Podniósł z ziemi upuszczony przed chwilą sztandar roty i podszedł do miejsca, gdzie leżał Beledni. Borodyn, ranny i obolały, klęczał u boku swojego rotmistrza.

Gerlach również przykucnął. W oczach miał pełno łez.

- Webla niet rozpaczać. Nie czas to na smutek - westchnął Beledni. - Rotmistrz Beledni być martwy od wielu lat.

Gerlach starał się powstrzymać łzy, ale w żaden sposób nie mógł tego uczynić.

- Zabiłeś go, Webla - stwierdził Beledni. - Jak Daż ci pokazał.

- To jednak był krąg - odpowiedział Gerlach.

- Iha. Rotmistrz Beledni mówił ci. Ale Webla pozwolił upaść sztandar.

Gerlach pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Bez znaczenia - powiedział po prostu.

Stosy

I

Pogrzebali Beledniego i innych zabitych husarzy na otwartym stepie. Obciążone brzemieniem konie pogalopowały w dal - wprost w ogień Daż. Gerlach miał nadzieję, że kiedy skończy im się ziemia pod kopytami, będą miały skrzydła, by ponieść ich jeszcze wyżej i dalej.

II

Późną wiosną, w Chamon Dharek, ostatni żyjący woje z bandy, którzy walczyli by odzyskać z pola bitwy, ciało swojego zara, zanim umknęli spod Mazhorod, ułożyli go ostatecznie na wieczny spoczynek.

Umieścili go w złotym kopcu. Dookoła złożyli jego rynsztunek. Berlas położył obok niezłamany łuk.

Nieposkromiony wierzchowiec, Koń Karla Azytzeena stał na warcie na zewnątrz. Jego wyprostowane ciało podtrzymywały świeżo ścięte i zaostrome paliki. Zapalono ogień. Hzaer zadał przeciągle w róg, a Efgulf wykrzyknął głośno, już po raz ostatni, jego imię.

- Azytzeen!

III

Śniegi wreszcie ustąpiły. Wojna wciąż wrzała w Starym Świecie. W stepie bujnie rozkwitała wiosna, a chmury komarów i moskitów wleciały z topiącego się lodu. Rota zatrzymała się w stancy Olkan by odpocząć, nabrać sił i wyleczyć rany.

Gerlach przez całe dni chodził podenerwowany i niespokojny. Był zmęczony i tęsknił za czymś, czego nie potrafił nazwać.

Pewnego popołudnia, kiedy stał na placu i patrzył ponad stepem na czerwieniejące niebo, ujrzał chmurę przypominającą jagnięta dookoła owcy i w jednej chwili zdał sobie sprawę, że oto nadszedł jego czas. Ta chmura zatoczyła pełny krąg i zobaczył ją po raz drugi. Jego podróż dobiegła końca.

Przygotował do drogi Bielyj-Saksena i założył na siebie ryszunek. Waja i Witalij wyczuli, co się święci, ale nie protestowali. Pomogli mu założyć zbroję. Gerlach przekazał sztandar roty Kubie.

- Strzeżcie go z całych sił - przykazał Waji i Witalijowi.

Potem wyjechał za bramę i ruszył w step. Zbliżał się zmierzch. Za nim, u wrót stancy, Waja i Witalij nagle zaczęli krzyczeć jego imię, tak jakby zmienili zdanie i mieli jeszcze nadzieję, że nie odjedzie.

- Webla! - wrzeszczeli. - Webla, iha! - wciąż i wciąż, w niknące coraz bardziej światło dnia. Gerlach nie obejrzał się ani razu. Jechał teraz wprost w objęcia przeznaczenia i nie zatrzymał się dopóki nie zrobiło się ciemno, a mężczyźni i ich głosy wykrzykujące jego imię nie znikły zupełnie w bezkresnym stepie.